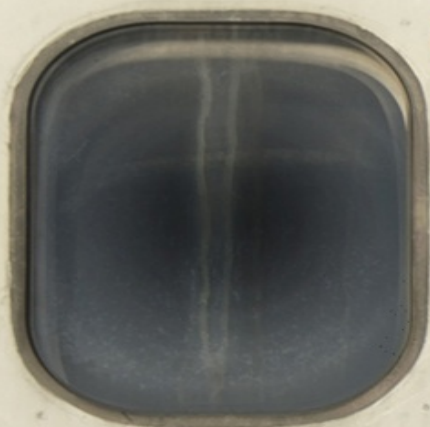


Najnowszy bestseller autora PASAŻERA 23

SEBASTIAN FITZEK

NIEBEZPIECZNY THRILLER PSYCHOLOGICZNY


TERAZ POCZUJESZ, CZYM JEST STRACH PRZED LATANIEM



LOT

7A




AMBER

SEBASTIAN FITZEK

LOT 7A

**Przekład
BARBARA TARNAS**



Wydawca i redaktor prowadzący
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Ryszard Turczyn

Korekta
Barbara Cywińska
Joanna Złotnicka

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Napatsan Puakpong/Shutterstock

Tytuł oryginału
Flugangst 7A

Copyright © 2017 by Verlagsgruppe Droemer Knaur GmbH & Co. KG, Munich,
Germany

www.sebastianfitzek.de.

The book has been negotiated through AVA international GmbH,
Germany (www.ava-international.de).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6530-8

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Manueli.

Siedemnaście długodystansowych lat i końca nie widać.

Co za szczęście!

UNIA EUROPEJSKA ZALECA WPROWADZENIE TESTÓW PSYCHOLOGICZNYCH DLA PILOTÓW

Testy na obecność narkotyków i wsparcie psychologiczne: po katastrofie maszyny German Wings grupa robocza działająca w ramach Unii Europejskiej domaga się wprowadzenia dokładniejszej kontroli pilotów.

„Die Zeit”

17.07.2015

Prolog

Kiedy będzie można przesłuchać sprawcę?

Doktor Martin Roth zmierzający właśnie na oddział intensywnej terapii oddziału neurologicznego berlińskiej Park-Klinik odwrócił się w stronę komisarza z wydziału zabójstw, który po prostu się ośmieszył, zadając mu to idiotyczne pytanie.

– Przesłuchać?

– Tak. Kiedy odzyska przytomność?

Przysadzisty policjant dopił ostatni łyk kawy kupionej w automacie, stłumił beknięcie i autorytarnie wysunął do przodu podbródek.

– Mamy dwa trupy i ciężko ranną ofiarę, która przez całe życie będzie krwawić z oczu. Muszę jak najszybciej wziąć tego łajdaka w obroty.

– W obroty, powiada pan, hm.

Ordynator o gładkiej, zbyt młodzieńczej jak na swój wiek twarzy podrapał się w pozbawione włosów, z roku na rok powiększające się zakola. Sam już nie wiedział, co uznać za gorsze. Żałosny wygląd pozującego na Bruce'a Willisa policjanta czy jego wołającą o pomstę do nieba ignorancję.

– O ile wiem, był pan przy tym, kiedy przywieziono tego mężczyznę?

– No pewnie.

– A czy może coś zwróciło wtedy pańską uwagę?

– Był jedną nogą na tamtym świecie, wiem, wiem. – Funkcjonariusz wskazał drzwi z mlecznego szkła znajdujące się za Rothem, które oddzielały korytarz szpitala od oddziału intensywnej terapii. – Ale wy przecież macie swoje różne czarodziejskie sposoby, żeby jakoś gnoja pozszywać do kupy. A jak tylko odzyska przytomność, chętnie usłyszałbym parę odpowiedzi.

Doktor Roth nabrał głęboko powietrza, w duchu policzył wolno od trzech do zera, a kiedy dotarł do tego ostatniego, rzekł:

– Hm, chętnie sam udzielę panu paru odpowiedzi, panie... Jak nazwisko?

– Hirsch. Naczelnny komisarz Hirsch.

– Wprawdzie jest jeszcze o wiele za wcześnie na ostateczną diagnozę, ale mamy poważne podejrzenia, że pacjent cierpi na tak zwany zespół zamknięcia. Mówiąc potocznie, jego mózg nie ma już połączenia z resztą ciała, co oznacza, że jest zamknięty sam w sobie. Nie może mówić, nie widzi, nie może się z nami porozumiewać.

– I jak długo taki stan się utrzyma?

– Najwyżej trzydzieści sześć godzin, jak oceniam.

Policjant przewrócił oczami.

– I dopiero wtedy będę go mógł przesłuchać?

– Wtedy on już nie będzie żył.

Za plecami doktora Rotha rozległo się kliknięcie i elektryczne skrzydłowe drzwi rozchyliły się na boki.

– Panie doktorze, panie doktorze! Proszę szybko! Pacjent!

Ordynator odwrócił się w stronę swojej asystentki, która wybiegła z OIOM-u cała czerwona na twarzy.

– Co się dzieje?

– On mruga!

Bogu niech będą dzięki!

– Naprawdę? To prawdziwy cud! – ucieszył się doktor Roth i skinął inspektorowi głową na pożegnanie.

– On mruga? – Hirsch popatrzył na ordynatora, zupełnie jakby doktor ucieszył się z gumy przyklejonej do podeszwy. – I dla pana to jest radosna wiadomość?

– Najlepsza, jakiej mogliśmy oczekiwać – odrzekł doktor Roth i zmierzając już do pacjenta, dorzucił jeszcze: – I być może jest to też jedyna szansa, żeby odnaleźć zaginione osoby, póki jeszcze żyją.

Chociaż tak naprawdę nie miał na to wielkich nadziei.

1

NELE

**Berlin. Półtora dnia wcześniej
Godz. 5.02**

Są dwa rodzaje błędów. Takie, które pogarszają ci życie, i takie, które je kończą.

Nele słuchała słów wypowiedzianych przez szaleńca.

Wymamrotanych, przytłumionych, wysapanych.

Nie widziała jego ust. Mężczyzna miał na twarzy maskę oddechową do treningu wysiłkowego. Czarną, z elastycznego neoprenu, z białym przekręcanym zaworem w okolicy ust. Sportowcom służy ona do podwyższania wydolności. Psychopatom do zwiększania rozkoszy.

– Na coś takiego naprawdę nie mam teraz najmniejszej ochoty – powiedziała Nele głośno, zupełnie jakby to mogło cokolwiek zmienić. A kiedy zamaskowany mężczyzna rozwarł obcęgi do cięcia prętów, przełączyła program.

Gorąca jesień muzyki ludowej.

Z deszczu pod rynnę. Nic ciekawego nie ma w tej telewizji. Chociaż z drugiej strony nic dziwnego. Kto z własnej woli siedzi przy telewizorze tuż przed wschodem słońca.

Niecierpliwie uderzała językiem o przednie zęby, przełączając kolejne kanały, aż zatrzymała się na telezakupach.

Gospodarstwo domowe Ronny'ego.

Najnowsze sprzęty kuchenne prezentował mężczyzna, który wyglądał, jakby zużył do makijażu cały tusz: cynobrowa skóra, błękitne wargi i śnieżnobiałe zęby. Właśnie wrzeszczał do potencjalnych klientów, że zostały już tylko dwieście trzydzieści trzy sztuki supermegaurządzenia do gazowania wody. Coś takiego bardzo by się Nele w

ostatnich miesiącach przydało. Nie musiałyby wtedy sama taszczyć na górę zwrotnych butelek z wodą. Czwarte piętro, oficyna, Hansasträße w dzielnicy Weißensee. Czterdzieści osiem wyslizganych schodów. Liczyła je każdego dnia.

Jeszcze lepszy od urządzenia do gazowania wody byłby oczywiście silny mężczyzna. Zwłaszcza teraz, w jej stanie – całe dziewiętnaście kilo więcej niż jeszcze dziewięć miesięcy temu.

No, ale sprawcę sama przegnała do wszystkich diabłów.

– Czyje to? – spytał David, ledwie poinformowała go o wyniku testu.

Niespecjalnie to właśnie chciałoby się usłyszeć, kiedy po powrocie od ginekologa człowiek podświadomie szuka solidnego oparcia w szalejącej burzy hormonów.

– Przecież ani razu cię nie tknąłem bez gumki. Niech to szlag, teraz też będę musiał sobie zrobić testy.

Siarzysty policzek obwieścił zakończenie związku. Tyle tylko, że to nie ona wściekle rozdawała ciosy na prawo i lewo, tylko on. Głowa poleciała jej w bok i Nele straciła równowagę. Upadając, przewróciła szafkę z płytami CD i była teraz łatwym celem dla swojego gacha.

– Czy ci całkiem odbiło?! – wrzasnął, dając jej kopniaka. A potem następnego i jeszcze następnego, w plecy, w głowę i oczywiście w brzuch, który rozpaczliwie chroniła rękami, łokciami i dłońmi.

Skutecznie. David ani razu jej tam nie trafił. Zarodek nie został uszkodzony, nie poroniła embrionu.

– Nie dam sobie podrzucić chorego bachora, żebym przez całe życie musiał na niego bulić! – wrzeszczał do niej, ale przynajmniej przestał kopać. – Już ja się o to postaram.

Nele pomacała miejsce na kości policzkowej, gdzie trafił ją szpic buta Davida, o włos mijając oko. Za każdym razem nieznośnie pulsowało, kiedy myślała o dniu ich rozstania.

David nie pierwszy raz się wtedy wściekł. Ale był to pierwszy raz, kiedy podniósł na nią rękę.

Był prawdziwym wilkiem w owczej skórze, który w towarzystwie rozsiewał nieodparty osobisty urok. Nawet najbliższa przyjaciółka Nele nie chciała uwierzyć, że ten tryskający humorem człowiek, pozornie idealny wzorzec zięcia, ma też drugą, brutalną twarz, którą przezornie pokazuje tylko wówczas, kiedy wie, że nikt go nie widzi, i może być pewny swego.

Nele miała sobie za złe, że zawsze musi trafić na takiego właśnie typu. Już w jej wcześniejszych związkach dochodziło do rękoczynów. Może ci wszyscy faceci, mając przed sobą taką jak ona, po części dziecinną, a po części jednak arogancką osobę, widzą w niej nie tyle kobietę, ile raczej krnąbrną dziewczynkę, której się nie pożąda, tylko ma na własność. Z pewnością też nie bez wpływu na to, że wszyscy widzieli w niej tylko ofiarę, była jej choroba.

No i dobrze, David Kupfer to już przeszłość, pomyślała Nele z poczuciem wewnętrznego zadowolenia. A we mnie rośnie przyszłość.

Na szczęście nigdy nie dała temu łajdakowi klucza od mieszkania.

Kiedy go wyrzuciła, przez dłuższy czas zachowywał się jak stalker. Bombardował ją telefonami i listami, w których za pomocą najróżniejszych argumentów usiłował namówić ją do aborcji („Przecież jako piosenkarka nie zarabiasz nawet na siebie”), czasem były to nawet groźby („Szkoda by było, gdybyś pewnego dnia potknęła się na ruchomych schodach, nie?”).

Dopiero po trzech miesiącach, kiedy upłynęły wszystkie możliwe terminy legalnej aborcji, zrezygnował i wreszcie zerwał z nią wszelki kontakt. Pomijając wielkanocny koszyczek, jaki w Poniedziałek Wielkanocny znalazła pod drzwiami mieszkania. Przystrojony jak dziecięca kołyska. Z różową poduszeczką i mięciutkim kocykiem okrywającym martwego szczura.

Nele aż się wzdrygnęła, kiedy znowu sobie o tym przypomniała, i wsunęła dłonie między poduszki kanapy, żeby je ogrzać, chociaż w mieszkaniu wcale nie było chłodno.

Jej najlepsza przyjaciółka radziła jej, żeby zawiadomiła policję, ale co by to dało? Przecież nie potrafili sobie poradzić nawet z tym czubkiem, który od tygodni przecinał opony w co trzecim samochodzie stojącym na ulicy. Przecież z powodu martwego szczura nie postawią posterunku pod domem.

W każdym razie Nele zadała sobie tyle trudu, żeby na swój koszt wymienić zamki w drzwiach, na wypadek gdyby David mimo wszystko miał dorobiony klucz.

W gruncie rzeczy była mu nawet wdzięczna. Oczywiście nie za pobicie i nie za padlinę w koszyku, ale za te wszystkie obraźliwe rzeczy, które do niej mówił.

Gdyby był spokojny, to być może posłuchałaby głosu rozsądku. Że donoszenie dziecka wiąże się ze zbyt wieloma zagrożeniami. Z drugiej strony wirus HIV, dzięki wczesnej kuracji, był w jej krwi prawie niewykrywalny, więc ryzyko zarażenia było bliskie zera. Ale jednak tylko bliskie.

Czy powinna się na nie godzić? Czy mając dwadzieścia dwa lata, w ogóle zdolna jest podjąć takiej odpowiedzialności? Dziecko. Bez finansowego zabezpieczenia? Kiedy matka dawno już umarła, a ojciec wyniósł się za granicę?

Wszystko to były wystarczająco dobre powody, żeby zrezygnować z dziecka i skupić się na karierze wokalistki. Zrezygnować z opuchniętych nóg, brzucha jak balon i kontynuowania skazanego na porażkę związku z tyleż przystojnym, co cholerycznym drobnym artystą, zarabiającym na życie magicznymi sztuczkami i występami na dziecięcych urodzinach czy firmowych imprezach. (David Kupfer to oczywiście nie było jego prawdziwe nazwisko, tylko żalosne nawiązanie do jego wielkiego idola, Davida Copperfielda).

Spojrzała na zegarek.

Jeszcze dwadzieścia pięć minut do przyjazdu taksówki.

O tej wczesnej porze za niecałe pół godziny będzie w szpitalu. O godzinę za wcześniej. Przyjęcie miała wyznaczone na siódmą. Operację trzy godziny później.

To było nierozsądne, pomyślała Nele, gładząc brzuch obiema rękami, *ale jednak słuszne*.

Czuła tak nie od momentu, kiedy jej lekarz rodzinny doktor Klopstock namówił ją do utrzymania ciąży. Nawet bez terapii ledwie co piąty noworodek przychodził na świat zarażony HIV. Przy jej doskonałych wynikach i wszelkich możliwych środkach ostrożności, jakie stosowano w trakcie opieki nad pacjentkami takimi jak ona, możliwość takiego obrotu sprawy była mniejsza niż trafienie pioruna w porodówkę.

Ale i coś takiego pewnie się już zdarzyło.

Nele nie miała jeszcze imienia dla tego cudu, który się w niej rozwijał. Nie wiedziała nawet, czy będzie to chłopiec czy dziewczynka. Było jej to po prostu obojętne. Cieszyła się na obecność w swoim życiu drugiego człowieka, niezależnie od tego, jakiej będzie płci.

Przerzuciła na kolejny program i nagle znowu zrobiło jej się gorąco. To też było coś, za czym tęskniła, kiedy po porodzie będzie już miała swoje ciało znowu wyłącznie dla siebie: że wreszcie skończą się uderzenia gorąca. Nele właśnie zamierzała wyciągnąć dłonie spomiędzy poduszek, kiedy palce prawej ręki natrafiły na coś twardego.

Co jest?

Czy to może te kolczyki, których od tak dawna szuka?

Pochyliła się na bok i właśnie macała palcami, szukając zaklinowanego

przedmiotu, kiedy poczuła nagły, ostry ból.

– Au!

Wyjęła dłoń spomiędzy poduszek i zdziwiła się, widząc kroplę krwi na czubku wskazującego palca. Palec pulsował, zupełnie jak po ugryzieniu przez jakiegoś owada. Przestraszona włożyła palec do ust i oblizwała krew. Potem obejrzała ranę. Niewielkie nacięcie, zupełnie jak zrobione cieniutkim ostrzem.

Co, u diabła?...

Wstała i poczłapała do biurka, gdzie w górnej szufladzie miała pudełko z plastrami. Kiedy ją wysuwała, jej wzrok padł na folder z wakacyjną ofertą na Rugii. David chciał z nią tam spędzić walentynki. Wtedy, w tym innym czasie.

Jedynym, co Nele mogła zapisać na plus swojemu byłemu, był fakt, że nie zostawił jej zaraz na pierwszej randce, jak większość jego poprzedników, kiedy mu powiedziała, że trzy razy dziennie musi zażywać garść tabletek, żeby nie zachorować na AIDS. Nele naprawdę była przekonana, że on jej uwierzy, że nie jest żadną dziwką ani narkomanką. Że nie zaraziła się od igły ani przy okazji przygodnego seksu z nieznajomymi. Tylko od motyla.

Wyglądał pięknie i cały czas nosiła go przy sobie. Na wewnętrznej stronie prawego ramienia.

W zasadzie ten tęczy motyl miał przez całe życie przypominać Nele o cudownym urlopie, jaki spędziła na Tajlandii. Tymczasem za każdym razem, kiedy brała prysznic, myślała o niezdezynfekowanej igle, którą zrobiono jej ten tatuaż, i o tym, jak ciężko Bóg potrafi ukarać młodzieńczą lekkomyślność. Najwyraźniej bardziej mu przeszkadzało, że podchmielona nastolatka weszła do podejrzanego studia tatuażu w dzielnicy barów na wyspie Phuket, niż że członkowie islamskich bojówek zrzucają homoseksualistów z dachów.

Nele owinęła sobie palec plastrem, wróciła na kanapę i podniosła poduszkę.

Kiedy jej spojrzenie padło na połyskujący srebrzyście przedmiot, wciągnęła gwałtownie powietrze i o mało nie zakryła sobie dłonią ust.

– Skąd się to, na Boga, tutaj wzięło? – wyszeptała.

Ostrożnie oderwała żyłkę, trzymającą się na tapicerce na czymś w rodzaju gumy do żucia. W rzeczywistości była przyklejona dwustronną taśmą, a więc ktoś zrobił to specjalnie!

Przerażona nie na żarty Nele usiadła z powrotem na kanapie. Żyłka w jej dłoni parzyła ją tak, jakby wyjęła ją właśnie rozpaloną do białości z kominka. Nele

wzdrygnęła się i upuściła żyletkę, która upadła obok niej na poduszkę.

Z bijącym jak oszalałe sercem spozrzała na zegarek i znów policzyła minuty do przyjazdu taksówki.

Jeszcze tylko piętnaście minut!

Tak naprawdę nie chciała spędzić w swoim mieszkaniu nawet piętnastu sekund więcej.

Wpatrywała się w żyletkę, która zmieniała barwy w zależności o tego, jak zmieniał się obraz w telewizji.

Jak ona się, do cholery, tam dostała?

Precyzyjnie przymocowana, zupełnie jakby komuś zależało, żeby zraniła sobie palce.

I co, do diabła, jest na niej napisane?

Żyletka była pobrudzona jej krwią, ale teraz, kiedy spadając, odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, Nele zauważyła na niej mikroskopijny napis. Odręczny, jakby wykonany precyzyjnym cienkopisem.

Nele z obrzydzeniem znów wzięła żyletkę do ręki i pulsującym z bólu palcem przejechała po literach.

„Twoja krew zabija!”

Nele nieświadomie i mechanicznie poruszała wargami, jak uczennica sylabizująca pierwsze wyrazy.

Moja krew zabija?

Krzyknęła.

Nie dlatego, że uświadomiła sobie, że Davidowi udało się jednak zakraść do jej mieszkania.

Tylko dlatego, że coś w niej pękło.

Poczuła silne ukłucie, zupełnie jakby trafiło ją żądło skorpiona. W najczulsze miejsce. Uczucie, jakby ktoś gołymi rękami rozrywał sploty cieniutkiej i niezwykle wrażliwej skóry.

Krótki, gwałtowny ból ustał i zrobiło jej się mokro.

Wtedy przyszedł strach.

Rozprzestrzenił się tak, jak ciemna plama między jej nogami. Ciemny koc, przykrywający kanapę stawał się coraz ciemniejszy i... *Nie przestaje.*

To była jej pierwsza myśl i powtarzała ją wciąż od nowa.

Nie przestaje.

Pękł mi worek owodniowy i tracę wody płodowe.

Ta druga myśl była jeszcze gorsza, bo nieodwołalna.

Za wcześnie.

Dziecko chce przyjść na świat o wiele za wcześnie!

2

Czy ono to przeżyje? Czy ono może coś takiego przeżyć?

Nie pamiętała już o ostrzu i przestało mieć ono jakiegokolwiek znaczenie. Spanikowana Nele była w stanie sformułować tylko jedną myśl: *Ale mój lekarz cztery tygodnie temu powiedział, że od teraz dziecko będzie już zdolne do życia, tak chyba było?*

Spodziewany termin porodu wypadł za czternaście dni.

W przypadku cesarskiego cięcia ryzyko zarażenia niemowlęcia było jeszcze mniejsze, dlatego dla ostrożności termin operacji wyznaczono wcześniej. Żeby nie dopuścić do tego, co stało się właśnie teraz: żeby nastąpił naturalny poród.

Czy po przerwaniu błon płodowych w ogóle można jeszcze robić cesarkę?

Nie wiedziała. Miała tylko wielką nadzieję, że jej dziubasek (tak nazywała istotę w swoim brzuchu) przyjdzie na świat zdrowy.

Do jasnej cholery, kiedy wreszcie przyjedzie taksówka?

Jeszcze osiem minut.

A tak by się jej przydały.

Nele wstała i miała uczucie, że jej wody płodowe całkiem odeszły.

Czy to zaszkodzi dziecku? Przez głowę przemknął jej potworny obraz: dziecko, które w jej brzuchu daremnie łapie powietrze, jak ryba wyjęta z wody.

Na sztywnych nogach podeszła do drzwi i chwyciła torbę przygotowaną do szpitala, która czekała tam już gotowa do zabrania.

Bielizna na zmianę, szerokie spodnie, nocne koszule, rajstopy, szczoteczka do zębów i kosmetyki. I oczywiście torebka z lekami antywirusowymi. Spakowała nawet pieluchy, rozmiar 1, chociaż na pewno mieli takie w szpitalu. Ale Juliana, zajmująca się nią położna, powiedziała, że nigdy za dużo przygotowań, bo zawsze może wyjść inaczej, niż człowiek sobie ułoży. I teraz też tak było.

Mój Boże.

Strach.

Otworzyła drzwi.

Nele jeszcze nigdy się nie bała o kogoś innego tak jak o siebie. I jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna.

Nie było przy niej ojca dziecka. Ani najlepszej przyjaciółki, która wyjechała właśnie z zespołem muzycznym na tournée po Finlandii.

Na klatce schodowej zatrzymała się na chwilę.

Może powinna się przebrać? Mokre w kroku spodnie do joggingu oblepiały ją jak zimna ścierka. Powinna się przyjrzeć, jaki kolor miały wody płodowe. Jeśli zielony, w ogóle nie wolno było jej się ruszać. *A może były żółte?*

Ale jeżeli kolor był niewłaściwy, a ona już się ruszyła, to czy nie będzie gorzej, jeśli teraz wróci, żeby przebrać się w coś suchego? *Co robić?*

Nele zamknęła za sobą drzwi. Schodząc po schodach, mocno trzymała się poręczy, zadowolona, że o tak wczesnej porze nikogo nie widać na klatce schodowej.

Wstydziała się, chociaż nie wiedziała czego, przecież poród jest właściwie czymś naturalnym. Ale doświadczenie podpowiadało jej, że tylko nieliczni chcą być w ten proces włączeni. A ona nie życzyła sobie fałszywej lub zakłopotanej oferty pomocy sąsiadów, z którymi rzadko kiedy zamieniała słowo.

Zeszła na dół, otworzyła drzwi i wyszła na pachnące liśćmi i ziemią jesienne powietrze. Widocznie przed chwilą przestało padać.

Asfalt na szerokiej Hansastraße błyszczał w jasnym świetle ulicznych latarni. Przy krawężniku utworzyła się kałuża, w której czekała już – dzięki Bogu – taksówka. Cztery minuty przed czasem. Ale ani sekundy za wcześnie.

Kierowca, który oparty o swojego mercedesa czytał książkę, odłożył gruby tom przez otwarte okno na siedzenie pasażera i przejechał dłonią przez długie do ramion ciemne włosy. Potem szybkim krokiem wyszedł jej naprzeciw, kiedy zorientował się, że chyba coś jest nie tak, że ona tak dziwnie idzie. Prawdopodobnie pomyślał, że doznała jakiegoś urazu albo że jej torba jest tak ciężka, że aż musi się lekko pochyłać do przodu, żeby ją utrzymać. Ale może był tylko po prostu uprzejmy.

– Dzień dobry – przywitał się zdawkowo i wziął od niej torbę. – Na lotnisko?

Mówił lekkim berliński dialektem, a jego oddech pachniał kawą. Jego sweter z wycięciem w kształcie litery V był na niego o jeden numer za duży, tak samo jak sztruksowe spodnie, które przy każdym kroku groziły, że zsuną się z bioder. Ekologiczne sandały Birkenstock i okulary à la Steve Jobs uzupełniały stereotypowy

wizerunek dorabiającego jeżdżeniem taksówką studenta socjologii.

– Nie. Do kliniki Virchow w Wedding.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem, omiatając wzrokiem jej brzuch.

– Wszystko jasne. Nie ma problemu.

Otworzył jej drzwi. Kiedy zauważył jej mokre spodnie, nie powiedział ani słowa. Widocznie podczas nocnych kursów widział już gorsze obrzydliwości i dlatego miał na tylnym siedzeniu plastikowy pokrowiec.

– No to w drogę.

Nele wsiadła do samochodu z poczuciem, że zapomniała czegoś ważnego, chociaż kurczowo trzymała szpitalną torbę, w której była jej komórka, ładowarka i portmonetka.

Ojciec!

Kiedy samochód ruszył, obliczyła różnicę czasu i zdecydowała się na SMS. Nie, żeby się obawiała zadzwonić do ojca o tej godzinie do Buenos Aires. Ale nie chciała, żeby wyczuł zmartwienie w jej głosie.

Nele zastanawiała się, czy powinna napisać mu, że odeszły wody płodowe, ale po co niepotrzebnie go niepokoić? A poza tym i tak nic mu do tego. Był jej ojcem, a nie powiernikiem. To, że chciała mieć go przy sobie, miało nie emocjonalne, lecz czysto praktyczne powody.

Zostawił matkę w potrzebie. Teraz powinien to naprawić, wspierając Nele i jej dziubaska, nawet jeśli udzielenie ojcowskiej pomocy ograniczyłoby się tylko do bycia na posyłki, robienia zakupów i pomocy finansowej. Na pewno nigdy nie powierzyłaby mu dziecka. Nawet nie chciała widzieć go przed rozwiązaniem, wręcz nakazując mu, żeby nie pojawił się wcześniej niż w dniu operacji.

„Zaczęło się!”, wystukała na swojej komórce i wysłała wiadomość. Krótka i zwięzła. Wiedziała, że brak słowa „tato” zrani go. I trochę wstydziła się swojej oziębłej formy kontaktu. Ale wtedy pomyślała o oczach matki. Otwartych, pustych, jakby z wrytym w nich śmiertelnym strachem, z którym musiała się zmierzyć całkiem sama. I wtedy uznała, że jest dla niego nawet o wiele za miła. Powinien uważać się za szczęściarza, że posłuchała terapeuty i po latach znów nawiązała z nim kontakt.

Nele popatrzyła przed siebie i zobaczyła zieloną cegłę, którą wcześniej kartkował kierowca, a która teraz była wciśnięta pomiędzy ręczny hamulec i siedzenie kierowcy.

Pschyrembel „Ginekologia praktyczna”.

A więc nie jest studentem socjologii, lecz medycyny.

Nagle się zdziwiła.

– Hej – powiedziała. – Zapomniał pan włączyć licznik.

– Słucham? Ach... psiakrew.

Student wykorzystał czerwone światło, żeby postukać w taksometr. Widocznie był zepsuty.

– To już trzeci raz... – zaklął.

Z tyłu zbliżał się motocykl.

Nele odwróciła się w bok, kiedy zatrzymał się tuż obok jej okna. Motocyklista miał na głowie odblaskowy kask, dlatego zobaczyła tylko siebie, kiedy nachylił się w jej stronę. Silnik jego maszyny bulgotał jak jezioro kipiącej lawy.

Zmieszana i przestraszona Nele znów spojrzała przed siebie.

– Zielone! – zauważyła piskliwym głosem.

Student uniósł wzrok znad taksometru i przeprosił.

Nele znów spojrzała w bok.

Motocyklista wciąż jeszcze nie ruszył. Zamiast tego dotknął palcami kasku, jak przy pozdrowieniu, i Nele miała wrażenie, że wyczuwa diaboliczny uśmiech, jaki na pewno wykrzywił teraz twarz mężczyzny pod kaskiem.

David, przemknęło Nele przez głowę.

– Kurs będzie na mój koszt.

– Słucham?

Student mrugnął do niej we wstecznym lusterku i wrzucił bieg.

– Ma pani szczęście. Taksometr diabli wzięli, nie musi pani nic płacić, Nele.

Ostatnie słowo kierowcy przecięło powietrze i trafiło prosto do jej świadomości.

– Skąd pan?...

Skąd on wie, jak mam na imię?

– Kim pan jest?

Nele zauważyła, że powoli ruszają do przodu, tuż za światłami skręcają w prawo w jakiś wjazd.

– Gdzie jesteśmy?

Zobaczyła rozerwane druciane ogrodzenie, na dalszym planie sterczały w ciemne niebo, niczym pośmiertnie stężałe palce, dwa murowane fabryczne kominy.

Taksówka kołysała się na wybojach na wjeździe do dawno opuszczonego fabrycznego terenu.

Nele złapała za drzwi. Szarpnęła klamką.

– Niech pan zatrzyma. Chcę wysiąść.

Kierowca odwrócił się i wlepił wzrok w jej nabrzmiałe piersi.

– Proszę się nie obawiać – odezwał się z uśmiechem, którego nieśmiałość i prostoduszność zupełnie nie pasowały do sytuacji.

Cztery słowa, które potem padły, wstrząsnęły Nele bardziej niż wszystko, co do tej pory słyszała w życiu.

– Chcę tylko pani mleka.

Poczuła, jakby jakaś dłoń w jej wnętrzu zacisnęła się z całej siły na najwrażliwszym miejscu jej podbrzusza.

– Aua! – krzyknęła w twarz studentowi, który patrzył na nią we wstecznym lusterku, kiedy światło reflektorów przesunęło się po zardzewiałym drogowskazie.

„Do obór”, przeczytała Nele.

Wtedy ból osiągnął swój pierwszy punkt szczytowy.

3

MATS

Buenos Aires
Godz. 23.31 czasu miejscowego

„Zaczyna się!”

Mats Krüger postawił aktówkę w przejściu i sięgnął po telefon komórkowy, żeby raz jeszcze spojrzeć na SMS od córki, jak gdyby w wiadomości składającej się z dwóch słów zawarta była tajna informacja, której podczas pierwszego czytania nie rozszyfrował.

Chusteczką z materiału otarł pot z czoła i dziwił się, dlaczego począwszy od rzędu czternastego, nic nie posuwa się do przodu. Mieli już pół godziny opóźnienia. Białe światło z sufitu spływało na wnętrze samolotu, nowego jak spod igły, z siedzeniami wyściełanymi fioletowoszarą tkaniną, w którym unosił się zapach odświeżaczy powietrza i środków do czyszczenia wykładzin. Wsłuchując się w delikatny szum pomocniczej turbiny, Mats stał tyłem do kabiny pilotów, po prawej stronie przejścia, w potężnej maszynie. Dwadzieścia cztery metry wysokości, więcej niż ośmiopiętrowy biurowiec albo niż „pięć żyraf”, jak kiedyś napisała o nim pewna codzienna gazeta.

Dziennikarz z zamiłowaniem do porównywania wszystkiego do zwierząt wyliczył, że samolot ma długość dwóch ułożonych jeden za drugim waleni błękitnych.

„Zaczyna się!”

SMS, który nadszedł do Matsa przed czterema minutami podczas wsiadania, jednocześnie go uskrzydlał i blokował.

Z jednej strony, cieszył się, że wkrótce zobaczy swojego pierwszego wnuka i być może będzie mógł nawet wziąć go na ręce. Ale z drugiej – bał się, że w oczach Nele ujrzy taki sam chłód, z jakim sformułowała swoją lakoniczną wiadomość.

Tylko stary głupiec mógł się łudzić, że ona mu wybaczy. A Mats czuł się wprawdzie stary, ale z pewnością nie był głupcem. Wiedział, co zniszczył, kiedy zostawił jej matkę na łasce losu, i wciąż jeszcze nie do końca rozumiał, dlaczego Nele poprosiła go, żeby wrócił do Niemiec na czas porodu jej pierwszego dziecka. Czyżby wyciągała do niego rękę na nowy ostrożny początek? A może po to, żeby wymierzyć mu policzek?

– No, wreszcie – burknął stojący przed nim mężczyzna z plecakiem i rzeczywiście kolejka znów się ruszyła.

Wreszcie?

Mats wolałby, żeby pozwolono mu jeszcze postać chwilę w przejściu, dopóki pięciuset sześćdziesiąt tonowy kolos znajdował się jeszcze na ziemi. Przed czterema laty wyemigrował frachtowcem do Argentyny, żeby osiąść w Buenos Aires jako psychiatra. Bał się latać, uczestniczył nawet w seminarium dotyczącym awiofobii, ale niewiele to pomogło. Zdania, jak: „Zaakceptuj swoje klęki i nie próbuj z nimi walczyć” albo „Spróbuj dłużej wydychać powietrze niż wdychać”, sam często wypróbował na swoich pacjentach dotkniętych fobią i wiedział, że dla wielu z nich postępowanie zgodne z tymi radami okazało się pomocne. Ale to w niczym nie zmieniło jego poglądu, że człowiek nie jest stworzony do tego, żeby wystrzeliwać go na wysokość dziesięciu tysięcy metrów w troposferę w zaopatrzonej w skrzydła i odpornej na duże ciśnienie metalowej rurze. *Homo erectus* po prostu nie pasował do tego wrogiego otoczenia: przy temperaturze na zewnątrz wynoszącej minus pięćdziesiąt pięć stopni najmniejszy błąd mógł doprowadzić do katastrofy.

Jednocześnie Matsa mniej martwiły techniczne aspekty zagadnienia, a raczej podstawowe źródło błędów, które nie tylko w powietrzu, ale również na lądzie i na wodzie powodowało większość ofiar śmiertelnych: czyli człowiek. I chyba na żadnej innej trasie nie było tylu okazji, by mogło ono dowieść swojej niedoskonałości, niż na tej, którą właśnie miał pokonać.

Swój pierwszy lot od ponad dwudziestu lat Mats miał odbyć nie tylko największym obecnie samolotem pasażerskim świata, ale również na jednej z najdłuższych tras lotnictwa cywilnego bez międzylądowania. Na pokonanie niemal dwunastu tysięcy kilometrów z Buenos Aires do Berlina latający kolos potrzebował niewiele ponad trzynaście godzin. Nie licząc godziny, jakiej potrzebowało sześciuset ośmiu pasażerów, żeby zająć miejsca na obydwu pokładach. Mats najchętniej i tym razem odbyłby podróż statkiem, w końcu przecież już od tygodni wiedział, że Nele jest w

cięży, ale o tej porze roku nie było dogodnych połączeń transatlantyckich.

Zaczyna się!

Mats właśnie przesuwał się ze swoją aktówką obok pachnącej kawą kuchni na wysokości środkowych wyjść awaryjnych dokładnie nad skrzydłami, kiedy zdanie wypowiedziane dźwięcznym głosem przez jakąś kobietę kazało mu się znowu zatrzymać.

– Pan mnie nie rozumie!

Podstawowe słowa dla psychiatry.

Mats spojrział w lewo do kuchni, gdzie znajdował się steward, wysoki mężczyzna, którego granatowy mundur sprawiał wrażenie szytego na miarę. Mężczyzna stał obok ekspresu do kawy i rozmawiał z młodą, rudowłosą kobietą, która trzymała na ręku niemowlę.

Na zewnątrz temperatura wynosiła dwadzieścia osiem stopni, ale nażelowane blond włosy stewarda wyglądały tak, jakby przed chwilą wysmagały go pędzone wiatrem krople deszczu. Dopiero na drugi rzut oka widać było, że musiał spędzić przed lustrem wiele czasu, żeby uzyskać tak kunsztowny efekt nieład.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

Stewardowi udało się dokonać nie lada sztuki, a mianowicie skinąć głową ze zrozumieniem, z jednoczesnym spojrzeniem na okazały zegarek na ręku, podczas gdy matka zręcznie kołysała usadzone na biodrze gaworzące dziecko.

– Kiedy rezerwowałam bilet online, dostałam potwierdzenie, że będzie to miejsce rodzinne – powiedziała kobieta zmęczonym głosem. Wprawdzie była odwrócona do Matsa plecami, ale z jej drżącego głosu mógł wywnioskować, że jest bliska płaczu.

– Chyba ten stary przede mną zasnął – usłyszał Mats za sobą narzekanie jakiegoś nastolatka. Tym razem to on był osobą, która blokowała przejście, ale jego zainteresowanie konfliktem emocjonalnym w pokładowej kuchni było zbyt wielkie, wobec czego odsunął się trochę na bok, żeby przepuścić innych podróżnych.

– Oczywiście, doskonale panią rozumiem – starał się uspokoić kobietę steward. Jego zdecydowana postawa sygnalizowała doświadczenie i kompetencję, ale w jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Nic tu jednak nie poradzę. Niestety w Chile załadowano nam nieodpowiednie foteliki dla dzieci. Nie pasują do uchwytów na przepierzeniu przed paniami fotelami.

– I przez to mam huścić dziecko przez całą noc na kolanach? – Zakołysała biodrami, żeby utrzymać w spokoju swoje marudzące dziecko. – Suza ma kolkę –

wyjaśniła. – Boję się, że będzie całą noc płakała, jeśli jej nie położę.

Następne kiwnięcie głową wyrażające zrozumienie i kolejne spojrzenie na zegarek.

– Bardzo bym chciał pani pomóc, ale niestety, nic nie mogę na to poradzić.

– Ale może ja bym mógł. – Mats usłyszał własny głos i w tej samej chwili poczuł złość na samego siebie, że to powiedział.

Dwie pary zdumionych oczu spojrzały na niego.

– Bardzo przepraszam, ale co pan powiedział? – zapytała matka, która właśnie odwróciła się do Matsa.

Światło w kuchni pokładowej, która, jak pamiętał Mats, oficjalnie nazywa się „galley”, było jasne i nieprzyjazne. Podkreślało każdy defekt skóry i zmarszczkę na twarzy młodej kobiety. Jej oczy były czerwone tak jak jej włosy i wyglądała na tak samo zmęczoną, jak on sam. Miała na ustach delikatną szminkę, która pasowała do piegów na twarzy. Zarówno jej makijaż, jak i strój wskazywały, że mimo bezradnego maluszka na rękę wciąż chciała, żeby widziano w niej nie tylko matkę, ale również kobietę.

– Może pani zająć moje miejsce.

Były to pierwsze od długiego czasu niemieckie słowa, jakie wykrztusił, i ledwie sam siebie usłyszał, wiedział już, że byłoby lepiej, gdyby ugrzęzły mu w gardle.

– Pańskie miejsce? – zapytała matka.

Jego wprawne oko pochwyciło minimalny skurcz mięśnia *musculus orbicularis oculi*. Mimo zmęczenia mięsień okrężny oka kobiety reagował odruchowo, nieomylnie sygnalizując Matsowi oznakę jej szczerzej radości.

– Mogę pani zaproponować miejsce 7A – potwierdził Mats.

– To klasa biznesowa – powiedział steward zdumiony. Na srebrnej tabliczce przypiętej do klapy widniało słowo „Valentino” i Mats nie wiedział, czy było to nazwisko, czy imię blond przystojniaka.

Przypuszczalnie zadawał sobie właśnie dwa pytania naraz: dlaczego ten człowiek odstępuje kompletnie obcej kobiecie na czas tak długiego lotu swój wygodny fotel z wariantem do spania i skąd się w takim razie wziął tu na dole, w niższej klasie?

– Obawiam się, że w klasie biznesowej również nie ma fotelika dla niemowlaka – rzucił.

– Ale fotele są na tyle szerokie, że Suza będzie mogła wygodnie leżeć obok pani – przerwał mu Mats i wskazał na dziecko. – Jak pokazano w reklamie, fotel można zamienić w płaskie łóżko.

– I naprawdę chce się pan zamienić ze mną na miejsce? – zapytała matka z niedowierzaniem.

Nie, pomyślał Mats i jeszcze raz zadał sobie pytanie, ki diabeł go do tego podkusił. Emocje wzmacniają strach. Była to całkiem prosta zasada. Przed wejściem na pokład miał jasne postanowienie, by udać się niezwłocznie na swoje miejsce, nauczyć się na pamięć wskazówek bezpieczeństwa wydrukowanych na laminowanej tekturce, sprawdzić odległości do wyjść awaryjnych, a kiedy personel pokładowy zakończy demonstrowanie procedur na wypadek sytuacji awaryjnej, przystąpić do treningu autogenicznego. A tymczasem już w pierwszych minutach pobytu na pokładzie odstąpił od tego planu, który miał przynieść mu uspokojenie.

Co za nieodpowiedzialna głupota z mojej strony!

W dodatku oddał matce z dzieckiem miejsce 7A, co było już szczytem nieodpowiedzialności.

Ale często tak się z nim działo. W pracy z pacjentami był uosobieniem spokoju i roztropności. W życiu prywatnym często przychodziło mu walczyć z impulsywnymi decyzjami, które wywoływały u niego emocjonalne wahania.

Ponieważ nie mógł teraz cofnąć swojej oferty złożonej pod wpływem impulsu, zapytał tylko:

– Czy chce pani skorzystać z tego miejsca?

Cień przebiegł po twarzy matki i tym razem nie trzeba było być uczonym w odczytywaniu mimicznych mikroekspresji, żeby wyczytać rozczarowanie w jej oczach.

– Widzi pan, panie...

– Krüger.

– Cieszę się, że pana poznałam, panie Krüger. Ja nazywam się Salina Piehl. Widzi pan, problemem jest nie tylko brak fotelika dla dziecka. – Wskazała na ścianę, która oddzielała kuchnię pokładową od kabiny dla pasażerów i za którą gdzieś z tyłu samolotu musiało się znajdować jej miejsce. – Siedzę otoczona grupą lekko podchmielonych i głośno zachowujących się mężczyzn. Czy naprawdę pan to zniesie?

O, do diabła.

Gdyby Salina tylko uprzejmie odrzuciła ofertę, być może mógłby po prostu skinąć głową, pożegnać się i pójść dalej. Ale teraz, kiedy już wiedział, że kobieta ma podwójny powód do szukania pomocy, nie mógł jej tak po prostu zostawić.

– Moja oferta wcale nie jest taka wspaniałomyślna. Widzi pani, ja wcale nie chcę

się z panią zamienić. Mam jeszcze inne miejsce na pokładzie.

– Ale... Jak to? – Spojrzała na niego okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Cierpię na bardzo silny lęk przed lataniem. Przygotowując się do tej podróży, przeanalizowałem wszystkie dostępne mi statystyki dotyczące katastrof. Według nich są miejsca, na których pasażerowie podczas katastrofy mają większe szanse przeżycia niż na innych miejscach.

Steward uniósł wysoko brew.

– I co?

– Wszystkie je zarezerwowałem.

– Naprawdę? – zapytała matka.

– Przynajmniej na tyle, na ile się dało.

– Ach, to pan... – powiedział Valentino.

Mats nie zdziwił się, że jest już znany wśród załogi samolotu. Jego osobliwa rezerwacja miejsc musiała zwrócić uwagę personelu.

– To ile miejsc pan zarezerwował? – zapytała kobieta z dzieckiem.

– Cztery. Oprócz miejsca 7A w klasie biznes są to 19F, 23D i 47F.

Matka zrobiła wielkie oczy.

– Aż cztery? – spytała z niedowierzaniem.

Właściwie chciał zamówić siedem miejsc, ale te inne były już zajęte. Również rezerwacja wolnych miejsc przysporzyła Matsowi sporo problemów. Wprawdzie linie lotnicze miały w ofercie funkcję rezerwacji miejsc online dla osób z dużą nadwagą, które potrzebują dwóch miejsc, ale z oczywistych względów są to miejsca obok siebie, a nie porzucane po całym samolocie. Musiał wykonać wiele telefonów i wysłać wiele maili, zanim udało mu się wytłumaczyć swoje życzenie i zanim udało mu się przekonać odpowiedzialną osobę, że nie jest ani terrorystą, ani wariatem. Na koniec były jeszcze problemy z limitem na karcie kredytowej, bo strach przed lataniem kosztował go niezłą kwotę. Na szczęście zarabiał dobrze, a jako singiel żył od lat w miarę oszczędnie.

– Ale jak to? To znaczy, że nie mógł pan się zdecydować na jedno miejsce? – dopytywała się kobieta.

– Postanowiłem zmieniać miejsca podczas lotu – wyjaśnił Mats, żeby już do końca wprowadzić ją w osłupienie. – O tym, czy dane miejsce jest bezpieczne, decyduje także to, czy samolot startuje czy ląduje, i czy leci nad lądem czy nad wodą.

Młoda matka nerwowo przejechała dłonią po włosach.

– W takim razie, w której fazie lotu będzie chciał pan wrócić na swoje miejsce w klasie biznes?

– W żadnej.

Nawet gdyby się teraz rozebrał i zaczął tańczyć na golasa, jej wzrok z pewnością nie byłby bardziej zdumiony.

Mats westchnął. Piętno dziwaka i tak już miał jak w banku, więc ograniczył się do powiedzenia prawdy:

– W roku dwa tysiące trzynastym naukowcy świadomie spowodowali katastrofę naszpikowanego czujnikami samolotu pasażerskiego na pustyni przy granicy USA z Meksykiem. Było to coś w rodzaju lotniczego testu zderzeniowego.

– I okazało się, że miejsce 7A jest najbezpieczniejsze? – zapytała matka.

Valentinowi najwyraźniej całkiem odebrało mowę. Szczęka opadła mu jeszcze bardziej, gdy usłyszał wyjaśnienie Matsa.

– Deformacje rozbitego samolotu wykazały, że podczas katastrofy siedem pierwszych rzędów stanowi strefę pewnej śmierci. Fotel z numerem 7A był nawet jedynym, który siła uderzenia wyrzuciła poza samolot.

Dziecko zakaszłało sucho, potem zaczęło cicho popłakiwać, kiedy Mats zakończył słowami:

– Miejsce 7A to najniebezpieczniejsze miejsce w całym samolocie. Zarezerwowałem je tylko dlatego, żeby na pewno pozostało puste.

4

„Szansa przeżycia dziewięćdziesiąt pięć procent!”

Mats znał już te statystyki, zanim jeszcze prowadzący seminarium z pewnym siebie uśmiechem zaprezentował je uczestnikom zajęć, dla osób dotkniętych fobią latania.

„Jeśli nawet coś się zdarzy, mają państwo podczas katastrofy szansę przeżycia wynoszącą dziewięćdziesiąt pięć procent. Latanie samolotem jest mniej więcej tak niebezpieczne, jak jazda windą”.

Argentyński pilot, który prowadził seminarium, nie mógł wiedzieć, że wybrał możliwie najgorsze porównanie, jeśli chodzi o przygotowanie do dzisiejszego nocnego lotu najcięższego przypadku. W szacownej kamienicy w dzielnicy Recoleta, w której Mats prowadził swoją praktykę psychiatryczną, przed dwoma laty dozorca podczas samowolnych prac konserwacyjnych został zmiądzony w szybie windy przez kabinę. A Mats był tym, który musiał słuchać jego ostatnich gulgoczących krzyków, gdy tego dnia później niż zwykle chciał iść do domu i na czwartym piętrze na próżno czekał na windę.

Ale Mats nie chciał być niesprawiedliwy. Dla innych uczestników przytoczone przez prowadzącego fakty i statystyki mogły być z pewnością bardzo pomocne. Po prostu Mats był przypadkiem beznadziejnym.

Przez całe tygodnie przygotowywał się do tego lotu, zapoznał się ze wszystkimi informacjami o katastrofach, przestudiował nawet plany konstrukcyjne niezliczonych samolotów, a teraz od razu przy wejściu złamał swoje wszystkie zasady. Zapropował kompletnie obcej osobie jedno ze swoich starannie wybranych miejsc, zmarnował cenny czas przy wsiadaniu do samolotu i teraz miał za swoje: na najważniejszym ze wszystkich miejsc – które wybrał na czas startu – siedział trup!

Porównanie było jak najbardziej trafne, zważywszy na śpiącego, który odwrócony do okna okupował miejsce numer 47F. Miał na głowie słomiany kapelusz, który przypominał Matsowi śmieszny model, jaki kupiła mu jego żona podczas miodowego

miesiąca w Hiszpanii u pewnego nadbrzeżnego kramarza. Kapelusz przekrzywił się na głowie śpiącego, tak że nie dało się dostrzec twarzy. Ponadto Mats nie mógł dostrzec ruchu jego klatki piersiowej pod szarym wełnianym kocem, w który tamten się owinął.

Mężczyzna był albo bardzo zmęczony, albo wykazywał godną zazdrości umiejętność, która pozwalała mu nawet w obliczu panującego wokół niego rozgardiaszu trwać w głębokim śnie.

Mats spojrział jeszcze raz na wydruk swojego biletu, upewnił się, że stoi we właściwym rzędzie, i zastanawiał się, co powinien zrobić.

Czyżby to był zły znak, że odstąpił miejsce w klasie biznes młodej matce?

Jeszcze przed chwilą poczuł się dobrze, jak mały bohater, kiedy kobieta w sposób wylewny i ze łzami w oczach potrząsała jego ręką.

– Niech pan wygoogluje Salina Piehl – powiedziała na pożegnanie. – Piehl-Pictures, jestem fotografem. Jeśli chce pan zrobić sobie portret, zdjęcie rodzinne albo coś w tym rodzaju, wystarczy zadzwonić. Jestem to panu winna.

No tak, teraz jego decyzja wydała mu się nagle już nie taka słuszna. Czy wywołał nieszczęście, oferując matce najbardziej niebezpieczne miejsce w samolocie, i dlatego miejsce 47F było teraz zajęte za karę przez pogrążoną w chorobliwie głębokim śnie osobę, która nie reagowała ani na zagadywanie, ani na dotyk, ani nawet na średnio delikatne potrząsanie za ramię?

I co teraz?

Zarówno miejsce środkowe, jak i przy przejściu obok śpiącego były jeszcze wolne i przy odrobinie szczęścia takie pozostaną, bo właśnie usłyszał słowa „boarding completed”, co oznaczało, że wszyscy pasażerowie są już na pokładzie.

I co mi z tego? – westchnął Mats w duchu.

Postawił aktówkę na środkowym siedzeniu, a sam usiadł na miejscu przy przejściu.

W gruncie rzeczy nie był nawet w stu procentach pewien, czy jego obliczenia się zgadzają.

Mats, przygotowując się skrupulatnie do lotu samolotem, ściągnął sobie nawet plan miejsc na pokładzie maszyny odbywającej lot LANSA-508. Chodziło o samolot Lockheed Elektra, który dwudziestego czwartego grudnia 1971 roku leciał z Limy do Pucallpa. Podczas burzy maszyna rozleciała się i po uderzeniu pioruna spadła na peruwiańską tropikalną dżunglę. Wszyscy pasażerowie zginęli.

Wszyscy oprócz Juliane Koepcke. Cud bożonarodzeniowy. Siedemnastolatkę

wyrzuciło z samolotu. Jeszcze przypięta pasami, spadła z wysokości mniej więcej trzech tysięcy dwustu metrów. I jako jedyna przeżyła katastrofę, wychodząc z niej tylko ze złamanym obojczykiem, zmiażdżoną ręką i spuchniętym okiem.

Numer jej miejsca? 19F!

Oczywiście tamten lockhead był całkiem innym typem samolotu, znacznie mniejszym. Ale zasadniczo rurowaty kształt i siedzenia prawie się nie zmieniły w ciągu dziesięcioleci. Mats porównał masę startową, długość, szerokość, wysokość i objętość obu samolotów i jeśli się nie mylił, miejsce 47F w tym samolocie odpowiadało mniej więcej usytuowaniu miejsca Juliane Koepcke.

Której przeżycia do dziś nie potrafią naukowo wytłumaczyć.

Skoro jednak ona na tym miejscu przeżyła upadek z wysokości ponad trzech kilometrów, siedzenie na tym miejscu nie było przynajmniej groźne, w razie gdyby zdarzyło się nieszczęście w najbardziej niebezpiecznej fazie lotu: podczas startu.

– Strach przed lataniem? – Mats usłyszał obok siebie chrypiący głos palacza. Spojrzał w lewo na miejsce z brzegu w środkowym rzędzie i zobaczył uśmiechniętą twarz mężczyzny, który wszedł na pokład krótko po nim i właśnie usiadł. Na pierwszy rzut oka przypominał mu znanego brytyjskiego aktora. Ale ponieważ Mats miał katastrofalną pamięć do nazwisk, w pierwszej chwili nie wiedział, do kogo był podobny mężczyzna z siwą przystrzyżoną brodą i ogorzałą od wiatru twarzą żeglarza.

– Słucham pana? – zapytał, a mężczyzna uśmiechnął się, puszczając do niego oko. Miał na szyi nadmuchiwaną fioletową poduszkę, która obejmowała ją niczym kołnierz ortopedyczny zakładany ofiarom wypadku.

– Chyba mówi pan po niemiecku?

Mats skinął głową.

– Proszę mi wybaczyć, że mówię tak wprost, ale powinien pan zobaczyć się w lustrze. Mówię szczerze, jest pan bardzo podobny do typa, którego widziałem w jakimś filmie dokumentalnym. Tyle że tamten nie siedział w samolocie, tylko na krześle elektrycznym w Teksasie. – Mężczyzna zaśmiał się. Mówił dialektem berlińskim, którego nie można było pomylić z żadnym innym i który przypominał Matsowi wiele pięknych rzeczy. Budkę z jedzeniem na Mehringdamm, którą odwiedzał ze swoją narzeczoną Kathariną na zakończenie każdej przetańczonej nocy. Klnącego na czym świat stoi taksówkarza, który zabłądził w drodze do urzędu stanu cywilnego. Ich dozorczynię w pierwszym wynajętym wspólnie mieszkaniu, która z radości wybuchła płaczem, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Nele w wózku. Ale

dialekt przypomniawszy mu równie¿ księ¿dza w parafii, który mówił po berlińsku tylko wtedy, kiedy był zły. A tak z całą pewnością było w dniu pogrzebu Kathariny. Na który Mats nie przyszedł.

– Rüdiger Trautmann.

Pasa¿er podał mu rękę przez przejście, a Mats musiał najpierw wytrzeć palce o spodnie, zanim potrzęsnał jego wielkim łapskiem.

Strach, jak chętnie mawiał swoim pacjentom, jest jak boa dusiciel, trzymany jako zwierzę domowe. Człowiek myśli, że poskromił dzikie zwierzę i może bez żadnych obaw owinać je sobie wokół szyi. Jednakże od czasu do czasu, bez ostrzeżenia, wąż nagle potrafi zacisnąć splot. Opasuje klatkę piersiową, zapiera dech, powoduje przyspieszone tętno. Ale tak źle jeszcze z Matsem nie było.

Czuł węzowe ruchy, czuł, jak pętla bardziej się zacisnęła, ale jeszcze był daleki od tego, żeby zerwać się z krzykiem i niekontrolowanymi ruchami próbować zrzucić z siebie niewidocznego, lekko syczącego sprawcę swojego strachu.

– Mats Krüger – przedstawił się swojemu sąsiadowi zza przejścia, pomijając tytuł doktora.

W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów Mats nie przywiązywał szczególnej wagi do tytułu akademickiego i nawet nie wpisał go do dowodu. A przecież jego praca doktorska jeszcze dziś jest cytowana we wszystkich dziełach traktujących o zespole stresu pourazowego.

– Przepraszam. Moja przyjaciółka mówi, że za dużo gadam – powiedział Trautmann, który najwidoczniej błędnie zinterpretował nerwowość w oczach Matsa. – Ale niech się pan nie boi, że zagadam pana na śmierć w czasie lotu. Zaraz zażyję moją pigułkę za dwanaście tysięcy dolarów.

Trautmann niezdarnie odchylił się nieco na bok, żeby z tylnej kieszeni dżinsów wyciągnąć małe plastikowe opakowanie na leki.

– Dwanaście tysięcy dolarów jedna pigułka? – zapytał Mats, który spostrzegł, że zmiana tematu dobrze mu zrobiła. Wąż wprawdzie nie poluznił uścisku, ale przynajmniej nie zaciskał się bardziej, dopóki on rozmawiał ze sprawiającym trochę dziwaczne wrażenie współpasażerem.

– Czy ma pan kij do selfie? – zapytał go gaduła.

– Co takiego?

– A więc nie. Ale zna pan na pewno to straszliwe urządzenie, za pomocą którego ludzie robią z siebie idiotów, przyczepiając do niego komórkę tylko po to, żeby

strzelić sobie fotkę?

– A, no tak, tak, jasne.

– To ja. Kiedyś zainwestowałem w firmę, która wytwarza te idiotyczne kije.

– Chyba się opłacało.

Trautmann się uśmiechnął.

– Można tak powiedzieć.

Pochylił się nad podłokietnikiem od strony przejścia, jak gdyby chciał szepnąć coś Matsowi do ucha. A mówił przy tym tak głośno, że z pewnością słychać go było przy najbliższych wyjściach awaryjnych.

– Mógłbym siedzieć o wiele bardziej z przodu. – Wskazał ręką w kierunku kokpitu.

– W pierwszej klasie. Dwanaście tysięcy dolarów bilet. Popijać szampana, jeść na porcelanie i z rozkładanego na płasko fotela podziwiać zgrabne tyłeczki stewardes roznoszących soki, ale czy ja wyglądam na idiotę?

– Domyślam się, że to pytanie retoryczne.

Trautmann zaśmiał się jeszcze głośniej.

– No właśnie. Nie wyglądam i nie jestem. Zamiast tego połknę tę pigułkę.

Wycisnął tabletkę z opakowania, którą następnie obrócił kilkakrotnie, trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym.

Lorazepam, domyślił się Mats.

– Połknę to diabelstwo i po pięciu minutach padnę jak betka, zupełnie jakby żona przydzwoniła mi drewnianym tłuczkiem w baniak. Chce pan też taką tabletkę? Dam panu za pół ceny.

Roześmiał się, jakby opowiedział pierwszorzędny dowcip.

– Nie, dziękuję – odparł Mats, choć oferta była kusząca. Na początku rzeczywiście zastanawiał się, czy na czas lotu nie wyekspediować się za pomocą benzodiazepinu w krainę snu. Ale wówczas w razie ewentualnej katastrofy na pewno by zginął; na przykład dlatego, że w razie pożaru nie byłby w stanie znaleźć drogi do wyjścia awaryjnego.

– Wolę jednak nie spać – powiedział.

– Jak pan chce. – Trautmann wzruszył ramionami i zsunął z nóg półbuty. Następnie popił pigułkę ostatnim łykiem wody z butelki, jaką można nabyć w automacie przy bramce.

W tej chwili Mats uświadomił sobie, kogo przypomina kolos, który swoimi potężnymi przedramionami zajmował oba oparcia fotela, jakby to było coś

oczywistego. Wyglądał jak Sean Connery, tylko był o wiele bardziej puciołowaty.

– A więc przyjemnego lotu, kolego – powiedział Trautmann, położył głowę na zagłówku, splótł ręce na brzuchu na wysokości klamry paska i zamknął oczy. – Na pewno coś pójdzie nie tak.

Tak, z całą pewnością.

Mats spojrzał na prawo, w stronę od dawna już śpiącego pasażera przy oknie.

Następnie stuknął w ekran dotykowy monitora wpuszczonego w oparcie siedzenia przed nim i zaczął szukać filmu instruktażowego, objaśniającego zasady bezpieczeństwa na wypadek katastrofy.

Stewardesa szła z końca samolotu i lustrowała fotele, żeby sprawdzić, czy wszyscy pasażerowie mają zapięte pasy.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Matsa, kiedy pokazał jej klamrę pasa, ale zupełnie nie kwapiła się, żeby obudzić śpiącego pasażera na fotelu 47F, choć nie widziała, czy pod kocem ma zapięte pasy.

„Bardzo przepraszam, ale pani czegoś zapomniała”, chciał za nią zawołać Mats, bo nie odpowiadały mu zaniedbania w kwestii bezpieczeństwa. Ale potem nagle przypełznął do niego wąż strachu i zasznurował mu nie tylko oddech, ale również głos.

Co, do diabła...

Znów spojrzał w prawo. Spocony czuł potworny ucisk w piersi.

Czy naprawdę to usłyszałem?

Mats nie był tego pewny, ale wydawało mu się, że właściciel kapelusza, który zajął jego miejsce przy oknie, właśnie powiedział coś przez sen. I chociaż było to tylko jedno słowo, całkowicie zbiło ono Matsa z tropu.

Ponieważ słowo to brzmiało: „Nele”.

Imię jego córki.

5

NELE

Barak o stromym dachu miał długość boiska do piłki nożnej i był tak wysoki, że pośrodku zmieściłby się piętrowy autobus.

Pachniało ekskrementami, starym sianem i wilgotnym popiołem. I chociaż dach z falistej blachy oraz cienkie ściany z prefabrykatów z pewnością nie stanowiły dobrej izolacji, już teraz, o tak wczesnej godzinie, wewnątrz panowała nieprzyjemna duchota. Ale głównym powodem tego był wywołany strachem pot, który spływał Nele po karku.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała taksówkarza, który skrępował jej dłonie i nawet nogi, mocując je opaskami zaciskowymi.

Do szpitalnej leżanki!

Mężczyzna z długimi włosami i okrągłymi okularami w niklowanej oprawie nie odpowiedział.

Nie powiedział ani słowa od chwili, kiedy wykorzystał sprzyjający moment pierwszego ataku bólu i wyciągnął bezbronną kobietę z taksówki. Przywiązał ją do rozklekotanego stelaża z materacem i teraz wiózł ją przez tę budzącą grozę pustą salę tortur.

Nele doświadczyła już bólów przedporodowych, ale cokolwiek jej ciało w trzydziestym tygodniu ciąży zamierzało w ten sposób wypróbować, nawet w drobnej części nie przygotowało jej to na nieznośny ból, jaki dopadł ją niespodziewanie na tylnym siedzeniu taksówki.

To było tak, jakby umoczona w kwasie pięść próbowała wyciągnąć z jej ciała macicę, nie mogąc się do końca zdecydować, w którą stronę; bo skurcze promieniowały zarówno do pochwy, jak i pleców.

– Gdzie jesteśmy?

Jej głos odbił się echem w pustym, pozbawionym okien baraku. Światło pochodziło od kilku lamp budowlanych, które wisiały w nieregularnych odstępach pod dachem przymocowane do drewnianej krokwi.

– Dawniej trzymano tu krowy.

Nele, która nie liczyła na odpowiedź, uniosła głowę, podczas gdy taksówkarz ciągnął jej łóżko po nierównej podłodze, pełnej szpar, obok pogiętych prętów i zardzewiałych rur, które po prawej i lewej stronie korytarza tworzyły rodzaj ogrodzenia.

Przypomniała sobie drogowskaz „Do obór”, który widziała przy wjeździe, i rzeczywiście pachniało tu przemysłową hodowlą zwierząt, chociaż zważywszy brud i stan hali, już od jakiegoś czasu nie trzymano tu bydła.

Znajdowały się tu boksy, ale inaczej niż w stajniach dla koni nie były z drewna lub kamienia, lecz wyglądały jak klatki; ogrodzone metalowymi rurami, przepuszczające światło i powietrze boksy były mniejsze od pojedynczego miejsca parkingowego.

Jestem w więzieniu! – pomyślała w pierwszej chwili Nele.

Czuła się, jakby jechała więziennym korytarzem, wzdłuż cel, w których musiały dawniej wegetować przywiązane łańcuchami do prętów zwierzęta.

A teraz jedna z tych cel jest dla mnie!

– Zaraz będziemy na miejscu – powiedział jej porywacz, który z pewnością nie był taksówkarzem ani studentem, lecz po prostu chorym umysłowo mężczyzną.

Dokąd niby można dojść w tej przerażającej hali?

Wszystko stało się jeszcze bardziej niesamowite, kiedy szaleniec zaczął rozmawiać sam z sobą, prawie szeptem, jakby chciał dodać sobie odwagi.

– Dobrze, że nie muszę robić zastrzyku. Na pewno bym sobie poradził, ćwiczyłem to, ale tak jest lepiej. Tak, tak jest dużo lepiej.

– O czym, do diabła, pan mówi?! – krzyknęła Nele.

– W tej chwili pani z pewnością uważa inaczej, ale to dobrze, że już pojawiły się bóle porodowe. W przeciwnym wypadku musiałbym zrobić pani zastrzyk z oksytocyny, żeby je sztucznie wywołać.

Nagle zrobiło się jaśniej i Nele znów uniosła głowę. Jej umysł rozpaczliwie się bronił przez zrozumieniem całego rozmiaru zgrozy.

Obora po jej stronie różniła się od innych części we wzbudzający strach sposób: na skraju ogrodzonego prętami boksu stał statyw z przymocowaną do niego

profesjonalną kamerą wideo. A na tylko z grubsza uprzątniętej, poprzecinanej szparami betonowej podłodze leżał ciężki metalowy łańcuch. Prowadził do sięgającej wysokości bioder pustej plastikowej skrzyni. Była wyposażona w podnoszoną kratę i przypominała pojemnik do transportowania zwierząt samolotem.

– Nie! – wrzasnęła Nele i szarpnęła więzami.

Nieeee!

Najpotworniejsze w tej scenerii nie było to, że pręty boksu były wygięte tak, że szalenie mógłby zmusić Nele, żeby włożyła między nie głowę. Jak przeznaczona na rzeź krowa! I nie to, że łańcuchem mógł ją skuć, pozbawiając możliwości ruchu.

Nele krzyknęła z powodu napisu, który zobaczyła.

Na drewnianej listwie, tuż nad boksem.

„NELE” – było napisane nad miejscem, które najwidoczniej było zarezerwowane dla niej i jej leżanki. A „DZIECKO NELE” nad plastikową skrzynią.

– Co zamierzasz z nami zrobić?

Ze strachu jej głos stracił wszelki wyraz. Słyszała siebie, jakby zamiast niej mówił jakiś robot.

Ku jej zdziwieniu porywacz zaczął się usprawiedliwiać.

– Przykro mi bardzo – powiedział, odciągnął pogiętą metalową kratę na bok i wszedł za leżankę. – Przepraszam, ale nie da się inaczej.

Wciągnął leżankę do boksu śmierdzącego krowimi odchodami.

Gdyby Nele na własne oczy nie widziała jego łez, wątpiłaby, czy wciąż jest przy zdrowych zmysłach. Ponieważ usłyszała niewątpliwie łamiący się głos. Mimo jej strachu. Mimo poczucia beznadziejności sytuacji, którą, jak się wydawało, z jakiegoś powodu dzielił z nią jej porywacz.

Mężczyzna płakał.

Gorzko.

6

MATS

Jeszcze 13 godzin i 5 minut do planowego lądowania w Berlinie

Startowali i głos nie wychodził Matsowi z głowy.

„*Co to jest tysiąc zabitych?*”, zapytał ten głos, głos rozsądku, który całkiem przypominał głos prowadzącego seminarium na temat strachu przed lataniem. Tylko że brzmiał trochę bardziej ochryple i w hałasie, jaki powodowało przyśpieszenie airbusa, był ledwo zrozumiały. Mats kurczowo zacisnął palce na oparciach fotela i opuścił głowę.

„*Nic. Statystycznie rzecz biorąc, tysiąc zabitych w katastrofach lotniczych rocznie nic nie znaczy*”.

Wiedział to wszystko, ale było mu to obojętne.

Statystyki w niczym nie pomagały. Wprost przeciwnie.

Najpóźniej w chwili, kiedy na krótko przygasły światła w kabinie i zaraz potem poszły w ruch silniki, nie miał już wątpliwości, że wszystkie badania i szacunkowe dane, według których samolot jest najbezpieczniejszym środkiem transportu na świecie; z „zaledwie” tysiącem zabitych na sześćdziesiąt milionów lotów rocznie, to jedno wielkie kłamstwo.

„*To daje trzy tysięcy zabitych na miliard osobokilometrów*”, wyliczył im prowadzący seminarium i się zaśmiał. Ponieważ było to tak mało, że Główny Urząd Statystyczny Niemiec obniżył tę wartość do zera. Zatem statystycznie rzecz biorąc, podczas lotu samolotem w ogóle nie występowało ryzyko śmiertelnego wypadku.

Powiedz to krewnym pasażerów, których maszyna ostatnio zniknęła z radarów nad Oceanem Indyjskim. Wąż strachu, który oplatał klatkę piersiową Matsa, a także jego

szyję, i coraz mocniej zaciskał swoje sploty, zachichotał i szepnął mu do ucha: „Słyszysz to dudnienie? I to ma być okej? Nie wiedziałem, że ostatnio w Argentynie pasy startowe wyklada się kostką brukową”.

Mats spojrział w prawo, przez okno, obok głowy śpiącego sąsiada. Zobaczył przemykające za oknem światła lotniskowego terminalu i poczuł, jak z przybierającym na sile hałasem silników odrzutowych unosi się dziób samolotu.

A więc musieli już osiągnąć potrzebną do startu prędkość dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, czyli niewiele mniej niż jego ciśnienie krwi, która płynęła przez pulsujące tętnice szyjne.

Startujemy.

Mats chciał przełknąć ślinę, ale jego podniebienie było zbyt suche. Dotknął dłonią szyi, rozluźnił niewidzialny krawat. Kiedy dudnienie ustało i ważący wiele ton kolos zaczął się unosić, najchętniej zacząłby wierzgać i machać na wszystkie strony.

Spojrzął na sufit, gdzie mało uspokajająco skrzypiały kremowobiałe schowki na bagaż podręczny. Usłyszał pbrzękiwanie szkła w pokładowej kuchni. Na ekranie przed sobą zobaczył mapę świata i piktogram samolotu wielkości owada, który obrał kurs na Atlantyk; jego trasę wykreślała przerywana półelipsa.

„Czas lotu: 13 godzin i 3 minuty

Wiatr: 27 węzłów

Wysokość nad poziomem morza: 360 metrów

Odległość do celu: 13 987 kilometrów”

Wielki Boże. Już tak wysoko?

I tak długo jeszcze?

Kąt, pod którym siedział, przypominał ten moment, kiedy człowiek wjeżdża wagonikiem kolejki górskiej na wzniesienie startowe. Na krótko przed runięciem w dół.

Spadanie.

Mats pokręcił głową, sięgnął po papierową torebkę w kieszeni przedniego siedzenia. Nie, żeby zwymiotować, lecz żeby mieć coś, w co mógłby oddychać, kiedy zrobi się jeszcze gorzej. Co bez wątpienia nastąpi, jeśli nie uda mu się wyprzeć obrazów płonących części wraku na powierzchni morza.

Mats znów wyjrzał przez okno.

Błąd.

Pod nim leżał gęsto utkany dywan światła Buenos Aires.

Pode mną!

Mats znów spojrzął na monitor, zobaczył odbicie swojej wykrzywionej przerażeniem twarzy unoszące się nad oceanem na zachód od wybrzeża Ameryki Południowej i spróbował pewnej sztuczki.

Kiedy miał migrenę, często pomagała mu akupresura. Przeciwny ból.

Już wcześniej się zorientował, że ta technika działa również na ostre dolegliwości psychiczne. Żeby uśmierzyć atak strachu przed lataniem, potrzebował przeciwnego psychicznego ucisku.

Dlatego pomyślał o Katharinie.

O jej włosach na podłodze. I o krwi, którą razem z jedzeniem wymiotowała do sedesu.

Wtedy.

Pomyślał o ostatniej zanikającej oznace życia, którą usłyszał. O charczeniu przez zamknięte drzwi sypialni. Które było słycać nawet za wejściowymi drzwiami do domu, kiedy odszedł, żeby już nigdy nie wrócić.

„*Muszę się stąd wyrwać*”, usłyszał syczenie węża, który już wtedy się pojawił i powiedział to samo co wówczas, kiedy zostawił swoją żonę na lodzie.

„*Muszę się stąd wydostać!*”, wysyczał wąż, który ujawnił się już wtedy, cztery lata temu, i Mats słyszał te same słowa co wówczas, kiedy zostawił żonę na łasce losu.

„*Jak najdalej stąd!*”, powtórzył wąż teraz, cztery lata później, i Mats usłyszał syczenie, któremu towarzyszył hydrauliczny szum pod jego siedzeniem. Odgłos obracającej się, co chwilę przystawianej ogromnej wiertarki, do którego przygotowano go na seminarium dotyczącym walki ze strachem przed lataniem.

Podwozie i klapy zostały schowane.

Udało się! – pomyślał Mats, ale nie poczuł się przez to lepiej. Kąt nachylenia się zmniejszył. Wąż odrobinę rozluźnił uścisk, tak że Mats znów miał trochę więcej powietrza, ale cały czas ciążył mu na piersi.

Ale przynajmniej coś.

Start, druga najbardziej niebezpieczna faza lotu (po lądowaniu), podczas którego dochodzi do dwunastu procent wszystkich wypadków, był już prawie za nimi. Silniki pracowały już niemalże z prędkością podrózną. Zrobiło się spokojniej.

Teraz jesteśmy jednym z dziesięciu tysięcy, pomyślał Mats. Szwajcarscy naukowcy wyliczyli, że na całym świecie w powietrzu znajduje się w tym samym czasie zawsze co najmniej dziesięć tysięcy maszyn. Z ponad milionem pasażerów na pokładach.

Metropolia bez gruntu pod nogami.

Popatrzył w prawo i w lewo i pozazdrościł obydwu śpiącym pasażerom po swoich obu stronach. Facet, który ukradł mu miejsce przy oknie, jeszcze niżej naciągnął kapelusz na twarz. Trautmann zaś spał, cicho pochrapując przez otwarte usta.

Mats nie mógł sobie wyobrazić, jak można się zrelaksować na ciasnym fotelu. Dla żartu spróbował na chwilę zamknąć oczy i powtarzać w duchu mantrę prowadzącego seminarium dla cierpiących na lęk przed lataniem: *To nie jest przyjemnie, ale nie niebezpieczne.*

Udało mu się nawet chwilę wytrzymać. Mniej więcej pięć minut, które wydawały się pięcioma godzinami i pod koniec których troszeczkę się uspokoił. Samo to, że już nie chciał wstać z krzykiem i biec do wyjścia ewakuacyjnego, uznał za sukces. Ale wiedział, że to uczucie nie utrzyma się długo, więc znów zajął się reaktywowaniem w duchu obrazu swojej umierającej żony, co mu jednak nie wychodziło. Przynajmniej nie tak, jak by tego chciał.

Ponieważ nagle, kiedy wciąż miał zamknięte oczy, jego nozdrza wypełnił ciężki orientalny zapach damskich perfum.

Te perfumy...

Związane z nimi wspomnienie było tak silne, że od razu wywołało kilka fizycznych reakcji. Mats zatrzęsł się, zaczął mu drgać prawy kącik ust. Nagle zaczęły go swędzieć oczy, dlatego je otworzył. Z lękiem, a zarazem pełen nadziei.

To niemożliwe, przyszła mu do głowy jedyna rozsądna myśl i wtedy, na widok kobiety, która szła szybkim krokiem korytarzem na przód samolotu, próbował sobie wmówić, że jego oczy po prostu uzupełniają obrazy, które chciał zobaczyć jego umysł: kobieta średniego wzrostu z długimi do ramion brązowymi włosami, szczupłym tułowiem i wydatnymi biodrami, która od czasu do czasu mocno chwytła się zagłówek i oparć foteli, jakby za wszelką cenę chciała wspiąć się pod górę, chociaż samolot wcale już nie leciał stromo w niebo.

Miała na sobie czarny golf obciągnięty poniżej bioder i sięgający ud.

Bo zawsze uważała, że ma za gruby tyłek.

Mats spoglądał za kobietą idącą znajomym mu krokiem, która stawiała stopy czubkami lekko do wewnątrz. „Tak jakbyś chciała prowadzić przed sobą niewidzialną piłkę futbolową”, opisał jej to kiedyś ze śmiechem.

„*I akurat ty mi to mówisz! A sam tupiesz jak pirat z drewnianą nogą*”. Mats przypomniał sobie jej odpowiedź i wtedy stracił kontrolę nad sobą.

Ze łzami w oczach odpiął pas. Chciał wstać, chociaż jeszcze nie zgasło polecenie zapięcia pasów. Chciał pójść za kobietą, która nie mogła być tym wszystkim, co mu przypominała: z jej zapachem, który tylko na jej skórze budził skojarzenie z jesiennymi różami. Z jej ubraniem, jej chodem, lekko falującymi włosami. A szczególnie ze sposobem, w jaki odsunęła zasłonę dzielącą klasę ekonomiczną od klasy biznes.

Lewą ręką.

Ona jest leworęczna!

Jak Katharina.

Jego zmarła cztery lata temu żona.

7

Proszę jeszcze przez chwilę nie odpinać pasów i nie wstawać!

Valentino, znany mu już steward, nie wiadomo skąd zmaterializował się obok i z profesjonalnie uprzejmym uśmiechem wcisnął go z powrotem na fotel.

– To pilna sprawa... – próbował Mats bez powodzenia.

– Będzie pan mógł pójść do toalety za kilka minut, gdy tylko zgaśnie napis „Zapiąć pasy”. To dla pańskiego bezpieczeństwa.

Mats odwrócił głowę i ramiona, żeby ominąć wzrokiem wyżelowanego smarkacza i popatrzeć na korytarz, ale kobieta, pachnąca tyleż znajomymi, ile rzadkimi perfumami, których od dawna się nie produkuje, znikła już w klasie biznes.

– W porządku? – zapytał Valentino, jakby Mats był przedszkolakiem, od którego oczekuje się, że przyjmie upomnienie ze zrozumieniem.

Mats nie odpowiedział także dlatego, że jego uwagę odwróciła wibracja, którą tylko on jeden był w stanie poczuć w tym samolocie. Ponieważ powodował ją przedmiot w wewnętrznej kieszeni jego marynarki: jego telefon komórkowy.

No nie do wiary, czyżbym faktycznie zapomniiał go wyłączyć?

Nie mógł tego pojąć. Właśnie on, człowiek, który leczy strach przed lataniem, nie trzyma się najprostszych i najważniejszych zasad bezpieczeństwa. Zachował się jak ktoś, kto panicznie boi się psów i przez omyłkę włożył mundur listonosza.

– W porządku – mruknął w końcu, żeby skłonić do odejścia Valentina, który faktycznie stał obok niego jak pies wartowniczy.

Pewnie przypomnienie o jakimś spotkaniu albo budzik, pomyślał Mats, gdy wyjął telefon. Tym bardziej się zdziwił, kiedy stwierdził, że naprawdę ktoś do niego dzwoni.

Numer nieznanym.

Przez chwilę Mats był tak zdumiony, że nawet nie próbował przykryć dłonią wyświetlacza.

Jak to w ogóle możliwe? – zastanawiał się przez moment, a potem przypomniał sobie reklamę na stronie internetowej LegendAir. Czy nie było tam czasem mowy o zasięgu telefonii komórkowej i Internetu na pokładzie, który miał być dostępny we wszystkich samolotach tych linii od 2009 roku?

Tak, no jasne.

Internet był nawet bezpłatny, a rozmowy telefoniczne miały być ograniczone do trzech minut, z uwagi na innych pasażerów.

I rzeczywiście: na wyświetlaczu po pięciu kropkach, które sygnalizowały pełny zasięg, zobaczył napis LC-FlightNet.

Mats rozejrzył się dookoła, ale ci pasażerowie, którzy siedzieli bezpośrednio obok niego, wciąż mocno spali, a inni nie zwracali na niego uwagi.

Przypomniał sobie o dousznych słuchawkach, które zabrał ze sobą, żeby móc potem posłuchać muzyki na iPhonie.

Szybko, żeby nie stracić połączenia, które prawdopodobnie pochodziło ze szpitala albo bezpośrednio od Nele, wyjął słuchawki z kieszeni spodni i podłączył je do Smartfona, który z powrotem wsadził do wewnętrznej kieszeni.

Za pomocą włącznika na trochę poplątanym przewodzie odebrał rozmowę.

– Halo? – powiedział szeptem, zasłaniając dłonią usta. – Nele?

– Pan Krüger? Czy rozmawiam z Matsem Krügerem?

Mats od razu poznał ten głos. Być może nie miał dobrej pamięci do nazwisk, ale paradoksalnie doskonałą pamięć do głosów, a tego głosu zdarzało mu się już słuchać uważnie kilka godzin jednym ciągiem. Chociaż, i to w tej chwili bardzo wyprowadzało go z równowagi, jeszcze nigdy w życiu nie słyszał ani nie widział, ani nie spotkał mężczyzny, z którym teraz rozmawiał. Jak miliony innych ludzi również Mats znał wyłącznie twarze światowych gwiazd, którym dzwoniący użyczał swojego głosu. Na przykład Johnny’ego Deppa albo Christiana Bale’a. Aktorów, którym mężczyzna podkładał głos.

– Kim pan jest? – zapytał Mats.

– Może mnie pan nazywać, jak pan chce – odpowiedział niedający się z niczym pomylić melancholijny, lekko przytłumiony baryton. Głos brzmiał urywanie, nie miał w sobie emocji i był pomieszany z odgłosami oddechów i syczenia, które musiały należeć do innej osoby. Tej, która naprawdę telefonowała. Bo Mats oczywiście nie rozmawiał z lektorem, który podkładał głos Johnny’ego Deppa. Brzmiało to raczej tak, jakby dzwoniący posługiwał się dekoderm głosu i mówił do urządzenia, które jego

głos zastępowało głosem sławnej osoby. Prawdopodobnie dzwoniący mógłby wyszukać na swojej zabawce również głos Toma Hanksa, Matta Damona albo Brada Pitta.

– Chodzi o Nele – powiedział głos, któremu wciąż towarzyszyły odgłosy oddechów prawdziwego rozmówcy. – Jeśli pan mnie posłucha, wówczas jej cierpienie się skończy.

Mats nerwowo zamrugął.

– Cierpienie? Czy coś nie w porządku z dzieckiem?

Pod Matsem ugięły się kolana, język stanął mu kołkiem. Głos dzwoniącego wydawał się dochodzić gdzieś z bardzo daleka, co wynikało z szumu w uszach, który nagle poczuł. Odgłos obumierających synaps, który przybierał na sile z każdym słowem dzwoniącego.

– Teraz niech pan natychmiast pójdzie do najbliższej toalety i czeka na dalsze instrukcje. Jeśli nie dodzwonię się do pana za trzy minuty, Nele umrze.

Umrze?

„Kim pan jest?“, chciał krzyknąć Mats, ale mężczyzna nie pozwolił mu dojść do słowa. Z wielką umiejętnością wyrzucał z siebie słowa jak strzały, a każda z nich trafiała do celu.

– Za trzy minuty otrzyma pan nowe instrukcje. Jeśli się do pana nie dodzwonię, doktorze Krüger, Nele umrze. Jeśli ostrzeże pan kogoś w samolocie, Nele umrze. Tak samo, jeśli poinformuje pan policję albo służbę zabezpieczenia lotów na ziemi. Wszędzie mam swoje oczy i uszy. Jeśli zauważę chociaż najmniejszą oznakę, że zawiadomił pan władze – na przykład kapitan zmieni kierunek lotu albo wyśle radiotelegram, albo policja zacznie zadawać pytania – pańska córka i jej dziecko umrą w męczarniach.

Rozległ się trzask, jakby nieznajomy się rozłączył, bezpośrednio po nim Mats usłyszał sygnał przychodzącego SMS-a.

Nele... cierpienie? Umrze w męczarniach?

Czy naprawdę przeprowadził tę rozmowę? Czy tak brzmiały słowa tego nieznajomego ze słynnym głosem?

– Halo? Jest pan tam jeszcze?

Wysunięcie telefonu o mały kawałek z kieszeni marynarki kosztowało Matsa niemal bolesny wysiłek. Teraz mógł się przekonać, że połączenie rzeczywiście zostało przerwane. Dodatkowa ikonka sygnalizowała nadejście nowej wiadomości ze

zdjęciem.

To jakiś żart, próbował sobie wmówić.

Nikt nie wiedział, że leci do Berlina. Nawet Nils, jego starszy brat, który razem ze swoją hiszpańską żoną wyemigrował dobre dziesięć lat temu do Argentyny i u którego zamieszkał w pierwszym okresie po tragedii z Kathariną.

Do ostatniej chwili Mats nie był pewny, czy znajdzie siłę i odwagę, żeby wsiąść do tego samolotu. Więc kto miałby do niego zadzwonić, jeśli nie...

Nele!

Przerażająca myśl zastąpiła wszystkie inne.

Czy to był sposób jego córki, żeby mu za wszystko odpłacić? Czy tym makabrycznym telefonem chciała napędzić mu śmiertelnego strachu za karę za to, że zostawił rodzinę w najgorszym momencie?

Dłonie Matsa drżały tak, że ledwo udało mu się odblokować ekran. Kiedy wreszcie sobie poradził, o mało nie krzyknął. Ale wąż strachu ścisnął go za gardło tak, że ledwo widział zdjęcie.

Zdjęcie Nele.

Z ogromnie wzdętym brzuchem.

Wykrzywioną z bólu.

Z brudnym kneblem w ustach.

Związaną.

Na szpitalnej leżance.

Proszę, nie, błagał w duchu Boga, w którego przestał wierzyć już od czasu pierwszej nieskutecznej chemioterapii Kathariny. Szukał jakichś śladów, że zdjęcie jest pozowane. Obrobione Photoshopen lub umyślnie zainscenizowane, ale znał spojrzenie Nele. Lekko nierówne ustawienie źrenic, cieniutkie czerwonawe żyłki, które było widać w białku; jakby wyraz najwyższej rozpacz, który widział u niej bardzo rzadko. A jeśli już, to w chwilach największego psychicznego cierpienia. Na przykład, kiedy przeżyła pierwszy zawód miłosny albo kiedy jej najlepszy przyjaciel z dzieciństwa zginął w wypadku samochodowym. Mats wiedział, że udręka na tym zdjęciu była prawdziwa i że Nele naprawdę grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Dlatego uwierzył rozmówcy, który w kolejnym SMS-ie bez nadawcy przypomniał: „Jeszcze dwie minuty. Albo pańska córka umrze”.

8

Mats bardziej zataczał się, niż szedł.

Po drodze do najbliższej toalety na przedzie dolnego pokładu samolotu ledwo udawało mu się utrzymać równowagę, chociaż odkąd wyłączono sygnalizację zapięcia pasów, samolot ślizgał się przez nocne niebo jak po szynach. Minął pięcioosobową rodzinę, której trójka dzieci w ogóle nie myślała o tym, żeby zostawić w spokoju oparcia siedzeń osób siedzących przed nimi i zachowywać się grzecznie, jak co chwilę głośno przykazywali im ich wykończeni rodzice.

Jakieś małżeństwo dalej na przedzie odseparowało się od głośnych krzyków pochłaniającymi hałas słuchawkami i przytulone do siebie oglądało tę samą komedię na dwóch różnych ekranach. Brnąc powoli do przodu jak przez lepkaż maż, Mats patrzył na siedzące małe dzieci, emerytów, mężczyzn, kobiety, Latynosów, Niemców, Rosjan i przedstawicieli azjatyckich nacji; słyszał, jak chrapią, śmieją się, rozmawiają, przeglądają gazety i szeleszczą opakowaniami, z których wyjmowali zabrane ze sobą słodczyce i kanapki. Stu dwunastu pasażerów w samej tylnej jednej trzeciej maszyny na dolnym pokładzie. Wszyscy oni dokładali odgłosy życia do przypominającego odkurzacz monotonnego dźwięku silników, który stawał się coraz głośniejszy, im bardziej Mats zbliżał się do skrzydeł. Ale nie potrafiły zagłuszyć ostatnich słów dzwoniącego, które straszyły w jego głowie, powtarzanych jak w niekończącej się pętli:

„...jeśli zawiadomi pan władze... pańska córka i jej dziecko umrą w męczarniach...”

Mats potknął się o stopę, którą jakiś starszy pan wysunął za bardzo na środkowe przejście.

„...umrą w męczarniach...”

– Przepraszam – powiedział, mijając pasażera, na którego nadepnął, i siedzącą przed nim kobietę, kiedy tracąc równowagę, przytrzymał się jej zagłówka.

Czuł, jak współpasażerowie za nim kręcą głowami, kiedy szedł dalej. Pociemniało mu w oczach, ale na szczęście udało mu się dojść do toalet na wysokości trzydziestego trzeciego rzędu siedzeń i nie musiał stać w kolejce.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wcisnął się do malutkiej kabiny. Po zaryglowaniu drzwi pojaśniało światło sączące się z sufitu.

Matsowi łzawiły oczy, czuł rozproszony ból głowy, który wytłumaczył sobie szokiem, chociaż taka jednostronna migrena tuż za oczami jeszcze nigdy nie towarzyszyła jego atakom paniki.

To pewnie jakiś żart, powtórzył absurdalną myśl, bo tylko ona niosła ze sobą niesmaczne, ale przynajmniej niewinne wyjaśnienie.

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy telefon nie był elementem seminarium poświęconego awiofobii. Żeby stworzyć możliwie najgorszy wariant psychicznego przeciwciśnienia. Bądź co bądź, dzwoniącemu udało się tak bardzo go zestresować, że w tym momencie rozbicie się samolotu było najmniejszym z jego zmartwień. Mats spojrział w lustro, wytarł pot z czoła postarzałej o całe lata osoby, którą w nim zobaczył, i wzdrygnął się, kiedy zawibrował telefon. Nieznany abonent trzymał się swojego ultimatum. Mats odebrał, po czym wycedził słowa dobitnie, a jednocześnie możliwie jak najciszej:

– Kim pan jest i co...

Szantażysta wpadł Matsowi w słowo:

– Niech pan się przymknie i mnie posłucha. Niezależnie od tego, jak szokujące będą informacje, które panu zaraz przekażę.

– Ale...

– Której części zdania: „Niech pan się przymknie”, pan nie zrozumiał?

Mats z trudem przełknął ślinę. Szum silników, który w toalecie był trochę stłumiony, zaczął być dla niego jak wir, który go wciąga.

– Pańska córka doznała przedwczesnego pęknięcia błon płodowych. Zaczęły się bóle porodowe i nie będzie cesarskiego cięcia. Jeśli nie będzie pan mnie uważnie słuchał, rozłączę się i pozwolę Nele wykrwawić się w bólach. Zrozumiał pan?

– Tak – odpowiedział Mats po krótkiej przerwie.

– To, co mam panu do powiedzenia, powiem tylko raz. I jest niezmiernie ważne, żeby pan to zrozumiał.

Znów rozległ się trzask, potem znajomy, a jednocześnie obcy głos aktora podkładającego głos w dubbingu oznajmił mu:

– Pana córka została porwana. Jeszcze nic jej nie grozi, ale jest pozbawiona opieki medycznej. Szansa na to, że tam, gdzie przebywa, urodzi żywe dziecko, są niewielkie. A jeśli nawet jej się to uda, nie mogę zagwarantować, że szalenciec, w którego rękach ona się znajduje, zostawi ją przy życiu. Chyba że...

Mats zamknął oczy i oparł się jedną ręką o umywalkę.

– Chyba że zrobi pan dokładnie to, co panu powiem.

Okej, wszystko, czego chcesz. Zrobię wszystko, czego zażadasz.

Mats zdawał sobie sprawę, że nie był bohaterem. Nele uważała go wręcz za tchórza i miała trochę racji. Nie potrafił wtedy wesprzeć Kathariny w najtrudniejszych dla nich chwilach. Nie mógł patrzeć, jak umiera, bo nie potrafił znieść myśli, że oto miłość jego życia odjeżdża na mrocznym taśmociągu śmierci, a on nic nie może zrobić. I na tym polegała różnica. Gdyby było coś, co uratowałoby życie Nele, toby to zrobił. Natychmiast. Bez zbędnych dyskusji.

Mats mocno w to wierzył, przynajmniej w tym momencie.

– Na pokładzie znajduje się człowiek, którego bardzo dobrze pan zna – oznajmił głos.

Katharina, pomyślał Mats wbrew wszelkiemu rozsądkowi, ale zaraz musiał sam siebie rozczarować. Jego żona umarła cztery lata temu na raka płuc. Sama. Bez niego, bo ją zostawił. Głos Johnny’ego Deppa z syntezatora, który Mats nazywał w myślach „Johnnym”, z pewnością posiadał tylko niszczącą, a nie przywracającą życie siłę.

– To pana były pacjent – ciągnął. – Skutecznie wyleczył go pan z jego psychicznych dolegliwości.

„Psychoterapia nie leczy. Tylko przynosi ulgę”, miał ochotę krzyknąć Mats, ale strach przed przerwaniem rozmowy, a tym samym utratą kontaktu z córką ścisnął mu gardło.

– Pana zadanie, doktorze Krüger, jeśli chce pan uratować życie Nele: niech pan uaktywni psychiczną bombę na pokładzie.

– Słucham? – wyrwało się Matsowi.

– Niech pan odnajdzie na pokładzie swojego byłego pacjenta i odwróci swoją terapię.

– Nie, nie rozumiem, w jaki...

Johnny znów wszedł mu w słowo:

– Pański pacjent, o którym mówię, długi czas cierpiał na ciężki zespół stresu pourazowego. Charakteryzował się atakami agresji, którym towarzyszyły konkretne

fantazje na temat przemocy. Przy czym chciał pozbawić życia nie tylko siebie, lecz jak najwięcej ludzi, z zemsty za to, co mu kiedyś wyrządzono.

Mats wzdrygnął się ze strachu, kiedy ktoś zaczął szarpać drzwiami. Pasażer albo nie widział czerwonego paska „zajęte” w zamku, albo był to jego sposób zasygnalizowania, że użytkownik toalety powinien z łaski swojej się pośpieszyć.

– Wciąż nie rozumiem, co...

– Dzięki pańskiej terapii jakiś czas temu uwolnił pan swojego pacjenta od destrukcyjnych myśli i umożliwił mu normalne życie.

I?

– Chciałbym, żeby pan odwrócił tę terapię. Reaktywował fantazje na temat przemocy u pańskiego pacjenta. Znow wywołał u niego mordercze myśli i skłonił do spowodowania katastrofy samolotu.

Bum.

Ostatnie zdanie spadło na Matsa jak gilotyna. Oddzieliło głowę od tułowia i odebrało umysłowi kontrolę nad ciałem.

Mats osunął się na sedes i wpatrywał się w klapkę popielniczki w drzwiach, tuż obok znaku zakazu palenia; pozorna sprzeczność, dla której w przeciwieństwie do jego sytuacji istniało proste wytłumaczenie. Obecność popielniczek w samolotowych toaletach była wymagana po to, żeby pasażer, który zlekceważył zakaz palenia, przynajmniej nie wywołał pożaru, z braku popielniczki wyrzucając niedopałek do kosza na papier. Mats pragnął, żeby dla jego schizofrenicznej sytuacji znalazło się równie logiczne rozwiązanie.

– Odebrało panu rozum? – wyszeptał. – Chce pan, żebym zabił sześciuset pasażerów?

W tym siebie samego.

– Tak jest. Sześciuset dwudziestu sześciu, mówiąc dokładnie, jeśli wliczyć osiemnaścioro członków załogi – powiedział głos, znow dziwnie monotennie i bez emocji, co zapewne wynikało z działania dekodera głosu.

– Ale, nie rozumiem. Dlaczego?...

– Moje motywy nie powinny pana obchodzić. Wystarczy, że będzie pan wiedział, co następuje, doktorze Krüger: gdy tylko lot LEA 23 zniknie z monitorów, Nele będzie wolna i dostanie pomoc medyczną. Jeśli jednak airbus wyląduje bezpiecznie w Berlinie, pańska córka i jej dziecko umrą.

Ktoś znowu zaczął szarpać drzwiami i tym razem Mats usłyszał męski głos, który

rzucal przekleństwa, ale nie było nic, co interesowałoby go teraz mniej niż współpasażer ze słabym pęcherzem.

– Niech pan posłucha, proszę. Obojętne, o co panu chodzi, porozmawiajmy o tym. Trzeba załatwić to inaczej niż za pomocą...

Masowego mordu.

– Marnuje pan czas, doktorze Krüger. Niech pan nie szuka rozwiązania. Niech pan szuka swojego pacjenta. Będzie pan potrzebował każdej minuty tego lotu, żeby reaktywować w nim psychiczny ładunek wybuchowy.

– Mojego pacjenta?...

– Tak naprawdę jest to pacjentka. Sądzę, że już się pan domyśla, o kim mówię.

Mats skinął mimowolnie głową.

Była tylko jedna kobieta pasująca do historii choroby, którą Johnny właśnie opisał. Tylko jedna kobieta wśród wielu pacjentów, która teoretycznie rzeczywiście mogła być w stanie doprowadzić do katastrofy samolotowej.

– Tak – wychrypiał Mats i głos w słuchawce faktycznie wymienił nazwisko, którego się obawiał:

– Kaja Claussen.

9

MATS

Dziesięć lat wcześniej

Wiesz, że nie bez powodu mają tu takie tanie jedzenie?

Nele wzruszyła ramionami. Jego dwunastoletnia córka najwyraźniej miała mniejszą ochotę na popularnonaukowe wykłady niż na truskawkowy jogurt w gablocie, któremu już od dłuższego czasu przyglądała się jak zahipnotyzowana.

– Mówię poważnie – powiedział Mats, wziął deser i przesunął tacę krok dalej; kolejka przed nimi powoli, ale konsekwentnie przesuwała się w kierunku stanowiska wydawania dań głównych.

– Köttbullar z ziemniakami, sok jabłkowy i gorący napój za 4,95 euro. Resztę dopłaca firma.

– Mogę colę? – zapytała Nele i szybko spojrzała w tył. Katharina przed chwilą zniknęła w toalecie.

– Colę? – zapytał z wysoko uniesionymi brwiami. – A pytałaś mamę?

– Tak.

– I co powiedziała?

Nele przewróciła oczami.

– Nie, no, szczerze, tato. Nie mógłbyś chociaż raz mieć swojego zdania?

Mats roześmiał się i pogłaskał ją po kędzierzawej czuprynie.

– Napoje i tak są dopiero za kasą. Nawet jeśli bym się zgodził, to nie uda ci się ukryć przed mamą tych brązowych pomyj.

Metalowa taśma, na którą kładło się tace, skreśliła i przesunęli się w lewo. W środku tygodnia nie było dużego ruchu w porze obiadowej, tak że szybko posuwali się do przodu.

Właściwie Nele powinna być jeszcze w szkole, ale lekcja wypadła z powodu pęknięcia rury.

– Smacznego!

Korpulentna kucharka w białej czapce i z plamami od gorąca na twarzy mrugnęła do nich z uśmiechem, kiedy kładła na talerzu mężczyzny przed nimi odrobinę borówek. Mats podjął wątek.

– Ale co to ja chciałem powiedzieć: Ikea reklamuje się tym, że wszystko jest tu tanie. Często jest to prawda, ale czasem nie. Żebyś myślała, że wszystkie meble mają tu superkorzystne ceny, najpierw zapraszają cię do jedzenia.

– Tato – powiedziała Nele, najwyraźniej rozdrażniona ciągłą potrzebą ojca dzielenia się psychologicznymi teoriami na temat wszystkiego i wszystkich, toteż Mats starał się szybko dojść do puenty.

– To jest powód, dla którego tu na górze od razu trafiamy na restaurację, kiedy zaczynamy nasz obchód. Smacznie pachnie i czytasz: „Wow, tylko 1,99 za sznycel”, i przenosisz to na wszystko inne w tym sklepie. Coś takiego nazywa się warunkowaniem, rozumiesz?

– Tato!

– No dobrze, już przestaję.

Nele pokręciła głową na znak, że miała na myśli coś innego.

– Twoja komórka.

– Co?

Pomacał kieszeń w spodniach.

Faktycznie. W ogóle nie słyszał dzwonięcia.

– Zdecydowałaś już, frytki czy ziemniaki? – zapytał Nele, potem odebrał rozmowę.

– Halo?

– To ja, Feli.

W tej sekundzie kucharka poprosiła o jego zamówienie. Mats, który nie chciał być niegrzeczny wobec swojej koleżanki, powiedział:

– Cześć, jestem właśnie w Ikei, czy moglibyśmy...

– Nie, nie moglibyśmy. Przepraszam. Nagły przypadek.

Mats zmrużył oczy i uniósł palec wskazujący, żeby wciąż uśmiechającej się kucharce zasygnalizować, że za moment złoży zamówienie.

– O kogo chodzi? – zapytał i krótko spojrzął na zegarek. 12.34. Pamiętał, że Felicitas tylko w weekendy prowadzi gorącą linię pogotowia psychologicznego, i to

też dopiero od 22.00. Nocami, kiedy otwierają się najtajniejsze zakamarki duszy i wypełzają z nich mroczne myśli.

– Nazywa się Kaja Claussen, ma osiemnaście lat – wyjaśniła mu lekarka psychiatrii. – Właśnie dzwoni do mnie ze szkolnej toalety.

– Chce się zabić? – zapytał Mats, możliwie jak najciszej, ale mimo to kucharka go usłyszała. Teraz już się nie śmiała.

– Tak – odpowiedziała Feli zaaferowana. – Siebie i wszystkich na terenie szkoły.

10

MATS

**Teraz.
Jeszcze 12 godzin i 30 minut
do planowego lądowania w Berlinie**

Dobrze się pan czuje?

Valentino zajrzał do toalety, gdy tylko Mats otworzył drzwi.

– Tak – skłamał i próbował przecisnąć się obok stewarda, który jako ostatni dobijał się do drzwi. – Dlaczego pan pyta?

– Pasażerowie, którzy się panu przyglądali, martwili się o pański stan zdrowia.

Valentino skinieniem wskazał w kierunku, gdzie Mats potknął się o nogę mężczyzny. Ale widok zasłaniały dwie stewardesy i ich wózek.

Mats spojrział na zegarek.

Było pół do pierwszej i serwowano posiłek?

Wtedy przypomniał sobie, że mieli opóźnienie. Przy rezerwacji zaznaczył przekąskę o północy, którą najwidoczniej teraz chciano rozdać pasażerom.

– Czuję się znakomicie, bardzo dziękuję.

Valentino nie wydawał się przekonany i węszył jak królik, co skłoniło Matsa do nerwowego westchnięcia.

– Czyżby czujniki dymu nie działały? – uprzedził podejrzenie, że palił w toalecie.

Przyszło mu do głowy, że nie spuścił wody dla alibi, co na pewno nie uszło uwagi Valentina.

To wyjaśniało jego nieufność, zwłaszcza że już na pierwszy rzut oka było widać, że umywalka nie była w użyciu.

– Przecież wie pan, że boję się latania. – Mats zdecydował się zdradzić

przynajmniej część prawdy podejrzliwemu stewardowi. – Miałem atak paniki.

– Hm. – Wzrok Valentina był już trochę bardziej wyrozumiały. Tylko skąpy uśmiezek na jego ustach irytował Matsa. – Więc jednak miejsce, na które się pan ostatecznie zdecydował, nie jest aż takie dobre?

Mats uniósł obie ręce i zmusił się do uśmiechu. Już po raz drugi podpadł temu nażelowanemu mydlkowi. Niezależnie od tego, co robi, by opanować atak, wystawianie się przy tym na widok podejzliwego stewarda na pewno nie było pomocne.

– Musiałem mieć chwilę dla siebie – wyjaśnił najuprzejmiej, jak potrafił. – Sam, w zamkniętym pomieszczeniu. To mi pomaga.

– Ach tak.

Niby tylko dwa słowa, a tyle było w tej zdawkowej odpowiedzi szyderstwa. Mats zagotował się z wściekłości i zaprzepścił wszystkie swoje dobre chęci.

Chociaż wiedział, że robi błąd i kolejne słowa tylko na krótką chwilę przyniosą zadośćuczynienie, nie powstrzymał się:

– Nie wiem, czego pan ode mnie chce – powiedział, wystarczająco głośno, żeby Valentino go usłyszał. – Zarezerwowałem kilka miejsc i byłem w łazience. O ile mi wiadomo, ani jedno, ani drugie nie jest przestępstwem. Nic nie poradzę, że wolałby pan pracować na ziemi, w kontroli lotów, jak sądzę, bo uwielbia pan kontrole, prawda? Nosi pan niegniotące się koszule, które musi pan sam sobie kupować, bo linia lotnicza ich nie zapewnia. Dopiero co wyczyścił pan buty, inaczej nitki wykładziny nie błyszczałyby tak na elektrostatycznie naładowanym lakierze, i co dwadzieścia sekund dotyka pan włosów, chociaż pod betonem, którym wysmarował pan sobie głowę, nie poruszyłyby ich nawet orkan. Ale jest pan zbyt nieopanowany, niecierpliwy, chce pan odpowiedzi natychmiast, a nie trochę później, i najchętniej wywaliłby pan te drzwi kopniakiem, prawda? To nie jest dobra cecha, bo w wieży kontrolnej należy zachować spokój i koncentrację, kiedy na monitorze jednocześnie porusza się dwadzieścia punktów. Mam rację?

Przez chwilę Mats wiedział, że trafił w sedno. Prawdopodobnie nie każdym słowem, ale jego teoria spowodowała ryse na masce Valentina. Zdradziło mu to drżenie dolnej wargi, które Valentino całkowicie zgodnie z jego naturą szybko opanował.

Nachylił się do niego z uśmiechem.

– Gównu pan o mnie wie – stwierdził, wciąż z tym samym fałszywym uśmiechem.

Czyżby, pomyślał Mats i przeklął tak częsty w jego życiu brak samokontroli. *Na przykład wiem, że jesteś teraz moim największym wrogiem w tym samolocie.*

W zasadzie gardził sobą za tę tanią psychologiczną sztuczkę, chociaż mogły to usprawiedliwiać szczególne okoliczności. Jego ciężarna córka walczyła o życie, a jego samego szantażował jakiś szaleniec, chcąc go zmusić do popełnienia masowego mordu. Logiczne było, że szukał słabej osoby, na której mógł wyładować swoją bezsilną wściekłość.

– Proszę posłuchać, przykro mi, miałem...

Mats przerwał swoją niezbyt szczerą próbę usprawiedliwienia, kiedy zauważył, że Valentino niemal ze wstrętem cofa się o krok.

– O co chodzi? – zapytał, ale wtedy też to poczuł. A chwilę później nawet posmakował.

Krew.

Która kapiała mu z nosa.

O cholera, jeszcze i to!

Kiedy był zdenerwowany, dostawał czasem krwotoków z nosa. Niegroźnych, ale nieprzyjemnych.

Złapał się za nos i chciał znów wejść do toalety, kiedy przyszła mu do głowy perfidna myśl.

– Jak pan śmie? – syknął na Valentina, który, co zrozumiałe, zdziwiony zmarszczył czoło.

– Słucham?

– Dlaczego pan to zrobił?

– Co?

Patrzył jeszcze bardziej zdumionym wzrokiem.

– Pan mnie uderzył!

Mats pokazał zakrwawione palce i pozwolił, żeby krew bez przeszkód kapiała na wykładzinę.

– Ja, przecież ja nic takiego...

– Tak, w takim razie dlaczego krwawię?

Mats podniósł głos. Z powodu zasłony po jego lewej stronie nie mógł spodziewać się stamtąd zainteresowania, ale w przejściu po prawej odwróciła się w swoim fotelu młoda kobieta.

– Niech pan natychmiast przyprowadzi Kaję Claussen – wyszczał Mats i

psychicznie znokautował tym Valentina.

– Kają? Skąd pan zna...

– Chcę natychmiast porozmawiać z pańską przełożoną!

11

NELE

Kuuuurrrr!

Ból pokazał swój nowy wymiar, nieporównywalny z niczym, czego do tej pory doświadczyła. A Nele obawiała się, że to może być dopiero początek. Na skali od jednego do dziesięciu być może dwa i już te dwa odczuwało się, jakby w jej podbrzuszu ożyła lutownica.

Dyszeć? Czy głęboko oddychać?

Psiakrew, czy w głupich filmach nie jest tak, że wszystkie zawsze dyszą?

Nie chodziła do szkoły rodzenia, bo po co? Przy cesarskim cięciu techniki oddychania są zbędne, w końcu w jej przypadku wszystko miało się odbyć w pełnej narkozie, żeby krwotok poporodowy nie zagroził dziecku.

O Boże... Porwanie, przerażenie, ból... to wszystko zepchnęło na dalszy plan niebezpieczeństwo naturalnego porodu jej dziubaska.

Tylko że trudno powiedzieć, żeby tutaj cokolwiek było naturalne..

Przywiązana w oborze dla krów. Obserwowana przez szaleńca ze wzrokiem jamnika i fryzurą włóczęgi.

– Kuuurrr... – Znów się jej wyrwało.

Właściwie nie miała pojęcia, co chciała wykrzyknąć w pustej hali, gdzie nie było rejestratora skurczów macicy, pulsometru, a nawet chusteczek higienicznych. Tylko psychopata za kamerą, który nie przestawał płakać, kiedy filmował jej męczarnię.

Najchętniej jednym kopnięciem straciłaby mu tę kamerę ze statywu, ale nie pozwalały jej na to przywiązane nogi.

Przynajmniej szaleniec nie uznał za konieczne ściągnąć jej spodni do joggingu. Jako student medycyny, jeśli w ogóle nim był, pewnie wiedział, że i tak nie było tam

jeszcze nic widać.

Przerażała ją myśl, że nikt jej tu nie znajdzie i nie uratuje, a jej porywacz przecież kiedyś jej to zrobi. Obnaży ją.

– Kuuurrr... – Jej krzyk zamarł. Poczowała z ulgą, jak ostatni skurcz osłabł, zapoczątkowując, jak miała nadzieję, dłuższą bezbolesną przerwę, do następnego ataku, który wyciśnie z niej wszystkie poty.

– Dlaczego?! – wrzasnęła na niego, kiedy odzyskała oddech. – Czego ode mnie chcesz?

I dlaczego becysz jak małe dziecko? I ciągle wycierasz łzy i smarki z nosa?

– Przykro mi – powiedział jej porywacz zadziwiająco czule.

– No to mnie rozwiąż.

– Nie mogę tego zrobić.

– Proszę, to jest całkiem proste. Wystarczy, że przetniesz te opaski zaciskowe...

– Wtedy nigdy się nie nauczą.

– Kto się nie nauczy czego?

– Oni. Wszyscy. Ludzie.

Wyszedł zza kamery.

– Właściwie nie chcę tego robić. Nie mam nic przeciwko pani. Ani przeciwko pani dziecku.

– Ma na imię Viktoria – powiedziała Nele i była sama zaskoczona. *Zwycięska. Ocalała.* Imię nie znajdowało się na jej krótkiej liście, ale było jak najbardziej odpowiednie, przynajmniej dla dziewczynki. Dla chłopca zmieniłaby je na Viktor. Dobrze, że nadała przyszłości imię. Byłoby lepiej, żeby porywacz nie traktował istoty w jej brzuchu jak przedmiot, lecz jak człowieka z imieniem i uczuciami.

– Ona umrze, jeśli nie urodzę jej w szpitalu.

– Kłamie pani.

– Nie, mam AIDS. Mogę zarazić Viktorię. Bez cesarskiego cięcia ona umrze.

Porywacz zdjął okulary z metalowymi oprawkami.

– N-n-nie... wiedziałem.

Wytańkował szkła brzegiem swetra i znów je włożył.

– Ale mimo to nie mogę się teraz cofnąć.

Nele najchętniej by na niego nawrzeszczała, ale zmusiła się, żeby prowadzić tę rozmowę możliwie jak najspokojniej, żeby nie zerwać luźno zadzierzgniętej więzi ze swoim porywaczem.

– Zdradzisz mi, jak masz na imię?

– Franz.

– Franz, ładnie. Nie wydam cię. Przysięgam. Sama nie bardzo przepadam za glinami. Tylko pozwól mi odejść, proszę...

– Nie. – Franz przejechał dłonią po włosach. – Nie mogę tego zrobić. Tutaj nie chodzi o nas. Nie o panią, o mnie czy o pani dziecko. Chodzi o to, żeby otworzyć oczy najpierw pani, a potem światu.

– Mnie? A co ja takiego zrobiłam?

– Przeglądałam pani śmieci.

– I?

Wyszedł na chwilę z obory i wrócił z żółtym workiem.

– Tutaj – rzucił i sięgnął do środka. Pomachał pustym kartonem po mleku, jakby był on najważniejszym dowodem w procesie poszlakowym.

„Proszę się nie obawiać. Chcę tylko pani mleka”.

Naprawdę to wcześniej powiedział?

– W czym problem?

– Wypiła je pani?

Teraz Nele nie mogła się już powstrzymać i wrzasnęła:

– Pełne mleko bio, trzyipółprocentowe, o przedłużonym terminie spożycia? Tak, zgadza się! Mój Boże, czy to jakieś przestępstwo?

Pogardliwie ściągnął w dół kącik ust.

– To, że ma pani odwagę o coś takiego pytać, pokazuje, jak ważne jest to wszystko tutaj.

– Co wszystko? – zapytała. – Co zamierzasz z nami zrobić, Franz?

– Zaraz się pani przekona – odparł porywacz, wziął worek ze śmieciami i wyszedł z obory.

12

MATS

Mats nie mógł oprzeć się pokusie i obracał się dookoła własnej osi.

Jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego. Nawet na YouTube ani w prospektach biur podróży. Wiedział, że linie LegendAir mają najbardziej luksusowe na świecie kabiny pierwszej klasy i znał ich slogan reklamowy: „The Sky Suite. Twoja prywatna rezydencja w chmurach”.

Ale biorąc pod uwagę, jaki świat się tu przed nim otworzył, nawet te słowa wydawały się skromnym niedopowiedzeniem.

Tak zwana Sky Suite była prawie tak duża, jak jego mieszkanie w Calle Guido. Znajdowała się na górnym pokładzie, zajmując przestrzeń ponad dwunastu okien, i w przeciwieństwie do jego skromnego apartamentu tutaj najwidoczniej dekorator wnętrz mógł się wyszaleć, stosując najdroższe drewno, dywany i wykwinną skórzaną tapicerkę. Wszystko było utrzymane w ciepłych brązowych pastelowych kolorach. Ciemny rysunek słoików mahoniowej boazerii przyjemnie kontrastował z jasnym stołem jadalnym, przy którym swobodnie mogły siedzieć na skórzanych fotelach w kolorze cappuccino co najmniej cztery osoby.

– Robi wrażenie, prawda? – zapytała Kaja Claussen, która go tu przyprowadziła.

Kiedy jakiś czas temu Mats coraz bardziej podnosił głos i pierwsi pasażerowie zaczęli zdradzać oznaki zaniepokojenia, Valentino niechętnie się podporządkował i rzeczywiście zawiadomił przełożoną. Mimo okoliczności Kaja szczerze się ucieszyła, że po tak długim czasie znów widzi swojego byłego terapeutę.

To była jej propozycja, żeby na spokojnie i w cztery oczy porozmawiać o zajściu z Valentinem.

W każdym razie, kiedy zaproponowała „spokojne miejsce”, Mats w najśmielszych

wyobrażeniach nie spodziewał się, że będzie to coś takiego.

Trzypokojowa suita, w której grubej jak warstwa mchu wykładzinie jego stopy dosłownie się zapadły, znajdowała się bezpośrednio nad kabiną pilotów. Żeby się dostać do apartamentu, trzeba było wejść po kręconych schodach na dziobie samolotu i przejść przez coś, co wyglądało jak drogi londyński koktajlbar. Tu na górze, na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, goście pierwszej klasy mieli własnego barmana, który stojąc za półkolistą wypolerowaną na błysk ladą, mógł serwować im long drinki, najróżniejsze rodzaje kawy i największy wybór dżinu nad chmurami. Sky Suite była oddzielona od tego pomieszczenia grubymi dźwiękochłonnymi drzwiami.

W razie zderzenia to położone na dziobie samolotu miejsce było najbardziej niebezpieczne w całej maszynie, ale z uwagi na nadzwyczajną sytuację, w jakiej się znalazł, Mats mało się tym przejmował.

– Czy tam z tyłu jest podwójne łóżko? – zapytał, chociaż nie mógł mieć co do tego wątpliwości. W tylnym, również widocznym teraz przez otwarte rozsuwane drzwi pomieszczeniu zobaczył wielkie łóżko kontynentalne. Prawie całą jego powierzchnię zajmowała armada poduszek.

– Francuskie pierze i egipski len. – Kaja uśmiechnęła się i podała Matsowi nową chusteczkę.

Na chwilę naprawdę zapomniał, że wciąż trzyma się za nos, chociaż na szczęście już nie krwawił.

– Przepraszam – mruknął i rozejrzał się za koszem na śmieci. Przy okazji zauważył kolejne drzwi pomiędzy salonem a sypialnią.

Jak przypuszczał, prowadziły do łazienki, w której toaleta, gdzie niedawno był, zmieściłaby się cztery razy. Łazienka miała nawet szklaną, sięgającą niemal do podłogi kabinę prysznicową!

Mats wyrzucił zakrwawioną chusteczkę do kosza na śmieci, podszedł do podwójnych umywalek i umył twarz oraz ręce.

– Dlaczego nie skontaktował się pan ze mną przed lotem? – usłyszał za sobą głos Kai, stojącej w na tyle dyskretnej odległości, by nie czuł się skrępowany jej obecnością.

– Nie chciałem się pani naprzykrzać. – Rzeczywiście, robiąc rezerwację, nawet o niej nie pomyślał. Co prawda wiedział, że jego była pacjentka została szefową personelu pokładowego w jakichś dużych liniach lotniczych, ale sądził, że pracuje u niemieckiego przewoźnika. Dopiero kiedy porywacz wymienił jej nazwisko, połączył

jedno z drugim.

- Pańska poczwórna rezerwacja wywołała niemałą sensację – powiedziała Kaja.
- Wyobrażam sobie.

Mats wykorzystał okazję, żeby jeszcze raz potwierdzić w lustrze swoje pierwsze wrażenie na temat jej wyglądu, teraz, kiedy na niego nie patrzyła i nie czuła się obserwowana. To było zadziwiające, Kaja Claussen stała się prawdziwą pięknoscią. Długie włosy z blond pasemkami pasowały jej tak samo jak te dodatkowe dziesięć kilogramów, które jej przybyły od czasów szkolnych. Oczywiście musiała maskować makijażem dziurki po piercingu na brodzie i po prawej stronie górnej wargi, ale tego też się nauczyła. Tak samo jak wyprostowanej, pewnej siebie postawy, eksponującej szerokie ramiona, co z pewnością nie było tylko zasługą dopasowanego do figury uniformu.

Szefowa stewardów wykonała zapraszający ruch ręką i oboje usiedli przy stole w salonie. Elektroniczne rolety w oknach, które wyglądały tu jak zasłony z prawdziwego jedwabiu, zjechały w dół. Srebrna lampa na szerokim gzymsie między oknem a stołem dawała delikatne ciepłe światło.

– Chciałabym przeprosić za to zajście, doktorze Krüger. Ken często traci panowanie nad sobą, ale nigdy bym nie pomyślała, że może posunąć się do rękoczynów. I to właśnie w stosunku do pana. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Ken? – zapytał Mats, patrząc na tabliczkę z jej imieniem. – Więc Valentino to jego nazwisko?

Roześmiała się.

– Nie, nie. Tylko mówimy na niego Ken z powodu jego wyglądu. I ponieważ jego dziewczyna wygląda trochę jak Barbie.

Barbie.

Brzmienie tego słowa przypomniało mu o noworodku i o bólu, który musiała teraz cierpieć Nele, o ile to wszystko nie jest tylko czyimś perwersyjnym żartem.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kaja, która najwidoczniej dostrzegła jego napięcie.

– Trochę nieswojo się czuję. Mam lęk przed lataniem.

– Pan? – Kaja już miała się uśmiechnąć, ale od razu się opanowała.

– Okuliści też noszą okulary – usprawiedliwił się Mats.

Szefowa pokładu przez chwilę nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego dużymi jasnobłękitnymi oczami, a potem skinęła głową.

– Okej, jasne. To nawet logiczne.

– W jakim sensie?

– No bo wtedy potrafił pan jak nikt inny wczuć się w moją psychikę. Być może trzeba samemu mieć problemy psychiczne, żeby je tak dobrze rozumieć.

Teraz to Mats przytaknął, chociaż nie podzielał tej teorii. Nie trzeba przecież walić się siekierą w pieszczel, żeby potrafić wyobrazić sobie ból.

– Chciałem tylko powiedzieć, że w toalecie na dolnym pokładzie dostałem małego ataku paniki. Prawdopodobnie zareagowałem nadmiernie nerwowo. Nie jestem już pewny, czy Ken, czy też Valentino, naprawdę mnie uderzył.

Kaja zamrugła zdziwiona.

– W takim razie jak to się mogło stać?

Już chciał powiedzieć coś o suchym powietrzu na pokładzie i że ma skłonność do krwotoków z nosa, kiedy nagle złapał się za głowę. Nie było to udawane, naprawdę dopadł go w tym momencie tępy ból głowy, tym razem w skroni.

Kaja podniosła się z miejsca i wskazała na sypialnię.

– Proszę sobie trochę odpocząć.

– Nie, nie. – Mats pokręcił głową, wzmacniając tym ból. Złapał się za nos, ale na szczęście nos był suchy.

– Ktoś może sobie pomyśleć, że chodziło mi tylko o wyłudzenie lepszego miejsca.

Jego była pacjentka uśmiechnęła się.

– Zarezerwował pan cztery miejsca i zapłacił za nie bająską sumę. A swoje miejsce w biznesklasie odstąpił pan innej pasażerce. Nikt na pokładzie nie pomyśli, że chce pan coś wyłudzić.

Kaja spojrzała na zegarek na nadgarstku.

– Muszę teraz zadbać o pierwszą klasę. Ale proszę się nie martwić. Właściwie nikt nigdy nie korzysta ze Sky Suite. Linia utrzymuje ją wyłącznie ze względów wizerunkowych. Nikt nie zapłaci oficjalnych dwustu trzydziestu tysięcy euro za osobę. Za tę cenę można mieć prywatny samolot.

– I nie będzie pani mieć przez to kłopotów?

– Na moim stanowisku przysługują uprawnienia do samodzielnego decydowania o rozmieszczeniu pasażerów.

Wygładziła spódnice.

– Nie napisałam wtedy do pana bez powodu, doktorze Krüger.

Mats przytaknął, przypominając sobie pocztówkę z widokiem chmur, która dłuższy

czas wisiała na jego lodówce, aż kiedyś spadła i musiała ją wyrzucić sprzątaczką.

Drogi doktorze Krüger, jestem teraz szefową stewardes. To nie do końca moje marzenie, ale prawie. Zawdzięczam to tylko Panu! Proszę się do mnie odezwać, jeśli tylko będę mogła coś dla Pana zrobić.

Właściwie Kaja chciała zostać pilotką, ale po incydentach w latach szkolnych i po oblanu matury nie było to już możliwe.

– Cieszę się, że jest pan na pokładzie. – Kaja uśmiechnęła się z niemal matczynym wyrazem twarzy. – Być może dzięki temu będę mogła się jakoś odwdzięczyć za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Mats machnął ręką.

– Ależ proszę pani. To moja praca.

– O, nie, nie. Bez pana teraz już bym nie żyła. Wiem to. Nie miałabym tej pracy, mojego cudownego narzeczonego. Staramy się o dziecko. Czy to było do pomyślenia?

Pokazała pierścionek z brylantem na palcu.

Nie.

Nie, kiedy myślał o jej stanie. Wtedy, dziesięć lat temu. Przemiana przypominającej zombi, będącej jedną nogą w grobie osoby z ufarbowanymi na czarno włosami, z której została już tylko skóra i kości, w piękną amazonkę o zaokrąglonych kształtach zapierała dech w piersi. Typowy obraz „przed” i „po”, jaki widzi się tylko w oszukańczych reklamach telezakupów.

– Bardzo się cieszę, że tak dobrze się pani wie – powiedział Mats i była to prawda. Prawdopodobnie Kaja Claussen była największym sukcesem w jego karierze. Pacjentka, w przypadku której mógłby nawet odważyć się powiedzieć o wyleczeniu.

A teraz miał ją znów zniszczyć!

Nie. Nie mogę tego zrobić.

Mats oddychał głęboko, kiedy patrzył za nią.

Nie.

Oczywiście, że jej nie poświęci. Spełnienie perwersyjnych żądań porywacza nie wchodziło w grę. Pod żadnym pozorem Mats nie zniszczy psychicznie swojej byłej pacjentki, żeby stała się jego narzędziem masowego mordy.

Wtedy znów pomyślał o Nele.

– Pani Claussen? – odezwał się, kiedy właśnie otworzyła drzwi, żeby wyjść z apartamentu.

Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Tak?

Mats przełknął ślinę. Drżały mu palce.

Co ja robię? – zadał sobie pytanie.

To nie mógł być przypadek, że znalazł się na pokładzie razem z nią. Ktoś musiał to z góry zaplanować i było to podstawą pewnego pomysłu, żeby jeszcze zapobiec katastrofie, zanim jeszcze komuś się coś stanie. Albo na pokładzie, albo, co dużo ważniejsze, w Berlinie.

Ale żeby uratować Nele i jej dziecko, potrzebował czasu i miejsca, w którym mógłby bez przeszkód rozmawiać przez telefon. To ostatnie już znalazł, tu w Sky Suite.

Istnieje rozwiązanie, dodawał sobie w duchu odwagi. I mam jeszcze ponad jednaście godzin, żeby je znaleźć.

Wcześniejszą chorobę psychiczną Kai trzymał w rezerwie najwyżej jako plan B.

Tylko w razie konieczności.

Na wypadek gdyby jego plan A spalił na panewce i gdyby jednak trzeba było rozważyć rzecz nie do pomyślenia.

Najpóźniej podczas podejścia do lądowania w Berlinie.

Ale i tak zebrało mu się na wymioty z obrzydzenia i nienawiści do samego siebie, bo doskonale wiedział, co wywoła u Kai następnym zdaniem. Jego słowa wsuną się pod dobrze zagojony strup jej psychicznej rany i odsłonią pierwszą malutką część blizny.

– Na szczęście pozbyłem się wtedy wątpliwości co do pani wersji historii! – powiedział.

13

FELI

Jak na fakt, że była śpiochem, dzisiaj już dość wcześnie stała pod prysznicem. Ale w obliczu tego, co ją czekało, nie było w tym nic dziwnego.

O Boże, pomyślała Feli i zasłoniła dłonią usta. Naprawdę pomyślałam o tym w formie: „Co mnie czeka”?

Jej najlepsza przyjaciółka zaraz wyjechałaby z Zygmuntem Freudem, gdyby się o tym dowiedziała. Chociaż w przeciwieństwie do niej Jasmina nie była psychiatrą. No ale wywiadówki, na których Jasmina jako wychowawczyni musiała męczyć się z rodzicami swoich uczniów szkoły podstawowej, często wymagały większego wyczucia i taktu niż dyżury Feli w telefonie doraźnej pomocy psychologicznej.

– Cieszę się. Tak bardzo się cieszę! – powiedziała Feli i rozciągnęła usta w szeroki uśmiech, który zachowywała podczas mycia i płukania włosów.

Najpóźniej po półtorej minuty udawało się przechytryć umysł i człowiek czuł się naprawdę szczęśliwy, chociaż uśmiech był sztuczny. Metoda, która nosiła nazwę *facial feedback*, działała nawet wtedy, kiedy pacjenci tylko wkładali sobie ołówek w poprzek ust.

Ale ja oczywiście nie muszę tego robić.

Ja naprawdę jestem szczęśliwa.

Feli zakręciła wodę i wyszła spod prysznicza.

– Dzisiaj jest mój szczęśliwy dzień!

Owinęła ręcznikiem mokre włosy i wytarła się, zanim włożyła płaszcz kąpielowy.

W przeciwieństwie do Janka, który zawsze, ociekając wodą, szedł na sztywnych nogach przez łazienkę i od razu wkładał swój szary frotowy szlafrok na mokrą skórę, Feli nienawidziła, gdy materiał nasiąkał wilgocią na jej ciele.

Lubiła, kiedy był ciepły, suchy i przytulny.

Ale są różnice, które łączą.

Wciąż się uśmiechając, ale jeszcze nie czując przyływu endorfin, podeszła do umywalki i chusteczką kosmetyczną wytarła reszkę pasty do zębów, która dziwnym trafem znów skapnęła na brzeg kranu ze szczoteczki Janka.

– Bułka?! – usłyszała, jak krzyknął z sypialni.

– Wolę tosta! – zawołała i dodała: – Już do ciebie idę, skarbie.

W tym momencie zabręczał telefon. Podniosła go z brzegu umywalki, gdzie wibracje spowodowały, że obracał się w koło, i próbowała skojarzyć numer.

Wydał się jej znany, ale nie był zapisany w kontaktach.

Odebrała z nieprzyjemnym uczuciem. I uczucie jeszcze się pogorszyło, kiedy usłyszała głos w słuchawce. Odległy, daleki, z lekkim echem. Tak jakby mężczyzna stał w tunelu aerodynamicznym.

– Feli?

– Mats? – Wdała się w bezsensowny kwiz na pozdrowienia.

Jej kolega i kiedyś najbardziej zaufana osoba nie tracił czasu i od razu przeszedł do rzeczy.

– Po... potrzebuję twojej pomocy.

– Co się stało? – zapytała Feli, która automatycznie uległa rutynie telefonu zaufania. A najchętniej by się rozłączyła.

Albo przynajmniej wrzasnęła: „Potrzebujesz mojej pomocy? Co ty sobie myślisz? Dzwonisz do mnie po czterech latach milczenia. Tak po prostu? I to właśnie dzisiaj?”

Ale powstrzymała złość i uzasadnione pretensje. Na razie.

– Nele, ona jest... Wygląda na to, że jest w niebezpieczeństwie.

– W jakim stopniu?

– Właśnie rozmawiałem ze szpitalem Charité. Miała tam dzisiaj rodzić.

Feli nerwowo podrapała się w szyję, która zaczęła swędzieć. Nienawidziła, kiedy dostawała czerwonych plam ze stresu, a w żadnym wypadku nie potrzebowała ich szczególnie dzisiaj.

– Nele jest w ciąży?

– Tak.

– Serdeczne gratulacje.

– Dziś rano miała mieć cesarskie cięcie. Ale nie pojawiła się w klinice. Potwierdził mi to były kolega ze studiów.

– Na razie nie bardzo rozumiem.

Swędzenie stało się bardziej dokuczliwe, ale tym razem udało się jej trzymać dłoń z dala od szyi.

– Próbowałem też ją złapać pod numerem, który mi dała. Ale bez skutku.

– Okej, to brzmi dziwnie. Ale prawdopodobnie zdecydowała się na inny szpital.

– Przecież dobrze wiesz, że nie można tak po prostu zmienić sali operacyjnej, Feli.

Poza tym...

– Co poza tym?

Mats zrobił przerwę, podczas której Feli usłyszała coś, co brzmiało jak zapowiedź z megafonu, gdzieś daleko.

– Jesteś w pociągu? – domyśliła się z powodu szumów w połączeniu, które zawsze stawały się głośniejsze, kiedy przestawali mówić.

– W samolocie.

– Ty?

Czy nie powiedział jej kiedyś, że wolałby spędzić dziesięć godzin u dentysty niż jedną w powietrzu?

– A co ty robisz w samolocie?

Mats westchnął.

– Nele nie chciała być sama po rozwiązaniu. Dlatego jestem właśnie w drodze z Buenos Aires do Berlina. Ale...

– Ale co?

– Ale krótko po starcie miałem telefon. Ktoś porwał Nele i grozi, że ją zabije.

– O Boże... – Feli znów zakryła dłonią usta, tak jak wcześniej pod prysznicem. Odwróciła się od lustra i wyszeptała: – Czy to... znaczy... Czy to prawda?

– Właśnie próbuję się tego dowiedzieć. Niestety, jak do tej pory nie mam powodu, żeby wątpić w tę groźbę.

– Dobrze, dzwonię na policję.

– Nie. Pod żadnym pozorem.

Feli zaśmiała się nerwowo.

– Ale w takim razie jak mam ci pomóc?

– Proszę, pojedź do mieszkania Nele.

– I co mam tam zrobić?

– Sam nie wiem. Rozejrzyj się. Przepatrz jej rzeczy.

– Chwileczkę. Jak mam się tam dostać?

– Racja, sorry. Z nerwów nie potrafię jasno myśleć. Ale być może mimo wszystko uda ci się znaleźć jakąś wskazówkę, kto się za tym kryje. Porozmawiaj z sąsiadami albo dozorcą. Wiem, że to desperacka próba, ale jesteś moją ostatnią nadzieją.

– Czego chcą od ciebie porywacze?

Cisza. Szum stał się bardziej intensywny i przypominał odgłos starego miksera kuchennego. Urwał się natychmiast, kiedy Mats powiedział:

– Nie... nie mogę ci powiedzieć.

– Co za cholerny dupek z ciebie.

– Wiem.

Jej dolna warga drżała i Feli znienawidziła się za swój niepewny głos.

– Minęły cztery lata, jak się zmyłeś. Okej, to była tylko jedna noc i być może była błędem, ale to jeszcze nie powód, żebyś mnie zostawił jak zwykłą dziwkę.

– Zgadza się – przytaknął jej znów Mats.

– I to odbiera ci jakiegokolwiek prawo, żeby prosić mnie o przysługę.

– Masz rację. Tylko że... tylko że ja nie wiem, do kogo miałbym się zwrócić. Nie znam w Berlinie nikogo, komu mógłbym zaufać tak jak tobie.

– Ty gnoju – parsknęła Feli, a potem się rozłączyła. Zamknęła oczy wyczerpana.

Oddychała ciężko i cała aż dygotała.

– Kto to był?

Odwróciła się przestraszona.

W ich wspólnej łazience nie było zamka, bo i po co? Feli nie usłyszała, kiedy Janek stanął w drzwiach. Ubrany tylko w bokserki trzymał w obu rękach tacę z tostami, dżemem, szynką parmeńską, miodem i dwoma kubkami kawy.

– Śniadanie do łóżka, jakie to słodkie z twojej strony, skarbie – powiedziała Feli z uśmiechem i poczuła się tak, jakby naprawdę miała w ustach ołówki.

– Czy to był Mats? – chciał wiedzieć Janek.

Jego ciemne oczy były jeszcze o jeden odcień bardziej melancholijne niż zwykle. Opowiedzenie Jankowi o Matsie było błędem. Ale przysięgli sobie, że będą wobec siebie szczerzy i wejdą w związek bez dawnych obciążeń, a Mats był właśnie największym obciążeniem, jakie wlokło się za nią w życiu. Chociaż nigdy nie byli parą i Mats nigdy nie odwzajemnił jej uczucia. *Pomijając tamtą noc...*

– Tak, to był Mats.

Feli potwierdziła to z ociąganiem i zrobiła krok w stronę Janka. Był wyższy prawie o pół metra, więc musiała unieść głowę, żeby na niego spojrzeć.

Gdyby nie trzymał tacy, wtuliłaby się w jego owłosioną klatkę piersiową, zamknęła oczy i odetchnęła zapachem jego ciała, które pachniało cedrowym drewnem i piżmem.

– Czego chciał?

– Pogratulować nam – odparła po podejrzenie długiej przerwie. – Powiedziałam mu, żeby spadał z tą swoją hipokryzją.

Janek przekrzywił głowę.

– Hm – mruknął. Trochę za mało, żeby mogła poznać, czy udało się jej chociaż odrobinę złagodzić jego nieufność.

– Chodź, zjedzmy coś. – Uśmiechnęła się do niego i uszczypnęła go w pośladek, kiedy przeciskała się obok do drzwi.

– Ale najwyżej jedna kromka dla ciebie – przekomarzała się, chociaż w jego umięśnionym ciele nie było ani grama tłuszczu.

W końcu zmusił się do uśmiechu, który wyglądał dużo bardziej naturalnie od tego, jaki malował się na jej twarzy.

– I kto to mówi? – zrewanżował się żartem. – Ktoś, kto chciał zrzucić do dzisiaj pięć kilo, a udało mu się tylko trzy?

– Kretyn. – Roześmiała się i cisnęła w niego małą poduszką.

– No, czekaj...

Postawił tacę na nocnym stoliku i rzucił się na nią.

– Pomocy – wydyszała. – Pomocy, poddaję się.

Jak zawsze, kiedy leżała w jego ramionach, Feli dziwiła się, jak silne miał ciało. Jak jakiś młody mężczyzna, a nie takie, jakiego można spodziewać się u pięćdziesięcioletniego adwokata.

– Kocham cię – powiedział Janek. – Z dietą czy bez diety, nieważne. Jedno wiem na pewno.

Pozwalała mu się całować i z zamkniętymi oczami słuchała, jak mówi:

– Dzisiaj będziesz doskonale wyglądać w ślubnej sukni.

14

MATS

Reakcja mojego ciała na panikę się zmienia.

Zdziwiony, że w ogóle jest jeszcze zdolny do samoanalizy, Mats poczuł pieczenie w żołądku, którego nie znał. W stresie miał skłonność do wysychania skóry, pęcherzyków na wargach, pojawiania się plam na skórze i – jedyna pozytywna rzecz – utraty apetytu oraz wagi.

Zgaga i skurcze żołądka na szczęście do tej pory go omijały.

Ale niezwykle okoliczności wymagają niezwyklej objawów.

To było tak, jakby w żołądku Matsa nagle wyrósł zaogniony wrzód. Palące skurcze zaczęły się w chwili, kiedy w oczach Kai zobaczył cień. To nagłe zmętnienie, połączone z przelotnym drżeniem górnej wargi.

W tym momencie Mats już wiedział, że trafił ją swoimi słowami i poruszył pierwszy kamień lawiny. Będzie się zastanawiać, co miał na myśli i czy naprawdę uważa jej przeżycia z tamtych czasów za „wersje” i „historie”, a nie za to, czym były: potworną prawdę. Przerazający los Kai Claussen.

Zważywszy, jakie szykował jej tym psychiczne problemy, jego ból brzucha był naprawdę uzasadniony.

Mats z trudem przełknął ślinę i po odgłosie przełykania szum silników w jego uszach zabrzmiał trochę dźwięczniej.

Unióśł dłoń, wyciągnął ją płasko i przyglądał się, jak drżą mu palce, zupełnie jak ptasie pióra na wietrze. Miał trochę problemów z wyjęciem pilota z zagłębienia w stole, przy którym siedział już ponad godzinę tyłem do kierunku lotu.

Po trzech próbach znalazł przycisk żaluzji, które bezgłośnie pojechały w górę i schowały się w ścianie kabiny.

Za przezroczystą teraz szybą rozciągała się czarna dziura. Światło z tylnych rzędów okien spływało jak rozmigotana ciecz w ciemną otchłań i było przez nią połykane. Mats wpatrywał się nieruchomo w czerwone światła sygnalizacyjne na końcach skrzydeł, które zapalały się w ciemności w stałych odstępach czasu. Przerwy pomiędzy błyskami były o wiele za równomierne. *Przecież powinny nadawać morsem sygnał SOS.*

Save Our Souls.

Trzeba uratować ponad sześćset dusz.

Przed obłąkanym porywaczem... Nie... poprawił się.

Przede mną!

Tutaj ja jestem największym zagrożeniem na pokładzie.

Bezradnie ukrył twarz w dłoniach i westchnął.

Tyle ryzykownych wariantów brał pod uwagę przed lotem. Możliwość staranowania na pasie startowym przez lądujący samolot, zapalenia się przy starcie, porwania przez terrorystów. Ładunek wybuchowy w bagażu.

Ale nigdy nie myślał o najniebezpieczniejszej dla wszystkich broni, o jedynej bombie, którą naprawdę każdy mógł wnieść na pokład i której nie wykryje żaden detektor na tym świecie, o tym idealnym środku masowej zagłady: o ludzkiej duszy.

Jak to zwykł zawsze mówić jego mentor:

„Każdy człowiek ma w sobie zdolność zabijania. Każdy ma słaby punkt, w którym się rozsypuje. Na szczęście tylko nieliczni nie mają skrupułów, żeby znaleźć ten psychiczny punkt zerowy u innych”.

Jaki ze mnie głupiec! – pomyślał Mats.

Z psychiatrycznym wykształceniem i doktoratem, ścianą zaświadczeń i dyplomów w gabinecie.

Tymczasem nie poświęcił najmniejszej uwagi faktowi, że w każdym tkwi tykająca bomba zegarowa, którą w odpowiednich okolicznościach można odpalić, naciskając właściwy guzik.

Czuł, jak zwiększa się nacisk na jego ciało. Widocznie pilot zmienił wysokość lotu. Rzut oka na pięćdziesięciopięciocalowy płaski ekran nad jego głową, przełączony w tryb monitorowania przebiegu lotu, potwierdził mu, że wznieśli się na dziesięć tysięcy dwieście metrów.

Skurcz w żołądku stał się silniejszy. Zdjął marynarkę i położył obok siebie na kanapie.

Ze wzruszeniem ramion postanowił zignorować przygotowane pasy bezpieczeństwa. Na turbulencje, w które wpadł, i tak nie mogły nic pomóc.

Wstał i rozejrzył się po Sky Suite za czymś do pisania. Rzeczywiście, przy drugim rzędzie okien stał mały sekretarzyk z orzechowego drewna i obrotowy fotel. Mats otworzył szufladę i wyjął ołówek oraz notes z logo LegendAir. Po swojej lewej stronie odkrył małą przeszkloną lodówkę i wziął sobie butelkę wody mineralnej.

Woda była tak zimna, że bolały od niej zęby, i Mats miał nadzieję, że trochę złagodzi jego utrzymujący się ból głowy.

Bagaż podręczny, w którym miał lekarstwa, zostawił przy swoim miejscu w klasie ekonomicznej.

– Dobrze, spróbujmy podejść do tego logicznie – powiedział do siebie, potem spojrzął na zegar, który pokazywał czas, jaki pozostał do lądowania.

Jeszcze 10 godzin i 16 minut.

Usiadł.

Niecałe pół dnia, żeby rozwiązać największy i być może ostatni problem jego życia.

„Ale im mniej ma się czasu, tym staranniej trzeba się przygotować”, przypomniał sobie kolejne powiedzenie swojego mentora. Odnosiło się to wprawdzie do nagłych przypadków medycznych, a nie do zapobiegania katastrofom lotniczym, ale Mats zawsze reprezentował pogląd, że kryminologia i psychologia są ze sobą ściśle powiązane.

Jeśli chciało się dotrzeć do istoty rzeczy, w obu przypadkach należy poznać przyczynę problemu.

I. Motyw

zapisał w notesie.

Gdyby wiedział, dlaczego porywacz żąda od niego zrobienia tego szaleństwa, zbliżyłby się o krok do poznania jego tożsamości. Następnie Mats napisał pod spodem, trochę bardziej w prawo:

Skutki

Jakie byłyby skutki, gdyby zrobił to, czego zażądał od niego Johnny? I kto by na tym skorzystał?

Śmierć

Byłyby setki zabitych. Zamach terrorystyczny?

Z jednej strony, byłoby to przerażające, bo w przypadku motywu politycznego zamachowcy są z reguły beznadziejnie zaślepieni. Z drugiej strony, zamachowcy często mają nadrzędne cele, jak na przykład uwolnienie więźniów, więc istniałoby pole do negocjacji.

Mats postawił duży znak zapytania na skraju pierwszego akapitu. Z jednej strony, metoda postępowania nie przypominała aktu politycznie motywowanej przemocy, z drugiej – nie znajdował żadnego istotnego argumentu, który by to wykluczał.

Pieniądze

Korporacja LegendAir była spółką akcyjną. Zawsze ktoś zyskiwał na nieszczęściach, wojnach i katastrofach. Niestety było tych podmiotów tak dużo, że nie pozwalało to na wprowadzenie sensownych ograniczeń.

Od spekulantów, którzy stawiali na spadek wyników finansowych ubezpieczycieli w przypadku katastrof, po konkurencję, która chciała doprowadzić swoich przeciwników do bankructwa. Wszystko było możliwe.

Mats mimowolnie pokręcił głową.

Być może w ogóle nie chodzi o osoby znajdujące się na pokładzie, lecz o jakiś ładunek, który miał zostać zniszczony.

Postanowił, zapytać Kaję o jakieś niecodzienne cargo, o którym być może wiedziała, chociaż nie obiecywał sobie zbyt wiele.

Ale być może sprawcy albo sprawcom wcale nie chodzi o wszystkich, lecz o jedną konkretną osobę.

Równie dobrze w grę mogła wchodzić...

Zemsta

Możliwe. Ktoś, kto w oczach porywacza tak bardzo zasłużył na śmierć, że jest to dla niego warte zamordowania razem z nim sześciuset ludzi.

Albo może celem jest jakiś więzień, którego transportują incognito w towarzystwie sky marshalla, „podniebnego szeryfa”.

Albo szpieg? Osoba mająca dostęp do tajemnic lub świadek koronny dysponujący niebezpieczną wiedzą na temat gospodarki lub polityki?

– Eeeeech! – wrzasnął wściekle i walnął końcem ołówka w blat tak mocno, że ołówek się złamał.

Psiakrew!

Z wściekłością wyrwał kartkę z notesu i szybko zgniótł w dłoni.

Po prostu było zbyt wiele możliwości.

I o wiele za mało czasu. Dużo za...

Dzwonek jego komórki zatrzymał nakręcającą się spiralę myśli.

Dostał MMS. W nagłówku było napisane:

PILNE!!!

Oczywiście nie miał możliwości, zobaczenia numeru. MMS wysłano na jego komórkę z anonimowego adresu jakiegoś portalu do wysyłania maili.

Mats kliknął w fotografię, która przedstawiała arkusz papieru listowego formatu A4. Widniały na nim czarne drukowane litery, układające się w słowa:

NIECH PAN NATYCHMIAST WŁĄCZY MONITOR!

KANAŁ FILMOWY 13/10.

15

SkyCinemaDeluxe – tak nazywał się cyfrowy program na żądanie LegendAir, a wybór filmów bił na głowę ofertę wypożyczalni wideo wielkiego miasta. Większość filmów była najnowszej produkcji, niektóre wyświetlano jeszcze w kinach, a dwa podobno jeszcze nie weszły na ekrany; świętowały one swoją „podniebną premierę” na ekskluzywnym kanale filmowym tego samolotu.

Mats nie wiedział, czy program jest taki bogaty tylko tu, na przedzie, w pierwszej klasie, czy też każdy pasażer ma dostęp do pełnej oferty.

Wiedział tylko, że kanału 13/10 tu nie ma.

Od dramatu przez komedię aż po thrillery i filmy dokumentalne. Każdy gatunek miał własny kanał, a każdy z nich oferował co najmniej pięćdziesiąt różnych filmów.

Za pomocą bezprzewodowego kontrolera, który musiał skierować na ekran jak laserowy wskaźnik, udawało mu się jednak przewinąć tylko do *Porąbanych*. Za tym horrorem komediowym na kanale 10 nic już więcej nie było. W każdym razie oficjalnie.

Mats spojrzął na kontroler, który miał kształt myszy komputerowej, i nacisnął prawy klawisz.

Nic.

Wstał z fotela i nacisnął jeszcze raz. I jeszcze raz.

Nagle kursor na ekranie skoczył o jedną kolumnę dalej. Na puste pole.

Białe.

Chanel 11/1

...przeczytał Mats na pustej poza tym stronie.

Znów nacisnął prawy klawisz, ale na ekranie nadal nie było żadnej treści.

Zmieniła się tylko liczba w prawym górnym rogu.

12/1

Po dziesięciu kliknięciach myszą udało się. Według informacji w rogu okna Mats

dotarł do kanału 13/10. A ekran nie był już biały. Tylko szary.

Przez chwilę nie było nic widać oprócz jasnego błyszczącego punktu w środku ekranu, którego równomierne pulsowanie przypominało Matsowi czerwone światła sygnalizacyjne na skrzydłach.

Potem rozległ się trzask i obraz przecięło coś jak błyskawica. Najwyraźniej zaczęło się odtwarzanie filmu.

– Co, u licha...

Mats podszedł krok do ekranu, który był tak wysokiej rozdzielczości, że obraz nie zmienił się, nawet kiedy znalazł się bardzo blisko.

To, co widział, wyglądało jak wyblakły film wideo z lat osiemdziesiątych, który był zbyt często kopiowany. Przeważały jasnobrunatne odcienie, które jak na ironię idealnie harmonizowały z kolorystyką luksusowego wyposażenia Sky Suite.

Jedenaście lat, przemknęło przez myśl Matsowi, który z miejsca rozpoznał, co widzi na ekranie.

To było tak dawno temu.

I wciąż nie straciło nic ze swojego okropieństwa.

Jakość filmu była nędzna, ale drgania, gruboziarnistość i nieostrość nie były wynikiem słabej techniki odtwarzania, tylko niskiej jakości kamery, która filmowała to okropne zdarzenie. W dodatku kamera stała, wisiała albo leżała za daleko. Była oddalona co najmniej o dziesięć metrów od kobiety, która właśnie walczyła o życie.

Mats drgnął, kiedy znów poczuł wibrowanie telefonu.

– No i jak? Podoba się panu repertuar pokładowy? – zapytał głos Johnny’ego Deppa, któremu towarzyszył teraz znany mu już odgłos oddechu właściwego rozmówcy.

– Skąd pan to ma? – zapytał Mats i zatrzymał film.

– To nieistotne. Niech pan spokojnie ogląda!

Mats pokręcił głową.

– Kaja zna to wideo na pamięć. Na pewno niczego ono u niej nie wywoła. Ona przepracowała te przeżycia jeszcze w szkole.

Johnny zaśmiał się jak automat.

– Wcale nie. Nikt nigdy nie będzie w stanie w pełni przepracować traumy wywołanej tym, co wycierpiała Kaja.

Mats westchnął bezradnie.

– Jeśli nawet, pański plan nie zadziała. Lata spędziłem na tym, żeby ustabilizować

psychicznie moją pacjentkę. Podczas dziesiątek seansów. – Mats strzelił palcami. – Nie da się tego tak po prostu zniweczyć w ciągu kilku godzin. Przykro mi, ale psychika to nie jest urządzenie, które można włączyć i wyłączyć. Nawet gdybym chciał, to i tak nie zdołam w ciągu kilku godzin tak zmanipulować Kai Claussen, żeby odżyły w niej mordercze fantazje i zmieniły ją w masową zabójczynię.

– Niech pan nie opowiada głupstw – odparł Johnny opryskliwie. – Niech pan pomyśli o jedenastym wrześniu. Budowa północnej wieży World Trade Center trwała siedem lat. A zburzono ją w ciągu jednej godziny i czterdziestu dwóch minut. Coraz szybciej udaje się coś zburzyć niż naprawić. Dotyczy to szczególnie duszy, prawda, panie doktorze?

Mats aż jęknął, wyobrażając sobie kulę ognia eksplodującego samolotu. Obraz był nie tylko dlatego taki przerażający, że on sam siedział w tej skazanej na wybuch przeklętej maszynie, ale dlatego, że wiedział, że Johnny mówił prawdę.

– Wszystko, czego pan potrzebuje, to potężny kopniak, bodziec, cios, który tak bardzo wstrząśnie psychiką Kai Claussen, że domek z kart jej samokontroli się rozpadnie. A tyle pan potrafi, ja to wiem, doktorze Krüger. To wideo to dodatkowe narzędzie, które ten proces nieco przyspieszy.

– Czy na tym filmie jest coś, czego nie widziałem?

– Niech pan czeka do dziewiątej minuty. Od ósmej sekundy.

– Co tam będzie? – zapytał Mats jeszcze raz, ale połączenie się urwało. Szantażysta przekazał wiadomość i pozostał wierny swojej linii postępowania, która polegała na tym, żeby nie mówić nic więcej, niż jest konieczne. Mats odczuwał mieszaninę obrzydzenia i ciekawości. Podobnie muszą się czuć gapie na miejscu wypadku, kiedy nie są w stu procentach pewni, jakie okropieństwo kryje się za barierką. On również nie wiedział, co konkretnie jest na tym filmie, co miałyby mu umożliwić zamianę Kai na powrót w psychiczny wrak. W kogoś, kto życzy śmierci sobie i innym.

Tak jak wtedy, kiedy zadzwoniła po raz pierwszy.

Kiedy była w szkolnej toalecie.

Z bronią w ręku.

Mats próbował przewinąć film do podanej minuty, ale miał pewne kłopoty techniczne. W pierwszej próbie przeskoczył od razu na koniec.

Okej, tylko bez pośpiechu...

Mats był cały spocony. Jego palce pozostawiały wilgotne ślady na kontrolerze, wreszcie udało mu się znaleźć powolne przewijanie.

Kiedy doszedł do ósmej minuty, coś za nim stuknęło.

– Doktorze Krüger?

Odwrócił się w stronę, skąd dochodził kobiecy głos, i udało mu się przy tym wyłączyć telewizor.

Za późno.

– Ogląda pan telewizję? – zapytała kobieta. Z pełnym napięcia uśmiechem postawiła koszyk z owocami na bufecie obok przesuwanych drzwi, przez które weszła.

– Co takiego pan oglądał?

Mats nie miał pojęcia, co ma Kai Claussen odpowiedzieć.

16

FELI

Coś tu się nie zgadzało.

Feli dosłownie czuła to nosem. Oczywiście nie trzeba być profilerem z umiejętnością przewidywania, żeby stać się podejrzliwym na widok uchylonych drzwi do mieszkania w Berlinie. Weißensee to wprawdzie nie Bronx, a mimo to w tutejszych domach czynszowych bardzo rzadko zdarzał się dzień otwartych drzwi.

– Nele? – zapytała już drugi raz, po tym jak najpierw zadzwoniła, a potem zapukała, ale nikt jej nie odpowiedział.

Czego się spodziewała.

Boże, co ja tutaj robię?

Feli szła przez korytarz i ogarnęło ją nostalgiczne uczucie na widok małego, świeżo wytapetowanego pokoju dziecięcego z wyglądającą na staromodną odnowioną kołyską, która przypuszczalnie pochodziła z pchlego targu, w przeciwieństwie do komody do przewijania niemowląt z lampą rozgrzewającą nad półką.

Poszła dalej i weszła do dużego pokoju. Twórczy chaos, jaki panował między kanapą, telewizorem a stojącym przed oknem biurkiem, przypomniawszy jej czasy, kiedy jeszcze mieszkała sama i często czuła się samotna, ale za to wolna.

Ściana wokół starego kineskopowego telewizora musiała być pomalowana magnetyczną farbą. Mnóstwo pocztówek, fotografii z imprez, ulotek reklamujących koncerty różnych zespołów było przyklejonych magnesami bezpośrednio do tynku. Kolorowy, radosny kolaż, doskonale pasujący do niekonwencjonalnej mieszanki mebli zakomponowanej przez artystycznie uzdolnioną córkę Matsa. Ani jeden element wyposażenia nie pasował do innych. Patrząc z osobna, niski stolik, dywan z frędzlami czy batikowe zasłony były nawet szpetne. Ale razem tworzyły stylowy

kreatywny komplet.

Też bym chciała znów tak mieszkać, pomyślała.

A nie tak sterylnie, wśród designerskich mebli i sztuki nowoczesnej, którą wybierał Janek, jej narzeczony.

Zastanawiała się, czy powinna zrobić jedyną sensowną rzecz: zignorować telefon od Matsa i jego prośbę i czym prędzej opuścić mieszkanie, ale wtedy zobaczyła bezprzewodową słuchawkę telefonu stacjonarnego na ładowarce na biurku Nele. Migał tak samo jak jej telefon, kiedy ktoś zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce.

Zaciekawiona Feli podniosła słuchawkę i nacisnęła zielony symbol kopertki tuż pod klawiszem dzwonienia.

– Masz jedną nową wiadomość – powiedział jej do ucha bezosobowy kobiecy głos. Feli spodziewała się znacznie więcej wiadomości, co najmniej pół tuzina, przede wszystkim od ojca Nele. Potem przyszło jej na myśl, że prawdopodobnie Mats nawet nie miał stacjonarnego numeru Nele i próbował dodzwonić się na jej komórkę.

Wiadomość, którą Feli teraz odsłuchiwała, pochodziła od zadyszanego mężczyzny z nieskrywanym berlińskim akcentem.

– *Pani Krüger? Więc, jest teraz... hm... pięć minut po czasie. Sterczę tu na dole, zamówienie w Sani-Funk. Taksówka. Jestem, yyy, nie wiem, co robić, dzwonię domofonem, ale nikt nie przychodzi. W centrali powiedzieli mi, że zamówienie przesunięto o godzinę do przodu, chyba to prawda? A może znów coś się zmieniło? Oj, ludzie, ludzie...*

Feli przerwała odtwarzanie wiadomości i poszukała w menu informacji, kiedy taksówkarz ją nagrał.

12.33, 2 maja 1999.

No super.

Widocznie Nele znała się na programowaniu urządzeń elektrycznych jeszcze mniej niż ona i od czasu zakupu nie zmieniała ustawień fabrycznych aparatu.

Feli odłożyła słuchawkę na ładowarkę i wytarła odrobinę potu z czoła.

Uff, ale gorąco!

Jak na wrzesień panowała tu temperatura niczym w środku lata. Spodziewane dwadzieścia pięć stopni i słońce, idealny dzień do wzięcia ślubu.

W ogóle był to zakręcony pomysł, żeby akurat dzisiaj pozwolić się zdalnie sterować, i to jeszcze Matsowi!

Gdyby Janek dowiedział się, co tutaj robi (i dla kogo!), z miejsca odwołałby ślub. Ale nie zabawi tu długo.

Na szczęście wciąż mieszkali przy Greifswalderstraße, a nie w zachodniej części miasta, którą Janek, w przeciwieństwie do niej, tak uwielbiał. Gdyby to od niego zależało, już dawno przeniosłaby swoją praktykę z Oranienburgerstraße do Dahlem, Grunewaldu albo przynajmniej do Lichterfelde. Ale wtedy o tej porze z pewnością musiałyby jechać tu godzinę samochodem, a nie piętnaście minut rowerem. Głupio tylko, że aż tak gnała. Teraz będzie musiała jeszcze raz wziąć prysznic, gdy tylko wróci do domu.

Feli sięgnęła po komórkę i wybrała numer, z którego wcześniej zadzwonił do niej Mats.

– Halo? – zapytała, bo źle zinterpretowała przerwę pomiędzy dzwonekami i myślała, że jej były kochanek odebrał.

Kiedy telefon dzwonił, Feli przyglądała się ciemnej plamie na szarej, lekko wytartej kanapie.

Widocznie zasięg nad chmurami nie jest tak dobry jak na ziemi.

Kiedy już chciała się rozłączyć, coś zatrzeszczało na linii.

– Mats?

Było lekkie opóźnienie w czasie, zanim odpowiedział, najpierw usłyszała typowe szumy samolotu.

– Przepraszam, ale właśnie miałem tu małe zamieszanie i nie mogłem odebrać. Gdzie jesteś?

– W mieszkaniu Nele.

– I co?

Wzruszyła ramionami.

– Co chcesz usłyszeć? Nie ma jej tu, a wszystko wskazuje na to, że opuściła mieszkanie w pośpiechu.

– Jakież ślady przemocy? – chciał wiedzieć Mats.

– Drzwi były otwarte, ale nie wyłamane. Nie ma przewróconych lamp ani krzeseł, jeśli to masz na myśli. Tylko plamy na kanapie...

– Krew?

– Nie.

Feli przejechała dłonią po tapicerce siedzenia. Ciecz była bezbarwna i nie zostawiła śladów na jej palcach.

– Plama jest świeża. Jakby wylała się woda.
– Wody płodowe? – usłyszała jęk Matsa.
– Nie mam pojęcia. Możliwe. Tak. Prawdopodobnie doszło do przerwania błon płodowych.

Mats westchnął.

– Więc jednak ten przeklęty porywacz mówi prawdę!

Feli spojrzała na zegarek. Na szczęście Janek wybrał najpóźniejszy z możliwych termin ślubu, to znaczy szesnastą.

– Mats, przepraszam, ale naprawdę powinieneś zawiadomić policję. Za sześć godzin mam stanąć przed urzędnikiem stanu cywilnego.

– Wychodzisz za mąż? Przykro mi, hm, to znaczy, gratuluję. Ale jesteś moją jedyną szansą. Proszę, Feli. Nele umrze, jeśli mi nie pomożesz. Muszę wiedzieć, kto za to odpowiada, i znaleźć Nele. Zostało mi na to jeszcze nieco ponad dziesięć godzin. Za tyle lądujemy.

– Porywacz postawił ci ultimatum?

– Tak.

– A co się stanie, jeśli czas upłynie, a my nie znajdziemy Nele?

– Proszę, Feli, nie zadawaj mi kolejnych pytań. W twoim własnym interesie. Nie chcesz tego wiedzieć. A ja nie mogę ci powiedzieć.

Feli pokręciła bezradnie głową.

– Ale co mam w takim razie zrobić?

Poszukała w przedpokoju drzwi do łazienki. Musiała szybko wypić łyk wody.

– Pomyśl logicznie – zażądał Mats. – Wiemy, że sprawca albo sprawcy wiedzą o ciąży mojej córki. Ponadto dysponują możliwościami, środkami i ludźmi, żeby uprowadzić Nele i tak zmienić grafik stewardesy, żeby zgadzał się z moją rezerwacją.

– I co to oznacza?

Znalazła łazienkę Nele. Jak można się było spodziewać, również tutaj panował kreatywny nieporządek. Lustro nad staromodną umywalką oprawione było w barokowe ramy do obrazu, obok wanny stał skórzany fotel, a stojak na gitarę służył za wieszak na ręczniki.

– To znaczy, że musisz szukać związku. Gdzieś jest ktoś, kto ma dostęp do dokumentacji medycznej Nele oraz do planów mojego lotu. Prawdopodobnie jakiś lekarz albo pielęgniarz z kontaktami w liniach lotniczych.

Gdzieś, ktoś... czysty obłąd, pomyślała Feli.

– Miała rodzić w klinice Virchow, prawda?

– Tak.

– Świetnie. Ten szpital ma tylko trzynaście tysięcy pracowników.

– Za dużo. Wiem.

Jej wzrok zatrzymał się na staromodnym masywnym sejfie, który służył za półkę na gazety obok sedesu.

„Rodzice”, „Moje dziecko & ja”, „Rodzina & Co”.

Feli przesunęła trochę do tyłu magazyny ilustrowane oraz czasopisma, żeby otworzyć drzwi sejfu. Spodziewała się, że Nele trzyma tu papier toaletowy, mydło albo ręczniki.

Jednak zawartość, która się jej ukazała, wprawiła ją najpierw w zdumienie. Potem posmutniała.

– Nie wiedziałam – powiedziała i uklękła przed sejfem.

– Czego? – usłyszała, jak Mats zapytał podnieconym głosem. – Czego nie wiedziałaś?

– Że jest taka chora.

No bo i jak. Nie miałyśmy ze sobą żadnego kontaktu.

– Chora? O czym ty mówisz?

Wyjęła z sejfu papierową torebkę z czerwono-białym logo i wyciągała z niej jedno po drugim opakowanie lekarstw.

– Tenofovir, emtricitabin, efavirenz.

– Te lekarstwa u niej stoją?

– Tak, w łazience.

Cisza. Szum wzmógł się.

– No, tak... Ja... ja też tego nie wiedziałem – przyznał Mats po chwili. Nele – zarażona wirusem HIV! W jego głosie dało się nagle słyszeć ogromne zagubienie, bezsilność. Jakby w jego samolocie przestały działać urządzenia wyrównujące ciśnienie i brakowało mu powietrza do oddychania.

– Na miłość boską, to będzie bardzo dramatyczny poród. Dziecko nie może się zarazić.

– Torba na lekarstwa pochodzi z apteki Seenstraße – powiedziała Feli, głównie dlatego, żeby wypełnić czymś przygnębiające milczenie, jakie zapadło po ostatnich słowach Matsa. Chociaż zakażenie HIV-em nie było już dzisiaj wyrokiem śmierci i nawet nie było pewności, że choroba rozwinęła się u Nele, życie z wirusem było

długotrwałym obciążeniem fizycznym i psychicznym.

– W Wedding? – zapytał o siedzibę apteki Mats.

– Tak.

– Czyli Nele leczy się w przychodni lekarskiej w Wedding.

– Właśnie to chciałam powiedzieć.

Zarówno przychodnia, jak i apteka specjalizowały się w pacjentach z HIV i rakiem i miały niemal takie samo czerwono-białe logo. Obie instytucje miały siedziby w tym samym domu i uchodziły za wiodące w Berlinie. Oddziały onkologiczny i zakaźny miały własne, bardzo nowoczesne laboratorium i zatrudniały nawet psychologów oraz psychiatrów, którzy wspierali pacjentów z HIV.

– Boję się, że to nie zaprowadzi nas dalej – usłyszała Matsa, który mówił teraz trochę mocniejszym głosem.

W tej sekundzie Feli usłyszała jakiś stuk. W korytarzu. Za drzwiami.

Za jej drzwiami.

– Mats? – wyszeptała, odwracając się gwałtownie.

– Co?

– Chyba...

„...ktoś tu jest”, chciała powiedzieć, ale już nie zdążyła.

Zamiast tego krzyknęła, kiedy w pozbawionej okien łazience zgasło światło.

Od tej pory widziała już tylko niewyraźne zarysy, cienie, kontury.

– Na miłość boską, Feli, co się tam u ciebie dzieje? – usłyszała wołanie Matsa, kiedy powoli kierowała się do uchylonych drzwi, przez których szparę wpadało trochę słabego światła. Z przedpokoju.

Wsadziła dłoń między framugę a drzwi, macała przestrzeń przed sobą.

I wtedy znów krzyknęła.

Donośniej, głośniej, dłużej.

Tym razem nie ze strachu.

Lecz z potwornego bólu.

17

MATS

Feli? Halo? Feli? Co się z tobą dzieje? Jesteś tam jeszcze?

Linia była martwa. I nie dostał już odpowiedzi. Mając w uszach echo wywołanego bólem krzyku Feli, który raptownie urwał się razem z końcem połączenia, Mats odłożył telefon i poczuł gwałtowną potrzebę, by się czegoś napić.

Nie wody, lecz czegoś wysokoprocentowego. Czegoś, co złagodziłoby uderzenie. Ponieważ jego psychiczny upadek w otchłań, którego był pewny, zbliżał się nieuchronnie, tak samo jak katastrofa samolotu. Jego uzależnieni pacjenci często opowiadali mu o mgłę zapomnienia, w której się zanurzali, kiedy byli na rauszu. A tu, w górze, przy panującym tu ciśnieniu, potrzeba dużo mniej alkoholu we krwi, żeby wywołać taki stan.

Ale oczywiście musiał zachować jasny umysł.

Tylko co tu się w ogóle dzieje?

Jeszcze raz spróbował dodzwonić się do Feli, ale jej telefon nie odpowiadał.

W tym czasie dojrzewało w nim potworne przekonanie, że nie ma wyboru. Porywacze mówili poważnie. Mieli w swoich rękach Nele, a teraz najwyraźniej również Feli groziło niebezpieczeństwo. Już pierwsza rozpaczliwa próba poznania sprawców i ich motywów została udaremniona. Ktokolwiek zorganizował to szaleństwo, był o parę kroków przed nim. Całkiem możliwe, że Mats w ciągu kilku godzin, jakie mu zostały, nie będzie mógł z pokładu samolotu wskórać nic innego niż to, czego żądał od niego porywacz: zniszczyć psychicznie pacjentkę i posłać na śmierć setki niewinnych ludzi.

– Aaaaaa!

Mats obiema dłońmi zakrył usta i krzyczał z rozpacz. Potem zaczął masować

pulsujące skronie i to przypomniało mu, że chciał przynieść swój bagaż podręczny z klasy ekonomicznej, żeby wreszcie dostać się do tabletek na ból głowy.

A może najpierw obejrzyć do końca wideo?

Na kanale 13/10. Wciąż nie wiedział, co tak kontrowersyjnego było do obejrzenia od dziewiątej minuty, że wprowadziło to Kaję Claussen w tryb 11 września.

Nie, najpierw lekarstwo.

Chociaż zżerała go ciekawość, ból niemal rozsadzał mu czaszkę i Mats wiedział, że jeśli natychmiast czegoś nie weźmie, za pół godziny nie będzie już w stanie zebrać myśli. Przynajmniej żołądek mu się uspokoił. Objawy strachu przed lataniem ustąpiły.

Widocznie istniało coś takiego, jak ewolucja psychicznego ciśnienia. Darwinizm męczarni. Najsilniejszy ból zwyciężył i wyrugował słabszy.

Chwilowo Mats nie musiał walczyć ze swoim strachem przed lataniem. Co więcej: strach, że straci córkę, zmuszał go do największej psychicznej wydajności. Dodatkowo motywowały go troska o Feli i wyrzuty sumienia, że wciągnął ją w ten obłąd.

Mats otworzył drzwi Sky Suite, żeby udać się do miejsca 47F.

Omal nie wpadł na Kaję.

18

Przepraszam – powiedzieli oboje niemal jednocześnie i niemal tak samo zaskoczeni.

Mats nie spodziewał się, że Kaja z własnej woli wróci do niego po tym, jak wcześniej przyłapała go na oglądaniu wideo.

– To tylko nudny dokument – skłamał, kiedy zapytała go, co ogląda. Udał wtedy, że właśnie zadzwoniła jego komórka, na co Kaja wyszła bez słowa.

– Pozwoli pan, że... – Pokazała na podręczny stolik na kółkach za sobą.

Trwało to chwilę, aż Mats zrozumiał.

– O, bardzo dziękuję, ale obawiam się, że nie jestem głodny – odparł, ale pozwolił jej wejść.

– Szkoda – rzuciła bez najmniejszego żalu w głosie. Wyglądała, jakby kosztowało ją to dużo wysiłku, kiedy toczyła wózek po grubej wykładzinie. Zaparkowała go między dwoma stojącymi naprzeciwko siebie fotelami pod oknami po prawej stronie.

Zręcznymi ruchami zmieniła wózek w stół jadalny, który przykryła białym obrusem i ułożyła na nim serwetki, sztucce, postawiła iluminowaną solniczkę i wazon z orchideami, zanim z szuflady pod blatem wyjęła talerz z jedzeniem.

Uniosła pokrywę ze stali szlachetnej, leżącą na porcelanowym talerzu.

– Pieczony zimowy dorsz z cebulowym sosem na zielonej fasoli szparagowej i grzybach shiitake. Zwykle mamy większy wybór, ale mówi się, że późnym wieczorem nie należy jeść ciężkich potraw, więc...

Spojrzała na zegarek i sztucznie się uśmiechnęła.

– Jeśli pan woli, z chęcią przyślę na górę menu i wózek z kawiozem.

– Nie, dziękuję. Nie trzeba – odpowiedział Mats i chwycił ją za rękę, kiedy niewzruszona chciała postawić talerz na stole.

Ból głowy umiejscowił się w czaszce jak pięść i Mats czuł się podle. Psiakrew, za nic nie chciał nikogo skrzywdzić. Sam też nie chciał umrzeć! Z drugiej strony, właśnie nadarzyła się okazja, na dodatek dosłownie podano mu ją na srebrnej tacy.

– Nie przyszła tu pani z powodu jedzenia, mam rację?

Pokazał jej, żeby usiadła.

– Muszę zaraz pomóc w klasie biznes – powiedziała wymijająco Kaja, ale bez większego przekonania.

– A mimo to zadała sobie pani trud, żeby przynieść mi posiłek, chociaż o tej porze rzadko coś się serwuje. A jeśli nawet, to przecież bez problemu mogła pani przysłać kogoś innego. Więc, pani Claussen, o co chodzi? Co chce mi pani powiedzieć?

Przełknęła ślinę i jednocześnie wygładziła spódnicę.

– To wideo wcześniej – zaczęła, zacinając się.

Usiadł i czekał, żeby Kaja zrobiła to samo.

Głos stewardesy był o jeden ton niższy niż wcześniej. Typowe dla ludzi z początkiem depresji. Głos często bywa lepszym zwierciadłem duszy niż oczy. Przy negatywnych emocjach powiększa się pudło rezonansowe w krtani. Nauczył się tego od Feli, która przez telefon często tylko po głosie i jego intonacji mogła wyrobić sobie obraz sprawy.

– Tak?

– Miałam wrażenie, że zobaczyłam siebie. Czternaście lat temu. Wideo z sali gimnastycznej, wie pan? Oczywiście to bzdura. Nie wydaje mi się, że mój dramat przebił się aż do programu telewizji pokładowej takich linii. – Zaśmiała się wymuszenie.

Mats otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, uniosła dłoń, żeby go powstrzymać, i ciągnęła:

– No ale istnieje powód, dlaczego tak poniosła mnie wyobraźnia. To nasza wcześniejsza rozmowa. Kiedy pan wspomniał, że pan też mi wcześniej nie wierzył...

– Nie, nie o to mi chodziło... – skłamał Mats.

Kaja wzruszyła ramionami.

– W każdym razie, gdy stwierdził pan, że bardzo się pan cieszy, że na koniec uznał pan moją wersję prawdy, przez chwilę znów byłam w tamtym pomieszczeniu.

– Poczuła pani, jak ruszają się ściany? – zapytał, nawiązując do motywu z ich wcześniejszych sesji terapeutycznych. „Pomieszczenie” było dla Kai pomocną metaforą do opisania uczucia bezsilności i izolowania. W ostatnim roku szkoły zmieniło się ono w zgniatarkę do śmieci, z hydraulicznymi ścianami, które kawałek po kawałku zbliżały się do siebie. Twarde, grube mury z żelbetu groziły Kai zgnieceniem.

– To nie było tak gwałtowne jak kiedyś. Ale to poczułam. Że zaraz ściany przysuną się do mnie. Stałam w kuchni i wiedziałam, że kabina wokół mnie staje się coraz węższa i węższa, kiedy... – Kaja dotknęła ręką szyi, nie dokończyła zdania.

– Przykro mi. Nie chciałem wywołać tego moją nierozważną uwagą – skłamał Mats, który miał dokładnie taki zamiar. I właśnie dlatego czuł się jak ostatnia świnia. – Jestem zmęczony i przepracowany, to nie powinno się zdarzyć. Muszę panią przeprosić.

Kaja skinęła głową, ale zobaczył w jej oczach, że przeprosiny nic nie załatwiły. Każda raniąca uwaga wbijała gwóźdź w maskę, którą ludzie noszą, żeby chronić się przed psychicznymi atakami. U podatnych osobowości maski rozpadały się szybciej. A najszybciej u tych, których pancerz trzeba było znów złożyć w toku mozolnej koronkowej pracy podczas psychoterapii.

– Mówię to otwarcie, pani Claussen. Nie powinienem był powiedzieć, że uważam pani przeżycia za zmyśloną historię.

Że nie do końca wierzyłem, że okropne plotki, które krążyły wtedy na pani temat, są całkowicie absurdalne.

Kaja lekko pochyliła głowę w prawo do okna, jak to zawsze dawniej robiła na ich sesjach, kiedy nie odwoływała się do swoich wspomnień, lecz do fantazji.

Mats podążył za jej wzrokiem w ciemność i wydało mu się, że wręcz czuje jej wątpliwości.

– Chce pani o tym porozmawiać? – zapytał, nie wiedząc, o jaką odpowiedź powinien się modlić.

O „nie” i przerwanie wszelkich rozmów, co uratowałoby życie setek ludzi na pokładzie samolotu, łącznie z nim.

Czy o „tak”, co prawdopodobnie doprowadziłoby do tego, że stałby się najgorszym psychologicznym masowym mordercą wszech czasów.

Chociaż Mats nie wiedział, jak Kaja mogłaby technicznie doprowadzić do katastrofy samolotu, był całkowicie pewny, że jest w stanie wykonać swoje zadanie i z powrotem przenieść ją w stan psychiczny, w którym dokładnie to chciałaby zrobić.

– Co pan chce wiedzieć? – odpowiedziała pytaniem.

Mats, który najchętniej przerwałby tę rozmowę tu i teraz, zmusił się, żeby myśleć o swojej córce; o zdjęciu, które pokazywało Nele w rękach porywacza. Potem przystawił dłuto. Następnym pytaniem zrobił kolejny wyłom w psychicznym pancerzu ochronnym Kai.

– Ile koleżanek i kolegów ze szkoły chciała pani zastrzelić?

Pokręciła głową, ale powiedziała cicho:

– Wszystkich.

Mats dał jej trochę czasu, potem posunął się o krok dalej.

– Ale kogo najbardziej?

Unikała jego wzroku.

– Nie wiem, ja...

– Śmiało. Kto znajdował się na pierwszym miejscu na pani liście?

Cisza.

– Johannes – odparła po dłuższej chwili z wyczuwalnym oporem w głosie.

– Johannes Faber – dopowiedział Mats. – Osiemnaście lat, pani rówieśnik w tamtym czasie. Co on pani zrobił?

Raptownie wstała i prawie się potknęła o kółka wózka.

– Sądzę, że ta rozmowa jest nieporozumieniem, doktorze Krüger. Zupełnie nie rozumiem, jak miałabym się od tego lepiej poczuć.

Mats również wstał, starając się zrobić budzącą zaufanie minę, z czym miał ogromną trudność z powodu bólu głowy.

– Pani Claussen, proszę dać mi szansę. Wcześniej zraniłem panią moją nierozważną uwagą. Muszę to naprawić.

Nad ich głowami rozległ się dyskretny dźwięk. Zapaliła się sygnalizacja zapięcia pasów.

– Ale przez nasze rozmowy czuję się tylko gorzej – zaprotestowała słabo Kaja. – Czuję się tak podle, jak już od lat się nie czułam.

W takim razie mamy ze sobą coś wspólnego.

Mats starał się nadać swojemu głosowi jak najprzyjemniejsze, uspokajające brzmienie.

– Jak się pani czuła wtedy, na naszej pierwszej sesji terapeutycznej?

Przyszła dobrowolnie, chociaż za namową rodziców, którzy byli zadowoleni, że nie doszło do najgorszego. W dużej mierze dzięki Feli, która odebrała rozpaczliwy telefon na gorącej linii dla osób z problemami psychicznymi i przełączyła potencjalną nieletnią morderczynię do Matsa.

– Podobnie jak teraz – przyznała Kaja. – Jak zbity pies. Zmęczona. Z niewielką nadzieją na pomoc.

Mats kiwnął głową.

– Wie pani sama, że taka rozmowa terapeutyczna jest jak gorączka. Na początku czuje się pani źle, ale w rzeczywistości wypaca pani chorobę.

Kaja wzruszyła ramionami i posłała mu zmęczone spojrzenie „skoro tak pan uważa”, a Mats kontynuował swoje wymyślne tortury.

– Więc dobrze, proszę pozwolić mi jeszcze raz podsumować: dziesięć lat temu poszła pani do szkoły z bronią. Pistolet ukradła pani ojcu, członkowi związku strzeleckiego.

– Nie ukradłam. Dał mi, żebym mogła się bronić, gdyby znów coś takiego mi się przydarzyło w szkole.

Coś takiego.

Kaja wciąż nie miała odwagi konkretnie i otwarcie powiedzieć, co jej zrobiono dokładnie rok wcześniej, zanim uzbrojona zamknęła się w szkolnej toalecie. Zrozpaczona, z twardym postanowieniem zabijania.

– Zamieniłam naboje gazowe na prawdziwą amunicję. Ojciec naładował pistolet tylko nabojami z gazem łzawiącym.

– Ale to nie wystarczało do pani celów.

Zamrugła i Mats ponowił atak.

– Ponieważ chciała pani zabić Johannesesa Fabera.

Przytaknęła.

– To on pani coś zrobił.

– Tak.

Mats wskazał telewizor na ścianie.

– To on nagrał to wideo, które myślała pani, że widzi.

– Tak, tak, tak. Przecież pan to wie. Dlaczego pan mnie tak dręczy, doktorze Krüger?

– Wcale pani nie dręcę. Czuję tylko, że jeszcze nie przepracowała pani do końca wszystkich wydarzeń. Chcę pani pomóc.

– Nie wydaje mi się.

– To ta gorączka, o której mówiłem – powtórzył się Mats. – Wszystko musi wyjść. Tak jak prawda.

– Ale przecież ja cały czas mówiłam panu prawdę.

– Na pewno?

– Oczywiście, że tak.

– O wideo też?

– Tak.

Dał jej chwilę, żeby się pozbierała, potem powiedział:

– Dobrze, pani Claussen, w takim razie niech pani opowie mi to jeszcze raz. – Mats zmusił się do uśmiechu. A kiedy samolot delikatnie zadrżał na skutek lekkiej turbulencji, zapytał: – Co Johannes Faber nagrał wtedy na wideo, że było to takie straszne, że chciała go pani zabić rok po nagraniu?

Jego i wszystkich, którzy to zobaczyli!

19

NELE

Odstępy stały się krótsze. Bóle silniejsze.

Po pięciu godzinach (Nele wiedziała, że nie mogło upłynąć tak dużo czasu, ale ból wydłużał czas i trzydzieści sekund bólu odczuwało się jak trzydzieści minut) szaleniec wreszcie rozwiązał jej więzy. Mógłby zrobić to dużo wcześniej. Już po trzeciej fali skurczów w chwilach przerw nie była w stanie robić nic innego niż gapić się wyczerpana w sufit hali i mieć nadzieję, że to wszystko jest tylko złym snem, z którego wkrótce się obudzi.

Nie mogła mu uciec. Prawdopodobnie udałoby się jej wstać z pryczy, być może dowłokłaby się nawet do wyjścia z obory, ale najpóźniej tam by ją dogonił.

Życie w niej, które chciało utorować sobie drogę na świat, było skuteczniejsze od wszystkich więzów na dłoniach i stopach.

Nele rozpaczliwie dotykała brzucha.

Swojego maleństwa.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała i się rozplakała. – Wszystko znów będzie dobrze.

Potem krzyknęła do szaleńca za kamerą:

– Wypuść nas! Natychmiast nas wypuść!

– Niestety nie mogę tego zrobić.

Sprawdził ustawienie aparatu, który wyglądał jak analogowa lustrzanka, ale prawdopodobnie był włączony na tryb wideo. Kiedy już się upewnił, że czerwona lampka świeci się na stałe, podszedł do jej łóżka z butelką wody w rękę.

– Hej, widziałam w taksówce podręcznik Pschyrembla – odezwała się Nele i po krótkim wahaniu wzięła wodę.

Było mało prawdopodobne, że ją otruje, skoro już zadał sobie tyle trudu. Z pewnością czekał ją inny koniec.

Gorszy.

– Studiujesz medycynę? – zapytała po pierwszym dużym łyku. Boże, jaka była spragniona. I zmęczona.

Z wyczerpania drżała na całym ciele. Jej dres do joggingu był całkiem przeupocony. Teraz nie było innego wyjścia. Musiała zdjąć spodnie.

– To było kiedyś. Teraz mam ważniejsze zadanie.

Torturowanie ciężarnej kobiety?

Już miała na języku tę myśl, ale udało się jej opanować wściekłość i wypić jeszcze jeden łyk wody.

Nie wiedziała, czy tu w środku zawsze jest tak duszno, czy też słońce tak nagrzewa blaszany dach, że obory pod nim zmieniły się w zbiornik gorąca. To co dopiero musi się tu dziać w środku lata?

– Spójrz na mnie – poprosiła, kiedy mężczyzna chciał się odwrócić do niej plecami. Mimo swojej przerażającej przemiany w porywacza wciąż wyglądał jak dorabiający na taksówce student.

Uniosła się trochę na pryczy i pociągnęła za wiązanie spodni. Zrobił wielkie oczy. Ale nie zobaczyła w nich nic charakterystycznego dla podglądacza. Raczej, i to ją zdziwiło, wstyd.

– Naprawdę chcesz to zrobić? Zmarnować sobie życie? Przecież wiesz, że wszystko wyjdzie na jaw. Mam na myśli to, że czeka mnie ryzykowny poród. Nawet w normalnym szpitalu jest duże niebezpieczeństwo, że moje dziecko i ja umrzemy. Chcesz iść do więzienia za podwójne morderstwo?

Zdjęła spodnie i razem z majtkami rzuciła na podłogę.

Kiedyś tuczono tutaj krowy. A dzisiaj ja się tu wykrwawię, pomyślała.

– Nie pójdę do więzienia.

Franz gwałtownie pokręcił głową i się odwrócił. Nie ulegało wątpliwości, że jego motywem na pewno nie był seks. Przynajmniej nie chciał oglądać jej nagiej.

Nele rzuciło się w oczy, jaki jest chudy. Wręcz wycieńczony.

Gdybym nie miała bólów porodowych, nie byłby dla mnie żadnym przeciwnikiem.

– Nie zmarnuję sobie życia – ciągnął mocnym głosem. – I właśnie chcę, żeby to wyszło na jaw. Wszyscy powinni dowiedzieć się o mojej misji. – Pokazał na statyw. – Dlatego panią filmuję.

– Jaką to masz misję? – zapytała Nele i modliła się, żeby to nie miało nic wspólnego z religią.

– Mleko.

Znów z tym zaczyna.

Nele poczuła złość i serdecznie się z tego ucieszyła, bo złość była jedynym, co miała, żeby walczyć ze strachem przed śmiercią.

– Czy to jakiś gówniany fetysz, czy co? – zapytała i puknęła się w czoło. – Jesteś zboczony? Masz fioła na punkcie matczynego mleka?

Franz pokręcił głową, znów odwrócił się do niej i podrapał w nos. Reakcja zawstydzonego człowieka, jak kiedyś powiedział jej ojciec.

– Wprost przeciwnie.

Westchnęła, opróżniła butelkę i z wściekłością walnęła nią o podłogę.

– W takim razie mnie łaskawie uświadom, bo nic z tego nie rozumiem.

Skinął głową, z oczami nieruchomo zwróconymi na jej tułów.

Też się wstydziła, że leży przed nim taka obnażona i bezbronna, ubrana tylko w T-shirt i skarpetki, ale jej instynkt macierzyński był od tego silniejszy. Zrobi wszystko, żeby wydać na świat swoje dziecko.

Wszystko.

– Wiem, że pani nic z tego nie rozumie – stwierdził Franz, a jego głos ginał w ogromnej hali, w której ją uwięził. Popatrzył gdzieś za nią, potem w górę, obrócił się wokół własnej osi, jakby pierwszy raz widział tę oborę. – I nie jest pani osamotniona w tej niewiedzy – wyjaśnił jej. – Miliony ludzi tego nie rozumieją. Niewielu w ogóle o tym wie, przyszła więc pora, żeby ktoś im otworzył oczy...

– Franz, proszę...

Położył palec na jej ustach. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna złapać go za rękę i spróbować złamać mu nadgarstek. Ale potem, co stanie się potem?

– Nigdy nie chciałem być tym, który to robi – wyszeptał, podczas gdy ona gorączkowo próbowała wymyślić jakiś plan. – Ale poza mną nie ma nikogo, kto jest na to gotowy, rozumie pani?

– Nie.

Nie rozumiała tego. I nie znajdowała wyjścia.

Zamiast tego czuła, jak w jej wnętrzościach znów zbiera się na burzę. Jak rozżarzona kula znów próbuje przesunąć się w niej do przodu.

Wykrzywiła twarz i obróciła się na bok, bo w tej pozycji ból w krzyżu był trochę

znośniejszy.

- Co pani wie o produkcji mleka? – zapytał nagle.
- Co? – spytała, przekonana, że to jakieś podchwytliwe pytanie.
- Niech pani powie bez ogródek. Co pani wie o tym, jak pozyskuje się mleko?
- Niewiele, myślę, że tyle, co każdy... kurr...

Znowu się zaczyna, cholera. Znowu...

– Doi się krowy – wysapała z ręką kurczowo uczeponą ramy pryczy. – Jakoś się je uzdatnia...

– Stop!

– Co?

Na moment została tak wytrącona z równowagi przez wykrzyczane przez Franza słowo, że o mało się nie zakrzusiła. Potem ból utorował sobie dalszą drogę i słyszała już słowa tego psychopaty tylko gdzieś z oddali, podczas kiedy sama robiła wszystko, żeby nie utonąć w morzu bólu.

– Pani wiedza jest do tego stopnia niekompletna, że wprost nie mogę pojąć.

Podczas gdy Nele szukała nogami oparcia na łóżku, żeby się unieść i odciążyć miednicę, usłyszała jego krzyk:

– Krowy się doi, tak?!

– Tak – wyrzuciła z siebie.

– Dlaczego zawsze tak się mówi? Dlaczego historia zawsze się od tego zaczyna?

– No bo jak inaczej?! – wrzasnęła na niego. Całą swoją mękę, swoje cierpienie wykrzyczała umyślowo choremu młodemu człowiekowi w twarz w tej koszmarnej oborze.

Młodemu człowiekowi, który, jeśli się nie myliła, znów miał łzy w oczach.

– I to właśnie pani pokażę – odparł, niemal szlochając. – Strasznie mi przykro. – Płakał. – Ale musi pani doświadczyć tego na własnym ciele i zobaczy to cały świat. Wtedy na pewno zrozumie pani, dlaczego to wszystko tutaj jest konieczne.

20

MATS

Po krótkich turbulencjach samolot sunął przez noc jak limuzyna na świeżo wyasfaltowanej autostradzie. Jednak sygnalizacja zapięcia pasów nad drzwiami Sky Suite nie zgasła.

Mats, który czuł drapanie w gardle, jakby za długo i za dużo mówił, nacisnął wpuszczony w stół guziczek z symbolem kieliszka do szampana. Otworzył się przed nim niezauważony do tej pory podłużny schowek, ukryty w szerokim blacie między stołem a oknami w ścianie kabiny. Zawierał przyjemnie schłodzone soki i wodę o różnym stopniu nasycenia dwutlenkiem węgla.

Sięgnął po niegazowaną wodę i zatęsknił za proszkiem przeciwbólowym maxalt. Kaja podziękowała, kiedy zaproponował, żeby też się poczęstowała. Siedziała na samym skraju fotela, jakby gotowa do skoku. Złożyła dłonie, zaraz potem rozplotła palce, żeby natychmiast znów je skrzyżować.

– Pamięta pan jeszcze, jak podczas jednej z naszych sesji długo rozmawialiśmy o horrorach? – zapytała.

Mats skinął głową.

Większość ludzi wyobraża sobie rozmowę psychoterapeutyczną jako zorientowane na osiągnięcie celu, analityczne wypytywanie. W rzeczywistości nigdy nie daje się przewidzieć przebiegu sesji. Osoby postronne mogłyby niekiedy odnieść wrażenie, że pacjent i lekarz oddają się błahym pogaduszkom i rozmawiają o zupełnie nieistotnych sprawach. Czasem tak nawet było, ale dobry terapeuta nigdy nie przerywa spontanicznego potoku słów swojego rozmówcy, bo często w wydawałoby się przypadkowo wybranych tematach rozmów ujawniały się istotne elementy, które można było skutecznie wykorzystać w późniejszym leczeniu. Na tej właśnie zasadzie

Mats zorientował się, że upodobanie Kai do okrutnych irracjonalnych filmów o przemocy świadczyło o szukaniu przez nią już od dawna wentyla dla jej zmartwień, lęków, rozczarowań i wściekłości.

– Powiedziała mi pani wtedy, że w amerykańskich horrorach o nastolatkach zawsze umierają na początku ci, którzy uprawiali ze sobą seks – stwierdził Mats.

Kaja przytaknęła oszczędnie.

– A pan powiedział, że jest to przejaw amerykańskiej pruderii. Kara za niemoralne zachowanie.

– I co?

– I sądzę, że było w tym trochę prawdy. Wie pan, pierwsze strzały padły, kiedy właśnie siedziałam na lekcji fizyki. Przerabialiśmy równanie Schrödingera, ale nie potrafiłam skupić się na lekcji.

– Bo rozmawiała pani z Tiną Delchow, pani najlepszą przyjaciółką – powiedział Mats.

– Tak, gadałam z Tiną.

– O poprzedniej nocy?

– Była na mnie zła.

– Dlaczego?

– Czy musimy wałkować to wszystko jeszcze raz?

Mats ujął jej nerwowe dłonie.

– Nie mam ze sobą akt, a wszystko działo się dawno temu. Nie pamiętam już wszystkiego. Proszę, niech mi pani zaufa. Teraz będzie to dla pani wstrząsem, ale potem znów zapomni pani o powodzie, który w tej chwili panią dręczy.

Cofnęła dłonie i absolutnie nie sprawiała wrażenia przekonanej. W końcu jednak z westchnieniem powiedziała:

– Tina była na mnie zła, bo nie przespałam się z Johannesem.

– Johannesem Faberem, pani ówczesnym chłopakiem?

Mats wypił duży łyk wody. Miała gorzki smak, ale prawdopodobnie było to tylko urojenie. Projekcja.

– Prawie chłopakiem. On czegoś ode mnie chciał. Ale ja od niego nie. Jeszcze do tego nie dojrzałam. Tina i Amelie ciągle mi powtarzały, że schrzanię ten związek. Takich facetów nie wolno wiecznie zwodzić.

– Jeszcze raz, kim była Amelie?

– Trzecią z naszej paczki.

Mats przytaknął.

– Ach tak, teraz sobie przypominam. Umówiłyście się, że zawsze będziecie przychodzić do szkoły z jednakowo polakierowanymi paznokciami, mam rację?

– Żałosne, ale prawdziwe. Tego dnia był to zielony lakier z wzorkiem jak wojskowy kamuflaż. Akurat maskujące kolory.

Mats poczekał, aż Kaja głęboko odetchnie i zacznie mówić dalej.

– Tina była najbardziej doświadczona w naszej paczce. Pamiętam jeszcze, jak powiedziała: „Chcesz umrzeć jako dziewica?”, kiedy...

– Kiedy...

Samolot wpadł w lekką wibrację, jakby chciał wzdrygnąć się razem z Kają.

– Usłyszałam huk na korytarzu – ciągnęła cicho. – Najpierw pomyślałam, że ktoś przyniósł petardy. Ale wtedy rozległy się kolejne huk i zaczęli krzyczeć ludzie. Pani Nader-Rosinsky, nasza nauczycielka, powiedziała jeszcze: „Zachowajcie spokój, zobaczę, co się tam dzieje”, ale już nie doszła do drzwi. Gwałtownie się otworzyły i stanął w nich on. W wojskowym stroju, spadochroniarskich butach i kominiarce.

– Nazywał się Peer?

– Zgadza się.

– Krzyczał?

– Nie, był całkiem spokojny. Dlatego tak doskonale rozumiałam, co mówi, mimo maski.

– Co powiedział Peer?

Po policzku Kai spłynęła łza.

– W czasie suszy szosa sucha.

– Dlaczego to powiedział?

Westchnęła.

– Peer Unsell. Nazywany przez wszystkich „Peer Sepleniak”. Często nabijaliśmy się z jego sposobu mówienia. – Kaja wzięła chusteczkę, którą Mats wyjął z kieszeni spodni i jej podała. Wydmuchała krótko nos. – Peer zapytał jeszcze, rozglądając się dookoła: „No co, dlaczego nikt się teraz nie śmieje?”, a potem uniósł pistolet i zastrzelił panią Nader-Rosinsky, a potem...

– ...potem Tinę. – Mats wypowiedział za nią imię najlepszej przyjaciółki.

Tę przedwcześnie dojrzałą.

Tę, która pierwsza zginęła w horrorze.

– Kaju, czy wie pani, dlaczego Peer właśnie panią wybrał na zakładniczkę?

Mats świadomie odezwał się do niej po imieniu, żeby jeszcze bardziej zmniejszyć dystans między nimi.

– Nie wiem. Myślę, że to był przypadek. Siedziałam obok Tiny, która właśnie umierała na podłodze. Siedziałam najbliżej drzwi. Byłam słaba. Łatwa zdobycz. Prawdopodobnie to było powodem, dlaczego złapał mnie za włosy i wyciągnął z klasy.

– Przypadek? – powtórzył Mats, chociaż przypuszczał dokładnie tak samo. W przeciwieństwie do innych uczniów, którzy przez kolejne miesiące prześcigali się w tworzeniu najróżniejszych teorii spiskowych.

– Nie wierzy mi pan? – zapytała Kaja.

Mats świadomie pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

– Więc Peer wyciągnął panią na dwór, a potem przez dziedziniec do sali gimnastycznej?

Gdzie nagrano wideo.

– Tak.

– Była pusta?

– Nie od razu. Strzelił w powietrze i dziesiąte klasy, które właśnie miały tam lekcję, uciekły w popłochu. Panował chaos. Panika. Niewiele do mnie docierało.

Mats przypomniał sobie relację radiową z tamtych wydarzeń. Niektórzy uczniowie uciekali nago z przebieralni.

– Po drodze nie zabił już nikogo więcej?

– Nie.

Mats przypomniał sobie raport ze śledztwa. Najpierw Peer strzelał na wszystkie strony bez ładu i składu, potem w sali, gdzie była lekcja fizyki, wybrał konkretną ofiarę (Tina najczęściej naśmiewała się z niego przed koleżankami, a pani Nader-Rosinsky, szkolny pedagog, nie potrafiła tego ukrócić), ale kiedy wszędzie rozdzwonił się alarm pożarowy, przełączył się psychicznie w tryb ucieczki i wybrał Kaję jako zakładniczkę, która miała mu umożliwić wyjście ze szkoły.

– Pytam panią jeszcze raz: naprawdę nie wiedziała pani, dlaczego na zakończenie swojego napadu szaku upatrzył sobie właśnie panią?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego Peer mi to zrobił, zanim...

Głos się jej załamał.

Zanim strzelił sobie w usta i zginął.

Mats dał jej chwilę, chociaż gonił go czas. Oczywiście nie zakładał, że w toku

jednej rozmowy uda mu się wyrządzić wystarczające szkody. Nie było to zresztą jego zamiarem. Najpierw chciał tylko otworzyć sobie wszystkie możliwe opcje, na wypadek gdyby nie udało mu się znaleźć innego sposobu na uratowanie Nele.

I dlatego musiał pójść jeszcze krok dalej, jeśli idzie o Kaję, a ona przecież nie mogła siedzieć tu wiecznie. W końcu musiała wrócić do pracy i pewnie jej zespół już odczuwał jej brak.

– Więc zaprowadził panią do sali gimnastycznej? – podjął przerwany wątek.

– Do przebieralni dla dziewcząt.

– Była pusta?

– Pewnie tak myślał.

– Ale?

– Ale nie była. Pod prysznicem wciąż ukrywały się dwie dziewczyny.

– Co zrobił Peer?

Kaja zamknęła oczy. Jej gałki oczne drżały pod powiekami, jakby ktoś podłączył ją do prądu.

– Puścił moje włosy, za które mnie tam przywłókł, i skierował pistolet w ich stronę. To była Kim i Trisha. Znałam je z kółka teatralnego.

– Zastrzelił je?

– Nie.

– Ale chciał to zrobić?

– Tak. – Znów otworzyła oczy.

– W takim razie dlaczego ich nie zabił?

– Bo... bo... do cholery jasnej, przecież pan wie, co zrobiłam! – Kaja wstała raptownie. – Niech pan posłucha, jestem tu już zbyt długo. Muszę wracać do pracy, ja...

– Kaja.

Ruszyła do drzwi, ani raz nie oglądając się za siebie.

– Kaja, proszę. Musi pani tu jeszcze wrócić. Nie możemy tak po prostu teraz przerwać.

Ale ona nie zareagowała. Ostatnie słowa nawet już do niej nie dotarły, bo zdążyła wyjść ze Sky Suite. Wściekła, wzburzona, zraniona.

Dobry Boże, co ja wyprawiam?

Mats wstał rozdygotany, z już pustą butelką po wodzie w dłoni, kiedy zadzwonił telefon.

Zobaczył imię dzwoniącej osoby.

– Feli? Wszystko u ciebie w porządku? – zapytał nerwowo. Robiło mu się jednocześnie gorąco i zimno i liczył się z najgorszym. Na przykład, że ktoś znalazł telefon obok jej zwłok i oddzwonił na ostatni numer, który wybrała Feli. Dopiero kiedy usłyszał jej głos, zorientował się, jaki ciężar leżał mu cały czas na piersi i jak dużo lepiej mu się oddycha, gdy już zniknął.

– Tak, Mats. W miarę. W mieszkaniu Nele był włamywacz. Przytrzasnął mi palce drzwiami łazienki.

Stąd ten krzyk.

– Dobrze. To znaczy...

Mats, nie zdając sobie z tego sprawy, chodził po całym apartamencie z telefonem przy uchu, od drzwi wejściowych do łazienki i z powrotem.

– To znaczy, dobrze, że nie przydarzyło ci się nic gorszego. Widziałaś, kto cię napadł?

– Nie. Ale mam dla ciebie coś lepszego.

Mats zatrzymał się raptownie.

– Co?

– Chyba wiem, kto uprowadził twoją córkę.

21

FELI

Masz zdjęcie sprawcy?!

Mats wyskandował to przez słuchawkę tak głośno, że Feli bała się, że taksówkarz słyszy każde jego słowo.

– Tak – powiedziała zdawkowo i miała nadzieję, że będzie mogła zapłacić za kurs kartą. Ostatnią gotówkę wydała, żeby kupić ibuprofen na ból i maść kytta na obrzęki. Miała pecha, że kurczowo trzymała się framugi dokładnie w chwili, kiedy drzwi łazienki zatrzasnęły się w ciemności.

Nie, nie tak!

Kiedy zostały zatrzaśnięte.

Umyślnie!

Przez kogoś, kto zgasił światło, żeby móc ją mocniej zranić. W najwrażliwsze miejsce ciała, gdzie zbiegają się wszystkie końcówki nerwów.

Najbrutalniejsi siepacze na całym świecie nie bez powodu koncentrują się podczas przesłuchań na kończynach.

W pierwszej chwili, gdy ból przetoczył się przez jej rękę z impetem pociągu wiozącego stalowe dźwigary, była pewna, że jej palce nie zostały tylko przytrzaśnięte, lecz odcięte. Mocno liczyła się z tym, że zobaczy leżące na podłodze przedpokoju Nele palce, serdeczny, środkowy i wskazujący. Ale kiedy wreszcie udało się jej znów włączyć światło, jej dłoń nie była krwawiącym kikutem i wszystkie palce były w jednym kawałku. Wydawało się, że nie są też połamane, chociaż z powodu podskórnych krwiaków ledwo mogła nimi poruszać.

– Jeszcze raz bardzo powoli. Czy masz zdjęcie porywacza Nele? – zapytał Mats, który nie chciał w to uwierzyć. – Jak je zdobyłaś?

Feli niezręcznie trzymała telefon w zdrowej dłoni. Druga sprawiała wrażenie, jakby z powodu pękniętych naczyń krwionośnych chciała spuchnąć do wielkości kuli do kręgli. Akurat lewa! Janek i Feli dopasowali obrączki ślubne do lewych dłoni, bo chcieli nosić je po stronie serca. Palec serdeczny wyglądał teraz tak, jakby uderzył w niego młot kowalski. I jak powiedzieć o tym narzeczonemu?

Łatwiej było wytłumaczyć Matsowi, dlaczego wydaje się jej, że zna twarz sprawcy.

– Na parterze domu Nele jest apteka. Kiedy aptekarz obwiązywał mi dłoń bandażem, zauważyłam kamerę nad wejściem.

– Chcesz mi powiedzieć, że rozpoznałaś porywacza na nagraniu z kamery monitoringu? – zapytał Mats.

– Tak.

Zaszumiało na linii, kiedy taksówka, stare, pachnące potem i mokrym psem volvo zatrzymało się tuż za ciężarówką. Albo w korku, albo na światłach.

Przez chwilę głos Matsa brzmiał jak głos pozaziemskiej istoty, bo znów zniknął metaliczny odgłos.

– Dalej nie rozumiem. Czyżby porywacz chciał się włamać także do apteki?

– No coś ty. Kamera obejmuje również chodnik i ulicę.

Ruszyli.

– Co prawda to nielegalne, ale ostatnio wciąż przebijają opony w parkujących samochodach. Mieszkańcy się skrzyknęli i nadzorują chodnik oraz część jezdni. Powiedziałam aptekarzowi, że moja przyjaciółka miała podobny problem dziś rano i podejrzewa, że zrobił to pewien taksówkarz, który w ten sposób zapewnia sobie klientów. Wtedy pozwolił mi obejrzeć nagranie.

– Rozumiem. Sprytne. I zobaczyłaś na wideo, jak Nele wsiadła do taksówki?

– O piątej dwadzieścia sześć. Zatrzymała się tuż przed domem Nele. I rzeczywiście, twoja córka wsiadła do niej. W zaawansowanej ciąży. Szła jak kaczką, jakby pękł jej pęcherz płodowy.

– Mój Boże. Ale skąd wiesz, że to musiał być porywacz? Mam na myśli, że być może została uprowadzona dopiero przed szpitalem?

– Mało prawdopodobne. – Feli mówiła teraz trochę ciszej. – Ponieważ jest jeszcze druga taksówka – wyszeptała ze wzrokiem skierowanym na kierowcę, który, jak się wydawało, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi i nie okazywał widocznej reakcji w lusterku wstecznym.

– Słucham? – zapytał Mats zmieszany. – Druga taksówka? Co to ma znaczyć?

– Przyjechała godzinę później. Dokładnie o wpół do siódmej. Posłuchaj mnie, Mats. Ta druga była prawdziwa. Zamówiona w Sani-Funk, usługodawcy, który specjalizuje się w transporcie chorych. Wcześniej odsłuchałam wiadomość od kierowcy na automatycznej sekretarce Nele i oddzwoniłam. Okazało się to strzałem w dziesiątkę! Nele zamówiła transport do szpitala już kilka tygodni wcześniej. Na wpół do szóstej. Ale ktoś wczoraj zadzwonił i chciał odmówić kurs. Wyjaśniono dzwoniącemu, że tak nie można, że jest na to za późno, że i tak musi zapłacić. Chcieli wziąć numer karty kredytowej, wtedy dzwoniący zdecydował się skorzystać z taksówki, ale poprosił o zmianę godziny na późniejszą.

– Nie wszystko rozumiem – powiedział Mats. – Skąd porywacze wiedzieli, jaką firmę taksówkową wynajęła Nele?

– Prawdopodobnie nie wiedzieli. Ale w mieście jest tylko garstka takich firm, w zasadzie tylko trzy duże. Sądzę, że obdzwonili wszystkie i na chybił trafił chcieli anulować zamówienie Nele. W ten sposób poznali pierwotną godzinę zamówienia.

Przejechali Prenzlauer Allee w miejscu, gdzie Ostseestraße w drodze na zachód przechodzi w Wisbyer Straße.

– Po co? – zapytał Mats, który najwidoczniej tak się stresował, że miał trochę przytępiony umysł.

– Przecież to logiczne. Chcieli przesunąć przyjazd na później, żeby porywacze mogli przyjechać przed prawdziwą taksówką.

– Aha, tą pierwszą taksówką?

No nareszcie, westchnęła w duchu Feli.

– Zgadza się.

– Nele została uprowadzona przez taksówkarza? – niemal krzyknął Mats. W tej samej chwili w telefonie Feli rozległ się sygnał.

Odsunęła słuchawkę od ucha, żeby zobaczyć, kto chce z nią rozmawiać.

O, cholera.

Janek. Co miała mu powiedzieć?

„Sorry, skarbie, ale właśnie ścigam przestępców razem z moim byłym kochankiem, możliwe, że w urzędzie stanu cywilnego będziesz musiał sam zacząć”.

Gdyby miała po kolei w głowie, przerwałaby teraz połączenie z Matsem i powiedziała kierowcy, żeby zawrócił i jak najszybciej zawiózł ją do domu. Ale słowo „rozsądna” nie było przymiotnikiem, którym przyjaciele charakteryzowali ją w pierwszej kolejności, w przeciwieństwie do „impulsywna” albo „do bólu lojalna”.

Teraz mogła sama się okłamywać i wmawiać sobie, że musi uratować z opresji córkę Matsa, ale w rzeczywistości (będąc lekarzem psychiatrii, była dostatecznie wykwalifikowana do takiej samoanalizy) robiła to przede wszystkim dla siebie. Uczucie do Matsa już dawno nie było takie jak kiedyś, wyblakło i pożółkło po wszystkich latach, kiedy nie dawał znaku życia. Ale uczucie nie znikło; tylko pokryło się kurzem jak zapomniane meble w pustym domu. I chociaż była to smutna okazja, miała ogromną satysfakcję, że znów potrzebuje jej mężczyzna, o którym myślała, że już nigdy nie będzie umiała go zapomnieć.

– Taksówkarz! – krzyknął jeszcze raz Mats, a w słuchawce przestało pikać. Janek się poddał.

– Przynajmniej ktoś, kto się za niego podawał – odparła Feli. – Na nagraniu nie widać numeru rejestracyjnego.

– Ale masz zdjęcie sprawcy?

– Tak, wygląda jak typowy student. Wysoki. Niezgrabny, niechlujne włosy, pólpełne sandały.

– Widać jego twarz?

– I coś jeszcze lepszego.

Kierowca jej taksówki raptownie wdepnął hamulec i przeprosił, że za późno zobaczył fotoradar na Bornholmerstraße. Feli poluzowała pas, który wrzynał jej się w ciało.

– Co masz na myśli, mówiąc, że masz coś lepszego? No mów. Tu chodzi o życie mojej córki.

Kiwnęła głową.

– Kiedy wysiadł, żeby poczekać przy taksówce, którą zaparkował w drugim rzędzie, trzymał w ręku torbę. Włożył ją do bagażnika. Logo na torbie...

– No powiedz wreszcie – przerwał jej Mats niecierpliwie.

– ...było takie samo jak na torebce w łazience Nele. W której trzymała lekarstwa. Już chciała skonkretyzować, ale Mats ją ubiegł.

– Przychodnia lekarska Wedding.

– Właśnie – potwierdziła Feli i spojrzała na nawigację taksówki.

Za jakieś piętnaście minut powinni być na miejscu.

22

MATS

Większość pasażerów spała. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Wyczerpani kontrolą biletów, paszportów i bagaży. Zmęczeni długim czekaniem na wejście na pokład. Uśpieni szumem silników, napchani odgrzewanym gotowym jedzeniem, kiedy już zgasły światła w kabinie. Tylko nieliczni włączyli lampki do czytania; również wielu z tych, których twarze, oświetlane zmieniającymi się obrazami na monitorach, przybierały różne kolory w zależności od sceny, miało zamknięte oczy. Zasnęli podczas filmu.

Sen. Co za łaskawy stan nieświadomości.

Mats szedł po omacku przez dolny pokład pasażerski z boleśnie łzawiącymi oczami i z każdym krokiem, którym zbliżał się do skrzydeł, wzrastał w nim niepokój.

Niektórzy pasażerowie mimo ciemności opuścili zasłonki w oknach, co było mądrym posunięciem, jeśli nie chcieli, żeby za kilka godzin obudziło ich wschodzące słońce.

O ile do tego czasu dożyją.

Mats modlił się, żeby Feli naprawdę znalazła coś, co uratowałoby życie Nele bez narażania niewinnych osób.

Idąc wzdłuż samolotu, widział pojedyncze wolne fotele. Osieroczone miejsca tych szczęśliwców, którzy zrezygnowali z rezerwacji, spóźnili się na samolot albo nie polecili z innego powodu i dlatego również jutro będą mogli cieszyć się życiem. Ale pomijając miejsca, które sam zarezerwował, prawie wszystko było zajęte. Jakaś para młodych ludzi zajęła w trzydziestym pierwszym rzędzie cztery środkowe siedzenia i jeszcze przy starcie na pewno cieszyła się, że ma dla siebie tak dużo miejsca. A starszy mężczyzna w okularach wykorzystał wolne miejsce między sobą a śpiącą

kobietą na skład różnych dokumentów, których widocznie potrzebował do opracowania, jakie pisał na laptopie. Poza tym w rzędach siedzeń prawie nie było luk.

Jeśli szaleńcowi jakoś udałoby się urzeczywistnić swój zamiar, zginęłoby sześćset dwadzieścia sześć osób. Podstępnie zamordowanych.

Przeze mnie.

Chociaż samolot leciał zupełnie płasko, Mats miał uczucie, że wspina się na strome wzgórze. Wydawało mu się, że dotarcie do czterdziestego siódmego rzędu zajęło mu nieskończenie długi czas. Jego wzrok padł najpierw na Trautmanna. Pigułka za dwanaście tysięcy dolarów najwidoczniej była bardzo skuteczna. Przedsiębiorca spał z otwartymi ustami i chrapał. Przez zwisającą z ust ślinę przypominał buldoga. Trautmann musiał się na chwilę obudzić, bo oparcie jego fotela było odchyłone do tyłu. Jednak niewielki kąt nachylenia nie dał dużej wygody. Człowiek siedzący tak krzywo jak Trautmann w swoim fotelu będzie czuł podczas lądowania wszystkie kości.

O ile nie rozbiją się wcześniej o twarde jak beton wody Atlantyku.

Mats otworzył schowek na bagaż nad swoim siedzeniem, powoli i uważnie, żeby nie wypadła z niego przesunięta ewentualnie podczas startu walizka, ale jego obawy okazały się nieuzasadnione. Wyjął ją i postawił na skrajnym siedzeniu. Tabletki maxalt znajdowały się w zasięgu ręki w zewnętrznej kieszeni. Pośpiesznie położył jedną na języku i czekał, aż się rozpuści. Wmówił sobie, że szpony na karku wbijają się trochę lżej, i otworzył oczy.

Dopiero wtedy to zauważył.

Miejsce 47F.

To przy oknie.

Było puste.

W zasadzie nie był to powód do zaniepokojenia ani jakichkolwiek obaw, bo przecież pasażer, który wcześniej okupował to miejsce, mógł się obudzić i pójść do toalety. Ale Mats, idąc tu, dopiero co rozglądał się za wolnymi miejscami i był pewny, że jego nie widział.

No dobrze, było ciemno. I z daleka można wziąć zmiętoszony koc za tułów człowieka, a wciśniętą między zagłówek a ścianę kabiny poduszkę za głowę.

Czy na pewno?

Mats rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich sygnalizatorów toalet w pobliżu tylko jeden świecił się na czerwono. Pozostałe toalety były wolne. Z wyjątkiem tej, którą

sam wcześniej odwiedził.

Żeby oddzwonić do porywacza.

Zastanawiał się, co powinien zrobić. Zadawał sobie pytanie, co właściwie go tak zaniepokoiło. Biorąc pod uwagę konkretne zagrożenia, o jakich właśnie się dowiedział, nie miało przecież sensu tracić nad sobą panowania z powodu pasażera, który jeszcze niedawno spał, a teraz prawdopodobnie gdzieś na chwilę poszedł. A mimo to Mats czuł, że znów budzą się w nim oznaki strachu przed lataniem. Przyspieszone bicie serca, pot, duszności. Wąż strachu nadpełzał i Mats musiał usiąść, żeby zrobić miejsce młodemu ojcu, którzy w przejściu prowadził za sobą zaspanego synka prawdopodobnie do tylnych wolnych toalet.

Drżąc, nerwowymi ruchami potarł dłonie o spodnie, próbując usunąć z nich pot, jednocześnie jego wzrok powędrował do miejsca 47F.

Nic.

Pod przednim siedzeniem nie było podręcznego bagażu. Żadnych przedmiotów osobistych za siatką w oparciu poprzedzającego siedzenia.

Nic oprócz małej szklanej ampułki. Tak małej, że Mats omal jej nie przeoczył. Leżała pod błękitnym kocem, jaki był na wyposażeniu samolotu, w zagłębieniu szwu tapicerki fotela. Mats obracał ją w palcach, nie bardzo wiedząc, co trzyma w rękach i czy w ogóle ma to jakieś znaczenie. Włączył lampkę do czytania i dokładnie się jej przyjrzał. Mała fiolka zawierała lśniąca brązową ciecz, przypominającą whiskey, ale być może to szkło miało taki kolor. Rozejrzał się dookoła. Sygnalizacja „zajęte” na drzwiach toalety, która dopiero co się świeciła, teraz zgasła, ale nie było nikogo w przejściu. Nikogo, kto szukałby powrotnej drogi do rzędu 47.

A więc jednak.

Przystawił ampułkę do nosa. Kiedy nic nie poczuł, zrobił krok dalej i ją otworzył. Jeszcze ostrożniej niż schówek na bagaż, ale w niczym nie zmniejszyło to straszego, zapierającego dech, zmieniającego wszystko efektu.

Mats zamknął oczy i najchętniej by krzyknął. Z wściekłości, szczęścia, smutku, bólu, rozpacz i radości.

Ale niepokojący aromat, który podrażnił jego zmysły, ten niedający się z niczym pomylić zapach, który na krótko poczuł już przy starcie, tym razem dosłownie poderwał go z fotela. Tylko że to nie jego ciało, lecz jego dusza rozpoczęła podróż w czasie. Cztery lata wstecz, do Berlina. Do sypialni jego mieszkania przy Savignyplatz, w którym był kiedyś tak szczęśliwy. Wtedy, kiedy ostatni raz poczuł od niej zapach

tych rzadkich perfum.

Od Kathariny, swojej umierającej żony.

23

Berlin Cztery lata wcześniej

Pamiętasz jeszcze?

Jej głos brzmiał, jakby jej płuca były wypełnione ziarenkami ryżu, które przy każdym oddechu szeleściły w oskrzelach. Obracała w dłoniach starą koktajlową szklankę, zmatowiałą z upływem lat.

Mats usiadł obok niej na brzegu łóżka, pogłaskał ją po ręce i uśmiechnął się smutno.

Oczywiście, że pamiętał. Jak mógłby zapomnieć ten dzień, kiedy ukradł ją z baru przy Hindenburgdamm? Był rześki letni dzień, siódmy lipca, najważniejszy dzień w jego życiu; ważniejszy od dnia urodzin Nele, która nie przyszłaby na świat, gdyby nie ten siódmy lipca.

– Byłeś taki niezręczny. – Zaśmiała się, ale jej zazwyczaj tak zaraźliwy śmiech był już tylko cieniem dawnych wybuchów radości i przeszedł w atak kaszlu.

Historia była jak w Yesterday Beatlesów. Słyszał ją tysiąc razy i do tej pory mu się nie znudziła. W rzeczywistości w tej chwili dałby wszystko, żeby mieć sposobność wysłuchać z ust Kathariny jeszcze tysiąc razy, jak się poznali: wtedy w barze Bluebird, gdzie siedział przy fortepianie niczym Humphrey Bogart w trenczu i z papierosem w ustach i popisywał się chyba najgorszą interpretacją wszech czasów As Time Goes By.

Przed Kathariną i jej przyjaciółkami, które na zmianę śmiejąc i wstydząc za niego, nie mogły odwrócić od niego wzroku.

– No, ale przynajmniej dałaś mi swój numer. – Uśmiechnął się, a ona jak zawsze poprawiła go.

– Dałam ci fałszywy numer. – Zapisany szminką na tej koktajlowej szklance, którą

teraz, lata później, wciąż miała. Numer stacjonarny jej ówczesnego chłopaka.

– Gdybyś rzeczywiście nie chciała mnie więcej widzieć, wymyśliłabyś jakikolwiek numer – kontynuował Mats prowadzoną już tysiąc razy rozmowę. – A tak w końcu udało mi się jakoś cię znaleźć.

Oczywiście napis już dawno zniknął, tak jak włosy Kathariny po chemioterapii. Szklanka była już tylko wspomnieniem czegoś, czego już nie było: nadziei, chęci życia, przyszłości.

Za to pierwszy raz od wielu lat była napełniona: stoma mililitrami przezroczystego, podobnego do dżinu płynu o zapachu, który przypominał migdały

– Podaj mi słomkę – poprosiła Katharina i ścisnęła jego dłoń z taką siłą, z jaką piórko naciska na skałę.

– Nie mogę – powiedział Mats, który przygotował sobie tysiąc innych zdań, ale teraz nie potrafił zapobiec, żeby z jego ust wyszła prawda. – Proszę cię, a może by jednak...

– Nie – sprzeciwiła się słabo, ale stanowczo. Katharina wszystko przygotowała. Skontaktowała się ze szwajcarską organizacją, która pomaga ludziom odejść z tego świata. Załatwiła preparat. Ustaliła dzień.

Dzisiaj.

Jak niepoważna była jego próba odwleczenia tego, co nieuchronne. Jakie argumenty przeciwstawić rakowi i niemożliwemu do zniesienia bólowi, jaki powodował?

– Jeszcze tylko ta jedna zima, skarbie. Chcę ci jeszcze coś pokazać. Wiesz, jak wygląda zamrożona bańka mydlana? Jest przepiękna. Najbardziej krucha bombka choinkowa na świecie, która przy minus szesnastu stopniach w kilka chwil pokrywa się migoczącymi gwiazdkami. Pokochasz to, Katharino. Poczekajmy do zimy, jeszcze pół roku, wtedy...

– Nie chcę umierać, kiedy jest zimno – zaprotestowała i zamknęła oczy.

Zamilkł. Bezradny, zmęczony, bardziej smutny niż kiedykolwiek. Siedział na brzegu łóżka bezsilny, przyglądał się szklance w jej dłoni, którą mocno obejmowała, chociaż – jak zauważył po chwili – usnęła.

Mats zastanawiał się, czy nie powinien wyjąć szklanki z jej dłoni. Wylać truciznę, udaremnić próbę. Albo przynajmniej odwlec.

Ale nawet na to był zbyt tchórzliwy.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedział w końcu i wstał. Ostatnie słowa, jakie

skierował do żony. Zanim ją pocałował, włożył słomkę do szklanki i wyszedł z domu. Pełen wściekłości, bólu i wyczerpania po długiej walce, w której chciał trwać u boku Kathariny do samego końca. Ale w rzeczywistości opuścił ją w ostatnich godzinach. I wyruszył, żeby zrobić najbardziej podłą i okropną rzecz w swoim życiu, i...

– Przepraszam?

Mats otworzył oczy.

Zapach, który nagle przeniósł go w przeszłość, zniknął. Miejsce przy oknie obok niego wciąż było puste, za to w przejściu stała stewardesa i pochylała się nad Matsem.

– Czy nie przeszkadzałoby panu, gdyby trochę przyciszył pan telefon? – zapytała i dopiero wtedy Mats zauważył, że jego świadomość stłumiła dźwięk dzwonka.

– Cały czas dzwoni, a inni pasażerowie chcą spać.

24

Gdzie pan był, doktorze Krüger?

Mats zignorował dwie pierwsze przychodzące rozmowy i odebrał dopiero trzecią, kiedy już wrócił na górny pokład do Sky Suite. Kierował się nielogicznym, ale niedającym się przewyciężyć uczuciem, które podpowiadało mu, żeby rozmawiać z porywaczem w zamkniętym pomieszczeniu, jakby to dawało mu przynajmniej odrobinę większą kontrolę. Dlatego stał teraz w części sypialnej przy łóżku i próbował nie krzyczeć.

– Spełniłem pańskie szalone instrukcje.

– Tak pan mówi? A może próbował mnie pan wyśledzić? – zapytał głośno.

Mats zamknął oczy.

Napaść. Przytrzaśnięte palce.

Kimkolwiek oni byli, musieli pilnować mieszkania Nele i zaskoczyli Feli.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Czyżby? No dobrze, i tak nic pan nie wskóra. Nieważne, co pan zamierza. Lepiej nich pan nie traci czasu, w przeciwnym razie Nele...

Mats energicznie wszedł Johnny'emu w słowo:

– Jak ona się czuje?

– Źle.

– Ty dupku, chcę z nią mówić...

– To niemożliwe. Właśnie ma rozdzierające bóle.

Błagam, dobry Boże...

– Czy ona jest... czy ma... mam na myśli, czy ma zapewnioną opiekę?

– Nie jest sama, jeśli o to panu chodzi. Ale człowiek, który jej pilnuje, nie jest dyplomowanym położnikiem. Raczej przeciwnie, jeśli wie pan, co mam na myśli. Nie zawaha się zabić pańskiej córki i dziecka, jeśli nie wywiąże się pan ze swojego zadania, doktorze Krüger.

Mats przełknął ślinę.

– Dlaczego pan to robi? Dlaczego zmusza mnie pan, żebym tak dręczył moją byłą pacjentkę?

– Zmuszam? Wcale nie musi pan tego robić, jeśli uzna pan, że sześćset dwadzieścia pięć obcych ludzi i pan jesteście więcej wariacji od pańskiej córki. I oczywiście jej dziecka. Myślę, że to nie potrwa już długo i ono się urodzi.

Mats chwycił się nerwowo za twarz. Niemal poczuł plamy gorąca, które ciągnęły się od jego szyi po policzki.

– Niech pan posłucha, czy nie możemy porozmawiać o tym rozsądnie?

– Sądzę, że już to robimy.

– Nie. To wszystko to jakiś obłąd. Reaktywowanie traumy Kai to jedno. Ale jak pan zamierza spowodować, żeby wcieliła w życie swoje fantazje na temat przemocy? Nie tak łatwo przejąć samolot, nawet stewardesie.

Johnny zachichotał.

– Proszę się nie martwić, to już mój problem.

– Ale...

– Dowie się pan tego wystarczająco wcześnie. Musi pan tylko trzymać się instrukcji. Widział pan wideo z sali gimnastycznej?

Mats westchnął wyczerpany.

– Znam nagranie z dnia, kiedy Kaja wpadła w szal.

– Czy obejrzał je pan do końca? – naciskał Johnny.

– Nie, przeszkodziła mi Kaja.

Głos porywacza był teraz radośnie ożywiony, co zirykowało Matsa.

– Czy pani Claussen widziała, co leci na kanale 13/10?

– Przelotnie, ona...

– Dobrze. Bardzo dobrze. Niech obejrzy je w całości.

– Czemu to ma służyć?

Mats stał teraz przy drzwiach części sypialnej i chłodził czoło o metalowe okucie.

– Dowie się pan, kiedy ona obejrzy to do końca. Niech mi pan zaufa.

Szantażysta powiedział to tak, jakby chciał się już rozłączyć, dlatego Mats pośpiesznie wtrącił:

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Czy to wszystko tutaj ma jakiś związek z moją żoną?

Cisza.

Przez chwilę znów poczuł zapach perfum Kathariny, ale w tym momencie było to oczywiście tylko olfaktorycznym pobożnym życzeniem jego przemęczonego umysłu.

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Ja... nie wiem. Krótko po starcie miałem wrażenie, że ją widzę.

A facet, który ukradł moje miejsce, położył na siedzeniu jej perfumy.

– Nie, doktorze Krüger – odparł szantażysta. – Pańska żona nie ma z tym nic wspólnego. Ma pan moje słowo. A propos, bardzo mi przykro, że musiała wtedy tak samotnie umierać. Byłaby wielka szkoda, gdyby to samo musiało spotkać Nele.

Mats miał uczucie, jakby spadał setki metrów w dół, chociaż samolot leciał spokojnie. Następne słowa dotarły do niego razem z szumem w uchu, jakby znów siedział na dole w czterdziestym szóstym rzędzie i oddychał ciężkim powietrzem klasy ekonomicznej.

– Zostało panu jeszcze osiem godzin i siedemnaście minut lotu. Niech pan wykorzysta każdą sekundę. Proszę obejrzeć wideo z sali gimnastycznej od A do Z. Wtedy będzie pan wiedział, gdzie szukać słabego punktu Kai.

– A gdy już to zrobię?

– Wtedy nie będzie pan musiał robić nic więcej. Tylko czekać.

– Na co?

– Jak to na co? Na katastrofę, oczywiście. – Johnny był szczerze rozbawiony. – Niech pan doprowadzi Kaję na skraj najgłębszej psychicznej przepaści. Reszta przyjdzie sama.

25

FELI

Zapadnięte twarze, przekrwione oczy, chude, niemal wycieńczone ciała ludzi, którzy siedzieli ze skrzyżowanymi na kolanach dłońmi i zmęczonym ruchem unieśli głowy.

Kiedy Feli weszła do poczekalni przychodni lekarskiej Wedding, na widok pacjentów nie mogła powstrzymać się od myśli, że wszyscy, którzy tu pracują, zawdzięczają swoje dochody prywatnym tragediom. Guzy nowotworowe, które zagnieźdżały się w płucach, dając przerzuty, narośla odporne na naświetlania, choroby autoimmunologiczne, których leczenie kosztowało tyle co samochód małowitrazowy. Oczywiście było to niesprawiedliwe i cyniczne postawienie sprawy. Równie dobrze można byłoby twierdzić, że policjanci żyją z przestępców. A mimo to lekko podejrzany wydał się Feli dyskretny luksus, który ujrzała po otwarciu elektrycznie przesuwanych szklanych drzwi, zgrabnie wkomponowanych w stary fabryczny budynek, tak żeby nie sprawiały wrażenie obcego ciała w staroświeckich murach. Czarno-białe fotografie na ścianach w drodze do recepcji przypominały wcześniejsze przeznaczenie dawnej drukarni, którą obecnie wykorzystywano głównie na przychodnię lekarską profesora Hansa-Wernera Klopstocka, żeby leczyć tu przewlekle i śmiertelnie chorych pacjentów.

Mężczyzna, który przy recepcji bezwstydnie wepchnął się przed Feli, sprawiał wrażenie zdecydowanie naładowanego energią.

– Proszę zdobyć się na odwagę, Solveig – powiedział do asystentki za ladą. – Proszę na mnie popatrzeć.

Szczupły, mniej więcej dwudziestopięcioletni ciemnowłosy mężczyzna cofnął się o krok, przekraczając w ten sposób dyskrecjonalny dystans między sobą a Feli, która teraz niezamierzenie stała się świadkiem iście teatralnego przedstawienia.

– To już mój koniec. – Chwycił się za pierś udawanym teatralnym gestem i już samo to wywołało u asystentki uśmiech, wyglądający bardziej na matczyzny.

– Przykro mi, panie Kress.

– Livio, proszę zwracać się do mnie Livio.

Feli aż przewróciła oczami, widząc tę łatwą do rozszyfrowania próbę flirtu.

– Nie mogę pana nigdzie wcisnąć, panie Kress. I dobrze pan o tym wie.

– Ale ja potrzebuję koktajlu witaminowego, proszę, Solveig. Niech pani popatrzy w te brązowe oczy. Niech pani spojrzy na moją w połowie włoską, bezwarunkowo szczerą twarz.

Mężczyzna padł na kolana, wyciągnął jak złożone do modlitwy dłonie, błagając asystentkę, która ze współczuciem kręciła głową z wysoko upiętymi włosami.

– Zaledwie przedwczoraj miał pan infuzję.

– I ona taaak dobrze mi zrobiła.

Solveig położyła palec na ustach i wydawało się, że się zastanawia.

– Weźmie mnie pan dziś wieczorem na tańce?

– Mówi pani poważnie? – zapytał Livio, szczerze zdumiony, że jego podstęp mógł okazać się skuteczny. Podniósł się z kolan i otrzepał kurz z czarnych spodni cargo.

– Nie – rozczarowała go asystentka, uśmiechając się. – Żartowałam. Proszę posłuchać, kasa chorych nie płaci według czyichś upodobań. Jeśli chce pan dostać dzisiaj infuzję, będzie to świadczenie prywatne.

Livio westchnął, dotknął palcem twarzy, jakby wytarł łzę z kąta oka.

– W takim razie prawdopodobnie widzimy się ostatni raz, Solveig. Proszę pomyśleć o mnie, kiedy przeczyta pani nagłówek: „Umarł samotnie pod mostem. Na niedobór witamin”.

Feli poczuła gwałtowny wstrząs całego ciała, kiedy młody mężczyzna raptownie się odwrócił i wpadł na nią.

Zachwiała się i musiała oprzeć się o kontuar, żeby nie upaść. Wtedy jej przytrzaśniętą dłoń przeszyło ostrze kolejnego bólu i aż musiała zagryźć zęby, żeby nie krzyknąć.

– Och, sorry, przepraszam – powiedział mężczyzna ze współczuciem i popatrzył na nią szeroko otwartymi ciemnobrązowymi oczami. Przytrzymał ją mocno obiema rękami i zapytał: – Coś pani zrobiłem? Naprawdę nie chciałem.

Rysy jego twarzy tworzyły specyficzną, trudną do określenia kombinację. Z jednej strony, były kanciaste, co nadawało jej łobuzerski, a nawet lekko cwaniacki wyraz. Z

drugiej – oczy miał tak duże, a usta takie pełne, że Feli wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby Solveig rzeczywiście przystała na próbę flirtu Livia.

– Nie, nie. Już dobrze. – Odtrąciła jego dłonie, z których jedna spoczywała na jej ramieniu, a druga na biodrze, jakby chciał z nią tańczyć.

– Na pewno?

– Wszystko w porządku.

– Strasznie przepraszam.

Pożegnał się, mocno gestykułując, nie zapomniał też przy okazji mrugnąć raz jeszcze do asystentki.

– Ale cwaniak. – Solveig uśmiechnęła się, patrząc za mężczyzną, potem przywitała się z Feli. – W czym mogę pani pomóc?

Dobre pytanie.

Chciała się dowiedzieć, jaki jest związek między rzekomym taksówkarzem a tą przychodnią, jeśli w ogóle jakiś jest. Jeszcze pięć minut temu wydawało jej się to ryzykownym, ale dość logicznym pomysłem. Teraz nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Była lekarzem psychiatrii, nie dziennikarką śledczą, a co dopiero policjantką. Jedynym problemem dochodzeniowym, którym powinna się dzisiaj zajmować, było to, czy suknia ślubna dobrze na niej leży i jak w padającej mżawce nie zniszczyć fryzury przynajmniej do chwili wejścia do urzędu stanu cywilnego. Zamiast tego odgrywała pannę Marple dla byłego kochanka. A szukając córki Matsa, pomagała mu, prawdę mówiąc, znaleźć główny powód ich ówczesnego rozstania.

Gdyby nie Nele, nigdy nie uciekłyby do Buenos Aires.

– Czy zastałam profesora Klopstocka?

– Czy była pani umówiona?

Feli pokręciła głową.

– To prywatna sprawa. Jesteśmy kolegami.

Feli nie musiała zdradzać Solveig, że osobiście nigdy się nie poznali. Klopstock był powszechnie znany w fachowych kręgach. Mniej się to jednak wiązało z jego znaczącymi, co trzeba uczciwie przyznać, sukcesami terapeutycznymi, a dużo bardziej z jego zadziwiającym zmysłem do robienia interesów. Był nie tylko onkologiem, lecz również specjalistą w zakresie psychiatrii, co stanowiło niemałą zaletę, bo mógł leczyć i wystawiać rachunki swoim niejednokrotnie śmiertelnie chorym pacjentom, mającym zarówno zaburzenia organiczne, jak i psychiczne.

Dodatkowo zarządzał jednym z największych w mieście laboratoriów krwi i pisał popularne bestsellery medyczne o tytułach w rodzaju: *Metoda Klopstocka: Zwalczaj raka w twojej duszy, wtedy dusza pokona raka*.

– Przykro mi – powiedziała asystentka – ale dzisiaj jest w klinice Ku'damm.

Klopstock, który postrzegał siebie bardziej jako przedsiębiorcę niż jako lekarza, utrzymywał kilka filii rozsianych po mieście, które górnolotnie nazywał „klinikami”, nawet jeśli zajmowały tylko jedno piętro w jakimś starym budynku.

– Czy mam mu coś przekazać?

– Nie, dziękuję. – Feli już chciała się pożegnać, ale kiedy szukając w kieszeni kurtki komórki, natrafiła na złożoną kartkę papieru, postanowiła jednak spróbować.

Ach, co mi szkodzi...

Skoro już tu była, to czemu nie zaryzykować.

– Czy zna pani tego mężczyznę? – zapytała Feli i pokazała Solveig wydruk zdjęcia, które dał jej wcześniej aptekarz.

– Hm...

Asystentka włożyła okulary i z zaciekawieniem przyglądała się powiększonej czarno-białej fotografii. Nie była najlepszej jakości, ale zawsze lepsza od większości zdjęć, za pomocą których policja szukała awanturników z metra i innych kryminalistów, jacy napatoczyli się przed kamery monitoringu.

– Taksówkarza? – Postukała palcem w sylwetkę chudego mężczyzny o pociągłej twarzy, którego Feli ochrzciła „studentem”.

– Tak.

Chociaż wydawało jej się, że zobaczyła w oczach Solveig krótki błysk, mówiący o tym, że zna osobę ze zdjęcia, asystentka pokręciła głową i już chciała coś powiedzieć, kiedy nagle znów stanął pomiędzy nimi Livio.

– Proszę spojrzeć, kochana Solveig, co właśnie dla pani zerwałem!

Z szarmanckim uśmiechem precyzyjnie przycisnął się tuż obok Feli i podał asystentce bukiet chryzantem na długich łodygach.

– Niech pan natychmiast odstawi je z powrotem do wazonu przy wejściu – zażądała Solveig, tym razem bez uśmiechu.

Feli nie była pewna, czy przyczyną nagłej zmiany jej nastroju rzeczywiście była bezczelność pacjenta, czy też raczej zdjęcie, które chciała oddać, gdy tylko Livio się wyniósł.

– Nie znam go, przykro mi. Muszę teraz załatwić coś w laboratorium.

Solveig postawiła na ladzie tabliczkę informującą o przerwie i się pożegnała.

– No cóż, skoro tak.

Feli usłyszała, jak zamknęły się drzwi wejściowe, za którymi prawdopodobnie właśnie zniknął Livio. Gdy znów odwróciła się do lady recepcyjnej, Solveig poszła już na zaplecze i Feli została sama w holu lecznicy.

No i dobrze, i tak był już najwyższy czas, żeby wróciła do domu się przebrać.

Włożyła zdjęcie z powrotem do kieszeni i chciała zadzwonić po taksówkę, ale kiedy szukała komórki, stwierdziła, że kieszeń jest pusta. Zdziwiona obmacywała wszystkie możliwe kieszenie, ale na próżno. Telefon znikł.

Może zostawiłam go w taksówce?

Nie. Doskonale pamiętała, że wysiadając, trzymała go w ręku i wsadziła do kieszeni.

Płaszcz.

Który wciąż miała na sobie.

Którego nie zdejmowała.

Usłyszałaby, gdyby wypadł, zwłaszcza tutaj, na twardą podłogę przychodni. A nawet jeśli by nie usłyszała, to musiałby leżeć tuż pod jej nogami, bo mogło się to zdarzyć tylko wtedy, kiedy wpadł na nią Livio...

Livio!

Serce zaczęło bić jej szybciej i poczuła, jak z bólu znów zaczyna pulsować jej dłoń.

– Co za podły gnojek – syknęła, rozejrzała się dookoła i skierowała do drzwi, za którymi pacjent znikł na schodach.

26

MATS

„**J**ak na kocich łbach”.

Kolejne stwierdzenie prowadzącego seminarium na temat strachu przez lataniem, które przyszło Matsowi na myśl teraz, kiedy samolot leciał nad Atlantykiem przez strefę „silnych bocznych wiatrów”, jak przed pięcioma minutami kapitan zakomunikował pasażerom przez głośniki pokładowe.

„Skrzydła mogą odginać się w górę i w dół nawet na wysokość jednego piętra w starym budownictwie, a i tak nic się nie stanie”.

Mats siedział przypięty pasami w fotelu i w duchu walczył z uderzeniami fal powietrza, które atakowały samolot. Strach przed lataniem nie paraliżował go tak mocno, jak się obawiał. Przy czym uspokajało go nie tyle wyobrażenie, że oba skrzydła, w których znajdowało się przecież czterdzieści tysięcy trzysta litrów wybuchowego materiału napędowego, mogą się bezpiecznie odchyłać w górę i w dół. To bardziej strach o córkę powstrzymywał go przed tym, żeby nie biegać z krzykiem po samolocie albo leżeć na podłodze Sky Suite i łapać powietrze szeroko otwartymi ustami, jak ryba wyrzucona na brzeg. Mimo wszystko...

Kocie łby?

Dla niego odczucie było raczej takie, jakby kuter rybacki wspinał się na grzbiet olbrzymiej fali i następnie wpadał w głęboką otchłań. Wiedział oczywiście, że mózg uznaje różnice wysokości za tym większe, im szybciej porusza się opadające ciało. Wyboje odczuwa się inaczej w zależności od tego, czy jedzie się z prędkością dziesięciu, czy stu kilometrów na godzinę. A oni mieli prawie tysiąc na liczniku!

Skoncentruj się. Musisz się skoncentrować.

Mats zanotował w notesie: „*Sprawca nie jest jeden*”. Głos wspomniał co najmniej

jeszcze jednego szaleńca, tego, który więził Nele. To wszystko było znacznie szerzej zakrojoną akcją, który wymagała zaplanowania. Tym samym można było wykluczyć, że pojedynczy sprawca działa wskutek impulsu, z zazdrości albo z chęci zemsty; a więc że był to na przykład jakiś jego dawny pacjent, który uznał, że źle go leczono. Im więcej wtajemniczonych, tym większe ryzyko. Cel, do jakiego zmierzał Johnny, musiał mieć dla niego wyjątkowe znaczenie.

Maszyna trzęsa się w kolejnej dziurze powietrznej, w „niestabilnej warstwie”, jak należałoby powiedzieć poprawnie, bo przecież w powietrzu nie ma dziur. Nawet jeśli człowiek właśnie tak to odczuwa.

Nakłady

...zanotował Mats w następnej kolejności.

Mieli środek transportu, mieli miejsce, w którym nikt nie mógł usłyszeć krzyków rodzącej kobiety, mieli porywacza.

Kierowcę taksówki!!!

Wielki Boże, niechże ta Feli coś ustali.

Kiedy ona wreszcie zadzwoni? Przecież już od dłuższego czasu musi być w przychodni.

Rozpoznanie!

Bardzo ważne. Wiedzieli o nim, o Kai i Nele. O ich kłopotach, cierpieniach, obawach i traumach. Wiedzieli nawet o samotnej śmierci jego żony!

Dostęp!

Był to, być może, najistotniejszy punkt.

Sprawcy mieli dostęp do mieszkania Nele, ale również do tego samolotu. Nie musieli nigdzie rozmieszczać żadnej broni fizycznej, to było najbardziej perfidne w ich planie. Bomba psychiczna przedostawała się niezauważalna przez każdą, choćby najbardziej skrupulatną kontrolę naziemną. To nie mógł być przypadek, że Kaja znalazła się razem z nim na pokładzie tego samolotu. Jak się o tym dowiedzieli? I w jaki sposób wideo znalazło się w programie telewizji pokładowej?

Wideo!

Mats obrócił się z fotelem tak, że mógł patrzeć na ekran wpuszczony w zewnętrzną ścianę łazienki, i znów włączył kanał 13/10.

Film rozpoczął się od rozdygotanych obrazów, które Mats w czasie przygotowań

do seansów terapeutycznych z pewnością widział już dziesiątki razy.

Kaja nazywała je „taśmami z sali gimnastycznej”, w rzeczywistości był to tylko jeden film i Mats znał go pod nazwą „nagranie Fabera”. Nazwano go tak od autora nagrania: Johannes Faber.

Kaja myślała, że jest sama, kiedy szalencie z pistoletem w ręku poprowadził ją do przebieralni.

Mats zobaczył jasną plamę, na której nagle wyłoniły się sylwetki. Usłyszał dwie płaczące dziewczyny, Trishę i Kim, które ukryły się w kabinie prysznicowej i teraz wybiegły. Półnagie, boso, w sportowych spodenkach, biegły po życie, które miały do zawdzięczenia Kai. Ponieważ ona się poświęciła.

„*Rób ze mną, co zechcesz*”, powiedziała, i Mats tak samo jak wówczas podziwiał jej odwagę. „*Masz przecież mnie, pozwól im odejść*”.

Gotowość poświęcenia się, jakiej teraz zażądano od niego.

Jak gdyby zamykał się jakiś krąg...

Mats przesunął kolejny odcinek filmu, który już znał. Ten, na którym Peer wsunął Kai pistolet do ust. Zmusił ją do tego, żeby się rozebrała i uklękła przed nim.

„*Jak suka, która ma cieczkę*”, rozkazał. A ona posłuchała. Musiała mu się zaprezentować na czworakach. Z bronią tym razem przyłożoną z tyłu głowy. Przez siedem minut. Cały czas wydana na jego pastwę. Na jego pchnięcia, aż do czasu, kiedy w niej skończył, z krzykiem, który przypominał ryk zranionego zwierzęcia.

W protokole medycznym dotyczącym zgwałcenia była mowa o znacznych obrażeniach pochwy, ale także o ranach od ugryzień na plecach i ramionach. Ucisk broni pozostawił siniaka na głowie. Gorsze były jednak, jak to się przeważnie dzieje, szkody psychiczne. Przez dwa miesiące Kaja moczyła się w nocy, gdy nawiedzały ją koszmarne sny, w których Peer na nowo porywał ją jako zakładniczkę. Noc w noc była przez niego raz po raz gwałcona. I nawet wówczas, kiedy szkoła fetowała ją jako bohaterkę (Kim i Trisha udzieliły nawet wywiadu „Bild Zeitung”, w którym zapewniały, że gdyby nie determinacja Kai, nie uszłyby z rąk mordercy), dręczyło ją olbrzymie poczucie winy.

„*Dlaczego się nie broniłam, panie doktorze. Dlaczego tak po prostu pozwoliłam, żeby zrobił ze mną to, co chciał, jak jakaś tania dziwka?*”

Być może dałaby radę wyjść z tego piekła, nie odnosząc trwałych psychicznych szkód. Być może wystarczyłaby grupa wsparcia, do której trafiła wówczas, po okresie intensywnej opieki szkolnego psychologa, choć była ona nieregularna.

Jednak pojawienie się wideo wszystko raptownie zmieniło.

Nakręcone właśnie przez Johannes Fabera, chłopaka, którego Kaja w dniu przed atakiem furii nie „dopuściła”, bo nie czuła się jeszcze gotowa. Johannes już podczas pierwszych strzałów w budynku szkolnym w ogólnym zamieszaniu uciekł do dziewcząt w szatni. Siedział tam pod prysznicami, ukryty przed Peerem razem z Kim i Trishą. Kaja, tak samo jak szalenciec, nie widziała go, a także nie zauważyła, że komórką po kryjomu filmuje scenę gwałtu. Po to, żeby trzy miesiące później, gdy Kaja właśnie powoli wracała do równowagi, udostępnić go w mailowym okólniku swoim kolegom z zajęć sportowych.

Temat: „Popatrzcie, jak nasza bohaterka naprawdę sobie poczyna!”

Od tej chwili ogólne nastawienie do niej diametralnie się zmieniło.

Kaja nie była już tą odważną, tylko dziwką.

Nie zdobyła się na poświęcenie. Tylko okazała się niewyżyta.

Przestała być bohaterką. Stała się nimfomanką, współniczką szaleńca.

Oczywiście było wiele osób, które nadal stały po jej stronie. Wiele takich, które krytykowały rozpowszechnianie tego odrażającego wideo i wskazywały na to, że było wyraźnie widać, jak brutalnie Kaja została wykorzystana. Że krzyczała z bólu, a nie z podniecenia, jak interpretowali to nienawistni komentatorzy na uczniowskich forach. Że kopnął ją jak jakieś ścierwo, kiedy już było po wszystkim. Na krótko przedtem, gdy nagranie stało się czarne i słychać już było tylko skomlenie Kai.

Natomiast film na kanale 13/10 trwał dalej.

Co, u diabła...

Mats miał ochotę przetrzeć oczy. Odpiął pasy, żeby przysunąć się bliżej ekranu. Wlepił wzrok w ekran i wprost nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył.

Nie, to przecież niemożliwe.

Przewinał film. Do dziewiątej minuty. I było tak, jak powiedział Johnny.

Jeśli psychika Kai była północną wieżą World Trade Center, to ten film był jak samolot, który kieruje się wprost do jej najgłębszego wnętrza. Musiała je tylko zobaczyć.

Niech to jasny szlag.

Szantażysta miał rację.

To ją zniszczy.

I wszystko zmieni.

Wszystko.

27

FELI

Skórkowe podeszwy sięgających kostek botków kłapały na schodach przychodni, wydając odgłos, jakby ktoś kogoś policzkował.

Feli wybiegła z budynku, niemal wpadła na kobietę na wózku inwalidzkim, która właśnie chciała wejść do środka. Ze zdenerwowania zapomniała ją nawet przeprosić.

Rzut oka w prawo, w lewo. Prosto przed siebie. Rozglądała się na wszystkie strony, obracała się wokół własnej osi i zobaczyła z sześciu Liviów. Jeden właśnie przechodził przez Seestraße, drugi czekał na przystanku autobusowym, paląc papierosa, dwaj inni wchodzili razem do drogerii za rogiem.

W mżawce i z daleka każdy wyglądał, jakby był szczupłym pół-Włochem o ciemnych włosach.

Cholera, tak dokładnie to mu się znów nie przyglądała, a ciemne spodnie i szara kurtka to niespecjalnie szczególne znaki rozpoznawcze.

Szlag, szlag, szlag!

Zmiażdżone palce, skradziony telefon. Było coraz więcej rzeczy, które miała do wyznania Jankowi. I coraz mniej czasu do ślubu.

Feli spojrzała na zegarek i zaczęła się zastanawiać, gdzie jest najbliższy postój taksówek, następnie przyszło jej na myśl, że musi jak najszybciej zablokować telefon. Dane bankowe, dostęp do konta, trzymała tam wszystko, choć oczywiście zablokowane hasłem, ale kto wie, jakimi kryminalnymi umiejętnościami dysponuje ten kieszonkowiec?

Wściekła chciała wrócić do recepcjonistki i wspólnie z nią złożyć doniesienie, w końcu Solveig znała złodzieja i miała w kartotece jego dane.

Ale z drugiej strony... Wahała się.

Więcej niż to, że facet nazywa się Livio Kress, Solveig przypuszczalnie jej nie powie. I raczej nie poświadczy, że to on ukradł jej telefon z kieszeni płaszcza, bo gdyby coś widziała, to od razu by przecież powiedziała.

Kurczę, ona sama nawet tego nie zauważyła. A wszystkie inne dane osobowe były objęte tajemnicą lekarską.

Ale Solveig ma telefon!

Feli odwróciła się w stronę wejścia i właśnie chciała otworzyć drzwi do przychodni, kiedy jej wzrok padł na okno wystawowe apteki, która znajdowała się w pomieszczeniach sklepowych na parterze.

Jasne, prawie białe światło padało między przedmiotami rozmieszczonymi na wystawie na mokry od deszczu chodnik. Zobaczyła tekturowy stojak w kształcie sylwetki roześmianej kobiety, cieszącej się z efektów zastosowania maści na grzybicę stóp, umieszczony tuż obok stojaka z kroplami na żołądek. A między nimi, w pomieszczeniu apteki, w pewnej odległości od witryny stał Livio.

No, nie do wiary!

Mężczyzna pochylał się nad ladą w stronę krótko ostrzyżonej młodej aptekarki i pokazywał jej telefon.

Mój telefon!

Prezentował go jak sprzedawca uliczny swoje towary. Z uśmiechem i szerokimi gestami rąk.

Aptekarka pokręciła z żalem głową, na co Livio schował telefon z powrotem. Najwidoczniej właśnie na próżno próbował z miejsca zamienić go na pieniądze. Jedyne, co Feli zdążyła jeszcze usłyszeć, kiedy wpadła do środka przez automatyczne rozsuwane drzwi, brzmiało:

– To, co pan chce kupić, jest i tak tylko na receptę.

– Niech pani wezwie policję! – zawołała Feli.

– Co takiego?

– Słucham?

Aptekarka i Livio spojrzeli na nią. Również inni klienci, a więc mężczyzna pociągający nosem i starsze małżeństwo, w którym kobieta posługiwała się chodzikiem, odwrócili się do Feli i patrzyli na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Ten mężczyzna ukradł mi telefon – powiedziała Feli do krótkowłosej dziewczyny i wskazała na Livia.

– Ukradł?

Livio wydał pogardliwie policzki.

– To kłamstwo.

– A co pan przed chwilą schował do kieszeni spodni?

– Ma pani to na myśli? – Livio wyjął telefon.

– No proszę, nawet się pan przyznaje.

– Nie, nie przyznaję się. Właśnie znalazłem go na chodniku.

Aptekarka zmarszczyła brwi, Feli również postukała się w czoło.

– Sam pan w to nie wierzy. Chciał pan go tu opchnąć.

– Proszę, niech pani posłucha... – Livio wyciągnął do niej rękę, a aptekarka, marszcząc brwi, zapytała:

– Czy naprawdę mam wezwać policję?

– Nie! – zawołał Livio pośpiesznie, następnie powiedział do Feli: – Proszę, niech się pani zastanowi. Gdybym go ukradł, byłbym już dawno za górami, za lasami. Nie ustawiłbym się w kolejce w tej aptece. Nie wiedziałem, że to pani własność, przysięgam.

– Proponował pani kupno? – zapytała Feli aptekarkę.

– Nie wprost – odpowiedziała kobieta wymijająco. – Zapytał mnie tylko, czy znam kogoś, kto byłby tym zainteresowany.

Livio, śmiejąc się, klasnął w dłonie.

– No właśnie! Zwyczajne nieporozumienie. Chciałem tylko spytać, czy któryś klient nie zgłaszał zguby. – Uśmiechnął się szarmancko, ale to w najmniejszym stopniu nie przekonało Feli.

– Jestem pewna, że gdy zadzwonię na policję, to się okaże, że już coś na pana mają, zgadza się?

Uśmiech Livia znikł, a Feli skinęła głową triumfująco.

– Trafiłam w czuły punkt? Mógłby mi pan wiele opowiedzieć. Wie pan, teraz sama wybiorę 110 i przekonamy się, co funkcjonariusze powiedzą na pańską wersję o biurze rzeczy znalezionych.

– Proszę, niech pani tego nie robi.

Livio podszedł bardzo blisko niej i rozejrzał się. Dopiero kiedy uznał, że nikt nie może go usłyszeć, powiedział:

– Ma pani rację. Mam wystarczająco dużo za uszami. Proszę. Odzyskała pani telefon. Niech mi pani pozwoli odejść.

– A niby dlaczego miałabym to zrobić? – fuknęła Feli z wściekłością. – Żeby pan na najbliższym rogu obrobił kogoś innego?

Feli wybrała numer 110 na swojej komórce i odwróciła się do niego plecami.

– Dlatego że mogę pani pomóc – usłyszała za sobą szept, zanim jeszcze na wyświetlaczu ukazał się zielony symbol słuchawki, oznaczający połączenie.

Rzuciła mu przez ramię krzywe spojrzenie.

– Co pan ma na myśli?

– Chodzi o fotografię, którą niedawno pokazywała pani Solveig! – Livio wskazał na jej telefon. – Proszę, niech pani da sobie spokój z policją, a ja pani zdradzę, kim jest ten taksówkarz i gdzie go pani znajdzie.

28

MATS

Mats odnalazł Kaję w „lobby”, pomieszczeniu recepcyjnym, gdzie przyjmuje się pasażerów pierwszej klasy na dolnym pokładzie – pierwszym pomieszczeniu, które widzą nadziani pasażerowie, wchodząc do samolotu specjalnie dla nich przeznaczonym korytarzem. Poza lekko wklęsłymi ścianami kabin niewiele tu przypominało samolot. W rzeczywistości sprawiało to wrażenie lobby supernowoczesnego modnego hotelu z półokrągłymi, skórzanymi kanapami, które znakomicie harmonizowały z wykładziną kremowej barwy. Pomieszczenie było iluminowane oświetleniem sufitowym, jakiego można by się spodziewać raczej w salonie prywatnego domu.

Lobby, usytuowane między częścią z kabiną pilotów a rozkładanymi fotelami sypialnymi pierwszej klasy, nie było o tej porze wykorzystywane. Kiedy Mats zszedł kręconymi schodkami, zobaczył Kaję, jak stoi sama przy lśniącej macicą perłową blacie i napełnia szampanem samotny kieliszek stojący na lśniącej srebrnej tacy.

Mógł również skorzystać ze szklanej windy obok toalet, która przypuszczalnie była przeznaczona dla niepełnosprawnych pasażerów. Wśród niewielu osób, jakie mogły sobie pozwolić na trzypokojowy apartament na górnym pokładzie, z pewnością było kilkoro jeszcze starszych i mniej wysportowanych niż on.

– Kaja? – zapytał Mats cicho, a ona wzdrygnęła się tak mocno, że wylała trochę szampana obok kieliszka. – Bardzo przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

Jeszcze nie.

Tak naprawdę chciał tylko, nie, nie chciał, musiał z nią porozmawiać o filmie Fabera.

To, co przed chwilą na nim zobaczył, było tak niebywałe, że on sam był do głębi

wstrząśnięty. Wszystko, co dotychczas wiedział o Kai – albo jak mu się przynajmniej wydawało – jawiło się teraz w nowym, tajemniczym świetle.

– Nic się nie stało. – Kaja uśmiechnęła się sztucznie i spojrzała dokoła. Mats domyślał się, że nie chodziło jej o to, żeby sprawdzić, czy ktoś nie zauważył jej niezręczności.

Bała się być z nim sama.

– Czy mam uprzątnąć jedzenie i kazać przygotować pańskie łóżko? – spytała, wycierając serwetką tacę.

– Nie z tego powodu przyszedłem.

Uzupełniła kieliszek szampanem i pokręciła głową.

– W tej chwili nie mogę, niestety, zająć się panem osobiście. Ale nie musi się pan aż tu fatygować, jeśli czegoś pan potrzebuje. Na każdym pilocie znajduje się przycisk. Może pan go nacisnąć i któraś ze stewardes natychmiast do pana przyjdzie.

– Ja nie chcę którejś ze stewardes, ja chcę porozmawiać z panią.

Kaja podniosła tacę i drżała na całym ciele, gdy w jednej chwili porzuciła profesjonalną uprzejmość.

– Ale ja nie chcę – fuknęła. – Nasze rozmowy już się skończyły. Niech mnie pan zostawi w spokoju.

– Nie mogę – odpowiedział Mats tak spokojnie, jak tylko potrafił.

Spojrzał w prawo, na przejście do pierwszej klasy, ale widział tylko aksamitną zasłonę, która poruszała się jak na wietrze. Samolot, wciąż lekko się kołysząc, leciał przez wzburzone morze nocnego nieba, a napis nakazujący zapięcie pasów nie był jeszcze zgaszony.

– Poza tym proszę pana, żeby pan niezwłocznie zajął swoje miejsce. Turbulencje mogą w każdej chwili przybrać na sile.

Spojrzenie Matsa stało się ostre.

– Mówi pani o samolocie? Czy może o sobie?

Kaja szukała jego wzroku, przestraszona, niemal wytrącona z równowagi. W jej oczach mógł przeczytać, że sama siebie pyta, czy on nadal jest tym wrażliwym mężczyzną, któremu kiedyś zaufała.

Nie. Nie jestem.

W przyćmionym blasku sufitowego oświetlenia jej twarz wydawała się teraz prawie biała, jakby specjalnie pomalowana białą szminką. Kiedy sięgała po tacę, zauważył, że na jednym z jej paznokci brakuje trochę lakieru.

– Nasze rozmowy nie wpływają na mnie najlepiej. Nie bardzo to wszystko rozumiem. Mam wrażenie, że specjalnie stara się pan rozdrapywać moje stare rany. Przez ostatnie lata coraz rzadziej myślałam o tamtych wydarzeniach. Bywały dni, kiedy w ogóle ani razu nie pojawiały się tamte wspomnienia. Ale teraz wystarczyło kilka minut spędzonych z panem i znów mam te obrazy w głowie.

Kieliszek z szampanem drżał na tacy, niemal synchronicznie z jej dolną wargą.

– Jakże obrazy? – zapytał Mats podstępnie, ale kobieta nie dała się złapać na jego fortel.

– Nie, nie, nie. Niech pan przestanie, bardzo proszę.

Westchnął głęboko i udał, że zamierza uszanować jej życzenie.

– Okej, okej. Rozumiem. I oczywiście, mnie również jest przykro. Proszę, niech pani mnie przez chwilę wysłucha. Nie będę stawiał więcej pytań, nie chcę też rozmawiać o pani.

– Tylko o czym? – zapytała Kaja nieufnie.

– Niech pani mi pozwoli opowiedzieć trochę o mnie. Ponieważ doskonale wiem, jak pani się czuje.

– Panie doktorze, proszę, ja...

Wskazał na fotele, ale ona nie miała zamiaru usiąść.

– Być może wie pani, że przed czterema laty straciłem żonę.

– Czytałam nekrolog w gazecie. Bardzo mi przykro. Miała raka, prawda?

– Tak, ale zmarła z powodu trucizny, którą wypła.

– A więc samobójstwo?

Skinął głową.

– Katharina nie wytrzymała już bólów. Skontaktowała się z jedną z zagranicznych organizacji, które pomagają osobom chcących zakończyć swoje cierpienia, i sprowadziła odpowiedni środek. Wszystko wbrew mojej woli.

– Dlaczego pan mi to teraz opowiada? – chciała wiedzieć Kaja, rzucając spłoszone spojrzenie w kierunku zasłony. W ciągu ostatnich godzin, jakie upłynęły od ich pierwszej rozmowy, jakby się skurczyła o parę centymetrów. Miała opuszczone ramiona. Ciężar, jaki na niej spoczywał, zgarbił również jej kręgosłup. – Jeden z pasażerów czeka na zamówienie.

Próbowała przejść obok niego.

– Tylko jedną minutę, proszę. Tyle mi wystarczy. Zresztą Katharina również nie chciała ode mnie więcej. Ostatnią minutę, którą miałem spędzić przy niej. Ostatnią

minutę jej życia, ale nie dałem rady. Nie mogłem znieść, że wszystko, co kiedykolwiek kochałem, prawdziwa niezmienna gwiazda mojego życia, która oświetlała mi drogę, na moich oczach ma umrzeć i spłonąć.

– Rozumiem pana.

Mats poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Nic dziwnego, jeszcze nigdy tak się przed nikim nie otworzył. Wszystko, co powiedział, było prawdą. Niestety.

– Nie wybaczyłem sobie tego do dzisiejszego dnia. Było to samolubne, egoistyczne. Tak samo jak to, co zrobiłem potem. Najpodlejsze w moim życiu.

– Co to było? – zapytała Kaja, a Mats zauważył, że to działa. Zdradził coś o sobie i odzyskał odrobinę utraconego, minionego zaufania.

Miejmy nadzieję.

Stwierdził jednak również, że to rzeczywiście ma oczyszczające działanie, gdy się zaufa drugiej osobie. Zbyt długo dźwigał na barkach poczucie winy, niezdolny sam siebie uleczyć. Ale jak to ładnie powiedział kiedyś jego profesor: „Psychologia jest dlatego skazana na klęskę, bo podejmujemy absurdalną próbę, chcąc, żeby nasz mózg zechciał zrozumieć sam siebie”.

– Pojechałem do koleżanki. Felicitas Heilmann, zna ją pani. To psychiatra, z którą pani wówczas rozmawiała, kiedy zadzwoniła pani na gorącą linię, gdzie można uzyskać pomoc psychologiczną. To moja dobra przyjaciółka. Czułem się wówczas podle, beznadziejnie i byłem samotny. I ona mnie pocieszyła.

Kaja postawiła tacę z powrotem na ladzie.

– Co pan chce mi przez to powiedzieć, doktorze?

– Było to przed czterema laty i od tamtej pory wciąż uciekam. Uciekłem z sypialni od mojej umierającej żony do sypialni młodszej koleżanki, o której wiedziałem, że mnie kocha. I choć nie odwzajemniałem jej uczuć, uciekłem przed samym sobą w żalosne egoistyczne współczucie dla samego siebie i przespałem się z nią.

Mats przełknął ślinę.

– Ze stanu trzeźwości umysłu popadłem w nieopanowany stan zbliżony do upojenia alkoholowego i trudno mi było sformułować najprostsze zdanie, kiedy moja córka Nele zadzwoniła na komórkę. Leżałem wtedy jeszcze w tamtym drugim łóżku i Feli odebrała zamiast mnie telefon. Usłyszała wiadomość, że Nele znalazła moją żonę martwą w łóżku.

I stało się. Mats nie potrafił dłużej z tym walczyć. Łzy mu płynęły, ale nie powstrzymało go to przed pilnym wyjawieniem Kai, co leży mu na sercu.

– Potem dalej uciekałem. Przed Nele, która od tamtej pory nienawidzi mnie do gruntu. „*Jesteś żalonym tchórzliwym gnojem!*”, krzyczała na mnie, kiedy przyszedłem do domu. „*Zdradzasz mamę, gdy ona leży na łożu śmierci?*”

Miała rację. W każdym przepełnionym złością oskarżeniu. Nele zabroniła mi przyjscia na pogrzeb, który zorganizowała całkiem sama. A ja? Nie chciałem, żeby doszło do skandalu. W swojej słabości spakowałem manatki i dalej uciekałem, tym razem tak daleko, jak tylko mogłem, do Buenos Aires, do brata. Tu stanąłem wreszcie mocno na nogach. Tak w każdym razie myślałem.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? Ja nie uciekam – powiedziała Kaja.

– Ależ tak, ucieka pani. Nie chciałem tego od początku tak otwarcie poruszać. Ale również pani nie potrafiła zmierzyć się z prawdą i uciekła. Nie fizycznie, ale z całą pewnością duchowo. Gdyby było inaczej, nie zareagowałyby pani teraz tak gwałtownie, zwłaszcza że jak dotąd przedstawiłem pani zaledwie ułamek całej prawdy.

Kaja chrząknęła. Czerwone plamy na jej szyi pociemniały.

– Co pan ma na myśli? Jaka cała prawda? Nie ma nic, o czym byśmy szczegółowo nie rozmawiali.

Mats wykrzywił twarz ze współczuciem.

– A jednak jest. Jak najbardziej jest. Proszę mi dać jeszcze tylko chwilę, a udowodnię to pani.

Kiedy wypowiadał te słowa, odsunęła się zasłona i do lobby wszedł steward Valentino, którego podobno nazywano Kenem.

– Tu jesteś – powiedział i twarz mu się zasępiła, gdy zobaczył, z kim Kaja rozmawia.

Wskazał tacę stojącą na barze.

– Pasażer z miejsca 3G jest już dość zniecierpliwiony.

– Już idę – rzuciła Kaja i wolną dłonią odgarnęła włosy z czoła. Potem z powrotem wzięła do ręki tacę.

– Proszę – szepnął jej Mats do ucha, kiedy przechodziła obok. – Muszę pani coś pokazać, coś, co odmieni pani życie.

Kaja pokręciła przecząco głową i poszła dalej, odwróciła się jednak jeszcze raz przed zasłoną, którą Valentino przed nią odsunął.

– Zajmę się tym, panie doktorze. Proszę mi dać pięć minut.

Po czym zniknęła razem z Kenem w pierwszej klasie.

29

NELE

Jak pięknie. Chwila bez bólu. Najbardziej boska forma najczystszej szczęścia.

Nele oddychała wolniej. Rozluźniła nieco mięśnie i wyciągnęła ręce i nogi, na ile pozwalała jej długość pryczy.

Jej podbrzusze, jeszcze przed chwilą owładnięte jednym wielkim skurczem, w wyczuwalny sposób się odprężyło i było to dobrodziejstwo po ostatniej fali bólów.

– Muszę do toalety – jęknęła, co było kłamstwem. W czasie ostatnich bólów nie mogła się powstrzymać i musiała się załatwić. Między nogami czuła woń kału i moczu, ale jej to nie przeszkadzało. Co dziwne, jej porywaczowi również nie. Podał jej wilgotną szmatę wyjętą z wiadra, które postawił obok kamery. Kamera cały czas migiała, toteż Nele zakładała, że mężczyzna wszystko nagrywa. Również swoje monologi; denerwował ją nimi w okresach między bólami, które teraz stawały się coraz częstsze i coraz silniejsze. *Czy to wskazywało na to, że rozwarcie stało się na tyle duże, że mogła się zacząć ostatnia faza porodu, czy może nie?* Nele nie pamiętała już ani mówiącego o tym rozdziału w poradniku rodzenia, który i tak tylko przekartkowała, ani tego, co słyszała od swojego ginekologa.

– Czy pani wie, że zwierzęta nie odczuwają bólów porodowych?

– Proszę, niech mi pan da spokój – powiedziała Nele i jako tako się obmyła.

– Może słonie, wspomina się o takich przypadkach – ciągnął Franz. – W Biblii jest napisane, że Bóg ukarał Ewę. „Obarczę cię niezmiernie wielkim trudem twej brzemienności, w bólu będziesz rodziła dzieci” – zacytował biblijny werset. – Ale to oczywiście bzdury. To wszystko wynika z postawy wyprostowanej.

Postawy wyprostowanej.

Nele zastanawiała się, czy powinna tę wolną od bólu fazę porodu wykorzystać i

wstać z pryczy. Ile czasu pozostało jej do następnych bólów? I jak szybko udałoby się jej dotrzeć do wyjścia?

– Dzięki przyjęciu postawy wyprostowanej my, ludzie, mamy wolne ręce, co pozwala jednocześnie wykonywać wiele pożytecznych rzeczy, na przykład iść, niosąc przy tym jakieś narzędzie. Wyprostowana postawa wymagała węższej miednicy. Ale staliśmy się również bardziej inteligentni, a więc coraz bardziej powiększały nam się mózgi, które musiały przeciskać się przez coraz węższe drogi rodne.

– Prawdopodobnie miednica twojej matki była jak ucho igielne – fuknęła Nele i udało jej się nawet roześmiać cynicznie. – Co by tłumaczyło fakt, że twój mózg został ściśnięty do imbecylności, ty perwersyjny debil. Wypuść mnie.

Franz nie miał już okazji odpowiedzieć, bo przez przemysłową oborę przejechał pociąg towarowy. A przynajmniej odgłos, jaki się rozległ, sprawiał wrażenie, jakby rozklekotany wagon kolejowy próbował zahamować na pordzewiałym torze.

Nele krzyknęła, ale krzyk był zupełnie niesłyszalny w zgrzytliwym echu, jakie rozbrzmiało w oborze. Nele spojrzała na Franza i ujrzała w jego oczach taki sam strach, jaki ona odczuwała.

– Co, do diabła... – szepnął i wtedy Nele poczuła podmuch wiatru na twarzy i już wiedziała, co spowodowało ten łoskot, który tymczasem zdążył ucichnąć. Franz przesunął ją wcześniej przez niewielkie drzwi w potężnej obrotowej bramie od wschodniej strony. Ktoś musiał otworzyć akurat tę elektrycznie poruszaną bramę; ktoś, kto do tego celu najwidoczniej miał niezbędne urządzenie. Był wyposażony w pilota albo klucz. I w grzmiący basowy głos.

– Halo? Jest tu kto?

Nele otworzyła szeroko oczy. Ogarnęło ją wątle uczucie nadziei. Ale Franz położył palec na ustach, a drugą ręką wykonał gest podrzynania gardła. Nele słyszała kroki, następnie kolejny okrzyk:

– Proszę się pokazać albo wezwę policję!

„Ani mru-mru, bo inaczej koniec z tobą”, mówiło spojrzenie Franza, kiedy się do niej odwrócił.

Ale Nele nie miała pojęcia, jak wypełnić jego nieme rozkazy.

Czuła, jak ciągnie ją w podbrzuszu. Fale bólów porodowych w każdej chwili mogą znów nadejść, a wówczas nie pozostanie jej nic innego, niż krzyczeć na całą halę. Nawet gdyby Franz miał spełnić swoją wyszeptaną groźbę.

– Jeśli nie będziesz cicho, uduszę cię.

30

FRANZ

Chwileczkę, chwileczkę, już idę! – zawołał Franz w kierunku nieznanego mężczyzny, który już trzymał telefon przy uchu.

Nowo przybyły stał w wejściu, w miejscu, gdzie dawniej było pędzono z ciężarówek przez rampę do obór. Albo w drugą stronę, kiedy wyniszczone i już nieużyteczne, do końca wydojone z mleka krowy wywożono do rzeźni.

– Sorry, przykro mi, nie słyszałem pana.

Franz śpieszył się i nie miał pojęcia, co powiedzieć tej masywnej postaci w niebieskoszarym mundurze. Według jego rozeznania strażnik z prywatnej firmy ochroniarskiej zaglądał tutaj tylko raz, we wtorek, nigdy dzisiaj. *Cholera, coś musiało zaburzyć tę rutynę.*

– Co, u diabła, pan tu robi? – zapytał strażnik.

Stał na rozstawionych szeroko nogach, musiał tak stać, bo inaczej jego okrągły brzuch przeważałby i facet by upadł. W każdym razie nie sprawiał wrażenia człowieka w dobrej kondycji, wystarczyło popatrzeć na jego popękane żyłki na policzkach i sapliwy oddech, choć nie poruszał się ani o centymetr więcej, niż to było konieczne. W jednej dłoni trzymał telefon komórkowy, który w jego łapsku wyglądał jak karta wizytowa, w drugiej latarkę z długim trzonkiem, która z pewnością nie bez powodu przypominała gumową pałkę.

– Jakież problemy? – Franz w prawej ręce trzymał nóż do cięcia wykładzin, przysłonięty długim rękawem swetra, a jego palce tym mocniej zaciskały się na rękojeści, im bliżej mężczyzny podchodził.

– Owszem, są problemy.

Pracownik M&V Security wskazał wyłączoną latarkę rozbitą kłódkę leżącą na

podłódze obory.

– Pan się włamał.

– Nie, nie. Kłódki już nie było na drzwiach, kiedy tu przyszliśmy. Myślałem, że to ruina przemysłowa, która do nikogo nie należy.

– Tak, jasne. I dlatego stoi tu tylko trzydzieści tablic z napisem „Wstęp wzbroniony”, panie mądry. – Strażnik puknął się latarką w czoło.

– Niech pan posłucha, nie chcemy żadnych kłopotów.

– My?

Teraz przyszła pora na improwizację. Przynajmniej do czasu, aż strażnik znajdzie się tak blisko, że Franz będzie mógł jednym ruchem sięgnąć mu do gardła.

– Jesteśmy z uczelni – zaczął nawijać Franz. – Studiujemy fotografię i wykorzystujemy tę obskurną scenografię do naszej pracy studyjnej.

Było to naciągane, ale chyba zadziałało. Jak na razie. W istocie w Berlinie każdego dnia coś takiego się działo. Im więcej turystów przybywało do miasta, tym częściej próbowali fotografować „uroki” zaniedbanej części stolicy. Z pewnością Franz nie był pierwszym, którego strażnik tu przyłapał.

– Macie pozwolenie? – zapytał.

– Nie, przecież mówiłem, że nie wiedziałem, że jest potrzebne. – Franz podszedł krok bliżej i trochę bardziej wysunął ostrze noża. – Ale jeśli da nam pan pięć minut, wszystko rozmontujemy i...

Z głębi obory dał się słyszeć stłumiony krzyk. Strażnik instynktownie cofnął się o krok.

– Praca studyjna? – zapytał nieufnie, podczas gdy w hali rozlegały się kolejne krzyki, niezbyt głośne, ale wyraźnie słyszalne.

Nele krzyczała:

– O, Jezuuu... Oooch...

Do diabła. I co teraz?

Ku zdumieniu Franza na twarzy niezgrabnego strażnika pojawił się lubieżny uśmiech.

– Już wiem, jakie filmy tu kręcicie.

– Ach tak?

– Można dołączyć?

– Nie, yyy, obawiam się, że...

– Nie bądź taki, przynajmniej sobie popatrzę. Zawsze chciałem coś takiego

zobaczyć.

Franz zadał sobie pytanie, kto tu teraz ma więcej szczęścia niż rozumu. On czy ten obleśny strażnik, dla którego, być może, nie potrzebował już noża do cięcia wykładzin.

– Okej. Okej, zgoda. Pogadam z resztą. Ale potrzebuję trochę czasu. Daj mi pięć minut.

– *Oooooch, proszę, proszę, proszę! Kurrrr...*

– Czy ta mała jest napalona?

Franz skinął gwałtownie.

– I to jak! Totalnie. Mogłaby cię zajeździć.

Ty kretynie.

– Mówisz poważnie?

– Tak, ale muszę ją przygotować, że nastąpiła zmiana w scenariuszu. Nie można jej tak całkiem zaskakiwać.

– Jasne, okej. Rozumiem.

Nie, nic nie rozumiesz, od kiedy krew z mózgu spłynęła ci do spodni.

– Jak się nazywasz?

– Helmuth.

Franz zastanawiał się, ile czasu potrzebuje, żeby przenieść Nele do drugiej kryjówki.

– A więc, Helmuth, proponuję, zaczerpnij jeszcze trochę świeżego powietrza, a potem, gdzieś za godzinę...

– Och, jasny szlag.

– Co takiego?

Strażnik spojrział ze złością na swoją komórkę.

– Alarm. Włamanie do starych magazynów nad jeziorem. Na końcu mojego odcinka. Jak długo jeszcze tu będziecie?

– Dwie, trzy godziny na pewno.

– Okej, posłuchaj. Na pewno tu wrócę. Muszę tylko zobaczyć, co się tam stało.

– Nie ma sprawy. Jasne.

Franz patrzył za strażnikiem, jak ten, kołysząc się, z dość umiarkowanym pośpiechem jak na wezwanie alarmowe idzie do swojego samochodu. Był to rozklekotany golf, którego resory ugięły się ze skrzypnięciem, kiedy Helmuth wgramolił się do środka.

– I biada ci, jeśli mnie wystawisz! – zawołał jeszcze przez otwartą szybę, następnie szerokim łukiem ominął taksówkę, którą przyjechał Franz, i ruszył w stronę bramy wjazdowej.

Do cholery, jak to się mogło stać?

Franz odwrócił się z powrotem w stronę wnętrza obory, gdzie Nele wciąż darła się ile sił w płucach.

Spojrzał na zegarek i idąc z powrotem do niej, zastanawiał się, czy powinien zadzwonić najpierw do swojego kontaktu, czy od razu pojechać w drugie miejsce, zanim wróci ta góra mięcha.

– Kuuurrrr...! – krzyczała Nele, dziwnie dźwięcznym głosem. Kiedy Franz dotarł do jej boksu, parła już tak mocno, że widać było czerwone żyłki w jej oczach, szeroko wytrzeszczonych, jak u pacjentów z chorobą Basedowa.

Ciężko dysząc, klęczała na pryczy, w pozycji na czworakach, którą przyjęła od ostatniej fali bólów porodowych, bo najwidoczniej w tej pozycji łatwiej było jej je znieść.

– Kuuurrrr...! – rozbrzmiał w pomieszczeniu krzyk Nele. Głośno i wyraźnie, i teraz Franz również zaczął krzyczeć. Ponieważ Nele siedziała w kucki, krzyczała i parła nie w realu. Tylko na wyświetlaczu kamery.

Na nagraniu.

Ona sama zniknęła.

Jej prycza była pusta.

Jedyne, co znajdowało się jeszcze w boksie obory, to była kamera, którą Nele musiała cofnąć i nastawić na odtwarzanie.

31

MATS

Mats tęsknił za jakąś umywalką. Sedes też byłby dobry, ważne, żeby szybko mógł zwymiotować obrzydzenie, które czuł do samego siebie. Ale trudno było, żeby teraz wstał i zostawił Kaję samą z wideo, tu, w salonie, podczas gdy on będzie wymiotował w łazience Sky Suite.

Dotrzymała słowa i przyszła. Siedziała teraz na fotelu i patrzyła na ekran, na którym Mats włączył kanał 13/10.

– To nie jestem ja – wyszeptała Kaja, ze wzrokiem tępo skierowanym na ekran zawieszony na ścianie kabiny, wchodząc w fazę wypierania, typową dla pacjentów po traumatycznych przeżyciach, którzy próbują dystansować się od koszmarów własnej przeszłości.

I faktycznie Kaja miała w pewnym sensie rację. Nie była już tą osobą na nagraniu. Nie była już dziewczyną, która walczy, wyrywa się. Która najpierw leży pod swoim dręczycielem, a potem klęczy przed gwałcicielem, siłą zmuszona do spełniania jego zachcianek. Bezbronna wobec brutalnej przemocy.

Wtedy, jedenaście lat temu, Kaja była nie tylko zupełnie inną osobą niż dzisiaj, znajdowała się w niemal niepoczytalnym, a w każdym razie kontrolowanym wyłącznie przez instynkty stanie umysłu. Bezrefleksyjnie i całkowicie dowolnie przełączyła się w tryb przeżycia za wszelką cenę i ślepo podporządkowała się wszystkiemu, co wydawało się jej konieczne.

Znosiła razy wymierzone w pośladki i jednocześnie trzymała w ustach lufę pistoletu, tak jak widocznie kazał chłopak.

Mats odwrócił wzrok od Kai, która wciąż wpatrywała się w ekran jak w transie, i znów rzucił okiem na swoją komórkę. Na najokropniejsze ze wszystkich zdjęcie, na

którym uwieczniono oczy Nele i jej przerażenie, i całkowitą bezradność. Przypomniawszy sobie, co powiedział szantażysta: „...człowiek, który jej pilnuje, nie jest dyplomowanym położnikiem. Raczej przeciwnie, jeśli wie pan, co mam na myśli. Nie zawaha się zabić pańskiej córki i dziecka, jeśli nie wywiąże się pan ze swojego zadania, doktorze Krüger”.

Zadanie.

Co za bagatelizujące określenie zatrucia czyjejś psychiki, którego właśnie się dopuszczał.

Na wideo szalenie mocno złapał prawą pierś Kai, wydawało się, że prawie wyrwał jej brodawkę sutkową. W tym miejscu nagrania głos był ledwo słyszalny, mimo to Mats słyszał jego sapanie i jej krzyki. Były niemal tak nie do zniesienia jak z trudem wypowiedziane szeptem pytanie Kai:

– Naprawdę muszę to oglądać?

Prawidłowa odpowiedź brzmiałaby: „Nie, oczywiście, że nie. Byłoby w najwyższym stopniu szkodliwe, gdyby reaktywowała pani traumę, pani Claussen. Żaden rozsądny człowiek nie powinien tego od pani wymagać. Tylko ja, doktor Mats Krüger”.

Samolot znów leciał przyjemnie spokojnie. Jednak Mats w każdej chwili spodziewał się wstrząsów. Napięcie psychiczne rosło w nim z każdą chwilą. Nagle jego skóra zaczęła mu się wydawać zbyt ciasna, czuł się rozgorączkowany, jakby doznał rozległego oparzenia słonecznego.

– Zaraz się skończy – oszukał Kaję, bo wiedział, co ją jeszcze czeka: najgorsze. Coś, co nawet jego wytrąciło z równowagi. Już same te obrazy, które zdążyła zobaczyć do tej pory, będą ją jeszcze długo prześladować. Kaja przez długie lata trzymała je zamknięte w skrzyni zapomnienia, ale teraz znów leżały na tacy jej świadomości. W zasięgu ręki, żeby mogła je sobie przypomnieć, kiedy tylko zechce cierpieć. Ponowne obejrzenie wideo przedstawiającego gwałt teraz, po tych wszystkich latach, było jak powrót do narkotyków wieloletniego abstynenta. Nie bez powodu mówi się, że im dłużej człowiek był czysty, tym głębszy będzie upadek.

– Przysięga pan? – usłyszał pytanie Kai. Głos jej drżał. Łzy błyszczały w kącikach oczu jak krople rosy. – Przysięga pan, że wszystko będzie dobrze?

Omal nie roześmiał się w panice.

Przysięga?

Mats nie mógł nie pomyśleć o przyrzeczeniu genewskim, nowoczesnej wersji przysięgi Hipokratesa, której obecnie podporządkowują się lekarze.

„W pełni świadomy przyrzekam: Pacjentom nie szkodzić. Nie naruszać praw człowieka. Nawet w sytuacji zagrożenia”, przysiągł uroczyście.

A teraz coś takiego!

Teraz, w tym momencie, szalenciec wreszcie zostawił Kaję w spokoju. Odepchnął ją. I się odwrócił.

Zostawił ją półprzytomną, drżącą, na środku przebieralni. Kiedy się odwrócił, stanął twarzą prosto w stronę ukrytej kamery, ale ze spojrzeniem w zamyśleniu wbitym w podłogę.

Kaja uciekła. Wybiegła przez drzwi przebieralni na korytarz sali gimnastycznej. Jednak tylko na filmie.

W rzeczywistości siedziała bez ruchu w fotelu. Z szeroko otwartymi oczami, którymi prawie w ogóle nie mrugała. Jej palce wczepiły się w fałdę spódnicy uniformu. Na pewno czekała, żeby ustał szum wspomnień w jej głowie. Ten źle nasmarowany, skrzypiący taśmociąg, który jeszcze raz przesunął całą okropność przed jej oczami.

– I co teraz? – zapytała cicho, a zaraz potem wzdygnęła się, podobnie jak wcześniej wzdygnął się Mats. Kiedy obraz nie zatrzymał się, jak się tego spodziewał, lecz na ekranie nagle pokazały się płytki podłogowe prysznic. Zmieniło się ustawienie obiektywu, ujęcie było nieostre. Filmująca z ukrycia osoba musiała wyjść jeden krok spod prysznic, żeby móc lepiej uchwycić scenerię przebieralni.

Obraz drżał, wszystko było trochę niewyraźne i o wiele za ciemne, ale kiedy oglądało się pierwsze dziewięć bolesnych minut Kai i szaleńca, od razu stawało się jasne, co uchwyciła teraz kamera. Niejasne było tylko, dlaczego to się dzieje.

– Skąd pan to ma? – zapytała Kaja. Przerazenie w jej głosie było tak wielkie, strach w oczach tak silny, że Mats był pewny, że dzisiaj pierwszy raz widzi ten materiał dowodowy.

– Pytanie powinno raczej brzmieć: dlaczego pani to zrobiła? – odpowiedział Mats bezlitośnie. Teraz, patrząc z perspektywy czasu, nagle zrozumiał nawet, dlaczego Johannes Faber, były chłopak Kai, upublicznił to wideo. Co prawda, i było to dziwne, wtedy zataił ostatnie sekundy nagrania.

– Peer Unsell zagroził pani bronią i wziął jako zakładniczkę. Dała mu się pani zgwałcić i upokorzyć, żeby ratować życie swoje i koleżanek. Dlaczego, na Boga, pani tam wróciła, po tym jak już zostawił panią w spokoju?

Mówiąc to, Mats okrążył dookoła fotel, żeby wejść w jej pole widzenia.

– Czy chciała pani powstrzymać go, żeby się nie zastrzelił?

Kaja patrzyła przez niego, jakby był powietrzem, miała zapadnięte policzki, brodę lekko wysuniętą do przodu, co nadawało jej poszarzałej twarzy tępy, trochę debilny wyraz.

Jej wargi ułożyły się w słowo „nie”, ale żaden dźwięk nie wyszedł z jej ust.

– Była pani z nim zaprzyjaźniona?

Znów niewyraźne pokręcenie głową.

– W takim razie dlaczego wróciła pani do przebieralni? Najpierw wzięła go pani za rękę, a potem objęła?

Mats był nieubłagany. Pokazał na czarny już teraz ekran, jakby wciąż widniała na nim ta ostatnia zbijająca z tropu scena, którą właśnie opisał.

– Na miły Bóg, pogłaskała go pani po włosach jak zakochana dziewczyna i pocałowała długo i intensywnie, z językiem.

32

FELI

Szok przyszedł nagle, trafił go jak uderzenie w wypadku samochodowym. Feli widziała to. Dosłownie słyszała jego wewnętrzny krzyk, chociaż profesor André Klopstock szybko odzyskał nad sobą kontrolę.

Został tylko cień pod jego oczami. A ksenonowy uśmiech, którym przyjął ją w swoim biurze, nie świecił już z mocą ponad tysiąca watów, jak jeszcze przed pięcioma minutami.

– Pani Heilmann, jak miło znów panią widzieć – przywitał ją wylewnie w swojej lecznicy, chociaż Feli nie pamiętała, żeby kiedykolwiek miała z nim kontakt poza przelotnym skinieniem głową, na przykład kiedy przypadkiem natknęli się na siebie na jakimś kongresie.

Czekał na nią już w drzwiach, przed swoim narożnym biurem z widokiem na Kranzler Eck, i potrząsał jej ręką tak serdecznie, jakby byli najbliższymi przyjaciółmi, którzy niestety stracili się z oczu.

– Co panią do mnie sprowadza?

– Mam tylko jedno szybkie pytanie, nie będę długo przeszkadzać – obiecała i na gest Klopstocka usiadła na krześle z absurdalnie wysokim oparciem, bezpośrednio po drugiej stronie biurka, przy którym zajął miejsce on sam.

Wykonanym na specjalne zamówienie, o czym Feli była przekonana, tak jak jego garnitur, skromna, ale idealnie skrojona jasnoniebieska jednorzędówka z kamizelką.

– Wcale pani nie przeszkadza, droga koleżanko – wyszczebiotał psychiatra mamiącym głosem, jednocześnie poprawiając stojące na biurku zdjęcie w ramkach. Był to portret młodej ciemnowłosej piękności. Feli zdawało się, że jak przez mgłę przypomina sobie artykuł w prasie bulwarowej, w którym opisano „skandal” z jego

udziałem, bo podobno przed kilkoma miesiącami wymienił swoją będącą w zaawansowanej ciąży żonę na dwadzieścia lat młodszą rumuńską fotomodelkę.

– Będę szczęśliwy, jeśli będę mógł pani pomóc, droga pani Heilmann.

Atmosfera rozmowy była na początku zadziwiająco swobodna, prawdopodobnie dlatego, że Klopstock błędnie zrozumiał uśmiech Feli. Kiedy usiadła naprzeciw niego i po raz pierwszy zobaczyła go z bliska, przysła jej na myśl mądrość życiowa jej matki: *„Wystrzegaj się mężczyzn o psich rysach twarzy. Oni tylko tak długo merdają ogonami, dopóki nie zaciągną cię do łóżka”*.

A profesor André Klopstock był wręcz modelowym przypadkiem tego, przed czym ostrzegała ją matka: zwisające kąciki ust jak u basseta, zmarszczki na czole jak u jamnika, ciemne oczy beagle'a, którymi potrafił wcisnąć pacjentowi każdą dodatkową terapię, jaką tylko chciał. Na plus można było mu zaliczyć, że jego atletyczna sylwetka w niczym nie ustępowała tej właściwej dla wybieganego dobermana.

– Więc o co chodzi? – zapytał, a ona od razu przeszła do rzeczy i pokazała mu zdjęcie z kamery aptecznego monitoringu.

– O tego człowieka.

– Bono?

– Zna go pan?

– To nie najlepsze zdjęcie, ale tak, oczywiście, to on.

– Pacjent?

– Przecież pani wie, że nie mogę pani powiedzieć.

Tak. Wiedziała. I wcale nie liczyła na to, że tak po prostu to zrobi. Szczerze mówiąc, nie spodziewała się nawet, że w ogóle zostanie przyjęta przez Klopstocka, kiedy winda wypluła ją na trzecim piętrze jego kliniki.

Recepcja bardziej przypominała lobby pięciogwiazdkowego hotelu niż placówkę medyczną. Za kontuarem czekała asystentka w uniformie, która na początek zaproponowała Feli cappuccino i szklankę wody, podczas gdy ona sama chciała przystąpić do wypełnienia zgłoszenia na iPadzie. Na szczęście Feli bardzo szybko zdołała jej wytłumaczyć, że nie jest pacjentką, lecz koleżanką po fachu, i rzeczywiście trwało to tylko obiecaną chwilę, zanim została dopuszczona do kierownika lecznicy.

– Powiedziano mi, że to pański kierowca.

Feli dostała tę informację od Livia, złodziejaska, który w ramach zadośćuczynienia za próbę kradzieży telefonu podrzucił ją tu, na Ku'damm.

„Wydaje mi się, że ten student wozi go od kliniki do kliniki – zdradził jej. – Przychodzę raz w tygodniu na zabieg. I zawsze, kiedy widzę Klopstocka w lecznicy, ten koleś czeka na dole w samochodzie”.

– Mogę zapytać, czego pani chce od Bono? – zapytał profesor Klopstock.

– Więc Bono, tak? To jego imię czy nazwisko?

– Ani jedno, ani drugie, tylko ja do niego tak mówię. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywa.

– W takim razie raczej nie jest pańskim pacjentem – wywnioskowała Feli. – Chyba że...

Bono!

W jej głowie zrodziła się myśl, którą wypowiedziała na głos:

– On pana wozi, a pan w zamian leczy go za darmo, mam rację?

Nie ma przepływu pieniędzy, nie ma dokumentacji.

Wielu znanych lekarzy zajmowało się przypadkami pro bono, pacjentami, których leczyli bezpłatnie. Przeważnie, żeby zapewnić sobie czyste sumienie. Widocznie Klopstock zawarł układ z chudym taksówkarzem, co pasowało do niego. W jego notce biograficznej w jednym z popularnych czasopism lekarskich na pytanie: „*Co jest pańską najmocniejszą stroną?*”, odpowiedział: „*Tam, gdzie inni widzą problemy, ja widzę możliwość uzyskania korzyści*”.

Większości zysków nie osiągał z leczenia żywych ludzi, lecz ze swojego laboratorium. Przeprowadzano tam analizy krwi, włosów oraz innych nośników DNA na obecność zarazków chorobotwórczych, ale również narkotyków i alkoholu. Klopstock posiadał nawet patent na większość kontrowersyjnych domowych testów na HIV, żółtaczkę, a nawet na potwierdzenie ojcostwa.

– Czy miał pan ze wspomnianym Bono tego rodzaju umowę barterową?

– To też pozostawię bez komentarza, droga koleżanko. Ale proszę mi łaskawie powiedzieć, w czym rzecz? Jaki jest powód pani zainteresowania tym panem?

– Chodzi o Matsa Krügera.

Klopstock skinął z uznaniem głową.

– Błyskotliwy umysł. Dawno o nim nie słyszałem. Czy nie mieszka i pracuje obecnie w Brazylii?

– W Argentynie. W tej chwili znajduje się w samolocie w drodze z Buenos Aires do Berlina.

I wtedy się to zdarzyło. Przełom. Punkt zwrotny tej rozmowy, w którym Klopstock

stracił pewność siebie.

– Jego córka jest w wielkim niebezpieczeństwie – powiedziała Feli, a Klopstock mrugnął dwa razy w krótkim odstępie czasu.

– Co się stało?

– Tego z kolei ja nie mogę powiedzieć. Ale wygląda na to, że ten mężczyzna ma z tym coś wspólnego.

Feli stuknęła palcem w wydruk, który Klopstock znów odsunął od siebie. Psychiatra wstał i podszedł do okna. Nerwowo bawił się sznurkiem żaluzji. Twarz miał tak białą, jak stiukowy sufit gabinetu. Pod jego oczami położył się nagle głęboki cień.

– Gdzie znajdę tego Bono? – chciała dowiedzieć się od niego Feli.

– Nie wiem.

– Ale wie pan coś innego, mam rację?

Odwrócił się do niej i otworzył usta. Skinął ledwo zauważalnie głową, kolejna mikroekspresja, ale Feli to zauważyła.

– Co to jest, proszę, panie Klopstock. Nie jestem skłonna do dramatyzowania, ale jeśli dobrze zrozumiałam Matsa, to może być kwestia życia lub śmierci.

Feli usłyszała burczenie w żołądku, chociaż w ogóle nie czuła głodu. Na pewno nie była mniej zdenerwowana niż psychiatra.

Klopstock podszedł z powrotem do biurka i pochylił się nad aparatem telefonicznym, a Feli miała przez chwilę nadzieję, że jednak poleci recepcjonistce przynieść akta pacjenta. Zamiast tego powiedział:

– Pani List? Może pani wpuścić następną osobę? Pani doktor Heilmann musi już niestety iść.

33

Chwileczkę... – Feli wstała i chciała zaprotestować. Ale Klopstock dalej trzymał naciśnięty włącznik trybu głośnomówiącego, pytając z fałszywą uprzejmością:

– Czy mam dla pani zamówić taksówkę, pani Heilmann?

Feli omal nie zakrztusiła się własnymi słowami i aż rozkaszała się ze złości.

– Wie pan co? Nie znosiłam pana, zanim jeszcze pana poznałam. Dziękuję, że teraz dostarczył mi pan mocnych powodów.

Szybkim krokiem opuściła gabinet i próbowała trzasnąć za sobą drzwiami, ale nie pozwolił jej na to automatyczny mechanizm, który powodował, że drzwi zamykały się po cichu.

I co teraz?

Feli wzięła głęboki wdech, skinęła uprzejmie na pożegnanie recepcjonistce, która nie była winna dziwaczego zachowania swojego szefa, i powlokła się do windy, nie wiedząc, co robić dalej.

Nie tak.

W gruncie rzeczy dobrze wiedziała, co ma teraz do załatwienia, ale właśnie tego się bała. Jak zareagowałby Mats, gdyby teraz przekazała mu wiadomość, że przypuszczalnie istnieje związek między Klopstockiem a taksówkarzem o pseudonimie Bono, ale ona nie ma pojęcia, jak mogłaby mu pomóc w uwolnieniu Nele?

Jej telefon zadzwonił w momencie, kiedy nacisnęła na guzik, żeby ściągnąć windę.

Janek!

Chciała odrzucić rozmowę, ale nacisnęła nie ten klawisz i właśnie miała go na linii.

– Gdzie się, na Boga, podziewasz przez cały czas, najdroższa?

Pieszczotliwe słowo na końcu zdania nie złagodziło napięcia w jego pytaniu. Jej narzeczony był w sposób słyszalny poirytowany, co Feli doskonale rozumiała. Prawdopodobnie długo i daremnie szukał racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego na

kilka godzin przed ceremonią ślubną nie może złapać swojej prawie żony ani przez komórkę, ani przez telefon stacjonarny. W domu powinna się odświeżać, przygładzać włosy, nakręcać je albo suszyć; być może z kieliszkiem szampana w ręce, jako wyrazem radości, która powinna ją coraz bardziej wypełniać z każdym oddechem, który brała.

Zamiast tego pozostawiała jego SMS-y i telefony bez odpowiedzi, aż w końcu odebrała w najmniej odpowiednim momencie, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Skołowana, zmieszana i bez żadnego planu w głowie.

– Jestem na Ku'dammie u kolegi lekarza – odparła zgodnie z prawdą i jeszcze raz nacisnęła guzik windy, bo nie miała żadnego znaku, że winda jest w ruchu.

– Słucham? Gdzie jesteś? – zapytał Janek tak zdumiony, jakby Feli oznajmiła mu, że pod wpływem impulsu wyemigrowała do Australii. – Chcesz powiedzieć, że jeszcze pracujesz?

– Nie – powiedziała i zmusiła się, żeby nie odpłacić mu tym samym. Łatwo by jej było odpowiedzieć zarzutem na zarzut. Wystarczyłoby, żeby zapytała, czy takie przywileje przysługują w małżeństwie tylko mężczyznom. Przecież to on dziś rano pojechał do biura, a nie ona. Ale odgryzając się w ten sposób, przerzuciłaby tylko swoją złość na niego, a przecież dotyczyła ona tylko jej samej i zaistniałej sytuacji. Poddając się odruchowemu przypływowi miłosierdzia, pozwoliła się wykorzystać mężczyźnie, z którego sprawami nie chciała mieć nic wspólnego. Po śmierci żony Mats już raz ją wykorzystał. Choć wiedział, że go kocha i pragnie od niego znacznie więcej niż tylko jednej nocy, wykorzystał ją jako środek na pocieszenie. A ledwie Nele to odkryła i zerwała z nim wszelkie stosunki, porzucił ją już na dobre. Naprawdę silny mężczyzna nie tylko zostałby w momencie śmierci u boku żony, ale też dałby szansę przyszłości i spróbował ułożyć sobie życie na nowo, pozwalając Feli liczyć na miejsce u jego boku. Ale Mats uciekł i zostawił ją samą.

– Córce Matsa Krügera przytrafiło się coś strasznego – odpowiedziała Feli narzeczonemu, kiedy zdecydowała, że tego jakże ważnego dnia nie będzie brukać kłamstwem. – Spotkamy się niedługo w domu, okej? Wtedy wszystko ci wytłumaczę.

Na ile będę mogła.

– Hm – mruknął Janek do telefonu, a Feli zadała sobie pytanie, czy po usłyszeniu nazwiska Mats Krüger w ogóle jeszcze ją słuchał.

– Jeszcze pół godziny i będę w domu – obiecała i dodając „Kocham cię”, rozłączyła się, kiedy Janek nie odezwał się już ani słowem.

No i tak właśnie wygląda najwłaściwsze przygotowanie się do wielkiej uroczystości, pomyślała i spojrzała na zegarek. Do wizyty w urzędzie stanu cywilnego pozostało dokładnie dwieście minut.

Pfff.

Teraz była zła na siebie, że odesłała Livia, kiedy ten podwiózł ją swoim wgniecionym renault na Ku'damm, róg Meineckestraße. Teraz musiała się zastanowić, jak bez samochodu dostać się na czas do domu. Przypuszczalnie S-Bahnem będzie szybciej niż taksówką.

Ping!

Winda otworzyła się, ale Feli nie wsiadła. W chwili, kiedy usłyszała ten dźwięk, zorientowała się, jaki błąd popełniła.

Właśnie przed chwilą, w gabinecie Klopstocka.

Zawróciła i podeszła z powrotem do recepcji.

– Namysliłam się – powiedziała do piękności za kontuarem.

Klopstock!

Wyciągnął do niej rękę, ale ona ją odrzuciła. Oburzona, wściekła, że rzekomo próbuje ją zbyć.

– Widzi pani, biorę dzisiaj ślub, a muszę oblecieć parę miejsc.

W rzeczywistości nie było to żadne zbycie, tylko propozycja: „Czy mam dla pani zamówić taksówkę?”

– Pan profesor powiedział, że może mi polecić zaufanego kierowcę.

– Zaufanego? – Recepcjonistka Klopstocka pokręciła nosem.

– Ten kierowca miał dzisiaj rano przyjechać po profesora do domu, ale się nie zjawił.

– Naprawdę? – Feli poczuła, że krew napływa jej do policzków. Świadczyło to o tym, że jej rozumowanie szło dobrą drogą. Zastanawiające było tylko, dlaczego Klopstock tak pokrętnie się wyraził i które z jej wywodów tak bardzo go zdenerwowały, a może nawet napędziły mu strachu.

– Czy mogłaby pani jednak spróbować z tym kierowcą? – poprosiła Feli.

Recepcjonistka bez żadnego komentarza wyłowiła z pudełka sfatygowaną wizytówkę i przyłożyła telefon do ucha.

– Spróbujemy. Może tym razem uda nam się dodzwonić do Franza.

34

FRANZ

Telefon w kieszeni jego spodni wibrował, ale nie miał na to teraz czasu. W najgorszym razie mógł to być nawet jego kontakt, który chciał się dowiedzieć, jak wyglądają sprawy. Co mu wtedy powie?

„Przykro mi, ale to wszystko działo się tak nagle i tak szybko. Chciałem się tylko jakoś uwolnić od śliniącego się z lubieżności strażnika, a w tym czasie ta ciężarna w bólach porodowych po prostu mi zwiła”.

– Kurwa mać!

Krzyk Franza rozchodził się echem w aż nazbyt pustej oborze.

Dlaczego w ogóle uwolnił ją z więzów? Wiele krów jeszcze dziś jest przywiązanych przez całe życie. Ale on znowu okazał się zbyt miękki. Po prostu chciał jej umożliwić łatwiejsze rozwiązanie.

A tymczasem taki pasztet. Co powinien zrobić w pierwszej kolejności? Wybiec i przeszukać okolicę? Z pewnością były tu jakieś dziury w ścianach obory, być może udało jej się jakoś przecisnąć przez jedną z nich i wyjść na wolność. A może siedzi skulona o boks dalej? Gdzieś pod słomą i gryzie sobie ręce do krwi, aby tylko nie zdradzić się krzykiem?

Franz czytał kiedyś, że kościół scjentologiczny zakazuje kobietom wydawania przy porodzie jakichkolwiek odgłosów, a więc poród w milczeniu jest możliwy. Śmiertelnie przerażona Nele być może dokonała właśnie niewyobrażalnego. Ciało ludzkie stanowi wielką tajemnicę i jest zdolne do rzeczy, których większość z nas nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

Niech to szlag.

– Nele?

Franz nie chciał już dłużej jej wołać, wolałby raczej znowu płakać, tak jak przedtem, kiedy nagle uświadomił sobie ciężar swojego przedsięwzięcia. Długo już zresztą nie zdołał tłumić łez. Generalnie był płaczliwy, a to wszystko zwyczajnie go przerastało. Franz za dużo wziął na siebie, choć było to nieuniknione, bo nie znalazłby się nikt inny do wykonania tego ważnego zadania. Ale najwidoczniej był nieodpowiednim człowiekiem do tego celu. *No tak, cholera*, z całą pewnością był nieodpowiednim człowiekiem.

Tylko jemu mogła się udać sztuka, żeby zgubić naga, mającą ograniczone ruchy zakładniczkę, która nagle jakby rozplynęła się w powietrzu. Chociaż przecież nie do końca. Widział jakieś ślady, tylko że nie potrafił ich odczytywać, a w dodatku nie był pewien, czy to nie on sam je zostawił.

W końcu przecież jeszcze przed dzisiejszym dniem był tutaj już kilkakrotnie. Najpierw, gdy rozpoznawał teren, potem, kiedy przygotowywał dla Nele miejsce do rodzenia. *A ten odcisk tutaj...*

Franz przyklęknął na pokrytej pyłem betonowej podłodze, a zastarzała woń siana i gnoju drażniła go w nos.

Tak, to ślady bosych stóp. A tutaj była odbita pięść. Widział to całkiem wyraźnie.

A tam, dwadzieścia centymetrów dalej, następny ślad. Poza tym odkrył cienką, wilgotną strużkę. Krew albo mocz? *Kto wie, może jednak jestem niezłym tropicielem śladów?* – pomyślał Franz.

W każdym razie znał teraz w przybliżeniu kierunek, w jakim musiała zniknąć Nele.

Wstał i próbował sobie przypomnieć, czy na drugim końcu hali jest dodatkowe wyjście. Ale jeśli jeszcze dobrze pamiętał szkic, który sporządził, przygotowując całą akcję, nic tam nie było.

Nic poza pochylnią, prowadzącą wprost do starego pomieszczenia na padlinę, gdzie dawniej przechowywano przed wywiezieniem zdechłe zwierzęta.

I właśnie to miejsce postanowił dokładnie sprawdzić na początek.

35

LIVIO

Dziewięćdziesiąt trzy euro i dwadzieścia cztery centy.

Nieźle, ale Livio miał już lepsze zyski. Karta kredytowa Feli nie na wiele mogła mu się przydać. Za dowód dostałby może stówę pod Urzędem Zdrowia i Opieki Społecznej, gdzie zawsze kręcili się naganiacze, którzy chcieli załatwić uciekinierom nowe tożsamości. Tyle że Felicitas Heilmann wyglądała na swoim biometrycznym zdjęciu paszportowym zbyt niemiecko, więc byłoby pewnie trudno.

Livio jeszcze raz skontrolował wszystkie przegródki w portmonetce, którą zabrał jej w aucie. Kiedy wysiadała, łatwo mu było wyciągnąć ją z kieszeni żakietu. O wiele łatwiej, niż ukraść jej komórkę, do czego musiał przedtem wykorzystać całą swoją umiejętność odwracania uwagi i całą zręczność. Minęło już sporo czasu, od kiedy zajmował się kradzieżami kieszonkowymi, ale i tak uważał, że wciąż jest w formie.

Livio wygładził banknoty i wsunął je do kieszeni spodni. Prawie sto euro to nie był najgorszy dodatkowy zarobek, zwłaszcza że na nic takiego nie liczył. A w każdym razie lepszy niż za komórkę, za którą jeszcze długo nigdy by nie dostał takiej kwoty.

Wytrząsnął portfel, wysypując z niego na fotel obok wszystkie karty kredytowe, lojalnościowe i ubezpieczeniowe. Na koniec rozłożył jeszcze biały kawałek papieru, który wyglądał jak jakieś pokwitowanie. Tymczasem było to zaproszenie. Na ślub w urzędzie stanu cywilnego.

Spojrzał na datę.

Do diabła.

Przecież to dzisiaj!

– No to weźmie ślub później – powiedział sam do siebie, a jego wzrok powędrował do lusterka wstecznego, w którym jeszcze dość wyraźnie widział budynek

przychodni. Sięgnął po dowód osobisty Feli. Porównał zdjęcie najpierw z tym na zaproszeniu, następnie z twarzą w lusterku, ale ta była za daleko i ledwie można ją było rozpoznać. Bo w tej właśnie chwili Felicitas Heilmann wyszła z budynku z telefonem przy uchu i przez chwilę rozglądała się bezradnie. Potem zniknęła mu z pola widzenia, oddalając się w stronę Kościoła Pamięci. Nie miała nawet pojęcia, jaka przykra niespodzianka czeka ją i tego aroganckiego typka najpóźniej za dwie i pół godziny.

Livio nie był do końca pewien, ale mocno wątpił, żeby w Niemczech można było wziąć ślub bez dowodu osobistego.

36

MATS

Jak dla mnie, to już po wszystkim – usłyszał Mats głos Feli. Oddychała zmęczona, a sądząc po odgłosach ruchu samochodowego w tle, pewnie właśnie przechodziła przez skrzyżowanie. – Na tym kończę.

Tym samym była drugą osobą po Kai, która w ciągu kilku minut chciała zerwać z nim kontakt. Ostatnia lina ratunkowa właśnie grozi zerwaniem. Z tym że Kaja zrobiła to bez słowa. Jego była pacjentka wstała tylko i przełączyła się na widzenie tunelowe: ani śladu kontaktu wzrokowego, zamrożona mimika, mechaniczne ruchy podczas opuszczania Sky Suite. Typowe objawy najcięższej psychicznej traumy, w dodatku całkiem zrozumiałe, bo przecież pokazując jej to wideo, rzucił w jej stronę psychiczny granat. Skoro on sam był zdenerwowany, to jak musiały te obrazy podziałać na Kaję?

Pocałunek, namiętne objęcie zamachowca, ta intymna więź. Jaki miała powód, aby wracać do swego dręczyciela? Czyżby Kaja już wtedy cierpiała na zaburzenia percepcji?

Mało prawdopodobne.

Przymusowa sytuacja, w jakiej się znalazła, trwała zbyt krótko, aby mogła powstać więź emocjonalna między sprawcą a ofiarą, znana pod nazwą syndromu sztokholmskiego. Prawdopodobnie Mats nigdy nie uzyska odpowiedzi na to pytanie, bo nawet jeśli przeżyje tę noc, to przez swój postępek straci uprawnienia i nigdy więcej nie będzie mógł pracować jako terapeuta. A już na pewno nie z Kają Claussen.

– Dobra, to się rozłączam – usłyszał głos Feli.

– Nie, proszę, nie rób tego. – Mats odkręcił kran w łazience, do której wszedł, ponieważ w każdej chwili liczył się z tym, że zaraz zwymiotuje. Światło dwóch lamp

przymocowanych do lustra przechodziło przez filtr jedwabnych matowych kloszy, przez co Mats wyglądał na mniej rozbitego, niż się czuł.

– Mats, proszę cię! – jęknęła Feli. – Zdobyłam dla ciebie numer telefonu, a nawet adres mężczyzny, który prawdopodobnie ma coś wspólnego ze zniknięciem twojej córki. Recepcjonistka, która dała mi wizytówkę kierowcy Klopstocka, powiedziała, że Franz Uhlant nie stawiał się dziś do pracy. Czego jeszcze chcesz? Zadzwoń na policję i pozwól działać zawodowcom.

– Nie mogę tego zrobić. Nie mogę, dopóki nie będę w stu procentach pewien, gdzie jest Nele.

– Dlaczego?

Mats trzymał lewą rękę pod kranem i chłodził sobie tętnice nadgarstka. Następnie z pojemnika ze stali szlachetnej stojącego obok lustra wyjął plik chusteczek higienicznych, otarł pot z czoła i powłócząc nogami, wrócił do pokoju.

– Czy pamiętasz Kaję Claussen? Uczennicę, której przeszkodziłaś w popełnieniu samobójstwa?

– To tobie się udało, ja tylko ją do ciebie skierowałam, Mats. O co chodzi?

– Jest stewardesą na pokładzie samolotu, którym właśnie lecę.

– Zmyślasz.

– To prawda. I to wcale nie jest przypadek. Sprawca albo sprawcy – zakładam, że może być więcej niż jedna osoba – wgrali wideo Fabera do programu telewizji pokładowej.

– Wideo Fabera? – zapytała Feli zdeorientowana.

– No, to nagranie, na którym widać, jak szalenciec gwałci Kaję. Pojawienie się tego wideo w sieci było bodźcem, który spowodował, że ona zaplanowała tamten szaleńczy krok.

– Okej, zgadza się. Pamiętam, nie wiedziałam tylko, że film tak się nazywa.

Mats wziął do ręki pilota i włączył kanał 13/10. Nacisnął tylko trzy razy strzałkę i znów miał na ekranie ostatnie minuty. Na kilka sekund przed niewytłumaczalnym pocałunkiem.

– Przez trzy czwarte roku Kaja była w szkole bohaterką, która się poświęciła, aby inni mogli przeżyć. Dopóki jej były przyjaciel, Johannes Faber, którym wzgardziła, nie rozpowszechnił nagrania wśród kolegów. Kaja zaopatrzyła się w broń i poszła do szkoły z zamiarem zabicia jego i wszystkich innych, którzy widzieli film i z niej szydzili.

– Tak, tak, ja to wszystko wiem – powiedziała Feli zniecierpliwionym głosem. – Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z Nele.

– Mam skonfrontować Kaję z tym filmem – wyznał Mats, przemilczając fakt, że już dawno to zrobił.

– Po co?

– Żeby wyzwolić w niej dawną autoagresję. Doprowadzić ją do tego, żeby zabiła siebie i wszystkich innych na pokładzie.

Feli aż sapnęła.

– Chyba żartujesz!

– Nie.

– To nie może być prawda, to jakieś...

– Właśnie że jest – wpadł jej w słowo Mats. – Takie są warunki szantażysty. Nele umrze, jeśli nie spowoduję katastrofy samolotu. Teraz rozumiesz, dlaczego jesteś moją ostatnią szansą? Nazwisko sprawcy mi nie wystarczy. Muszę wiedzieć, dokąd wprowadził Nele!

Mats przemyślał to wszystko na dziesiątki sposobów.

Gdyby została włączona policja, on jako ofiara szantażu, zostałby uznany za osobę zagrażającą bezpieczeństwu samolotu. Od tego momentu załoga nie mogłaby już ryzykować. Zostałby natychmiast odizolowany i prawdopodobnie umieszczony gdzieś pod nadzorem. Istniało zbyt duże ryzyko, że szantażysta się o tym dowie i zabije Nele, zanim znajdą ją funkcjonariusze.

Mats zatrzymał wideo dokładnie w chwili, kiedy kamera omiatała płytki na podłodze w łazience, gdzie ukrywał się Johannes Faber.

– Feli? – zapytał, ponieważ jej nie słyszał. Tylko odgłosy w tle sygnalizowały mu, że połączenie nie zostało przerwane.

– Pieprzony z ciebie dupek – wychrypiała w końcu.

– Tak – przyznał.

– Czy wiesz, co mi robisz?

– Tobie? – Myślał, że tamta uwaga odnosi się do tego, co miał zrobić Kai, ale oczywiście to, czego domagał się teraz od Feli, też było szczytem bezczelności.

– Wiem, że dziś jest twój ślub. Ale, Feli, proszę...

– Mam w dupie ślub! – krzyknęła do słuchawki. – Tu chodzi o życie ludzi. Setek ludzi, o mój Boże! A ty mnie jeszcze we wszystko wtajemniczyłeś. Nie mogę już udawać, że o niczym nie wiem. Nie mam wyboru, teraz muszę włączyć w to policję.

Mats jęknął i z najwyższym trudem powstrzymał się, żeby nie wbić pięści razem z trzymanym w niej pilotem w plazmowy ekran.

– Nie, na miłość boską, nie rób tego. Zabijesz Nele.

– Och, Mats. Dla ciebie twoja córka jest oczywiście więcej warta niż wszystko inne na świecie, ja to rozumiem. Ale dla mnie? A co będzie, jak nie znajdę Nele? Nie mogę ci przecież pomagać w ratowaniu jednego życia, abyś na koniec poświęcił cały samolot pełen ludzi, jeśli jej nie znajdziemy.

Matsowi zakręciło się w głowie. Jeszcze chwila, a rozmowa wymknie mu się spod kontroli.

– Ale ty przecież wcale tego nie zrobisz, Feli. Posłuchaj mnie. Przysięgam ci, że będę się trzymał z daleka od Kai. Nie ugnę się również przed żądaniem szantażysty. Nikt w samolocie nie poniesie szkody.

– I ja mam ci wierzyć?

– Tak – kłamał dalej. – Uwierz mi. Nie jestem masowym mordercą.

A jednak. W dodatku mordercą perfidnym, podstępny.

Feli wahała się. Nie było już słycać ruchu ulicznego w tle. Być może siedziała w taksówce albo weszła na klatkę. O Boże, ile on by teraz dał za to, aby stanąć naprzeciw niej, ująć jej dłoń i osobiście wyjaśnić, o co chodzi w tej grze.

– Sama nie wiem – powiedziała. – Jeśli kłamiesz i ja nikogo nie zawiadomię, będę musiała potem żyć z poczuciem winy, że mam na sumieniu setki dusz.

– Ja nie kłamię, Feli. Popatrz, będziemy jeszcze ponad sześć godzin w powietrzu. Jeśli teraz zawiadomisz władzę, załoga zostanie ostrzeżona i sprawcy się dowiedzą, że ich plan nie wypalił. A wtedy natychmiast zabiją Nele. Ją i dziecko.

– Nie musielibyśmy wcale opowiadać im o tobie i samolocie. Tylko tyle, że zaginęła ciężarna kobieta. A ja podałabym tylko wskazówkę dotyczącą Uhlandta.

– Tak, też o tym myślałem. Ale czy możesz mnie zapewnić, że szantażysta nie dowie się o poszukiwaniach?

– A może on wie już także o mnie? – zapytała Feli.

– Być może. Ale ty nie stanowisz oficjalnego zagrożenia. Obojętne, czego ode mnie chce ten szaleniec czy szaleńcy, to z pewnością musi chodzić o coś bardzo wielkiego. O coś, co nie może się przedostać do opinii publicznej. A tak się właśnie stanie, jak tylko włączę policję. Boję się, że jeszcze na to za wcześnie. Proszę cię, Feli, zaklinam cię. Daj mi jeszcze trochę czasu. Dowiedz się jakoś, gdzie ten Franz Uhlandt ukrył moją córkę, a następnie, przysięgam, zawiadomimy policję i cały

koszmar się skończy, okej?

Feli milczała przez chwilę, a wtedy miał wrażenie, jakby w słuchawce słychać było monotony szum z wnętrza lecącego samolotu. Mats czuł się jak w tunelu aerodynamicznym. Wokół niego wszystko szumiało. Wreszcie usłyszał głos Feli.

– Jak już mówiłam: pieprzony z ciebie dupek, Mats.

Rozłączyła się, nie zdradzając mu, czy posłucha jego prośby, czy wybierze numer 110.

Mats wypuścił telefon z ręki i ukrył twarz w dłoniach.

O Boże. Co ja robię? Jak sobie z tym poradzić?

Otarł łzy z oczu, następnie poszukał pilota, aby usunąć z ekranu zatrzymany obraz. W tym momencie dojrzał to kątem oka.

Z powodu bólu głowy, który wibrował za oczami, mdłości i potwornego zmęczenia, które go paraliżowało, trwało dobrą chwilę, zanim uświadomił sobie, co tak naprawdę zobaczył.

Na ekranie.

W zatrzymanym kadrze. Przy jego dolnej krawędzi, pod prysznicem w damskiej przebieralni.

Na rozmytych kafelkach posadzki.

Ten niewielki, ledwie widoczny szczegół. Uchwycony tylko dlatego, że Mats przypadkiem w tej sekundzie zatrzymał wideo.

Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał sam siebie, żałując, że nie może zrobić zbliżenia tego obrazu ani przynajmniej go wydrukować. Podszedł bliżej ekranu i popełnił ciężki w skutkach błąd. W nadziei, że uda mu się coś zrobić, aby szczegół był bardziej widoczny, kiedy przesunie film odrobinę do przodu albo do tyłu za pomocą dotykowych funkcji ekranu, stracił całą scenę.

Program do odtwarzania filmów używany w tym samolocie nie był specjalnie precyzyjny i w trybie przesuwania obrazu wykonywał pięcio-, sześćosekundowe skoki. A Mats potrzebował funkcji płynnego przesuwania w zwolnionym tempie!

Niech to jasny szlag!

Robił, co mógł, ale wideo za nic nie chciało się ponownie zatrzymać w tym miejscu, które musiał zobaczyć, aby potwierdzić swoje podejrzenie. Mimo to był pewien, że się nie myli.

Widział to, było nie większe niż dwa centymetry. To „coś”, co ukazywało traumę Kai w całkiem innym świetle.

I choć Mats w tej chwili nie mógłby uzasadnić, dlaczego był taki pewny, ufał swojej intuicji, która mu podpowiadała, że porywacze jego córki popełnili właśnie wielki błąd.

37

NELE

„Zupełnie jakby się próbowało wydusić z siebie kulę do kręgli”.

Autorem tego głupiego porównania mógł być tylko mężczyzna, było bowiem o wiele za łagodne.

Nele miała raczej uczucie, jakby próbowała wypchnąć przez pochwę naszpikowany gwoździami samochodowy akumulator.

A mimo to nie krzyczała. W każdym razie nie tak głośno, jakby chciała. Czyli porównywalnie do ryku silników startującego samolotu.

Ale nawet jej sapliwe jęki wystarczały, żeby zmienić piwniczny korytarz, na którym leżała, w grzmiącą katedrę. Odgłosy jej męczarni głucho rozchodziły się po korytarzu, pochłaniane przez półmrok, który ją otaczał. Udało się jej przemieścić zaledwie kilka metrów, ale przynajmniej zeszła po paru zardzewiałych stopniach metalowych schodów, które na końcu obory prowadziły w ciemność. Tam właśnie padła, i to dosłownie. Chwycił ją taki ból, że nogi ugięły się pod nią, a ona sama przewróciła się na ziemię.

Kiedy ból minął, przez chwilę bała się, że oślepla. Ale potem wróciły cienie metalowej beczki na środku korytarza i drewnianych drzwi, które, wisząc krzywo na zawiasach, wyglądały jak klapki na końskich oczach.

Loch, pomyślała. Uciekłam do rozpadającego się lochu.

Widziała zaledwie niewyraźne kontury. Za to dużo lepiej słyszała i czuła zapachy.

Czuła zapach kału, moczu, swojego potu i wyziewy strachu. Słyszała, jak ze ściany odpada zaprawa murarska, gdy próbowała podciągnąć się na wystającej miedzianej rurze (może od dawnej instalacji wodociągowej?), żeby mimo bólu iść dalej, w głąb ciemnego, najwyraźniej wyłożonego płytkami korytarza, w śmierdzącą szlamem i

pleśnią ciemność. Uciec od kroków za jej plecami. Rozbrzmiewających na schodach.

Kroków zbliżających się do niej przy akompaniamencie głosu, który zamieniał jej rozpacz w panikę.

– Nele?! – słyszała wołanie porywacza. Szaleńca, który prawdopodobnie naprawdę nazywał się Franz; który zdradził jej swoje prawdziwe imię. Ponieważ nawet nie śniło mu się, żeby kiedykolwiek puścić ją wolno.

– Nele, niech pani wróci, proszę. Wszystko pani wyjaśnię.

Zanosiło się na nową falę bólu. Trzecią w odstępie zaledwie kilku minut.

Dobry Boże, proszę, nie pozwól, żeby znów trwał godzinę, modliła się Nele, która oczywiście zdawała sobie sprawę, że jej poczucie czasu jest równie beznadziejnie złe jak położenie, w jakim się znajdowała.

Sama, naga, bezbronna.

– To moja wina. Nie jestem zły, że pani uciekła. Powinienem to wszystko lepiej pani wytłumaczyć.

Głos miał smutne brzmienie, zupełnie inne niż w filmach, w których seryjni mordercy wypowiadają się w sposób niezwykle wyszukany albo w ich głosie słyszy się szaleństwo. Natomiast głos Franza brzmiał tak... szczerze. Jakby naprawdę było mu przykro, że to wszystko robi. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest obłąkany.

Świadczyło o tym nawet jego następne pytanie.

– Czy wie pani, czym w sposób zasadniczy ludzie różnią się od innych ssaków?

„*Tym że zabijają bez najmniejszego powodu?*”, chciała odkrzyknąć mu Nele, ale była zbyt zajęta oddychaniem w głąb brzucha.

Stwierdziła, że dzięki temu udaje się jej trochę lepiej przygotować na silne wstrząsy ciała, które w każdej chwili mogły się znowu pojawić.

– Jesteśmy jedynymi ssakami na świecie, które nadal piją mleko, nawet kiedy są już dorosłe – odpowiedział Franz na swoje pytanie. Wciąż wydawało się, że jego głos dochodzi z początku piwnicznego korytarza. Przez ostatnie sekundy Franz nie szedł dalej.

– I nikt, naprawdę nikt, się nie zastanawia, co to oznacza. Jakie skutki ma ta nasza nieuzasadniona konsumpcja mleka!

Tymczasem Nele udało się niemożliwe i podciągnęła się na miedzianej rurze. Centymetr po centymetrze, aż w końcu znów stanęła na nogach, chociaż nie udało jej się rozprostować kolan.

Czuła, że po jej nagich udach spływa coś mokrego, i pochyliła się do przodu.

Stała teraz na czworakach z najwrażliwszym miejscem wypiętym w stronę porywacza, ale miała nadzieję, że Franz widzi w tych ciemnościach równie mało co ona.

– Nie mówię tu o biegunce spowodowanej nietolerancją laktozy. Albo o raku prostaty, chociaż mleko jest tutaj równie oczywistą przyczyną, jak w przypadku osteoporozy i cukrzycy.

Nele zatrzęsała się cała, kiedy przyszło jej na myśl, że być może Franz ma noktowizor. Albo że jego głos idzie z taśmy, a on sam dawno się do niej podkradł.

I że jeszcze chwila i poczuje jego palce. Oddech na karku.

– Mówię o bardzo, bardzo dużym, okropnym cierpieniu!

Nele straciła równowagę i upadła do przodu. Upadając, przekreśliła się na bok, niezamierzenie, ale nieuchronnie. Po prostu nie miała już siły.

– Proszę, Nele. Niech pani wróci. Niech mi pani da wyjaśnić. Jest pani mądrą kobietą, zrozumie to pani.

Nele znowu wsparła się rękami o podłogę, która zmieniła swoją strukturę. Do tej pory czuła zimne, popękane płytki i gruby beton, teraz wbiła jej się drzazga, kiedy przejechała dłonią po drewnie.

Drewno? W podłodze?

Obmacywała dalej podłogę, aż poczuła szczelinę. Obrysowała palcami bruzdy.

Nadzieja spłynęła na nią z takim samym impetem, z jakim przeszywał ją ból.

– Jeszcze pani zrozumie, że to wszystko jest konieczne. Że wszyscy musimy ponieść ofiarę, żeby zmienić bieg rzeczy. Słyszysz mnie pani, Nele?

Tak, tak, słyszę, ty chory pomyleńcu!

Nele słyszała jego i kroki, które teraz się zbliżały. Ale przede wszystkim słyszała dzwonienie. Metalu o metal. Chwyciła palcami wpuszczony w drewno metalowy pierścień. Pociągnęła go z całej siły.

– Nele? Co pani tam robi?

Nawet gdyby chciała, nie mogłaby odpowiedzieć Franzowi. Nele nie miała pojęcia, co otwiera. Nie wiedziała, dlaczego w piwnicy pod starą oborą jest jakaś drewniana kłapa w podłodze i czy otwiera jej drogę do wolności, czy do zguby.

– Niech pani będzie rozsądna! – słyszała wołanie Franza, podczas gdy rzeczywiście udało się jej przesunąć drewnianą kłapę.

Włożyła ręce w ciemną nicość, która nagle się przed nią odsłoniła. Nie miała pojęcia, jaka jest głęboka. Czy smród padliny i zgnilizny, który wionął z dziury jak

oddech zdychającego zwierzęcia, pokonał kilka metrów czy tylko długość ręki.

– Stąd nie ma wyjścia, wszystko sprawdziłem. Naprawdę nie mam ochoty stosować przemocy. A jeśli już, to tylko na tyle, na ile jest to konieczne, żeby otworzyć światu oczy.

A ja nie mam ochoty umierać, pomyślała Nele i wturlała się do dziury, chociaż było to wbrew wszelkiemu rozsądkowi, tylko że brakowało alternatywy. Spadając, krzyknęła tak głośno, że aż głos się jej załamał, chociaż nawet w przybliżeniu nie był to krzyk tak przeraźliwy, na jaki zasługiwał ból, który przeszył ją podczas spadania.

38

MATS

Mats odruchowo zareagował na stonowany gong dzwonka do drzwi i chwilę potem poczuł, jak zimny palec wolno przesuwa się w górę od kości ogonowej po kręgosłupie aż do karku, kiedy dotarło do niego, komu właśnie otworzył drzwi do apartamentu Sky Suite.

– Augusto Pereya – przedstawił się czterdziestoletni może pilot i zdjął czarną oficerską czapkę. Mężczyzna miał oliwkową cerę i ciemne, trochę przerzedzone na czubku głowy włosy. Miał krzywy i nieforemny nos, który przypominał Matsowi źle wyciśniętą tubkę pasty do zębów. Do białej koszuli i ciemnego krawata nosił antracytową marynarkę z czterema złotymi paskami na mankiecie. – Jestem kapitanem tego samolotu.

– Czy jest jakiś problem? – zapytał Mats Argentyńczyka, z którym rozmawiał po hiszpańsku.

– Mogę wejść?

– Tak, tak, oczywiście. – Mats zrobił mu przejście i stosunkowo niski, ale sprawiający wrażenie silnego pilot wszedł do środka. Pereya badawczo omiół wzrokiem Sky Suite i właśnie zatrzymał go na nietkniętym jedzeniu na stoliku serwisowym, kiedy w kieszeni spodni Matsa zadzwoniła komórka.

– W takim razie o co chodzi? – zapytał Mats, nie zwracając uwagi na komórkę, ale Pereya powiedział:

– Niech pan spokojnie odbierze, doktorze Krüger. Proszę skorzystać z oferty.

– Słucham?

– Nasza reklama. – Kapitan odsłonił w uśmiechu rząd pociemniałych od kawy zębów. – W tym miesiącu w LegendAir rozmowy przychodzące są gratis. Więc lepiej

niech pan odbierze. Oddzwonienie wyjdzie pana drożej. Ci lichwiarze żądają na dzisiaj dziesięć dolarów za minutę.

Mats wyjął telefon.

– Ale czy na pewno nie czekają na pana w kokpicie?

– Akurat mam przerwę, pierwszy oficer przejął moje obowiązki – odpowiedział Pereya i ponownie machnął ręką w kierunku telefonu. – Proszę się nie krępować, mogę poczekać.

Mats uśmiechnął się do niego nieporadnie i odebrał rozmowę od nieznanego abonenta.

– Tak?

– Co pan już zdołał? – zapytał sztuczny głos Johnny’ego Deppa. Mats znów słyszał w tle szmer oddechu prawdziwego rozmówcy. Znów nie znalazł żadnej wskazówki, z kim rozmawia.

– Okej, tak. Dziękuję, że pan zadzwonił – powiedział Mats i celowo przesadził z udawaną radością. – Wszystko to brzmi wspaniale, ale potrzebuję jeszcze trochę czasu na dokumenty.

– Nie jest pan sam? – stwierdził głos.

– Aaa, tak, dokładnie.

– Czy jest z panem Kaja?

Mats uśmiechnął się do pilota i wzruszył ramionami, tak jakby chciał powiedzieć: „*Sorry, już kończę*”.

Pereya tylko skinął uspokajająco głową i nie wyglądało na to, żeby miał zamiar usiąść.

– Nie.

– Inny pasażer? – chciał wiedzieć Johnny.

– Nie, przykro mi.

– Więc ktoś z załogi?

Mats westchnął.

– Hm, ale najpierw muszę to z nim omówić. To on jest szefem, jak pan wie.

– Kapitan? Jest u pana kapitan? – Głos stał się jeszcze bardziej groźny. – Jedno niewłaściwe słowo i pana córka nie żyje. Zrozumiano?

– Tak.

– Więc dobrze, powiem to tylko raz i musi mnie pan teraz tylko uważnie słuchać.

Mats znów spojrzał na Pereyę, który w tym momencie wydawał się interesować

ekranem na ścianie, chociaż pokazywał tylko znaną mu trasę lotu z kilkoma danymi, informującymi o wysokości lotu, prędkości wiatru i temperaturze na zewnątrz. Minus pięćdziesiąt jeden stopni Celsjusza.

Mniej więcej tak samo zimno jak w mojej duszy.

– Czy jest pan gotów na dalsze instrukcje?

– Hm, tak, tak. Zapamiętam – kontynuował Mats zaszyfrowaną rozmowę z szantażystą.

– Dobrze, doktorze Krüger. W takim razie niech pan teraz uważnie mnie posłucha: Gdyby sprawa z Kają posunęła się do przodu, a mam nadzieję, że tak się stanie, mając na względzie dobro Nele i jej dziecka, to Kai będzie potrzebna broń. Dobrze by było, żeby miał pan tę broń już przy sobie, na wypadek gdyby sytuacja dojrzała i musiał pan szybko zareagować.

– Dobrze. A gdzie mam wysłać dokumenty?

– Ukryliśmy broń pod pańskim siedzeniem.

Matsowi zaschło w ustach. Musiał się mocno skupić, żeby głośno nie westchnąć.

– Och... yyy... Tak. Okej, ale...

Broń? Gdzie? Pod którym siedzeniem, do jasnej cholery?

Chrząknął.

– Ale... jest kilka biur w tym budynku. Potrzebuję konkretny numer.

– Racja. Zarezerwował pan różne miejsca, panie trzęsidupo. Wybraliśmy najlepsze.

7A. W klasie biznes.

Akurat to!

– Wszystko jasne.

– Broń znajdzie pan tam, gdzie kamizelka ratunkowa.

Mats zamknął oczy i zrobiło mu się niedobrze, kiedy mówił do słuchawki:

– Świetnie, bardzo dziękuję. Pamiętam. Tak, ja również serdecznie pozdrawiam. – Rozłączył się.

– Wszystko okej? – usłyszał pytanie pilota, do którego odwrócił się plecami podczas końcowej wymiany zdań.

– Tak, tak, wszystko w najlepszym porządku. – Mats uśmiechnął się i wskazał na kącik z fotelami. – Proszę, dlaczego pan nie siada?

– Dziękuję, wolę stać.

Mats skinął niepewnie.

– O co chodzi?

– Rozmawiałem przed chwilą o panu z panią Claussen.

– Tak?

– I martwię się.

Aha. Więc to takie buty. Musiało dotrzeć do kapitana, że nie jest z nią całkiem dobrze.

– Nie mogę o tym rozmawiać. – Mats spróbował powołać się na tajemnicę lekarską.

Pereya skinął głową.

– Rozumiem to. Nawet bardzo dobrze. – Jego czapka wędrowała z jednej dłoni do drugiej. – Mimo to. Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

Mats nieświadomie uniósł dłoń do szyi.

– Co pan ma na myśli?

– Dobrze, będę z panem zupełnie szczery. Wydaje się, że pani Claussen jest trochę rozstrojona.

– W jakim sensie?

– Upuściła w przejściu tacę ze szklankami.

– A co ja mam z tym wspólnego?

Spojrzenie kapitana stwardniało.

– Właśnie o to pana pytam, doktorze Krüger. Kiedy zapytałem panią Claussen, czy potrzebuje przerwy, powiedziała, cytując: „Wszystko ze mną w porządku, jestem tylko po intensywne rozmowach z doktorem Krügerem”.

– Aha. – Mats zachował się tak, jakby go to ani grzało, ani ziębiło.

– Jako psychiatra na pewno słyszał pan o projekcie ustawy o WTP? – Kapitan raptownie zmienił temat.

– Tak, a co? – Mats kiwnął głową.

Wstępny test psychologiczny (w skrócie WTP) była to nazwa niepotwierdzonych naukowo testów, które rzekomo pozwalały szybko rozpoznać psychopatologiczne rysy osobowości. Mats uważał to za szarlatanerię i panikarstwo. Ale po katastrofie samolotu German Wings, kiedy to najprawdopodobniej psychicznie chory drugi pilot spowodował śmierć ponad setki osób, zamykając się w kokpicie i rozbijając samolot o zbocze góry, żądania wczesnego rozpoznawania zaburzeń psychopatologicznych stawały się coraz głośniejsze. Oprócz obowiązkowego udziału w standaryzowanych psychologicznych testach wielokrotnego wyboru w centrum rozważań pojawiła się również kwestia testów krwi na obecność leków psychotropowych, którym regularnie

miałaby się poddawać cała załoga.

– Osobiście uważam WTP za całkowicie nieprzydatne – oznajmił Mats. – Tak samo, jak nie rozpozna pan przestępcy po kolorze włosów, tak samo nie zajrzy pan do jego głowy za pomocą ankiety. I nie każdy, kto bierze antydepresanty, jest niezdolny do pracy, nie mówiąc o tym, żeby stanowią od razu zagrożenie. Nie bez powodu uważa się, że to prawo nie znajdzie większości w Europarlamencie.

Pereya przytaknął.

– Mimo to zastanawiamy się w LegendAir nad wprowadzeniem dobrowolnych testów, wykraczających daleko poza wymagane prawem minimum.

Mats próbował wytrzymać świdrujące spojrzenie pilota.

– To niewątpliwie bardzo ciekawe, ale przecież z pewnością nie po to się pan do mnie fatygował, żeby mi to powiedzieć?

Kapitan zbliżył się do niego o krok.

– Będę z panem całkowicie szczerzy, doktorze Krüger. Nie martwię się o panią Claussen. Jest bardzo sprawna, być może tylko chwilowo niedysponowaną pracownicą. Chodzi mi o pana.

– O mnie?

– Uważam, że byłoby znakomicie, gdyby testy WTP były już zatwierdzone i moglibyśmy je przeprowadzić z pana udziałem. Ponieważ mam co do pana wyjątkowo złe przeczucie i chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi. Ktoś taki jak pan jest wręcz wzorcowym kandydatem do takiego zapobiegawczego badania.

Uśmiechnął się smutno.

– No bo najpierw zwraca pan naszą uwagę, rezerwując równocześnie kilka miejsc, a krótko po starcie dostaje pan ataku paniki. Później wywołuje pan ogromny zamęt wśród personelu, obwiniając stewarda o czynną napaść, a potem jeszcze naprzykrzać się pani Claussen.

– Nikomu się nie naprzykrzałem – odparł Mats, któremu nagle przyszła do głowy pewna myśl. Jeśli się nie mylił, wśród jego kolegów psychiatrów był ktoś, kto intensywnie zajmował się badaniami WTP. Lekarz, którego nazwisko usłyszał dzisiaj pierwszy raz po długim, długim czasie: Klopstock!

To nie może być przypadek!

Mats postanowił, że przy pierwszej nadarzającej się okazji sprawdzi to w Internecie.

– Nie kłóćmy się o słowa. Chcę tylko jednego, żeby trzymał się pan z daleka od

pani Claussen, okej?

Mats nie okazał żadnej reakcji.

Natomiast Pereya uśmiechnął się pozornie pojednawczo i rozejrzał się po Sky Suite.

– Myślę, że da się tu wytrzymać i bez niej, prawda?

Ponownie włożył czapkę i nagle jego głos znów doskonale pasował do stalowo zimnych oczu, którymi wpatrywał się w Matsa.

– Nie chcę już słyszeć o żadnych incydentach, rozumiemy się? Żebym nie musiał zastanawiać się nad podjęciem kolejnych kroków.

39

NELE

Kartony, pudła, śmieci... Nele miała jedynie mgliste wyobrażenie na temat tego, na co spadła. W każdym razie było to zmurszałe i miękkie, na szczęście, w przeciwnym razie złamałaby kręgosłup. A nie tylko skręciła nogę w kostce.

– Kuuurrrr....! – wydała swój wojenny okrzyk walki porodowej w górę szybu, kanalizacji, odpływu albo czegośkolwiek, co to było.

Siedziała ze zgiętymi nogami w czymś w rodzaju stelaża z metalowej siatki na kupie śmieci, które tu wyrzucano. Na liściach i starych kocach, zakleszczona pomiędzy pudłami, które musiały rozlecieć się przy jej upadku.

Jej lewa stopa i kość piszczelowa były mocno stłuczone, ale prawie nie grało to roli wobec tego innego bólu.

Nele czuła zapach krwi i ekskrementów, słyszała swój krzyk i nie myślała o niczym oprócz...

– Kuuuurr!!!

Wbrew pozorom to słowo nic nie znaczyło, nie było w zamierzeniu przekleństwem ani błaganiem, po prostu tylko krzykiem. Wydobywająca się z gardła przeciągła samogłoska przynosiła jej ulgę, chociaż tylko niewielką.

Intensywność bólu znów się zmieniła. Oparta łokciem o siatkę nie próbowała już panować nad falami skurczów w swoim ciele. Zapewne intuicyjnie robiła w obecności szaleńca na górze w baraku wszystko, żeby jakoś powstrzymać poród. Teraz pozwoliła na to, nie oddychała już przeciwnie do skurczów, lecz razem z nimi. Czuła to. Jej maleństwo nie chciało już przebywać w jej ciele. Chciało wydostać się z bezpiecznego brzucha na ten świat, który jeszcze nigdy nie jawił się Nele tak koszmary, jak w tym momencie.

– Kuuuurrruuurrr! – Jej krzyk rozdarł mrok i wszystko się skończyło. Na chwilę. Przypływ osiągnął zenit. Fale znów się cofnęły. Na razie. Zostawiły Nele drżącą, dyszącą i jęczącą z bólu, samą z jej umęczonym ciałem. Na chwilę.

– Jak się pani czuje?

Nele spojrzała do góry, na obramowanie szybu.

Nie zobaczyła Franza. Tylko jego cień, który nachylił się nad otworem.

– Co pani zrobiła!

No właśnie. Co ja takiego zrobiłam, że mnie to spotyka?

– Na Boga, wie pani, gdzie pani jest? Skoczyła pani do szamba. Dawniej wyrzucano tu padlinę. Biedne krowy, kiedy już zostały wydojone na śmierć i nie nadawały się nawet do rzeźni. Martwe płody. Resztki mięsa.

To znaczy, że jestem we właściwym miejscu, pomyślała Nele w przypływie bezgranicznego smutku.

Była zgubiona. Urowadzona przez zboczeńca, znalazła się w miejscu, które idealnie pasowało do jej obecnego stanu psychicznego. Była już tylko ochłapem mięsa. Niezdolna do niczego poza wyprodukowaniem martwego płodu. Nawet jeśli miałyby się stąd w jakiś sposób wydostać, poraniona, z rozdartym podbrzuszem i poobijanym ciałem, bez wątpienia zaraziłaby dziecko swoją krwią.

– Proszę posłuchać, tak się nie robi. Nie taki był plan – oznajmił szaleniec z całą powagą.

– Ach nie? Ty chory gnoju! – Nele nie mogła się już powstrzymać i wykrzyczała mu w twarz całą swoją skumulowaną wściekłość. – Przykro mi, że narażam cię na tyle niedogodności!

– Nie rozumie pani. Przecież już powiedziałem, że w tym wszystkim nie chodzi o panią ani o pani dziecko. Nie chcę, żeby coś się pani stało.

– W takim razie wypuść mnie! – odkrzyknęła Nele, dobrze wiedząc, że obecnie jest to żądanie nie do spełnienia. Szyb był ciasny, a na ile mogła stwierdzić w ciemności, nie było tu drabiny albo innych możliwości wspięcia się na górę. A jeśli nawet, to i tak nie mogłaby z nich skorzystać w swoim stanie.

– Nie może pani zostać tam na dole. To wykluczone. Wtedy nie będę mógł nic udokumentować!

– A co chcesz udokumentować, do diabła? Podnieca cię filmowanie kobiet podczas porodu?

– Nie, nie, nie! – usłyszała z góry. – To nie tak. Proszę nie mówić takich rzeczy.

Znów ta szczerość w jego głosie. Staranie, żeby został dobrze zrozumiany.

– Przecież robię to tylko po to, żeby pokazać światu okrucieństwo produkcji mleka.

– Postradał pan rozum?

– Ja? – Jego głos przeszedł na moment w falset. – To ludzie go postradali. Jestem jedynym, który wydaje się w pełni władz umysłowych.

Tak, jasne.

– Pytam panią, Nele. Czy kiedykolwiek myślała pani o tym, że mleko jest jedynym produktem, którego nie można produkować zgodnie z rytmem i warunkami życia zwierząt?

Nie. I w tej chwili też mam to gdzieś, pomyślała Nele.

– Może pani puścić zwierzęta wolno i zabić je pod koniec ich długiego życia. Może pani umożliwić kurom wolny wybieg, a bydłu wypasanie się na łące. Prawdopodobnie my, ludzie, moglibyśmy zapewnić zwierzętom użytkowym szczęśliwe życie. Ja sam nie jadam mięsa, ale akceptuję starania niektórych rolników, żeby umożliwić zwierzętom godny byt przed śmiercią. Ale nie mogę i nigdy nie zaakceptuję jednego, produkcji mleka. Nikt, myślę, że naprawdę nikt w tym kraju nie zastanawia się nad tym, że mleko można wyprodukować tylko przy nieprawdopodobnym, trwającym do końca cierpieniu krów.

Śmierć. Trwające do końca cierpienie.

W tej chwili Nele też widziała dla siebie tylko te dwie możliwości.

Odsunęła na bok plastikową torbę i pustą puszkę po piwie i położyła się tak płasko, jak się dało, na plecach, żeby bardziej rozluźnić dno miednicy. Dziecko, była tego pewna, przesunęło się bardziej w dół, bóle zmieniły jego pozycję, ale była ona teraz jakaś dziwna. Nie sprawiała wrażenia prawidłowej!

Oczywiście nie potrafiła powiedzieć, czy było to tylko urojenie, nie miała przecież żadnych doświadczeń z porodem, a za położnika tylko obłąkanego obrońcę zwierząt.

– Krowy są bardzo wrażliwymi, inteligentnymi stworzeniami – ciągnął Franz. – Mają podobny instynkt macierzyński, jaki pani teraz odczuwa, Nele. Co musi się stać, żeby te emocjonalne zwierzęta produkowały mleko?

Muszą mieć dzieci, pomyślała Nele i pogłaskała się po brzuchu, który w ostatnich tygodniach codziennie nacierała olejkami z nagietka na rozstępy.

– No właśnie! – zawołał Franz, zupełnie jakby Nele coś powiedziała. – Krowy muszą zająć w ciążę. A potem, żeby nieprzerwanie dawały mleko, musimy odebrać im cielęta. Rozumie pani tę podwójną zbrodnię? Zaraz po porodzie zabieramy tym

bardzo wrażliwym ssakom ich dzieci! I kradniemy maluchom mleko, którego w ogóle nie powinniśmy pić, bo nasz organizm go nie toleruje.

– Ale co ja mam z tym wspólnego?! – krzyknęła Nele, chociaż wcale nie chciała odpowiedzi. Ani rozmowy. Chciała tylko, żeby to szaleństwo wreszcie się skończyło.
– Chce mnie pan ukarać, bo piję mleko?

– Nie. Chcę pani pokazać, co to znaczy, kiedy matka zaraz po porodzie traci swoje dziecko. Wiem, że jest to drastyczne. Ale nie widzę innej szansy. Próbowałem już wszystkiego. Petycje, demonstracje, zabierałem głos na YouTube i Facebooku. Ale na tym głośnym świecie słuca się tylko tego, kto najgłośniej wrzeszczy. Ileż to ja już filmów umieściłem w sieci! O krowach, które całymi dniami ryczą za swoimi cielętami. O biednych małych istotach, które płaczą za swoimi matkami, przywiązane w małych boksach. Tylko po to, żeby ich matki, przez całe życie podłączone do mechanicznych dojarek, mogły wieść nędzny żywot i na koniec zostać zapędzone uderzeniami prądem do bydłowych wagonów. Chyba że otwarte rany i popękane wnętrzności były już tak widoczne, że nawet najbardziej zachłanny na pieniądze mięsny potentat nie chciał przerabiać tej oddychającej jeszcze padliny na wędlinę do dyskontów. Wtedy wrzucano takie zwierzę do tego szybu.

Podczas tej erupcji słów Franza Nele prawie zapomniała o bólu w podbrzuszu. Strach, jaki wywołała jego podświadoma groźba, zdominował jej wszystkie odczucia.

– Chce pan odebrać mi dziecko?

Po porodzie?

– Muszę to zrobić! – zawołał, a jego głos zabrzmiał tyleż smutno co zdecydowanie.
– Wideo z pani bólem po utracie dziecka zapewni milion razy większą uwagę niż miliony wideo o karygodnych warunkach produkcji mleka, jakie upubliczniła już PETA oraz inne organizacje broniące praw zwierząt. Niech pani to wreszcie zrozumie! Mało kto wie, jak powstaje mleko, które dodajemy do kawy albo płatków kukurydzianych. Wiele osób wierzy w kłamstwa rozpowszechniane w reklamach, że cielęta zostają z matkami w oborze, ale to nieprawda. Karmiąca krowa nikogo nie dopuści do siebie, jeśli obok jest jej małe. Będzie je chronić i dziko wierzgać dookoła. Dlatego się je zabiera. I właśnie z tego powodu robię to wszystko. Po tym wideo każdy będzie wiedział, co to znaczy, kiedy oddziela się matkę od jej dziecka, żebyśmy mieli łyk mleka. Żeby zapewnić nam przyjemność.

Na początku jego wywodu przerażona Nele zasłoniła twarz dłońmi i pomyślała, że temu szaleńcowi chyba nic nie przemówi do rozsądku. Teraz, podczas jego

monologu, wpadła na pewien pomysł. Przez jakiś czas pozostawiła słowa Franza bez komentarza. Dopiero gdy zapytał, czy wszystko rozumiała, Nele, kierując się swoją dopiero co obraną strategią przeżycia, powiedziała cicho:

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale wydaje mi się...

– Co?

– Wydaje mi się, że teraz cię rozumiem – odparła Nele i nie było to nawet kłamstwo.

W swoim obłądzeniu, i była to dobra wiadomość, Franz kierował się wewnętrzną logiką. To oznaczało, że postępował racjonalnie, a nie nieobliczalnie. Na dodatek wydawało się, że naprawdę brzydziło go to, co z nią robił, chociaż uważał to za konieczne i nieuniknione. Przez to był przeciwieństwem psychopaty. Odczuwał emocje, i to nie tylko w stosunku do tak ukochanych przez siebie zwierząt, lecz również w stosunku do niej, do ofiary. Jego płacz świadczył o empatii, a więc o pewnej otwartości – i być może Nele uda się to wykorzystać.

– Jeszcze nie wszystko rozumiałam – oznajmiła, a jej słowa odbiły się głuchym echem od ścian szybu, kiedy podniosła głos. – Ale moglibyśmy o tym porozmawiać, gdy mnie stąd wyciągniesz.

– Dobrze. Z chęcią.

W głosie Franza dało się słyszeć szczyry zachwyt. Jego reakcja przypominała reakcję dziecka, które w jednej sekundzie płacze, bo się przewróciło, a po chwili biegnie dalej, śmiejąc się, po tym jak ojciec obiecał mu lody.

– Zobaczę, czy w pobliżu jest jakiś sklep budowlany. Kupię wyciągarkę i jakieś szelki albo coś w tym rodzaju, żeby panią wyciągnąć, okej?

Widocznie wstał, bo jego głos był teraz jakby bardziej oddalony.

– Tak. Dobrze. Ale pośpiesz się, proszę – powiedziała Nele, znów ciężko dysząc. Wprawdzie to jeszcze nie był ten moment, ale nie miała przecież pojęcia, kiedy znów przyjdzie fala bólu i spróbuje wycisnąć coś o wiele za dużego przez coś o wiele za wąskiego.

Jej maleństwo, które, jak miała nadzieję, było ułożone w prawidłowej pozycji. Chociaż w tej chwili przybierające na sile przeczucie mówiło jej coś dokładnie przeciwnego.

40

MATS

Prof. dr André Klopstock

Spośród setek stron i artykułów w sieci Mats wybrał artykuł na temat sławnego, ale też osławionego lekarza zamieszczony w Wikipedii. Co prawda połączenie internetowe tu, nad chmurami, było stabilne, ale wyraźnie wolniejsze niż na ziemi. Może zresztą dlatego, że otworzył przeglądarkę na ekranie telewizora, a nie w swojej komórce. Oczy mu łzawiły z powodu bólu głowy, który nie całkiem ustąpił, i na małym wyświetlaczu Smartfona niewiele by zobaczył.

„Klopstock jest niemieckim onkologiem i psychiatrą”, przeczytał Mats pierwsze zdanie artykułu, który od tego punktu już tylko przeleciał wzrokiem.

Strzałkami pilota przewijał akapit po akapicie. Jego spojrzenie wyłapywało takie hasła, jak „żonaty”, „kilka klinik w Berlinie”, „zaangażowany społecznie”, „rotarianin” i „laboratorium”.

Nic, czego by nie wiedział o obrotnym koledze, z którym studiował na wolnym uniwersytecie w Dahlem, a nawet stał raz przy stole sekcyjnym w grupie zaliczającej egzamin. Już wtedy uderzyła go chępliwość tego kolegi, jak również jego pragnienie zaistnienia za wszelką cenę (sam napisał artykuł o sobie do czasopisma uniwersyteckiego). Jego tak zwany zmysł do interesów był w oczach Matsa niczym więcej niż tylko ordynarną chciwością. Klopstock prowadził na przykład tyleż lukratywny, co podejrzany pod względem prawnym handel starymi pracami egzaminacyjnymi.

Facet był zarozumiały, arogancki i z całą pewnością przekupny.

Ale żeby posunąć się do zbrodni?

Mats pokręcił głową. Jeśli nawet podejrzewał André Klopstocka o wiele niecnych

postępków, to nie zaliczały się do nich porwanie, czy wręcz masowy mord.

A może jednak?

Domowe testy Klopstocka

Jego uwagę przykuło kolejne hasło. Było napisane na niebiesko i podkreślone, a więc stanowiło prowadzący dalej link, który jednak wciąż nie doprowadził go do pożądanego celu.

No pięknie, a więc Klopstock zbijał majątek nie tylko na pacjentach z HIV i rakiem, którym zalecał drogie procedury diagnostyczne w swoim laboratorium, a potem ich leczył. Utworzył również lukratywny rynek samodiagnozy i był właścicielem patentów na horrendalnie drogie testy na HIV, zamawiane przez przestraszonych ludzi, którzy przeważnie chcieli uniknąć wstydu, idąc do lekarza.

Wszystko to było jak najbardziej logiczne, jeśli znało się przebieg jego kariery zawodowej.

Mats przewinął dalej i wtedy, nareszcie, wpadły mu w oko trzy poszukiwane litery.

Mats podniósł się z miejsca i zelektryzowany zbliżył się do monitora.

WTP

Wiedziałem!

Wstępny Test Psychologiczny

Mats poczuł pilną potrzebę, żeby znów usiąść. Zachwiał się, ale powodem nie były ruchy samolotu. Zachwianie równowagi miało charakter psychiczny, więc ponieważ wiedział, że nie uda mu się opanować przez to, że usiądzie w fotelu, pozostał w pozycji stojącej i tylko oparł się o stół.

Pod gazetowym zdjęciem Klopstocka znajdował się cytat z artykułu o WTP zamieszczonego w broszurze reklamowej jego firmy:

„Klopstock-Medical (KM) przoduje już w badaniach moczu i włosów pilotów, kierowców ciężarówek i żołnierzy, a więc osób, na których spoczywa wyjątkowa odpowiedzialność i których niezawodna służba często decyduje o życiu setek istnień ludzkich. Dlatego też za zgodą wszystkich zainteresowanych stron i w granicach obowiązującego prawa przeprowadzamy u nich regularne testy na alkohol i narkotyki. Oprócz tych testów, funkcjonalnie ukierunkowanych na kontrolę formy fizycznej badanych, KM od wielu lat zajmuje się również wczesnym rozpoznawaniem

niedomagań psychicznych, takich jak depresje, myśli samobójcze, urojenia, psychozy. Są one nie mniej niebezpieczne niż choroby fizyczne czy stany wywołane spożyciem alkoholu lub narkotyków, tylko że dotychczas nie istniały testy do ich rozpoznawania. Przełomu na tym polu dokonała dopiero firma KM, opracowując pierwszy zestaw wstępnych testów psychologicznych.

Za pomocą testów WTP będzie można na przykład wykryć odpowiednio wcześnie skłonności samobójcze u pilotów samolotów pasażerskich. Są to specjalistyczne ankiety, za pomocą których można przebadać załogi, a nawet pasażerów w trakcie oczekiwania w hali odlotów, na obecność wszelkiego rodzaju odchyień od normy. Testy psychologiczne uzupełniają badania krwi personelu pokładowego. WTP pozostaje jeszcze w fazie prób, ale powstała już inicjatywa prawna, dzięki której, w przypadku pozytywnego przebiegu badań klinicznych, procedura ta w krótkim czasie mogłaby zostać wprowadzona jako obowiązkowa w ruchu lotniczym”.

Mats spojrział w lewo przez okno samolotu w ciemność, która wydała mu się jeszcze bardziej gęsta niż przedtem. Głębsza ciemność z pewnością nie mogła istnieć nawet na dnie morza.

Miał uczucie, że ma lustro, na którym zapisana została cała prawda i odpowiedzi na wszystkie jego pytania, tylko że teraz leży ono rozbite na podłodze, a on musi pozbierać wszystkie kawałki i złożyć w sensowną całość.

– *Feli przypuszcza, że kierowca Klopstocka ma coś wspólnego z uprowadzeniem Nele.*

– *Klopstock jest osobiście zaangażowany w badania WTP.*

– *Pilot wspomniał w rozmowie o WTP.*

Między tymi trzema elementami istniał związek, który nawet bardziej niż tylko rzucał się w oczy.

Tylko co testy wczesnego rozpoznania odchyień od normy psychicznej miały wspólnego ze zniknięciem Nele?

Motyw! Przypomniawszy sobie o pierwszym ze swoich pytań, na które dotychczas nie znalazł odpowiedzi. *Kto zyska na tym, że spowodują katastrofę samolotu?*

Mats położył dłonie na skroniach, masował je. Miał wrażenie, że jest bliski uchwycenia całościowego obrazu sprawy. Mówiąc dokładniej, czuł, że pytanie o

motyw jest zbytym zawężeniem.

– WTP! – powiedział na głos. – To jest element łączący. Szantażyście nie chodzi o to, żebym po prostu doprowadził do katastrofy samolotu. *W tym celu umieściłby tu bombę albo wyposażył mnie w broń.*

Zamiast tego szantażysta zadał sobie trud, żeby go szpiegować, zgrał datę jego lotu z dyżurem Kai i włączył tajne filmy do programu telewizji pokładowej.

– Pytanie zatem brzmi raczej, dlaczego mam doprowadzić do katastrofy dokładnie w taki, a nie inny sposób?

Manipulując innym człowiekiem!

Detonując bombę w jego psychice!

Mats dygotał ze wzburzenia, jakby był podłączony do prądu. Odpowiedź znów prowadziła do Klopstocka: WTP.

Klopstock chce wprowadzenia WTP.

Ustawa nie ma większości!

Potrzebny mu jest precedens.

Nagle wszystko nabrało sensu.

Klopstockowi potrzebna jest katastrofa samolotu, żeby udowodnić konieczność kontroli psychologicznych. Nie tylko dla pilotów, ale dla całej załogi. I dla takich pasażerów jak ja. Żeby zgarnąć miliony, kiedy na dziesiątkach lotnisk w Europie nagle okaże się konieczne przeprowadzanie jego testów.

Mats poczuł zimny dreszcz, tak bardzo był przerażony wynikami swoich rozważań. Wyłączył ekran i patrzył na swoją dłoń, która wciąż trzymała pilota i nie przestawała drżeć.

Był wstrząśnięty, tak zdenerwowany, że czuł na głowie każdy włos.

Tak, to ma sens, pomyślał znów, a jednak – coś tu nie pasowało do całości.

A tym czymś był właśnie ten nadęty paw, mający sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, czyli Klopstock.

Czyżby naprawdę był zdolny iść po tylu trupach tylko po to, żeby zgromadzić jeszcze więcej pieniędzy na swoich kontach, które i bez tego pękają pewnie w szwach?

Mats ruszył do miejsca 7A, żeby się tego dowiedzieć.

41

FELI

Oficyna, czwarte piętro. Pomazany graffiti szary beton, niezniszczalne stojaki na rowery na podwórku, smród kocich sików na klatce schodowej.

Feli nie pomyślałaby, że tego rodzaju żalosne warunki mieszkaniowe mogą istnieć tuż obok Paris Bar, odwiedzanego jak zawsze przez ludzi, którzy uważają, że należą do berlińskiej socjety, tylko dlatego, że kiedyś wypili tu drinka.

„Biedny, ale brzydki”, napisał flamastrem jakiś dowcipniś na wyglądających na kuloodporne brązowych drzwiach domu, w nawiązaniu do wyborczego hasła „Biedny, ale sexy” byłego burmistrza Berlina.

Feli nie mogła nie przyznać autorowi racji.

Wąski budynek z lat siedemdziesiątych, w którym miał mieszkać Franz Uhlandt, był przykładem architektonicznego szkaradzieństwa. Niskie sufity, odrapane betonowe ściany i okna wielkości otworów strzelniczych, na ile można było dostrzec z perspektywy Kantstraße.

W kamienicy Feli przechodziła obok wózków dziecięcych, zabłoconych butów, żółtych worków i torebek z pustymi butelkami zwrotnymi, aż wreszcie dotarła na czwarte piętro. Nie chciała zaufać klaustrofobicznie ciasnej kabinie windy.

Teraz, bez tchu po wspinaczce po schodach, stała pod drzwiami, gdzie na wizytówce przy dzwonku napisane było F.U.

Franz Uhlandt?

To musiało być tu, jeśli dane „centrali firmy” na wizytówce się zgadzały.

„Taxi, transport chorych i usługi jako kierowca”, widniało na nieozdobionym małym kawałku kartonu, który Feli otrzymała od recepcjonistki Klopstocka. Czwarte piętro, na lewo.

Zadzwoniła, ale nie usłyszała, czy w mieszkaniu naprawdę zadźwięczał dzwonek, zapukała więc jeszcze raz do drzwi płaską dłonią.

Auć!

Na chwilę zapomniała, że ma przygniecione palce. To niemądre używać ich jako instrumentu do walenia w drzwi.

Spróbowała więc jeszcze raz drugą ręką, wykrzykując przy tym nazwisko Uhlandta.

Nagle drzwi się otworzyły. Ale nie te, pod którymi stała, tylko te za nią.

– No już dobrze, już dobrze... tylko niech pani tak nie krzyczy! – Zachrypnięty głos zadudnił z mieszkania naprzeciwno.

Zupełnie jakby w tym domu nie obowiązywały prawa fizyki, wskutek czego dźwięk był szybszy od światła, najpierw usłyszała głos starszego mężczyzny, a następnie z półcienia mieszkania wyłoniła się należąca do tego głosu pochylona postać i stanęła na korytarzu.

– Proszę zaczekać, proszę zaczekać...

Jego szlafrok szeleścił jak suchy papier, kiedy osiemdziesięcioletni co najmniej mężczyzna w brązowych kapciach człapał w kierunku Feli. Miał nieumyte, mocno potargane siwe włosy i twarz, która zdawała się sklepiona do wewnątrz, co mogło wynikać z tego, że prawie nie miał zębów. A to z kolei tłumaczyło jego sepleniący głos.

– Pani jest ta nowa?

– Co takiego?

– Dlaczego w takim razie nie zadzwoniła pani do mnie?

Feli milczała z prostego powodu: nie miała pojęcia, kim jest ten mężczyzna i czego od niej chce. Jeszcze mniej zrozumiałe było dla niej, dlaczego z czeluści swojego szlafroka wyciągnął za duży dla jego dłoni pokrytych starczymi plamami pęk kluczy i otworzył jej drzwi do mieszkania Uhlandta.

– Powiedział, że jak pani przyjdzie, to zgłosi się pani do mnie.

– Franz? – zapytała Feli całkiem skołowana.

– Nie, Brad Pitt – warknął z typowo berlińskim poczuciem humoru. Kiedy mieszkaniowiec stolicy ma okazję z kogoś zakpić, na pewno ją wykorzysta. – Brad kocha tutejsze luksusowe życie. Sprzedał w tym celu swoją ekstrawillę w Malibu.

Z chrypliwym śmiechem nałogowego palacza popchnął drzwi.

– Pani je potem tylko domknie, jak już pani skończy z podcieraniem tyłka –

zachrypiał. – Okej?

– Z czym? – wyrwało się Feli.

– Och, przepraszam. Nie chciałem ranić pani uczuć. A więc jak będzie, wchodzi pani?

– Tak – potwierdziła Feli, nie wiedząc, z kim emeryt ją pomylił. Czekala z utęsknieniem, kiedy zniknie z powrotem w swoim mieszkaniu. Ale on stał przed nią i wpatrywał się twardo, jak boy hotelowy, który czeka na napiwek. A ponieważ mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru odejść, to od niej zależało, jak ta żalosna sytuacja się zakończy.

Pierwsza rozsądna myśl, jaka przychodziła jej do głowy, to to, żeby odwrócić się na pięcie i jak najszybciej opuścić ten dom. Ale co wówczas powie Matsowi?

„Sorry, stałam wprawdzie przed otwartymi drzwiami mieszkania potencjalnego porywacza twojej córki, ale nie odważyłam się wejść?”

Nierozsądną alternatywą było najpierw wejść do środka, następnie rozejrzeć się po niewątpliwie opuszczonym mieszkaniu, mając na linii Matsa.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję – powiedziała Feli i zdecydowała się na drugą opcję.

Weszła do mieszkania Uhlandta i zamknęła za sobą drzwi. Przez wizjer zobaczyła, jak tamten dziwny gość oddala się i znika we własnym mieszkaniu.

Feli poczekała jeszcze chwilę, następnie znów otworzyła drzwi do mieszkania Uhlandta i pozostawiła je uchylone, żeby w razie czego móc szybciej uciec.

I co teraz?

Weszła do przedpokoju i przestraszyła się, kiedy na suficie zapaliły się punktowe lampy, uruchomione przez czujnik ruchu. Korytarz zaalało ciepłe światło.

– Halo? Panie Uhlandt?

Feli na próżno czekała na odpowiedź i zaczęła się rozglądać. Mieszkanie było porządnie, niemal perfekcyjnie wysprzątane. Gumowe kalosze stały równo w ociekaczu, zaopatrzone w nalepki klucze wisiały na haczykach obok drzwi, równo ułożona koronkowa serweta zdobiła komodę.

Jeśli idzie o odświeżacz powietrza, Franz najwyraźniej pomylił pory roku. Chociaż była jesień, pachniało już cynamonem i słodkimi migdałami, jak w Boże Narodzenie.

– Halo? Czy jest tu ktoś? – zapytała Feli w ciemność, która rozciągała się za korytarzem. Już po raz drugi w ciągu zaledwie kilku godzin snuła się po obcym mieszkaniu. U Nele boleśnie się to skończyło. Tym razem miała jeszcze gorsze przeczucia.

Feli wzięła do ręki komórkę i miała wrażenie, że czeka całą wieczność, zanim ktoś się zgłosił.

– Mats?

Znowu zgłosił się z opóźnieniem.

– Gdzie jesteś?

– W mieszkaniu Franza Uhlandta. Tak mi się przynajmniej wydaje. Dziwnie tu wygląda.

– Co masz na myśli?

– Sama nie wiem. Mam bardzo nieprzyjemne uczucie w związku z tą sprawą. Co ja tu właściwie robię?

– Jesteś sama?

– Mam nadzieję.

– Okej, poszukaj laptopa, jakichkolwiek dokumentów, gabinetu.

– Dobrze.

Feli otworzyła pierwsze drzwi po prawej i ujrzała samą siebie. Lustro łazienkowe było umieszczone na końcu kwadratowego pomieszczenia bez okna. Tu również wszystko było starannie wypucowane. Ani śladu plam po wodzie na lustrze, na brzegu umywalki tylko to, co najpotrzebniejsze: pasta do zębów, mydło w dozowniku, maszynka do golenia.

– Odkryłaś coś?

– Nie.

Feli otworzyła szafkę z lustrem wiszącą nad umywalką.

Opakowania leków bez recept i tubki stały w równych odstępach obok siebie. Całkowity kontrast w porównaniu z bałaganem w łazience Nele.

Ibuprofen, cynk w tabletkach, aspiryna, witamina B, voltaren. Nic, co zwróciłoby uwagę Feli. Oprócz...

Co, u diabła...

– Co tam masz? – zapytał Mats, który najwidoczniej usłyszał, jak Feli mlasnęła językiem.

– Myślę, że ten Franz zmienia się optycznie.

– Co masz na myśli?

– Jest tu tubka kleju do mocowania protez. I puste pudełko po sztucznej szczęce.

– Okej, a co z jego gabinetem?

– Muszę go znaleźć.

– Dobra, zadzwoń do mnie, jak będziesz miała coś nowego. Ja też jestem tu na tropie czegoś.

– Wszystko jasne.

Feli odłożyła słuchawkę, zamknęła szafkę i z krzykiem rzuciła komórkę, kiedy ujrzała w lustrze postać, która z toporkiem w ręce wślizgnęła się za jej plecami do łazienki.

Feli krzyknęła jeszcze głośniej, gdy zobaczyła, że napastnik nie jest sam.

42

Jak u mamy, przeleciała jej przez głowę absurdalna myśl. Toporek miał dwukolorową klingę. Jasne, grafitowe ostrze i czarną końcówkę, w której był osadzony trzonek. Wyglądał zupełnie jak tasak, którym jej mama posługiwała się w kuchni, gdy chciała przyrządzić mięso albo pociąć mrożonkę. Nie bardzo duży, ale i tak zbyt masywny jak na słabą osobę, która trzymała go obiema rękami.

Trzymała nie po to, żeby uderzyć nim Feli z góry, bo z pozycji, w jakiej stała się znajdowała, nie byłaby w stanie tego uczynić. Ale po to, by nim rzucić. Nic innego nie pozostawało kobiecie na wózku inwalidzkim, jeśli rzeczywiście chciała poważnie zranić Feli.

Wyglądało na to, że właśnie taki miała zamiar. Z dziką, ziejącą wściekłością miną wzięła zamach...

Feli usłyszała jeszcze, jak kobieta krzyczy: „Włamywacz”, i wtedy toporek uwolnił się z jej rąk. Wydawało jej się, że czuje podmuch powietrza i metal zaraz wbije się w jej czaszkę, rozłupie ją i wdrze się aż do mózgu. Dlatego krzyknęła w oczekiwaniu bólu i śmierci, ale nie tak głośno jak tamta. Kobieta teraz krzyczała już nie ze złości, tylko ze strachu.

Tak samo jak Feli.

Kobieta na wózku inwalidzkim, która teraz wyglądała już nie tylko na starą i rozwścieczoną, ale przede wszystkim na chorą, gwałtownie odwróciła głowę i szeroko otwartymi oczami patrzyła w górę, prosto w twarz mężczyzny, który jej wyrwał broń.

– Pomocy! – krzyknęła, a Feli uniosła dłoń do ust.

Z bezgraniczną ulgą i szczęśliwa, że zostawiła uchylone drzwi.

Przez nie Livio najwyraźniej tu za nią wszedł.

43

Pomocy! Włam...

Krzyk kobiety na wózku zakończył się zdławionymi dźwiękami, bo Livio zatkał jej usta dłonią. Była zbyt słaba, żeby się przed nim bronić. W ogóle zdawała się ważyć niewiele więcej niż jej jedwabna piżama koloru bzu.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział wybawca Feli i przyklęknął, żeby jego oczy znalazły się poziomie oczu starej kobiety. – Nic pani nie zrobimy, rozumie pani? Nie jesteśmy włamywaczami i nie wyrządzimy pani krzywdy.

Stara kobieta zrobiła wielkie oczy i przestała krzyczeć.

– Co ty tu robisz? – zapytała Feli. Ze wzburzenia odruchowo przeszła na ty.

– To ja ciebie pytam – odpowiedział Livio i odwrócił się na chwilę w jej stronę. – Chciałem ci tylko oddać portmonetkę, którą zgubiłaś w moim samochodzie.

Feli sprawdziła kieszeń zakietu, która rzeczywiście była pusta.

Tymczasem kobieta na wózku przestała krzyczeć, a Livio odważył się odsunąć dłoń od jej twarzy.

– Całe szczęście, że udało mi się cię dogonić.

Stara kobieta zakaszlała i otarła strużkę śliny, która spływała jej po brodzie.

– Do diabła, kim pani jest?

Feli również przyklęka przed nią.

– Jestem doktor Felicitas Heilmann – odparła w nadziei, że wymieniając swój tytuł naukowy, zdobędzie u niej trochę szacunku i zaufania. Najwyraźniej powiodło się to.

– Pani jest lekarką? – zapytała stara kobieta podejrzliwym tonem.

– Tak.

– To co pani robi w moim mieszkaniu? Czego pani szukała w mojej łazience?

– Poszukujemy Franza Uhlandta, czy tu mieszka?

– To ten facet tak się nazywa? – usłyszała pytanie Livio, który tymczasem znów stanął za wózkiem. Feli przypomniała sobie, że nie było go podczas jej rozmowy z

Klopstockiem.

– Mojego Franza? – zapytała kobieta na wózku.

Dopiero teraz Feli uspokoiła się na tyle, żeby dokładniej przyjrzeć się jej twarzy. Kobieta była tak wychudzona, jak można być wychudzonym tylko w wyniku ciężkiej choroby. Ani śladu tkanki tłuszczowej pod skórą, która była tak napięta na kościach czaszki, że Feli bała się, że pęknie jak balon, kiedy się ją zadrapie paznokciem. Włosy jej wypadły, pozostało jedynie kilka siwych kosmyków. O ile dawniej była niewątpliwie atrakcyjną kobietą, o czym świadczyły regularne rysy twarzy, wysokie czoło i regularny zarys policzków, o tyle teraz musiała tym bardziej cierpieć, kiedy spoglądała w lustro. To, na co chorowała, pozbawiło ją wszelkich śladów dawnej urody.

– Wydaje nam się, że Franz ma kłopoty – powiedziała Feli, nagle ogarnięta współczuciem.

Staruszka zaśmiała się głucho.

– Żeby ogłosić taką prognozę, nie musi być pani jasnowidzką. Kłopoty to drugi człon nazwiska w naszej rodzinie.

– Czy pani zawsze rzuca się z toporkiem na obcych? – spytał Livio za jej plecami.

– A czy pan zawsze włamuje się do osób niepełnosprawnych?

Widząc, jak stara kobieta odwraca pomarszczoną szyję, żeby mieć Livia w polu widzenia, Feli bezwiednie pomyślała o żółwiu.

– Może pani mówić o szczęściu, że nie mam w domu śrutówki. Jak pani się tu właściwie dostała?

– Pani sąsiad mi otworzył – oznajmiła Feli. – Nikt nie otwierał, a on wziął mnie chyba za pani pielęgniarkę.

Kobieta na wózku stuknęła się w głowę.

– Petereit, ten zdemenciały idiota. Pielęgniarka była już wczoraj. Co za tępota. Prosiłam go, żeby otwierał, bo z powodu leków, które zażywam, czasem nie słyszę dzwonka. Ale przecież nie dzisiaj. Mój syn nakazał mi, abym dziś nie podchodziła do drzwi, cokolwiek by się działo. Ostrzegł mnie, że ktoś może się włamać.

– Franz to pani syn? – zapytał Livio.

– Mam dopiero pięćdziesiąt pięć lat. Tak, wiem. Wyglądam, jakbym miała dwa razy tyle. Przeklęty zanik kości. – Matka Uhlandta machnęła z rezygnacją ręką. – Franz mówi, że to sprawa mleka.

– Co takiego?

Kobieta popatrzyła na Feli smutnymi oczyma i wzruszyła bezsilnie ramionami.

– Jest weganinem, wie pani. Wbił sobie do głowy, że produkty zwierzęce wszystkim nam szkodzą. A przede wszystkim mleko. Mój Boże, od kiedy u mnie mieszka, nie wolno mi trzymać w domu ani sera, ani jogurtu, ani nawet kawałka czekolady. Mówi, że człowiek jest jedynym ssakiem, który po odstawieniu od piersi matki nadal żywi się mlekiem, i że to jest przyczyną mojej choroby. Ja raczej uważam, że to sprawa złych genów. Ale mój Franz nawet nie chce tego słuchać.

Kobieta chciała wyjechać wózkiem z łazienki, ale Livio ją zatrzymał.

– Dlaczego zabronił pani dziś podchodzić do drzwi i kazał się liczyć z włamaniem? – zapytał.

– A co za różnica? Po co ja w ogóle z wami rozmawiam? Wynoście się, bo wezwę policję.

– Rozmawia pani z nami, bo chcemy pomóc pani synowi – odparła Feli. Zauważyła, że Livio przysłuchuje się jej teraz równie uważnie jak matka Uhlandta. – A Franz z całą pewnością nie chciałby, żeby włączyła się policja. Zniknęła kobieta. Ciężarna kobieta, córka mojego przyjaciela, i boję się, że pani syn może mieć z tym coś wspólnego.

– Coś takiego, naprawdę?

Matka Uhlandta wyraźnie zapadła się w sobie. Zgarbiła się w wózku i patrzyła na swoje splecione dłonie leżące na kolanach.

– Kobieta w ciąży, powiada pani?

– Tak.

Jej usta poruszały się, ale trwało to chwilę, zanim Feli usłyszała jej głos, zupełnie jakby kobieta musiała najpierw poćwiczyć usta, zanim odważyły się wypowiedzieć słowa.

– Nie mam pojęcia. Franz coś knuł, to pewne. Nie chciałabym źle o nim mówić. To dobry chłopak i należycie się mną opiekuje. Ale od kiedy poznał swojego nowego przyjaciela...

– Jakiego przyjaciela? – zapytała Feli.

– Nigdy go nie widziałam. Nie wiem nawet, czy to mężczyzna, ale Franz jeszcze nigdy nie miał prawdziwej przyjaciółki. Zawsze dotąd mówił tylko o pokrewnej duszy. „Nareszcie ktoś, kto mnie rozumie, mam”, powiedział do mnie. I że obaj planują coś, o czym jeszcze będzie mówił cały świat. Dostał nawet na to pieniądze.

– Na co?

– Skąd mogę wiedzieć? Myślę, że to było na sprzęt wideo. Pracował dzień i noc. Naprawdę nie mam pojęcia, co takiego wymodził.

Kobieta odwróciła się do Livia i patrzyła spoza niego na drzwi, które znajdowały się naprzeciwko łazienki po drugiej stronie korytarza.

– Nigdy mi przecież nie pozwolił wejść do swojego pokoju.

44

MATS

Rząd 7, miejsce A.

Najniebezpieczniejsze miejsce w samolocie, jeśli można dawać wiarę rezultatom testu na pustyni w Nowym Meksyku. Miejsce ze stuprocentowym zagrożeniem śmiercią w razie czołowego zderzenia z ziemią.

A nie ma przecież samolotu, który leciałby tyłem.

W dodatku było to miejsce przy oknie.

Co wydatnie zwiększa ryzyko nowotworu skóry.

Mats, który zbliżał się do miejsca 7A, wiedział, że to straszna głupota właśnie teraz myśleć o statystykach, w dodatku w środku nocy; ale fakty dotyczące ryzyka lotu samolotem, jakie w ostatnich tygodniach bardzo dokładnie przeanalizował, uporczywie rozbrzmiewały mu w uszach i nie mógł nic zrobić, żeby się tego pozbyć.

Szyby w oknach samolotu w niewielkim tylko stopniu absorbują promieniowanie ultrafioletowe, a kiedy wzrasta wysokość, zmniejsza się ochrona atmosfery, wskutek czego piloci zapadają na czerniaka dwa razy częściej niż reszta społeczeństwa.

Podobno loty na dalekich trasach są gorsze niż dwudziestominutowy pobyt w solarium. Mats poczuł się w tym momencie, jak gdyby już od wielu godzin przebywał na słońcu bez żadnej ochrony. Był rozgorączkowany, przegrzany, odwodniony i było mu niedobrze, zupełnie jakby dostał udaru słonecznego.

Wszystko to były objawy lęku i stresu. Wyraz jego zwątpienia, bo nie miał najmniejszego pojęcia, co mógłby zrobić, żeby zapobiec katastrofie.

Kiedy dotarł do celu, rozejrzał się.

Tu, na dole w klasie biznes, dwie trzecie miejsc było zajętych i wszyscy pasażerowie spali. Paliły się tylko światła bezpieczeństwa i wszędzie były opuszczone

rolety. Piktogramy toalet świeciły na zielono, a więc nikogo w nich nie było. Nikt nie stał w przejściu, żeby rozprostować nogi. Nie było więc nikogo, kto by go obserwował, jak zatrzymuje się przy miejscu 7A i niezdecydowanie spogląda z góry na rudowłosą kobietę, której odstąpił swoje miejsce.

Jestem samotny, pomyślał Mats. Tak samotny jak jeszcze nigdy w życiu.

W rzędach nieparzystych klasa biznes miała fotele umieszczone według planu jeden-dwa-jeden, co wyglądało następująco: jedno miejsce przy oknie, dwa miejsca w środku i następne miejsce przy oknie po drugiej stronie.

Miejsce 7A było więc miejscem pojedynczym, co miało duży plus, bo dzięki temu Mats nie musiał się przeciskać obok innego pasażera, żeby nawiązać kontakt z Saliną Piehl.

Była jednak i zła informacja: kobieta spała tak samo jak wszyscy inni. Głęboko i mocno, tak jak jej dziecko, które spokojnie drzemało na jej brzuchu. Tylko mała bezwłosa główka wystawała spod koca, maleńkie oczka były mocno zamknięte. Od czasu do czasu dziecko wzdrygało się bezwiednie, intensywniej ssąc różowy smoczek.

Żeby móc tak spokojnie odpoczywać, Salina rozłożyła fotel w płaskie łóżko.

Mats ukląkł w przejściu obok fotela i uchylił nieco zwisający wełniany koc, żeby móc zajrzeć pod spód.

Tak jak się spodziewał, było zbyt ciemno, toteż nie mógł się zorientować, gdzie znajduje się kamizelka ratunkowa.

Obawiał się nawet, że w ogóle się do niej nie dostanie, dopóki siedzenia nie będą się znajdowały w pozycji pionowej, jak nakazują przepisy na wypadek zagrożenia.

No ale co by było, gdyby katastrofa nastąpiła w czasie snu któregoś z pasażerów?

Nie, z pewnością wzięto to pod uwagę, a więc również w takiej sytuacji musi być dostęp do kamizelek. Mats spróbował jeszcze raz, tym razem przyświecając sobie komórką jak latarką. I znów bez powodzenia.

W słabym świetle telefonu zobaczył pod siedzeniem jedynie leżące na podłodze gazety, słomkę i inne tego rodzaju śmieci. Nigdzie jednak nie widział torby ani worka, w którym mogła się znajdować kamizelka ratunkowa.

– Czy mogę panu pomóc?

Mats uderzył głową w zewnętrzny podłokietnik, kiedy poderwał głowę w górę, zaalarmowany znajomym nieuprzejmym głosem.

Valentino!

Tylko tego głupka mu jeszcze brakowało. Kapitan nie tylko prosił go, żeby trzymał się z daleka od Kai, ale również o to, żeby wystrzegał się kolejnych „wyskoków”. A teraz leżał właśnie u stóp stewarda, którego nie dalej jak przed kilkoma godzinami oskarżył o czynną napaść.

– Nie, nie, wszystko w porządku – odparł szeptem Mats, podnosząc się z podłogi. Wyglądało na to, że steward nie może się zdecydować, czy ma na niego patrzeć z rozbawieniem, z ironią, czy z niechęcią, wobec czego wykorzystał wszystkie warianty, i to właśnie w takiej kolejności.

– Szuka pan czegoś?

– Tak, hm. Jak pan wie, było to pierwotnie moje miejsce.

– I co?

Podczas gdy Mats robił wszystko, żeby nie obudzić matki i dziecka, steward mówił normalnym głosem.

– Obawiam się, że czegoś tu zapomniałem.

– Czego?

– Nie wydaje mi się, żeby powinno to pana obchodzić. – Mats włączył tryb konfrontacyjny, chociaż nadal mówił szeptem.

– A mnie się nie wydaje, żeby pan tu kiedykolwiek siedział.

– To nie, ale...

„...zatelefonował do mnie jakiś szaleniec, że podobno ukrył tu broń. I jeśli natychmiast się nie wyniesiesz, to będziesz pierwszym, na którym ją wypróbuję”.

– Jakiś problem?

Obok niego zapaliło się światło do czytania i Mats spojrzał w zmęczone oczy Saliny. Mrugała zaniepokojona.

– Jednak chce pan z powrotem to miejsce?

– Super – zwrócił się Mats do Valentina. – Teraz się pan popisał. – Pochylił się do Saliny. – Nie, nie. Bardzo przepraszam. Nie chciałem pani przeszkadzać.

Obrzucił Valentina miążdżącym spojrzeniem, ale ten pożegnał się z ironicznym uśmiechem i zostawił Matsa samego z problemem.

– Do diabła, do tego wszystkiego obudziliśmy dziecko.

Rzeczywiście mała wypluła smoczek i wyciągnęła się na piersi mamy jak kociak, który właśnie obudził się z południowej drzemki. Mats mimowolnie pomyślał o Nele, która jako niemowlę również zawsze spała jak aniołek, a następnie, po krótkiej przerwie na wybudzenie, wpadała w wielominutowy płacz. Mats miał nadzieję, że to

dziecko pod tym względem różni się od Nele, mimo że, jak wspomniała Salina, cierpi na kolkę. Na razie tylko mlaskało.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powtórzył.

– Nie ma problemu – powiedziała Salina z miną, która mówiła coś zupełnie przeciwnego.

Nacisnęła guzik na konsoli podłokietnika i fotel przyjął automatycznie pozycję pionową. Jednocześnie przytuliła dziecko do piersi i kołysała je delikatnie.

– I tak miałam nakarmić Suzę.

Rozpięła bluzkę, a Mats dyskretnie odwrócił głowę. Jego spojrzenie padło na małą tabliczkę umieszczoną tuż pod monitorem wpuszczonym w oparcie siedzenia przed nim.

LIVE VEST.

– Przepraszam, czy mogę?

Teraz, kiedy fotel był w pozycji wyprostowanej, mógł bez problemu otworzyć schowek pod monitorem.

– Wszystko w porządku? – zapytała Salina zdumiona, kiedy wyciągnął pomarańczową kamizelkę ratunkową i odpiął rzep, którym była spięta, tworząc niewielki pakunek.

– Tak, tak. Tylko przedtem coś mi wpadło do schowka... – skłamał Mats i jeszcze kiedy mówił, zobaczył, jak z kamizelki wypada mały przedmiot, nie większy niż zapalniczka.

Wsunął kamizelkę z powrotem, zamknął schowek i szukał pod nogami przedmiotu, który mu wypadł.

– Nić dentystyczna? – zapytała Salina zdumiona i w tej chwili on sam zobaczył, co podniósł z podłogi.

Faktycznie. Jasnoniebieskie przezroczyste, plastikowe pudełeczko z napisem „Super-Floss”.

– Tak, hm. To było niegrzeczne przeszkadzać pani z tego powodu.

Szybko wsadził pudełeczko do kieszeni i miał uczucie, jakby jego spodnie ścigały w dół wielokilogramowy ciężar.

Nić dentystyczna? Co za perwersyjna genialność!

Domyślał się, z jakiego materiału był wykonany ten odporny na zerwanie sznurek, zwinięty w niepozornym pudełeczku. Ostra jak nóż plastikowa nić, którą można udusić człowieka, która jednak nie budziła podejrzeń na monitorze w czasie kontroli.

Chyba się jeszcze nie zdarzyło, żeby kontrola sprawdzała, czy to, co pasażer wiezie, to naprawdę niewinna nić dentystyczna?

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Mats do Saliny na pożegnanie, zadowolony, że dziecko wciąż jeszcze nie płacze. – Nie będę pani więcej przeszkadzał.

Tylko być może zabiję.

Salina wskazała półkę na bagaż podręczny nad swoim fotelem.

– Czy mógłby mi pan podać moją torbę do przewijania? – zapytała, a Mats oczywiście spełnił jej prośbę.

Gdy to robił, wpadła mu w oko srebrna metalowa walizeczka, która stała obok lnianej torby wypchanej pieluchami, chusteczkami nawilżającymi i natłuszczającymi. Ten pomysł pojawił się najpierw jako całkiem luźna myśl.

– Czy tam jest aparat fotograficzny? – zapytał, znacznie bardziej przejęty, niżby chciał.

– Tak.

– Wygląda profesjonalnie.

– Cóż, jak wspominałam, jestem fotografem. – Wyłowiła nowy smoczek z zewnętrznej kieszeni torby.

– Cyfrowy?

Pomysł nabrał konkretnych kształtów.

– Tak. Ale mam też sprzęt analogowy, gdyby pan był zainteresowany i przechodził kiedyś koło mojego studia.

Mats pokręcił głową.

– Nie, to znaczy, tak, chętnie. Chciałem tylko wiedzieć. Ten aparat cyfrowy... – Wskazał metalową walizeczkę leżącą na półce z bagażem podręcznym. – Czy on ma funkcję odtwarzania w zwolnionym tempie?

Salina spojrzała na niego z jeszcze większym zdumieniem niż przedtem, kiedy zaoferował jej swoje miejsce.

– Tak – potwierdziła z wahaniem, a Mats z zachwytem omal nie klasnął w ręce.

– Czy mogłaby mi pani go pożyczyć?

– Teraz? – Salina zaśmiała się jak ktoś, kto sądzi, że jej rozmówca zaraz wyjaśni swój żart.

– Tak, teraz. Jest mi pilnie potrzebny.

Mats nie spodziewał się tak krótkiej odpowiedzi.

– Nie – powiedziała Salina, głaszcząc główkę dziecka.

– Nie?

Jego puls przyśpieszył jak samochód sportowy przed tablicą na autostradzie informującą, że kończy się ograniczenie prędkości.

– Aparat to dla mnie świętość – wyjaśniła. – Ale mam dla pana propozycję. Pan mi powie, co zamierza zrobić, a ja panu w tym pomogę, okej?

45

Wow.

Salina obróciła się wokół własnej osi i wyszeptała słowa podziwu, prawdopodobnie żeby nie obudzić dziecka, które akurat zasnęło w jej ramionach. Ale być może dlatego, że na ten widok odebrało jej mowę.

Przez chwilę Mats niepokoił się, że na drodze stanie mu jakiś członek załogi, ponieważ nie było mu wolno zabierać innych gości na górę, ale przez cały krótki odcinek drogi po schodach nikogo nie spotkali.

– To nie do wiary!

Mats rozejrzał się wraz z nią po wnętrzu Sky Suite. Dla niego ten luksus był po prostu jedynie obsceniczny, zwłaszcza wobec faktu, że ten latający apartament hotelowy przemienił w centralę dowodzenia, w której planował wojnę psychologiczną przeciwko Kai i wszystkim pasażerom. Niczego niepodejrzewającą Salinę Piehl widok rozkładanych skórzanych foteli, własnej łazienki i sypialni z podwójnym łóżkiem musiał dosłownie powalić.

– Teraz rozumiem, dlaczego oddał mi pan miejsce 7A. Też wolałabym lecieć w tej kabinie – szepnęła z podziwem i natychmiast pokręciła głową. – Przepraszam, nie chciałam, żeby zabrzmiało to arogancko. Bardzo się cieszę, że jest pan tak wspaniałomyślny.

– Nie ma problemu – uspokoił ją Mats. – To ja pani powinienem podziękować.

Odsunął na bok stojący beczynnie wózek serwisowy i rozłożył jeden z dwóch foteli do pozycji leżącej. Salina od razu zrozumiała, o co mu chodzi, i ułożyła dziecko razem z kocykiem na fotelu. Samolot sunął spokojnie przez noc, ale ona i tak zdecydowała się przypiąć śpiące dziecko pasami, następnie podeszła do Matsa, który właśnie włączał ekran.

– O co tu chodzi?

– O pewien przypadek, jeśli mogę tak powiedzieć – zaczął Mats i zrekapitulował

historię, którą wymyślił w drodze na górne piętro i teraz chciał jej przedstawić.

– Jestem psychiatrą i lecę do Berlina z powodu bardzo skomplikowanego przypadku. Otrzymałem wideo z leczenia pewnego pacjenta, którego tu, na górze, nie mogę przestudiować tak, jak bym chciał.

– Rozumiem – powiedziała Salina, ale nie sprawiała takiego wrażenia.

– To skomplikowane, a ponadto z powodu tajemnicy lekarskiej, jaka mnie obowiązuje, nie mogę pani oczywiście pokazać filmu. – Tu Mats świadomie zaczął się wyrażać w sposób niejednoznaczny i zawoalowany. – To dla mnie bardzo ważne, żeby dokładniej obejrzeć jeden z fragmentów tego filmu. Mikroekspresja pacjenta.

– W zwolnionym tempie? – zapytała Salina.

– Właśnie tak. Technika na pokładzie, niestety, nie pozwala na to. Ale za pomocą pani aparatu...

Salina skinęła ze zrozumieniem.

– Chce pan przegrać na aparat, a następnie obejrzeć w zwolnionym tempie?

– A jeszcze lepiej poklatkowo.

– Okej, nie ma problemu.

Mats spojrzał jej prosto w oczy i zauważył, że piegi Saliny są widoczne na jej białej skórze znacznie wyraźniej niż poprzednio. Nie tylko dlatego, że w tej chwili nie była zbyt starannie umalowana, ale również dlatego, że była przejęta. To zrozumiałe. Wyrwał ją ze snu, wprowadził do cudownego świata luksusu tego latającego dwupokojowego mieszkania i poprosił o niecodzienną pomoc przy terapii tajemniczego pacjenta. Aż cud, że pokazała mu zasady działania aparatu, a nie kółko na czole. Aparat, który zabrała razem ze statywem z metalowej walizeczki, nie był skomplikowany w obsłudze, mimo to Mats zapisał najważniejsze kroki punkt po punkcie. Kiedy się upewnił, że wszystko zrozumiał, poprosił Salinę, żeby wyszła z pokoju.

– Chyba pan żartuje?

– Przykro mi. Ze względu na tajemnicę lekarską będę jednak nalegał.

Salina zacierała nerwowo dłonie, jakby było jej zimno. Najwidoczniej nie było jej w smak, że zostawia Matsa samego z aparatem.

– Będzie stał cały czas na statywie. Nie ruszę go z miejsca – obiecał Mats.

– No dobrze – powiedziała Salina po krótkim wahaniu, nie wyglądała jednak na szczęśliwą, że musi przenieść się z dzieckiem do sypialni.

Mats poczekał, aż drzwi się zamknęły, i przeskoczył na kanał 13/10, od razu na

dziewiątą minutę. Na moment, kiedy Kaja wróciła, żeby pocałować zamachowca.

Od pięćset pięćdziesiątej drugiej sekundy puścił film i włączył nagrywanie w aparacie, który był już ustawiony przed ekranem. Teraz, za drugim razem, był jeszcze bardziej pewny wagi swojego odkrycia.

Najpierw zatrzymał odtwarzanie, potem nagrywanie i sporządzone nagranie odtworzył na wyświetlaczu kamery wielkości podstawki do piwa. Poczekał około pół minuty, zanim nacisnął pauzę. Od tej chwili posuwał się co sekundę do przodu i po krótkim czasie dotarł do fragmentu, który chciał zobaczyć.

Nie musiał nawet przełączać aparatu na odtwarzanie poklatkowe. Obraz na wyświetlaczu był idealny.

I tragiczny.

Nie może być!

Mats czuł walenie w piersi, zupełnie jakby miał tam nie serce, a jakiegoś dzikiego trolla, który za wszelką cenę chce się wydostać.

Salina pokazała mu, jak za pomocą kabla HDMI z walizeczki podłączyć aparat do ekranu na ścianie. Wszystko działało bez najmniejszego problemu, tak że niepokojący obraz ukazał się teraz, na pięćdziesięciocalowym ekranie w niespodziewanie dobrej rozdzielczości.

Mats spoconymi dłońmi wyciągnął telefon i sfotografował zatrzymany na ekranie obraz.

Stopy.

Na zamazanej posadzce.

Na której stała osoba aż do końca filmująca gwałt dokonany na Kai.

A osoba ta wcale nie nazywała się Johannes Faber i nie była nawet mężczyzną. Tylko kobietą, z paznokciami u stóp pomalowanymi zielonym lakierem z wzorkiem jak wojskowy kamuflaż.

Taki owego dnia miały trzy przyjaciółki jako znak rozpoznawczy swojej grupy.

Właśnie taki!

– Czy mogę wreszcie wyjść? – usłyszał Salinę za drzwiami sypialni.

Mats przełknął ślinę, ale gorzki smak w ustach tylko się przez to wzmógł. Wszystkie prawdy, wszystko, w co dotychczas, jak mu się zdawało, powinien wierzyć na temat Kai i jej terapii, tym jednym obrazem zostało postawione na głowie.

Co gorsza zdjęcie, które miał teraz w swojej komórce, stanowiło być może najbardziej śmiertelnością bronią na pokładzie tego samolotu.

– Tak, oczywiście – odpowiedział Salinie, skasował film w jej aparacie i zgasił ekran akurat w chwili, kiedy poczuł za plecami delikatny powiew powietrza.

Odwrócił się gwałtownie i zdążył jeszcze zobaczyć, jak drzwi wychodzące ze Sky Suite na korytarz zamykają się z delikatnym kliknięciem.

Mats zastygł na chwilę w bezruchu, zbyt długą, jak się miało okazać, kiedy bowiem ochłonął z szoku, pobiegł do drzwi i wyjrzał na korytarz, gdzie znajdował się Sky Bar, żeby sprawdzić, kto go przed chwilą obserwował, zaglądając mu niejako przez ramię – w polu widzenia już nikogo nie było.

46

FELI

To dokąd jedziemy? – zapytał Livio Feli, która właśnie programowała nawigację. Wyglądała ona na jeszcze starszą niż jego mocno sfatygowane renault.

– Czy ten złom jeszcze w ogóle działa? – zapytała go i po raz trzeci wbiła adres miejsca docelowego.

– Nie, jak się próbuje pisać takimi spuchniętymi paluchami – odburknął Livio i skierował się na zewnętrzny pas ruchu na rondzie Ernst-Reuter-Platz.

– Nie musisz ze mną jechać – powiedziała Feli. Wyświetlacz pokazywał teraz, że GPS szuka satelity.

– Hm, jasne. Ponieważ sama potrafisz doskonale na siebie uważać. Mam jechać prosto?

Feli skinęła i pojechali dalej w kierunku Columny Zwycięstwa na ulicy 17 Czerwca.

– Posłuchaj, mam wystarczająco dużo własnych kłopotów. Ale nie jestem idiotą. Poznaję, kiedy ktoś jest w tarapatach.

Feli roześmiała się.

– Byłbyś rzeczywiście idiotą, gdybyś tego nie rozumiał. Przecież nie tak dawno to właśnie powiedziałam dosłownie tamtej kobiecie: Córka mojego przyjaciela zniknęła. A jej syn może być tym, który ją porwał.

– Porwał?

Do diabła. Feli ugryzła się w język. Niepotrzebnie się wygadała.

Livio spojrzął na nią nieufnie kątem oka.

– I sądzisz, że plany w pokoju tego maminsynka...

– Właśnie tak.

Nawigacja znalazła satelitę i obliczyła trasę. Jeszcze dwadzieścia trzy minuty do Weißensee.

Jeszcze dwie i pół godziny do ślubu.

O Boże, jak ja to wytłumaczę Jankowi?

W każdym razie jechała już z Liviem we właściwym kierunku.

Zacząła wystukiwać narzeczonemu odpowiedź SMS-ową na jego liczne wiadomości, ale nie mogła napisać najprostszego zdania.

Była zbyt zdenerwowana tym, co zastała w mieszkaniu Uhlandta, i telefon do Matsa był teraz ważniejszy niż wszystko inne.

– Halo?

Zadzwoń i zaszumiało, ale nikt nie odbierał. Kiedy włączyła się poczta głosowa, przerwała połączenie.

Niech to szlag.

Dlaczego nie odebrał? Musiała szybko podjąć decyzję. Wszystko – albo przynajmniej przeważająco dużo – przemawiało za tym, żeby najpóźniej teraz poinformować policję.

Przed dziesięcioma minutami Feli zapewniła sobie dostęp do sypialni i gabinetu Franza Uhlandta, wbrew woli jego matki, za pomocą śrubokręta, który Livio znalazł w szufladzie w kuchni. Zamek został otwarty jednym ruchem, tak że nie uległ nawet uszkodzeniu. Poszło tak gładko, że Feli była pewna, że Franz nie zostawił tu nic wymagającego szczególnego zabezpieczenia.

A jednak się myliła.

W przeciwieństwie do pozostałej części mieszkania w pokoju Franza panował niesamowity bałagan. Łóżko było niepościelone, bielizna leżała porozrzucana na podłodze pomiędzy czasopismami medycznymi i zmiętymi chusteczkami do nosa. Pod oklejonym plastikową folią oknem stało uczniowskie biurko z naklejką „Energia atomowa? Nie, dziękuję” na blacie i kolekcją kart firmy Panini przedstawiającą drużynę narodową z roku 2006.

W pomieszczeniu nie było komputera, kamery, ani śladu elektroniki, nawet telewizora. Na ścianach wyklejonych tapetą nie było obrazów ani fotografii, ale Feli dostrzegła wyraźne dziury po gwoździach i pinezkach, jak również kawałki taśmy klejącej. Do tego brudne ślady na tapecie wskazywały, że dopiero niedawno coś zdjęto z tego miejsca.

Przy wtórze głośnych protestów matki Feli najpierw otworzyła każdą szufladę w

biurku i w szafie, wreszcie, całkiem klasycznie, dokonała odkrycia pod materacem.

Zdjęcia satelitarne, wydruki zdjęć budynku z lotu ptaka. Plan miasta, zawsze ten sam fragment. Adres obwiedziony na czerwono.

I wreszcie zdjęcia wewnątrz. Fotografie. Niewątpliwie teren mleczarni.

Czego może tam szukać weganin? – pomyślała Feli. A potem, kiedy przysła jej do głowy odpowiedź, wzięła do ręki tamte wydruki, które teraz leżały na tylnym siedzeniu samochodu Livia, i ogromnie przejęta wybiegła z mieszkania. Bez słowa pożegnania, a Livio za nią.

Pytanie nie brzmiało już: Dokąd Franz uprowadził Nele? Pytanie brzmiało: Czy nie powinna wreszcie włączyć we wszystko policji?

A Mats, który przy drugiej próbie też nie odebrał telefonu, nie chciał zdjąć z jej barków ciężaru decyzji.

A co, jeśli Nele jest przetrzymywana w starych oborach i torturowana? Wówczas liczy się każda sekunda.

A co, jeśli Feli się myli i skieruje policję na fałszywy trop?

W pierwszym przypadku, być może, Nele zostałaby uratowana dzięki szybkiej interwencji policji.

W drugim przypadku, co do tego Mats nie miał wątpliwości, Nele już by nie żyła. Ponieważ stałaby się bezużyteczna jako środek nacisku, gdy tylko szantażysta straciłby kontakt z Matsem. A straciłby go w chwili, kiedy władze dowiedziałyby się o szantażu. Wtedy Mats i Kaja zostaliby natychmiast aresztowani na pokładzie samolotu, co zapobiegłoby ewentualnej katastrofie i ocaliło życie pasażerów.

Feli znów popełniła błąd, z wściekłości zaciskając w pięść zmiażdżone palce.

– Kurrrwa! – krzyknęła, odreagowując nagromadzoną frustrację.

Livio, który kierował się właśnie w stronę Bramy Brandenburskiej, zapytał, czy może jej pomóc.

– O co ci chodzi? – Feli wyładowała na nim swoją złość. – Nie wyglądasz mi na miłosiernego samarytanina. Co chcesz w zamian?

– Stówa by nie zaszkodziła – wyznał szczerze, a jego bezczelność nieco osłabiła jej złość.

– Sto euro?

– Taka jest taryfa Livia taksówkarza. – Uśmiechnął się ironicznie i choć ten zuchwały cwaniak nie był w typie Feli, nie dziwiła się zbytnio, że niektóre kobiety ulegają jego urokowi zabijaki. Najczęściej chyba typy ofiar, które wciąż wybierały

sobie takich macho, jak to nieraz słyszała podczas prowadzonych przez siebie terapii.

– Zawieziesz mnie jeszcze do męża? – zapytała, nie myśląc tego poważnie.

– Masz na myśli twój ślub?

Zdumiona odwróciła głowę w jego stronę.

– A ty skąd o tym wiesz? – zapytała podejrzliwie.

– Przejrzałem twoją portmonekę w poszukiwaniu dowodu, adresu. Wtedy znalazłem zaproszenie. Dlaczego już od dawna nie jesteś w domu?

– Dlaczego w takim razie nie przywiozłeś mi portmoneki do domu, tylko jechałeś za mną?

– Sorry, ale zupełnie przypadkiem zobaczyłem, jak wychodzisz z lecznicy Klopstocka. Rany, jak ty gnałaś, straciłem cię z oczu. Ciesz się, że jednak zobaczyłem cię na Kantstraße. Ta twoja podejrzliwość to jakaś paranoja!

– A twoja...

Nie zdążyła dokończyć swojej obraźliwej odpowiedzi, bo zadzwoniła jej komórka.

– Mats, Bogu dzięki!

47

NELE

W każdym człowieku jest coś, co potrafi go złamać. Coś, co sprawia, że wskutek tortur jest gotów do wszystkiego się przyznać albo sam staje się mordercą, żeby tylko skończyły się jego cierpienia.

Nele właśnie doszła do tego momentu. A przynajmniej tak jej się wydawało.

Dziubasek groził rozerwaniem jej od środka. Krzyczała, modliła się o dłoń, którą mogłaby ścisnąć, zmiążdżyć, ale tej oczywiście nie było w tym zaśmieconym, śmierdzącym krwią, potem i słodkimi odpadkami szybie na końcu światła.

Doszła nawet do tego, że zapragnęła powrotu swojego porywacza.

Ale zaraz, jak to ktoś powiedział? Na końcu każdy umiera w samotności.

W jej przypadku było to jednak kłamstwo.

Ona umierała wspólnie z dzieckiem, które chciało z niej wyjść i nie mogło. Z powodu, którego prawdopodobnie nigdy nie pozna, chyba że istnieje jakiś punkt informacyjny po tamtej stronie.

– Kuuuuurrrr! – wrzasnęła znowu Nele. Przypuszczała, że już nigdy nie będzie wiedzieć. Nawet gdyby skądś wpadł promień światła, tak silnie parła, zapominając przy tym zamknąć oczy, że z całą pewnością wszystkie żyłki miała popękane. Pamiętała widok kobiet, które po urodzeniu dziecka wyglądały tak, jakby ktoś im siknął w oczy chlorem.

– Kuuuuurrrr!

O mało nie zadławiła się swoim bojowym okrzykiem, który nie przynosił już ulgi w bólu i był tylko wrzaskiem raniącym jej wysuszone gardło.

Ogarnięta kolejną falą bólu, wczepiła palce w śmieci pod sobą. Nie czuła, jak odłamek szkła wbija się jej pod paznokieć, poczuła jednak jego zimną, gładką

powierzchnię.

Kawałek lustra?

W szczytowym momencie ból znów na chwilę zelżał i Nele mogła teraz zbadać odłamek obiema rękami.

Rzeczywiście, sprawiał wrażenie kawałka lustra, odbijał nawet resztkę światła, jakie skupiło się na dnie szybu.

Odłamek lustra.

Spiczasty, ostry i poręczny, prawie jak ta żyłka w szparze między poduszkami sofy.

Oczyrna wyobraźni widziała już, jak odłamek przejeżdża po skórze nadgarstka ochraniającej tętnice.

I była to pierwsza szczęśliwa myśl od bardzo dawna.

48

MATS

Feli, gdzie jesteś?

Monotonne odgłosy wydawane przez lecący samolot skutecznie zagłuszały wszystkie inne akustyczne informacje w tle, które zazwyczaj można było słyszeć podczas rozmowy. Nie miał więc pojęcia, czy jest w drodze, czy też przebierała się w domu na swój ślub, a może była już w drodze do urzędu stanu cywilnego, o czym nawet nie chciał myśleć.

– Jadę do opuszczonego kombinatu przetwórstwa mięsnego.

– Dokąd?

– Do opuszczonego kompleksu przemysłowego, niedaleko miejsca zamieszkania Nele.

Mats usłyszał sygnał ostrzegawczy wyczerpującego się akumulatora i na chwilę odsunął telefon od ucha.

Jeszcze tylko piętnaście procent.

– Czy ona tam jest? – zapytał poruszony.

– Właśnie chcę to sprawdzić. Ale czy nie byłoby lepiej zawiadomić policję?

Mats nabrał głęboko powietrza i zatrzymał się pośrodku kręconych schodów, które prowadziły w dół do lobby pierwszej klasy.

– Nie, nie rób tego, dopóki się nie upewnisz, że Nele rzeczywiście tam jest – zaklinał.

– Posłuchaj, teren obejmuje potężny areał. Jest tam opuszczony szpital dla dzieci, przetwórnice mięsne, ruiny obór.

Idealny teren działania dla psychopaty.

– Rozglądaj się za taksówką – powiedział Mats i ruszył dalej po schodach.

– Okej, to dobry pomysł. Ale jeśli nic tu nie znajdę...

– To zadzwonisz do mnie, zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję. Kiedy tam będziesz?

– Mniej więcej za dwadzieścia minut.

Mats modlił się, żeby mieć wtedy zasięg, i zakończył rozmowę.

– Kaja!

Niezależnie od tego, czego niedawno zażądał od niego kapitan, po prostu musiał z nią porozmawiać. Co zresztą może mu zrobić Pereya? Przecież nie zakuje go w kajdany tylko dlatego, że coś podejrzewa. Mats skinął głową czarnowłosej, wyjątkowo szczupłej stewardesie, która na szczęście ruszyła z plikiem czasopism w kierunku pierwszej klasy, przypuszczalnie po to, żeby uszczęśliwić nową lekturą jakiegoś dręczonego bezsennością pasażera. Kiedy zniknęła za kotarą, podszedł do Kai, która nawet nie zareagowała na jego wołanie.

Stała przed szklaną windą obok baru i zachowywała się tak, jakby nie słyszała, że się zbliża.

– Muszę z panią porozmawiać – powiedział Mats dość szorstko; nie miał ani sekundy do stracenia. Kaja wskazała na windę.

– Niestety, nie mam dla pana czasu. Muszę wracać do kabiny załogi, doktorze Krüger.

– Dokąd?

– To strefa niedostępna dla pasażerów. Na dole obok pomieszczeń na bagaże. Prawdziwy postęp. Dawniej mieliśmy tylko kotarę, którą mogliśmy zasunąć. Teraz mamy do dyspozycji małe, ale zamknięte kabiny, z łóżkiem i telewizorem.

Kaja starała się, żeby jej głos brzmiał w miarę normalnie, ale jej uśmiech wyglądał jak uśmiech maltretowanej żony, która boi się dalszych razów męża.

– Czy u pani wszystko dobrze?

– Nie, doktorze. I pan doskonale to wie.

Nie miał żadnego planu, nie przygotował sobie odpowiednich słów i wyrwał się od razu z pytaniem najcięższego kalibru.

– Czy była pani może przed chwilą u mnie na górze?

Kaja Claussen ponownie nacisnęła guzik windy, choć było słychać, że kabina jest w ruchu.

– Proszę pana, mam teraz przerwę. Byłam tylko na chwilę w toalecie, a teraz chętnie bym się znów położyła.

Mats pokręcił głową. Nie może pozwolić jej tak po prostu odejść.

– Ten film wideo, ostatnie sceny. Muszę wiedzieć, o co w tym chodzi.

– Dlaczego?

Dobre pytanie.

Decydujące pytanie.

– Czy to możliwe, że pani była szantażowana? Już wówczas?

Oczy Kai zrobiły się zimne jak lód.

– Nic pan nie zrozumiał, doktorze – powiedziała cicho, ledwie dosłyszalnie.

Chwycił ją za ramię i poczuł, jak pod jego dotknięciem stężała.

– Dlatego chcę z panią porozmawiać. Niech pani posłucha. Johannes Faber został wówczas skazany na sto godzin prac społecznych, chociaż w kółko powtarzał, że to nie on nakręcił ten film. A teraz wiem, że mówił prawdę.

– Jak to?

– Ponieważ filmowała kobieta.

Pokazał jej na swojej komórce zdjęcie, które wcześniej przefotografował z telewizora.

– Czy widzi pani kobiecą stopę? I te paznokcie polakierowane w wojskowy kamuflaż? Taki sam, jaki tego dnia miała też pani i pozostałe dwie dziewczyny z waszej paczki. Tina nie żyła. A więc to Amelia nagrała i opublikowała wideo, czy mam rację?

Winda się otworzyła.

– Nie – powiedziała Kaja energicznie, ale jej oczy nie wyrażały pewności, tylko raczej pragnienie, żeby to w żadnym razie nie była prawda.

– Więc niech mi pani powie, kto to był.

Kaja weszła do kabiny, ale Mats trzymał rękę przed fotokomórką, żeby drzwi nie mogły się zamknąć.

– Z jakiego powodu?

– Ponieważ jestem pewien, że ta osoba, kimkolwiek jest, także teraz zamienia pani życie w piekło.

A na pewno chce je zamienić w piekło dzisiaj! Tobie, mnie i wszystkim na pokładzie.

– Dlaczego całowała pani zamachowca? I kto panią wtedy filmował? Co to wszystko miało znaczyć?

Mats zadał to pytanie z nadzieją, że odpowiedź przybliży go nieco do szantażysty

albo przynajmniej do jego motywu.

– Jak już powiedziałam, niczego pan nie rozumie.

Kaja przyłożyła kartę czipową do czujnika.

– Już wówczas pan nie rozumiał.

Telefon Matsa znów zadzwonił, a on zrobił błąd, spoglądając na wyświetlacz. Przy okazji odsunął rękę od drzwi, które natychmiast się zamknęły.

– Nigdy mnie pan nie rozumiał – usłyszał jeszcze głos Kai.

Gdy przeszywała go nieruchomym wzrokiem, patrząc na niego przez szklane drzwi, tak jakby i on był ze szkła, głos w telefonie zapytał:

– Czy znalazł pan broń?

Mats wymacał w kieszeni marynarki pudełko z nicią dentystyczną.

– Tak.

– Niech pan ją jej da.

Mats spojrzał w dół. Widział już tylko szary, zakurzony dach windy i stalowe liny, na których wisiała kabina. Kaja zniknęła z jego pola widzenia.

– Nic z tego nie będzie – powiedział. – Ona nie chce więcej ze mną rozmawiać. Oznajmiła, że jest chora i resztę lotu spędzi w pomieszczeniu, do którego pasażerowie nie mają dostępu.

– Bardzo dobrze. To oznacza, że już jest emocjonalnie rozchwiana.

– Zgoda. Ale niech mnie pan zrozumie. Już nie będę miał do niej dostępu!

Najchętniej waliłby się pięściami po głowie z wściekłości i rozpacz.

– To pański problem. Niech go pan pokona. Bo inaczej to, co pan zaraz usłyszy, będzie krzykiem radości w porównaniu z tym, co pańska córka jeszcze będzie musiała znieść.

W tle Mats usłyszał przerażający dźwięk. Krzyk z głębi gardła, długi i tak głośny, pełen cierpienia i tak przesterowany, że trudno było odróżnić, czy torturowany jest mężczyzna, czy kobieta.

– Kuuuurrrr! – wrzeszczała ofiara, a jej krzyk jeszcze bardzo długo brzmiał w uszach Matsa. Głośniejszy niż bicie dzwonu na wieży kościelnej towarzyszył mu w całej drodze powrotnej, w dół po krętych schodach do Sky Suite, gdzie z płaczem zamknął za sobą drzwi.

49

FELI

Ten kombinat mięsny w rankingu internetowym na najbardziej fotogeniczne ruiny plasował się tuż za sanatorium Beelitz-Heilstätten i porzewanymi amerykańskimi urządzeniami podsłuchowymi na wzgórzu Teufelsberg.

Zaniedbany już w czasach NRD teren centralnych zakładów hodowli i ubojni bydła nazywany był potocznie „Żalosną Nędzą” i wciąż pozostawał godny tej nazwy.

Niektóre obiekty – między innymi ubojnie – zostały zburzone, inne, jak hale, w których odbywały się aukcje bydła, odnowiono, postawiono nowe budynki mieszkalne, dworzec S-Bahnu, podziemne przejście dla pieszych i hale handlowe. Ale duża część terenu nadal leżała odłogiem i była coraz częściej wykorzystywana przez reżyserów filmów katastroficznych albo produkcji na temat wielkomiejskich slumsów.

Właśnie na tej części terenu skupiła uwagę Feli podczas poszukiwań.

Kiedy auto Livia, trzęsąc się na błotnistej drodze, podjeżdżało od północy do ruin, Feli bezwiednie pomyślała o śmierci.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego ludzie spędzają tu wolny czas, polując na podupadłe motywy fotograficzne albo potrzaskane pamiątki po dawno minionych czasach, dobrowolnie snując się wśród złomu i śmieci. Nie dalej niż w zeszłym roku jakiś młodociany turysta, robiąc sobie selfie, spadł z komina i od tamtej pory leży sparaliżowany. Do łagodnych metod wychowania dobry Bóg zdawał się nie przywiązywać zbytnej wagi.

– Czego szukamy? – spytał Livio.

– Taksówki – powiedziała Feli. Przejeżdżali właśnie obok szyldu z napisem „Do obór”, co spotęgowało jej nieprzyjemne uczucie.

Za niecałe dwie godziny powinna z obrączką na palcu cała w bieli opuścić urząd stanu cywilnego.

Nie mogłaby sobie wymyślić bardziej kontrastowego programu niż to, co teraz robiła.

Właśnie dotarli do hal fabrycznych z czerwonej cegły. Nie tyle ząb czasu, ile raczej cała jego szczeka wgrzyła się w opuszczone budynki, sprawiając, że tynk odpadał razem z ceglami, gonty były odsłonięte, a okna powybijane.

Jak gdyby rzeźnicy, którzy dziesiątki lat temu zabijali tu, ćwiartowali i patroszyli zwierzęta, z braku innego zajęcia wyżywali się teraz na materii nieożywionej.

– Jeśli porywacz jest mądry, zostawił taksówkę gdzieś tutaj.

– Wtedy nigdy jej nie znajdziemy – skomentowała Feli uwagę Livia.

Zatrzymali się przed rozwidleniem drogi i wymienili niezdecydowane spojrzenia.

– Na prawo chyba idzie się do rzeźni – powiedział Livio. Drogowskaz był zmurszały i nie dało się nic na nim przeczytać.

– A co jest napisane niżej?

– Chyba „Mleczarnia”. Droga prowadzi do mleczarni.

Przy słowie „mleczarnia” Feli aż się wzdrygnęła.

– Pamiętasz, co mówiła matka Uhlandta?

– Że jest on weganinem. Musi nienawidzić każdego centymetra tego kompleksu.

– A szczególnie fabryk mleka, prawda? Kobieta powiedziała przecież, że nie może zjeść jogurtu we własnym domu, bo jej syn ma świra na punkcie mleka.

Uważa nawet, że to przez mleko ona cierpi na zanik kości.

– Wobec tego chyba wiadomo, gdzie rozejrzemy się najpierw – stwierdził Livio i włączył bieg.

Minutę i dwa rozwidlenia później znów nacisnął hamulec.

– Po co się tu zatrzymujemy? Tu nie ma żadnego auta.

– Ale kiedyś było.

Livio wskazał przez przednią szybę na dziedziniec przed barakiem o szpiczastym dachu. Ślady w błocie wskazywały jednoznacznie na jeden albo kilka samochodów, które przyjeżdżały i odjeżdżały oraz zawracały. Większość śladów była niewątpliwie świeża.

Livio zgasił silnik i wysiedli. Razem poszli do drzwi w ścianie baraku z blachy falistej i stwierdzili ku swemu zaskoczeniu, że są niezamknięte.

– Co to za miejsce? – zapytała Feli, kiedy weszli kilka kroków w głąb cuchnącej

stęchlizną hali i rozejrzeli się.

– Wygląda jak dawna obora. Tu przywiązywano i dojono krowy. Urządzenia elektryczne już dawno wymontowano. Zostały tylko boksy.

Feli spojrzała na zegarek, a potem na swoje buty sportowe, które zdążyły się już pokryć błotem.

Teraz to już raczej wszystko jedno.

– Czas nas goni. Rozdzielmy się. Ty przeszukasz halę z tyłu, ja rozejrzę się tu, z przodu.

– Jak uważasz, ale wiesz... – Livio uśmiechnął się swoim uśmiechem muszkietera.

– Uważaj na siebie. Nie chciałbym cię znów ratować.

Feli również się uśmiechnęła i była zaskoczona z powodu własnej pewności siebie. Oczywiście bała się i miała nieczyste sumienie wobec Janka, ale podczas swojej pracy przy telefonie rzadko miała okazję mierzyć się z takimi wyzwaniem jak tutaj. No i rzadko widziała natychmiastowy rezultat. Ze zdziwieniem stwierdziła, że mimo niebezpiecznej sytuacji dobrze się czuła, robiąc coś konkretnego, realnego, a nie tylko gadając.

– Jestem wielka – powiedziała.

Odwróciła się i ruszyła w stronę schodów.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej zauważyła schody, które, być może, prowadziły do podziemnej części budynku.

50

NELE

Najpierw rozum, a teraz jeszcze głos. Tu, w tym szybie straciła jedno i drugie, niekoniecznie w tej kolejności. Raczej jednocześnie.

Bóle poniosły ją na grzbietach swoich wygasających fal i wyrzuciły na brzeg, na którym nie była już panią własnych zmysłów.

Nele otworzyła oczy, ale nic nie widziała. Jej usta poruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Mimo to wypełniały ją dźwiękowe halucynacje.

Myślała nawet, że słyszy, jak ktoś woła jej imię, ale było to tylko pobożne życzenie. Fatamorgana, jak u człowieka konającego z pragnienia na środku pustyni, któremu wydaje się, że klęczy przed zagłębieniem, gdzie zebrała się woda.

Jednak wołanie było trochę zbyt głośne jak na urojenie.

– Nele? – Znów usłyszała ten głos, który już kiedyś słyszała, dawno, dawno temu, w innym życiu, zanim dwieście lat temu ktoś porwał ją w to miejsce (a mogło to trwać jeszcze dłużej, jeśli miarą byłoby cierpienie a nie godziny).

Sam fakt, że zna ten głos, był kolejnym dowodem na to, jak bardzo była gotowa na śmierć. Czyż nie mówi się, że w ostatnich sekundach życia człowiek napotyka bliskie sobie osoby?

Nele zamknęła oczy i czuła, jak zapada się w przynoszący ukojenie sen. Który z pewnością potrwa tylko do następnego skurczu, jeszcze bardziej bolesnego, a mimo to nadal daremnego. Jej małeństwo było źle ułożone, czuła to, tak jak czuła, że bez pomocy nie urodzi go żywego.

Być może mój dziubasek przesunął się podczas upadku?

W takim razie to ja jestem temu winna, pomyślała. Ponieważ to ona przecież uciekła i skoczyła, i została sama na stosie śmieci, z drzazgą w nodze, kawałkiem

szkła w dłoni i głosem, który nie wołał już jej imienia, lecz brzmiał teraz tak, jakby rozmawiał z kimś przez telefon.

51

FELI

Co jest?

Feli cały czas wołała Nele, ale nikt jej nie odpowiadał. Stała w obrzydliwym piwnicznym korytarzu, wzdłuż którego znajdowały się pomieszczenia przypominające średniowieczne lochy.

Na szczęście jej komórka miała funkcję mocnej latarki, ale właśnie zadzwonił do niej Livio, więc nie mogła korzystać z telefonu jako źródła światła.

– Znalazłeś ją? – zapytała z przejęciem.

– Nie – usłyszała jego głos. – Ale coś jest nie tak.

– Co?

– W oborze stoi statyw do kamery. Dokładnie przed szpitalnym łóżkiem.

– Słucham?

– Tak jak powiedziałem. Wszystko wygląda jak wyjęte z planu jakiegoś perwersyjnego filmu. Jakby kręcono tu sodomistyczne porno. Jest tu nawet klatka dla zwierząt.

– O Boże.

Usłyszała, jak Livio kaszle, jego głos stał się bardziej stłumiony. Prawdopodobnie się przemieszczał.

– Gdzieś idziesz?

– Rozejrzę się trochę.

– Nie, lepiej zaczekaj – poprosiła. – Już do ciebie idę.

– Okej, spotkamy się przy oborach.

Odetchnęła głęboko i dostała ataku kaszlu. Nic dziwnego przy tym kurzu na dole.

– Dobra. Dwie minuty, chcę tu jeszcze coś sprawdzić.

Rozłączyła się i skierowała promień światła ze swojej komórki na podłogę.
Na okrągłą drewnianą klapę, którą zobaczyła tuż przed rozmową z Livio.
I która wyglądała jak pokrywa studni.

52

NELE

Istniały tylko dwie możliwości. Albo urojenia się nasiliły, albo Franz wrócił z marketu budowlanego z szelkami i wyciągarką i właśnie odsunął pokrywę znad otworu szybu na odpadki. W każdym razie zrobiło się jasno. O wiele za jasno dla przyzwyczajonych do ciemności oczu Nele.

Oślepią zamknęła powieki, a mimo to miała wrażenie, jakby światło wbijało jej się przez skórę w źrenice.

– Kto tam jest? – wychrypią. Niewiele głośniej niż ryba za grubym szkłem akwarium. Wtedy znów usłyszała głos, zbyt wyraźny i przejęty, żeby mógł być złudzeniem.

– Nele, czy to ty jesteś tam na dole? – zapytał głos.

Nele otworzyła oczy. Zamrugą, dzięki czemu zniknęły łzy, a wraz z nimi aureola nad osobą, która przysła jej na ratunek, chociaż Nele najmniej by się tego po niej spodziewała.

– Dzięki Bogu. Proszę, pomóż mi, ratuj mnie!

O tym, że Nele wciąż nie potrafi jasno myśleć, świadczył fakt, że za nic nie mogła sobie przypomnieć jej imienia, choć z drugiej strony, minęło przecież tak dużo czasu, od kiedy po raz ostatni rozmawiała z tą osobą.

Jakieś dwieście lat, jeśli nie więcej.

I oto pojawiła się właśnie teraz. Jak to w ogóle możliwe?

– Przysłał cię mój ojciec? – zapytała, bo on był jedyną osobą, która mogła się o nią martwić. Miała nadzieję, że poruszył niebo i ziemię, żeby ją znaleźć.

Jednak nie była pewna, ile upłynęło czasu i czy w ogóle już wyłądownał.

– Pomóż mi!

Głos utknął na szorstkiej powierzchni papieru ściernego w jej gardle. Mimo to spróbowała jeszcze raz i wyszeptała „proszę”, co było równie nieporadne jak próba wyciągnięcia do góry ręki. Uśmiechnęła się nawet, a przynajmniej wydawało jej się, że to robi, w każdym razie do chwili, kiedy stało się coś niepojętego, przez co wypełniająca ją zgroza kolejny raz nabrała nowego wymiaru.

Usłyszała tylko jedno, ostatnie słowo:

– Zdychaj!

Potem znów zapadła ciemność i pokrywa z głośnym szuraniem zasunęła się nad otworem szybu nad jej głową. Przesunięta przez kogoś, kto był jej ostatnią nadzieją.

Zdychaj!

Nigdy wcześniej nie słyszała tyle wściekłości i nienawiści w jednym słowie.

Nigdy wcześniej nie czuła ciemności, która przytłaczałaby ją jak masy wody morskiej głębiny.

Nigdy wcześniej nie była tak blisko śmierci.

53

FELI

Co się stało?

Livio czekał przy oborach, tak jak się umówili, a jego uśmiech znikł. Patrzył na nią podejrzliwie, a może z troską, nie potrafiła tego dokładnie zinterpretować, potem wskazał na jej brudne dłonie, które Feli próbowała wytrzeć o dzinsy.

– Byłam w czymś w rodzaju piwnicznego korytarza – wyjaśniła. – Myślałam, że odkryłam jakiś włącz albo coś takiego, ale to była tylko deska. Wtedy się ubrudziłam, a kiedy wracałam, poślizgnęłam się jeszcze na schodach.

Przeszła obok niego i popatrzyła na jego znalezisko. Na statyw bez kamery i szpitalną leżankę.

Była zabrudzona krwią i fekaliami. Feli poczuła ucisk w żołądku.

– To wygląda, jakby Nele leżała tu w bólach.

Livio przyznał jej rację.

– A potem została stąd zabrana. – Pokazał na komórkę w jej dłoni. – Zadzwonisz na policję?

Feli skinęła głową.

– Pewnie tak. Ale najpierw muszę zapytać Matsa.

– Okej. Gdybyś wzywała gliniarzy, to... – nie dokończył zdania, ale zrozumiała, o co ją prosi.

– Jasne, spadaj!

Najwyraźniej Livio chciał się jakoś usprawiedliwić, bo dodał:

– Myślę, że oboje niewiele już tutaj zrobimy. A wiesz, że policja i ja nie jesteśmy najlepszymi kumplami.

– Jasne. Zmykaj. – Pokazała na wyjście.

– Serio?

– Jeszcze tylko jedno.

– Co?

Zbierał się do odejścia, ale odwrócił się jeszcze na pięcie.

– Moja portmonetka.

– Co? Ach tak.

Uśmiechając się, wyjął ją z kieszeni spodni i zazartował:

– Zawsze warto spróbować.

Feli chciała mu dać dwa banknoty po pięćdziesiąt euro, ale odmówił.

– Możesz zaprosić mnie kiedyś na kolację – powiedział, posłał jej ręką całusa i ruszył w kierunku wyjścia.

Feli poczekała, aż zniknie w deszczu za ścianą z falistej blachy. Gdy usłyszała dźwięk zapuszczanego silnika, odetchnęła głęboko i z bijącym sercem wybrała numer Matsa.

54

FRANZ

Kurwa, kurwa, kurwa.

Wiedział, że nie należy przeklinać. Matka ciągle mu to powtarzała, ale przecież ona też nie słuchała tego, co on do niej mówi, i wciąż po kryjomu piła mleko, ten śmiercionośny płyn. Mógł więc po kryjomu użyć słowa na „k”, bo miał ku temu powód.

Skąd nagle się tu wzięli?

Martwił się, że może uprzedził go ochroniarz, bo za dużo czasu spędził w markecie. Nie chciał pytać nikogo z obsługi, wolał sam wszystkiego szukać. Ale czego, do diabła, szuka tu ten czarnowłosy, wynędzniały goguś?

I dokąd właśnie pojechał?

Miał szczęście w nieszczęściu, ponieważ tym razem zaparkował taksówkę w dawnej hali aukcyjnej trochę dalej i ostatnie metry przeszedł na piechotę. Co prawda był kompletnie przemoczony od deszczu, ale przezorność, żeby najpierw sprawdzić sytuację, się opłacała.

W ten sposób nie nadział się na renaulta i mógł obserwować intruza ze spalonego barakowozu.

Czarnowłosy odjechał, ale sądząc z jego gogusiowatego wyglądu, pewnie nie przyjechał tu sam i kogoś zostawił.

Kobietę.

Żeby ją zobaczyć, Franz musiał opuścić kryjówkę w barakowozie i zakraść się do otwartej bramy wejściowej. Najpierw dostrzegł ją tylko jako ruch, cień w drugim końcu hali. Ale ten cień mówił, jego właścicielka najwyraźniej rozmawiała z kimś przez telefon i rozmawiając, zmierzała w jego kierunku.

– Halo, Mats? Wyjdę na zewnątrz, może będzie lepszy zasięg – usłyszał. W głosie kobiety było słycać podniecenie, jakby coś odkryła.

Franz zastanawiał się, czy powinien wrócić do samochodu i wziąć nogi za pas.

Ale wtedy byłoby już po wszystkim, wszystko byłoby stracone. Całe długie przygotowania.

– Nie, tu chodzi o wyższy cel – wyszeptał do siebie.

I schylił się.

Podniósł jeden z wielu zardzewiałych prętów poniewierających się na ziemi.

I ucieszył się, że ten, z którym będzie czekał na kobietę, ma nawet na końcu hak.

55

MATS

Rzyzko, że zginie się w wypadku samochodowym, jest sto cztery razy większe niż śmierć w katastrofie samolotu.

A prawdopodobieństwo, że się zwymiotuje po usłyszeniu w telefonie krzyków swojej porwanej córki, jest bliskie stu procent.

Statystyka, pomyślał Mats, wpatrując się w aluminiową nieckę ubikacji, która w samolotach, nawet w najwyższej luksusowej klasie, zawsze przypomina więzienną toaletę.

Statystyka tylko tak długo uspokaja człowieka, dopóki nie dotyczy jego samego.

– Co to ma znaczyć, Nele już tam nie ma? – zapytał, klęcząc na podłodze w łazience. Komórkę położył obok sedesu i włączył tryb głośnomówiący, ponieważ ręce tak bardzo mu drżały, że nie mógł dłużej trzymać jej przy uchu.

– Tu w oborze stoi statyw kamery i szpitalna leżanka – odpowiedziała Feli z przejęciem. – Nie ma śladu Nele, ale jednak może być wszędzie. Obora jest ogromna. Ma też jedną, jeśli nie kilka piwnic.

Ostatnim słowom Feli towarzyszyło piknięcie, ponieważ poziom naładowania baterii w komórce Matsa spadł do dziesięciu procent. Mats wiedział, że powinien wstać i podłączyć telefon do ładowarki, ale nawet to wydało mu się w tej chwili niewiarygodnie wielkim wysiłkiem.

– W takim razie rozglądaj się dalej – powiedział, czując ołowiany ciężar w żołądku.

– Teren jest ogromny. Nie słyszałeś, co mówię? Nie dam rady.

– Aha, czyli nie chcesz.

Mats czuł, jak bardzo jest wobec niej niesprawiedliwy, ale w obliczu

przepełniających go bezsilności i gniewu Feli była jedynym kozłem ofiarnym, na którym mógł się wyładować.

– Nie chcesz mi pomóc.

– Jak możesz tak mówić! – wykrzyknęła oburzona.

Mats wyrwał plik chusteczek kosmetycznych z dozownika i wytarł z twarzy resztę wymiocin. Potem udało mu się wreszcie złapać uchwyt i podciągnąć do góry.

– Nie znosisz Nele. Myślisz, że zostawiłem cię z jej powodu. Nienawidzisz jej.

A ja nienawidzę siebie.

– Mats! – zaprotestowała Feli energicznie i Mats zapragnął cofnąć swój gwałtowny wybuch albo przynajmniej skanalizować go we właściwą stronę. Ale nie mógł przestać wymyślać jedynej osobie, która do tej pory mu pomagała.

– Myślę, że nawet gdybyś ją znalazła, to zostawiłabyś ją samą sobie.

– Mats! – znów zawołała jego imię, ale tym razem nie brzmiało to jak protest. Jeśli miał być szczerzy, to już za pierwszym razem tak nie brzmiało. Brzmiało raczej jak wołanie o...

...pomoc?

– Co się tam u ciebie dzieje? – wydyszał.

– Mats, wydaje mi się, że ktoś tu jest, bo...

Tego już nigdy nie miał się od niej dowiedzieć. Ostatnie, co usłyszał, to jej krzyk, a potem dźwięk, jakby roztrzaskało się coś bardzo kruche.

Potem jego wyświetlacz zrobił się czarny.

56

Nie, nie, nie...

Mats energicznym szarpnięciem otworzył przesuwane drzwi łazienki i wytoczył się do salonu Sky Suite. Z szumem w uszach, jakby samolot pędził w dół lotem nurkującym, otworzył aktówkę, wyjął ładowarkę i podłączył do jednego z gniazdek zamontowanych w podłokietniku każdego fotela.

Na wyświetlaczu pojawił się symbol ładującej się baterii, znak błyskawicy sygnalizował proces ładowania, ale Mats wiedział z doświadczenia, że zajmie to całą wieczność, zanim znów będzie mógł wykonać telefon. A było tak w domu, gdzie miał stabilną sieć. Jak długo będzie trwało, zanim na wysokości ponad dziesięciu tysięcy metrów jego komórka znów połączy się z siecią?

Ostatecznie okazało się, że tylko sześćdziesiąt sekund.

Minuta, podczas której Mats na zmianę gapił się na swój telefon, lampę na stole przed oknem, czerń za nim, czerwone światło sygnalizacyjne na końcu ogromnego skrzydła i znów na telefon.

Teraz miał w głowie echo dwóch krzyków. Krzyku swojej córki i jedynej osoby, którą wysłał jej na ratunek.

Telefon obudził się z terkotem i Mats pomylił się, wstukując PIN, ale w końcu udało mu się otworzyć powiadomienie, które sygnalizowało trzy nieodebrane połączenia.

– Feli? – zapytał, kiedy nadeszło czwarte. Tak bardzo starał się nie krzyczeć, że jego głos przeszedł w szept.

– Kto to jest Feli? – chciał się dowiedzieć głos.

Mats zamknął oczy i zapadł się w skórzanym fotelu, o którym do tej sekundy nawet nie wiedział, że na nim siedzi. Wiele elementów otoczenia postrzegał jak przez zaparowane okulary. Jego świat się skurczył, zredukował do małego wycinka, w którym była już tylko Nele, jej dziecko i ten człowiek na drugim końcu linii, dla

którego kąpiel w kwasie byłaby o wiele za łagodnym wyrokiem.

– Chcę natychmiast mówić z Nele – powiedział Mats, teraz już trochę głośniej.

– Czy dał pan Kai broń?

– Zrobię to, gdy tylko wypuści pan moją córkę.

Głos zaśmiał się rozbawiony.

– Ma mnie pan za niespełna rozumu?

Nie. Ktoś, kto wymyślił coś takiego, może był psychopata, ale na pewno nie osobą niespełna rozumu, która pozbyłaby się środka nacisku.

– Chodzi panu o stworzenie precedensu, mam rację? – zadał Mats to najważniejsze z pytań. – Pracuje pan dla Klopstocka! Chce pan, żebym doprowadził do katastrofy samolotu, żeby przeszła ustawa i żeby zarobił miliony na testach.

Tak jak poprzednio Mats nie uzyskał odpowiedzi, ale usłyszał, że w charakterze głosu coś się zmieniło. Nie można było tego z całą pewnością określić, ponieważ wciąż brzmiał mechanicznie i od czasu do czasu się urywał, ale odgłosy oddychania w tle były intensywniejsze. Przez to wydawało się, że szantażysta jest bardziej zestresowany i nerwowy.

– Już od ponad ośmiu godzin siedzę przed radarem ruchu lotniczego w Internecie i wygląda na to, że jak do tej pory pański lot przebiega zgodnie z planem – powiedział.

– Wysokość lotu, trasa, prędkość, wszystko idealnie. Z jednej strony dobrze, ponieważ dowodzi to, że nie powiadomił pan władz, w przeciwnym razie prawdopodobnie poderwaliby myśliwce przechwytyjące, towarzyszyliby panu i z całą pewnością nie mógłbym już rozmawiać z panem przez telefon. Niedobrze natomiast, że zostało panu niewiele godzin, żeby skierować samolot w ocean. A może woli pan zaryzykować, że jeszcze więcej ludzi dozna obrażeń, kiedy doleci pan nad kontynent i Kaja doprowadzi do katastrofy nad zamieszkanym obszarem?

Mats wykorzystał krótką przerwę, jaka teraz nastąpiła, i powiedział błagalnym tonem:

– Proszę, proszę mi pozwolić porozmawiać z Nele.

– Już od dawna nie ma pan żadnych podstaw, żeby stawiać jakiegokolwiek żądania, panie...

Głos w uchu Matsa został nagle zagłuszony przez komunikat pokładowy.

– Panie i panowie, proszę zwrócić uwagę, że znów włączono sygnalizację zapięcia pasów. Zbliżamy się do strefy złej pogody nad Atlantykiem i...

Kapitan wzbogacał swój komunikat w języku hiszpańskim o kolejne szczegóły, a

Mats doznał nagle nierealnego, przypominającego niemal upojenie alkoholowe uczucia, że słyszy wszystko podwójnie. I przesunięte w czasie, jakby wygięte ściany kadłuba samolotu powodowały subtelne echo. Minęła chwila, zanim pojął przyczynę tego zbijającego z tropu efektu. I jeszcze kolejna, zanim uświadomił sobie, co to znaczy.

Komunikat, w każdym razie pierwsze słowa kapitana, nie dotarły do niego tylko z pokładowych głośników, ale również z komórki, którą wciąż trzymał przyciśniętą do ucha. Chociaż szantażysta już dawno się rozłączył. Dokładnie w chwili, w której również on musiał sobie zdać sprawę, że jego telefon nie przekazuje już wyłącznie sztucznie zmienionego głosu, lecz także komunikat kapitana.

A to z kolei znaczyło...

Doniosłość tego odkrycia jeszcze głębiej wcisnęła Matsa w fotel.

Spojrzał w bok, dotknął okna, poczuł, jak chłód nocy przenika przez szybę, przez jego palce do przedramienia i dalej wprost do serca.

To niemożliwe, pomyślał, a jednak nie umiał znaleźć innego wytłumaczenia.

Szantażysta był bardzo blisko niego.

Tu, na pokładzie tego samolotu.

Zastanów się!

Mats był już w drodze na korytarz, ale zawrócił. Chciał się zmusić do metodycznego działania, chciał uspokoić burzę myśli, a nie bez sensu biegać po największym samolocie świata i w panice szukać zamachowca samobójcy. Była tylko jedna osoba, którą uważał za zdolną do poświęcenia samej siebie, ale akurat ta osoba była jedyną, którą mógł wykluczyć: Kaja.

Stała właśnie w windzie, kiedy zatelefonował Głos. Nie poruszała ustami, nie miała komórki przy uchu. Nie mogło to być również nagranie, ponieważ prowadził z szantażystą normalny dialog.

Z samobójcą?

Mats usiadł, napisał: „Co wiem na pewno” i chciał zanotować punkty, takie jak:

- *Nele została porwana i cierpi.*
- *Wideo nie nakręcił Johannes Faber.*
- *Klopstock zarobi na katastrofie z powodu swoich testów psychologicznych.*

Nie był jednak zdolny do takiego samoopanowania i rozsądku.

Po jego głowie tłukła się tylko jedna jedyna główna myśl, a brzmiała ona: GŁOS JEST NA POKŁADZIE!

I właśnie ta świadomość popchnęła go ostatecznie do wyjścia ze Sky Suite i przejścia obok opustoszałego Sky Baru do tylnej części górnego pokładu.

Najpierw na górę do biznesklasy, trzydzieści foteli zajętych przez śpiących, czytających albo oglądających filmy pasażerów. Z powodu zasłoniętych okien wszędzie było tak ciemno, jak w strefie nocnych zwierząt w zoo. W następnej strefie, ekonomicznej premium, było tylko odrobinę jaśniej, ponieważ i tu światła w kabinie zgaszono, ale tu było więcej foteli, a tym samym więcej monitorów, które fluoryzowały w ciemności.

Czego ja szukam?

Mats widział starych mężczyzn, młode kobiety i śpiące dzieci. Ale po czym poznać pragnącego popełnić samobójstwo szantażystę, którego motywu się nie rozumie?

Nie miał zielonego pojęcia, wiedział, że absolutnie nie miało sensu przeszukiwanie pomieszczeń dla pasażerów o łącznej powierzchni pięciuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych, zwłaszcza że sprawca równie dobrze mógł siedzieć w kokpicie albo w luku bagażowym, a na pewno nie telefonował w miejscu publicznym z urządzeniem do syntezy mowy przy ustach.

Mimo to nie mógł tak beczynnie siedzieć i nic nie robić. Był jak bramkarz, który wie, że raczej nie ma szansy obronić jedenastki, ale jednak musi się rzucić w któryś róg, bo przecież nie może stać jak słup soli.

Im bliżej tyłu samolotu był Mats, przebywszy całą siedemdziesięciopięciometrową długość samolotu, tym robiło się tłoczniej. W końcowej części strefy ekonomicznej, na powierzchni, która w Sky Suite była wyłącznie do jego dyspozycji, umieszczono dwudziestu pasażerów. Ogółem dwieście osób, spośród których przeważająca większość mogła każdej chwili pójść do toalety i stamtąd z vocoderem przy ustach prowadzić rozmowę. W grę mogli wchodzić mężczyźni, kobiety, Niemcy, Hiszpanie, Arabowie, Amerykanie, biali, czarni, a nawet nastolatki.

- *nerwowość*
- *nadmierna potliwość*
- *nerwowe ruchy*
- *drżenie rąk*

Mats przypomniał sobie kilka standardowych objawów, które zdradzali niekiedy mordercy samobójcy, ale nie zawsze. Kiedy taka osoba wyzbyła się strachu za pomocą narkotyków czy hipnozy, mogła zachowywać się całkiem normalnie aż do momentu uruchomienia zapalnika przy pasie szahida.

Poza tym bez sensu było stosować wobec najprawdopodobniej cierpiącego na zaburzenia psychicznie człowieka te same kryteria rozpoznawania, które nawet w przypadku politycznie zmotywowanych przestępców sprawdzały się jedynie w ograniczonym stopniu.

Mats doszedł do końca samolotu i przy toaletach z tyłu zawrócił, idąc teraz drugą stroną przejścia w kierunku kokpitu. Lustrował potylice, uda, wdychał zapachy przepoconych skarpet, gazów jelitowych i chusteczek nawilżających, czując, że to

wszystko jest całkowicie bezsensowne.

Równie bezsensowne jak zachowanie szantażysty.

Jeśli Głos naprawdę znajdował się na pokładzie i rzeczywiście liczył się ze śmiercią, to po co w ogóle potrzebny mu był cały ten skomplikowany plan? Dlaczego nie wykorzystywał swoich niewątpliwych zdolności intelektualnych i planistycznych, żeby samemu dokonać zamachu?

Dlaczego Nele? Kaja?

Dlaczego ja?

Ponieważ nie potrzebuje bomby ani zamachu, tylko psychologicznego incydentu!
odpowiedział sam sobie.

Konwencjonalny zamach, na przykład po wzięciu zakładników, miałby wpływ jedynie na mechaniczne środki zapobiegawcze przy checkowaniu się pasażerów.

W tym przypadku, w osobie Kai miał zostać zdetonowany psychologiczny ładunek wybuchowy, którego nie wykryje żaden rentgenowski skaner. I właśnie do tego był im potrzebny on.

Jedynie, czego jeszcze nie wiedział, to w jaki sposób świat miałby się dowiedzieć, jak mu się udało uaktywnić tę psychologiczną bombę. Obawiał się jednak, że bardzo szybko się to wyjaśni.

Mats dotarł do schodów, które na wysokości trzydziestego trzeciego rzędu prowadziły w dół, mniej więcej na końcu pierwszej jednej trzeciej samolotu.

Kończyły się przy wielkiej kuchni pokładowej między klasą ekonomiczną premium a turystyczną. Przed toaletą przy wyjściach awaryjnych siedziały dwie stewardesy i rozmawiały cicho. Nie zwracały uwagi na Matsa.

One też powinny być brane pod uwagę.

Albo Valentino, o którym właśnie pomyślał, kontynuując swoje nielogiczne zachowanie, to znaczy, stojąc w przejściu i wodząc wzrokiem po pasażerach.

Po niedługiej chwili niespodziewanie wlepił wzrok w określony punkt. Niby nie było tam nic szczególnego, ale jego duchowy sejsmograf najwidoczniej zarejestrował drżenie, które jeszcze tak naprawdę nie wystąpiło i którego mniej wrażliwe osoby mogły w ogóle nie wyczuwać.

Drżenie, którego epicentrum znajdowało się na wysokości rzędu 47.

Wszystkie miejsca przy oknie były teraz puste, wszystkie trzy fotele, łącznie z 47F, który Mats zarezerwował dla siebie i który przy wsiadaniu był zajęty przez jakąś śpiącą osobę. Nadal nie było jej na miejscu, ale nie to przykuło jego uwagę.

Tylko rząd środkowy, miejsce 47J. Pierwsze miejsce od przejścia.

Mats podchodził powoli, skradał się jak drapieżnik, który nie chce spłoszyć śpiącej zdobyczy, i wtedy to się stało: pasażer, który właśnie z półotwartymi ustami, zamkniętymi oczami i nieruchomym podbródkiem celował w kierunku sufitu kabiny, wyjął spod wełnianego koca telefon, rzucił okiem na wyświetlacz i z powrotem go schował, zanim znów przyjął pozycję, jakby dalej spał.

Trautmann, nazwisko to przeleciało Matsowi przez głowę niczym okrzyk do boju. Mężczyzna, który rzekomo dzięki swojej „tabletki za dwanaście tysięcy dolarów” chciał przespać cały lot, miał zdumiewająco świadome przerwy we śnie.

– Trautmann! – usłyszał Mats swój okrzyk, kiedy najpierw go minął, a teraz ponownie zbliżył się od tyłu. Przeraził się nie tylko siłą własnego głosu, ale również niewzruszoną konsekwencją własnego działania. Przez całe życie był warunkowany na to, żeby werbalnie rozwiązywać konflikty albo schodzić im z drogi. Teraz poczuł, jak jego ręka całkiem automatycznie znajduje drogę do kieszeni spodni. Jak wyciąga małe plastikowe pudełko i wyjmuje „nic dentystyczną”. A potem było tak, jak pacjenci często opisują, kiedy mówią o doznaniach w obliczu śmierci: wydało mu się, jakby uwolnił się z własnego ciała i unosząc się nad sobą, widział samego siebie, jak od tyłu zaciąga pętlę wokół szyi rzekomo śpiącego pasażera. I krzyczy przy tym:

– Gdzie jest Nele?! Co zrobiłeś z moją córką?!

Niecałą sekundę później Mats leżał na podłodze ze złamanym nosem i pistoletem przy skroni. A potem wszystko zrobiło się czarne.

58

LIVIO

Swędzenie nie było wyłącznie skutkiem działań ubocznych.

Mimo że Livio powinien w zasadzie zażyć tabletki znacznie wcześniej, dziś rano zapomniał, a nie mógł przewidzieć, że ten dzień potoczy się tak, jak się potoczył.

Podrapał się w zgięciu łokcia i obejrzał skórę w lustrze toalety na stacji benzynowej.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat był jeszcze za młody na starcze plamy, a poza tym choroba była jeszcze zbyt świeża, bo wynik testu zważył go z nóg zaledwie kilka tygodni temu.

Przy swoim trybie życia i tak musiał się liczyć z tym, że kiedyś zarazi się wirusem HIV i wyląduje w lecznicy Wedding.

To zdumiewające, że Feli nie zapytała mnie, czemu się tam leczę.

Przez chwilę Livio zastanawiał się, czy jest wściekły, że ta laska wcale nie interesowała się jego prywatnym życiem. Ale na jej miejscu też by tego nie zrobił. Z porwaniem i czekającym ją ślubem miała dość problemów na głowie.

A jednak.

Odkręcił kran, potrzywał pod nim głowę, następnie połknął koktajl z pigułek, które wcześniej ułożył sobie na dłoni. Żeby choroba się nie rozwinęła. Żeby powstrzymać objawy.

Nie zaszkodziłoby trochę więcej zainteresowania. W końcu przecież bardzo jej pomogłem.

– Hej, wpadłeś do kibla czy jak? – usłyszał głos jakiegoś starszego mężczyzny pod drzwiami.

Teraz Livio grzebał się jeszcze bardziej.

Wyjął komórkę z tylnej kieszeni spodni i wrócił do ostatnio wybieranych numerów. Na samej górze był numer Felicitas.

Zaraz, jak ona ma na nazwisko?

– Człowieku, wyłaż wreszcie! – marudził staruszek na dworze, uderzając przy tym raczej mało energicznie w drzwi.

Livio nawet nie mrugnął. Ludzie niecierpliwi nie byli w stanie wyprowadzić go z równowagi.

Jedyną osobą, która to potrafiła, był on sam, i za to siebie nienawdził.

Dlaczego w ogóle poświęca tej głupiej psychiatryczce jakąkolwiek myśl? Od kiedy się pożegnali, czuł nieustanne głucho dudnienie z tyłu głowy.

Jak sygnał jakiegoś ostrzeżenia.

– Nie powinieneś jej tam zostawiać samej – powtórzył nieco głośniejszym głosem, niż zamierzał, słowa tłukące mu się po głowie.

– I jeszcze do tego gadasz sam do siebie? – zapytał natarczywiec przed toaletą. – A może dzwonisz do mamusi, żeby zapytać, gdzie masz siusiaka?

Livio słyszał, jak ludzie się śmieją, najwidoczniej natarczywiec miał publiczność, ale potrafił skutecznie nie zwracać na takie rzeczy uwagi.

Znacznie skuteczniej niż na brzęczenie w głowie; diabelski szept w uchu, który radził mu, żeby jeszcze raz nacisnął powtórne wybieranie numeru.

Ona jest całkiem w porządku, kontynuował wewnętrzny dialog z samym sobą.

Następnie powtórzył to zdanie jeszcze trzy razy na głos. Raz, kiedy wychodził z toalety (zabrawszy przedtem ze sobą cały papier toaletowy, żeby rozzłościć natarczywca), następnie, kiedy wsiadał do samochodu, który właśnie dopiero co zatankował do pełna.

I wreszcie, kiedy Feli po raz drugi nie odebrała, a jego wiadomość znów weszła do poczty głosowej.

– Nie zwracaj sobie głowy. Odpuść sobie – powiedział po raz ostatni, kiedy już ruszył trasą wskazaną przez nawigację, która prowadziła go z powrotem do ruin.

59

MATS

Jeszcze godzina i 38 minut do planowego lądowania w Berlinie

Żelazo.

W większości kryminałów mowa jest o smaku miedzi, którą podobno ma krew, chociaż w ludzkim organizmie wcale nie ma tego pierwiastka. Klasyczna niepotrzebna, a wynikająca z przemądrzałości wiedza, która odzyskującemu powoli świadomość Matsowi była zupełnie na nic.

Oczywiście był to smak i zapach żelaza, co wywoływało u niego mdłości. Mężczyzna, który najprawdopodobniej był odpowiedzialny za to, że Mats wracał właśnie do siebie z rękami skrępowanymi opaskami zaciskowymi do kabli, wstał ze swego fotela i zaświecił mu latarką kieszonkową w lewe oko.

Mats zobaczył tańczące płomienie i eksplozję światła.

Czuł się jak bokser, który po ostatnim ciosie nie usłyszał ratującego gongu i dopiero teraz ocknął się w narożniku.

Tylko że Trautmannowi z pewnością nie chodziło o przywrócenie mu sprawności przed dalszą walką.

– Czułem, że będą jeszcze z tobą kłopoty, chłopie.

Przejechał dłonią po siwej bródce à la Sean Connery, wsadził latarkę z powrotem do kieszeni i cofnął się o jeden krok.

– Kim pan jest? – wybełkotał Mats, zastanawiając się, jak długo był nieprzytomny.

Nieprzezroczyście zasłony były zaciągnięte, Mats nie widział, czy na dworze jest już jasno. Nie wiedział też, czy unieszkodliwił go paralizator czy pocisk ogłuszający.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie pamiętał, jak z klasy ekonomicznej

został przetransportowany na górę, z powrotem do Sky Suite, gdzie nieprzytomnego posadzono go w fotelu przy oknie, z twarzą zwróconą odwrotnie do kierunku lotu.

– Jest pan od Klopstocka? – zapytał Mats i udało mu się rzucić okiem na zegarek Trautmanna.

Jeśli ten go nie przestawił, wskazywał jeszcze czas w Buenos Aires.

Mats przełknął ślinę o posmaku krwi. Z powodu bólu głowy i ciągle jeszcze silnego otumanienia miał ogromne problemy z obliczeniem, ile czasu pozostało do końca lotu, ale jeśli się nie mylił... *Wielki Boże...*

Przespał prawie trzy i pół godziny!

– Od kogo miałbym być?

Trautmann szarpnięciem sprawdził więzy, które były tak mocno zaciągnięte wokół przegubów dłoni Matsa i nogi stolika, że wstanie było niemożliwe. Nogi też miał skrupowane na wysokości kostek, żeby nie mógł wierzgać.

– Ta pańska spółka handlowa. Nie zainwestował pan wcale w kije do selfie. Finansuje pan psychotest Klopstocka, mam rację?

Trautmann zmrużył powieki i przechylił głowę.

Przez głowę Matsa przemknęła myśl, że tak musi się czuć zdychająca mysz wobec pilnującego ją kota.

Również Trautmann wydawał się jednocześnie zaciekawiony i bezlitosny.

Z pewnością chciałby się dowiedzieć, ile jego przeciwnik o nim wie, ale z drugiej strony, bez mrugnięcia okiem się go pozbędzie, gdy tylko będzie miał już dość tej gry.

Ile czasu nam jeszcze pozostało do lądowania? Półtorej godziny?

– Wcale nie chce pan tak naprawdę spowodować katastrofy samolotu, zgadza się?

– zapytał Mats, którego mózg wciąż pracował co najwyżej na pół gwizdka. – Potrzebuje pan tylko incydentu. Szalonej stewardesy. Wytrąconego z równowagi psychiatry na pokładzie. Stereotypu, który spełni swój cel, prawda?

Bo wtedy zostanie przyjęta ustawa, której Klopstock tak pilnie potrzebował. Zobowiązująca wszystkie linie lotnicze, żeby poddawały testom wczesnego rozpoznania cech psychopatologicznych wszystkich pilotów, członków załogi, a być może nawet pasażerów. Wielomilionowy, jeśli nie miliardowy interes na skalę światową.

– Po katastrofie German Wings była już mowa o psychotestach. Ale ustawa utknęła w martwym punkcie. Przy drugim incydencie nie da się już jej zlekceważyć, mam

rację?

Trautmann spojrzał na niego tak, jakby Mats był szaleńcem, który właśnie uciekł z zakładu zamkniętego.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, człowieku. Czułem, że coś z panem nie jest w porządku. Nikt nie rezerwuje tak wielu miejsc. Czekałem, na które pan się zdecyduje, po czym zająłem pierwsze wolne miejsce w pobliżu pana.

Trautmann zrobił przerwę i pokazał mu pudełko z nicią dentystyczną, które Mats znalazł w schowku na kamizelkę ratunkową przy fotelu 7A.

– Nić dentystyczna? – zapytał. – Naprawdę myślał pan, że to zadziała?

– To nie jest nić dentystyczna – powiedział Mats. – To broń.

Trautmann otworzył pudełko i odwinął duży odcinek nici. Oderwał ją, powąchał, i uśmiechnął się.

– To jest zwykła nić dentystyczna, przyjacielu. Myślę, że możemy sobie darować dalszą rozmowę. Masz po prostu nie po kolei w głowie.

Odwrócił się, żeby odejść.

– Czego pan chce?! – zawołał za nim Mats.

Trautmann zatrzymał się, spojrzał krótko przez ramię.

– Bezpieczeństwa.

– Dla kogo?

– Dla wszystkich tu, na pokładzie.

Trautmann wyciągnął koszulę ze spodni i pokazał broń w kaburze. Tuż obok widniała srebrna gwiazda, jak odznaka szeryfa.

Mats zamknął oczy.

No oczywiście.

– Pan jest sky marshałem? – zapytał.

Kiedy Trautmann skinął głową, Mats wiedział, że wszystko stracone.

Nele nie znaleziono.

Kontakt z Feli zerwany.

Kaja nadal niedostecznie uaktywniona.

A tym swoim żalonym atakiem na Trautmanna sam siebie unieszkodliwił.

– Człowieku, najchętniej przez cały czas nie spuszczałbym cię z oka, ale jestem odpowiedzialny za cały samolot, więc nie mogę siedzieć przez cały lot w Sky Suite – powiedział agent.

Mats zamknął oczy.

Nieskończenie zmęczony i wyczerpany, pragnął tylko jednego, żeby znaleźć się w jakimś innym miejscu. Gdziekolwiek, gdzie myśli zamilkną, a wszystkie doznania można wyłączyć jednym ruchem.

– Wreszcie się obudził. Proszę uważać, żeby nie robił głupstw – usłyszał słowa Trautmanna i nagle poczuł strach, że zostawi z nim Valentina w roli psa wartowniczego, a oni mieli już ze sobą na pieńku.

– Zajrzę tylko do jego bagażu i zaraz wrócę.

– Okej – usłyszał Mats, i wiedział już, że to nie Valentina wyznaczył Trautmann jako jego strażnika. Tylko osobę, która go przez cały czas obserwowała.

Mats otworzył oczy i potwierdziło się jego podejrzenie, kiedy usłyszał słowa Kai: „Może pan na mnie polegać”, i drzwi za Trautmannem się zamknęły.

60

Uśmiechnęła się.

Ze wszystkich emocji, jakie pojawiły się w ciągu ostatnich godzin na jej twarzy – zakłopotanie, niepewność, wzburzenie, aż po jawną rozpacz – ten uśmiech najbardziej zbił go z tropu.

Bardziej nawet niż błyski w jej oczach, będące echem psychotycznego tła, które nawet w fazach najsilniejszego psychicznego odrodzenia od przeszłości wciąż znajdowały drogę do spojrzenia Kai. Wyraźny znak jej krzywdy i bólu, które dręczyły jej umysł. Był on widoczny już wtedy, kiedy w windzie przeszywała go wzrokiem.

Kaja podeszła do Matsa z uśmiechem wokół kącików ust, i był on prawdziwy. Nie udawany, nie grany, nie przyklejony. Nie wyglądała na specjalnie szczęśliwą, ale sprawiała wrażenie człowieka, który pozostaje w zgodzie z samym sobą.

Gdyby Mats nie wiedział, jak jest naprawdę, uznałby to za wyraz zdrowia psychicznego.

Ale ponieważ wiedział, to aż się wzdrygnął, kiedy Kaja podeszła do stolika i powiedziała spokojnym głosem:

– Pan jest zwyczajnie za dobry, doktorze. Powinnam to wiedzieć, ale chyba po prostu wyparłam świadomość, jak bardzo pan się zna na swoim fachu.

– Nie rozumiem.

– To prawda, nie rozumie pan, już panu to mówiłam. Nigdy pan niczego nie rozumiał. Ale teraz to bez znaczenia.

Kaja otworzyła minibar i wyjęła wodę niegazowaną i szklankę. Napełniła ją do połowy i z wewnętrznej kieszeni służbowego zakietu wyjęła małą buteleczkę, która wyglądała jak buteleczka kropli do nosa, takich samych, jakie matka zakraplała mu pipetką, kiedy był przeziębiony. Tylko że ta była wykonana z zielonego, a nie brązowego szkła, a pipeta zdawała się bardziej filigranowa.

– Co to jest?

– Nikotyna w płynie. Bardzo trująca – powiedziała Kaja bez ogródek. – Wyekstrahowałam ją z E-papierosów.

Wlała sporo kropel do szklanki i zamieszała palcem wskazującym. Jedynym, na którym lakier do paznokci był jeszcze nienaruszony.

– Wiedział pan, że przed rokiem się przestawiłam? – Uśmiechnęła się.

Mats pokręcił głową, co jednak nie było odpowiedzią na jej pytanie.

– Co pani zamierza?

Uśmiechnęła się szerzej.

– Ale E-papierosy nie mają tego smaku. I mogą być również śmiertelnie niebezpieczne.

Kaja zamknęła buteleczkę i potrząsnęła nią.

– Nie wypiję tego – powiedział Mats, ale i na to nie zareagowała. Wyglądało na to, że jest dla niej tylko przedmiotem, który wybrała sobie jako partnera do rozmowy, od którego jednak nie oczekiwała żadnej odpowiedzi, a tym bardziej pytań.

Kaja spojrzała na zegarek, westchnęła i z tej samej kieszeni, w której miała nikotynę w płynie, wyjęła prawdziwe papierosy i zapalniczkę.

– Zarezerwowałam je właściwie na Berlin, kiedy już będzie po wszystkim, ale chyba nie ma na co czekać.

Włożyła papierosa do ust, zapaliła go i zaciągnęła się głęboko.

– Oooch!

Szary, zwiewny dym wypełnił Sky Suite, kiedy wypuściła powietrze z płuc. Z powodu zatkanego krwią nosa Mats prawie nic nie czuł, ale dym drażnił go w oczy.

– Zawsze chciałam to zrobić. – Kaja uśmiechnęła się i zaciągnęła po raz drugi. Jej wzrok stał się niespokojny, kiedy powiedziała: – O, rany, rany. Powinnam była wiedzieć. Nie tak to wszystko było zaplanowane.

Mats szarpnął więzy.

– Kaja, jeśli pani również jest szantażowana, jeśli ma pani z tym wszystkim coś wspólnego, to wcale nie musi pani tego robić.

Spojrzała w stronę okna. Wydawało się, że dalej rozmawia wyłącznie ze sobą.

– Nie mówię o samolocie. Mówię o panu, doktorze Krüger.

– Nie rozumiem.

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

– To już przerabialiśmy.

– Niech mi więc pani wytłumaczy, proszę.

Kaja pochyliła się ku niemu.

– To nie maszyna miała spaść, to pan miał przeżyć upadek. Tylko pan.

Mats, usłyszawszy tę prawdę z ust Kai, zareagował wszystkimi zmysłami.

Wszelki szum silników w jego uszach stał się głośniejszy. Smak krwi w ustach bardziej intensywny. Teraz poczuł nawet zapach dymu.

– Ja? Dlaczego ja?

– Jest pan już całkiem bliski rozwiązania, naprawdę bardzo bliski, doktorze. Słyszałam, o co pan pytał sky marshala.

– Trautmanna?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, jak on się nazywa. Tylko piloci znają jego tożsamość, żeby nikt nie próbował brać na zakładnika kogoś z załogi i się tego dowiedzieć. Wiedziałam tylko, że w tym samolocie na pokładzie znajduje się jakiś „podniebny szeryf” i że pan jest na liście podejrzanych pasażerów, ponieważ zarezerwował pan tak dużo miejsc. Po incydencie z Valentinem otrzymałam od kapitana wskazówkę, żeby w sposób możliwie niezwracający uwagi izolować pana w Sky Suite. Ale z samym agentem nie miałam nigdy kontaktu. Gdyby pan go nie zaatakował, nie wiedziałabym, kto to jest i gdzie siedzi.

Mats odnosił wrażenie, że czuje, jak jego głowa staje się coraz cięższa. Zupełnie jakby kawałki prawdy niczym ołów obciążały jego umysł.

– W każdym razie Trautmann, czy jak on się tam nazywa, z całą pewnością nie ma nic wspólnego z firmą Klopstocka.

– Za to pani tak?

– Ja odbieram sobie jedynie małe odszkodowanie za to, co pan mi ukradł, doktorze.

– Ja? Co, do...

Mats był tak zdumiony, że ledwie potrafił się wysłowić.

– Ja panią leczyłem, Kaju, pomogłem pani przezwyciężyć traumę. Zarówno traumę bycia zakładniczką, jak i traumę, kiedy w sieci pojawiło się wideo. Skąd pani przyszło do głowy, że cokolwiek pani ukradłem?

Kaja uśmiechała się dalej tym swoim zbijającym go z tropu śmiechem.

– Pan mnie nie leczył. Ani wtedy, ani dzisiaj. Wprost przeciwnie. Przez cały czas lotu usiłował mnie pan zniszczyć.

– To wszystko przez to, że jestem szantażowany. Jest mi ogromnie przykro. Proszę, niech pani mnie rozwiąże.

Wyciągnął ku niej obie ręce.

– Niech mnie pani uwolni, możemy wszystko załatwić. Jeszcze nie jest za późno.

– Ależ tak, już dawno jest. Nie zrozumiał pan tego i nigdy już nie zrozumie.

– Proszę, niech mi pani da szansę.

– Nie. Nie ma już na to czasu. Niech pan posłucha. Plan był taki, że pan na pokładzie samolotu będzie rzucał się w oczy, co zresztą się stało, i to wielokrotnie. Wdał się pan w awanturę ze stewardem. Zaatakował pan nawet czynnie sky marshala. I przez cały czas próbował pan manipulować psychiką stewardesy, żeby doprowadzić do katastrofy samolotu.

– I kto ma to udowodnić?

– Ja, oczywiście. – Podbródek Kai drżał. – Nagrałam wszystkie nasze rozmowy.

Wyjęła małą komórkę z wewnętrznej kieszeni żakietu.

– To pana załatwi.

Mats z trudem przełknął ślinę.

– I sądzi pani, że to wystarczy, aby przekonać władze do wprowadzenia szeroko zakrojonej kontroli psychologicznej załogi i pasażerów?

Dzięki którym Klopstock zarobi miliony.

Kaja skinęła głową.

– Być może będąc w Argentynie, pan o tym nie słyszał, ale w Europie za kilka tygodni odbędzie się głosowanie w sprawie ustawy, która ma wprowadzić obowiązek takiej kontroli. Jak pan myśli, co zadecydują eurodeputowani, kiedy usłyszą, że dzisiejszego dnia kilkuset pasażerów ledwo uszło z życiem? Za czym zagłosują, żeby taki scenariusz w przyszłości nie był możliwy? Wiedząc, że takie rutynowe badania zapobiegają sytuacji, w której na pokładzie samolotu znalazła się taka psychiczna bomba zegarowa jak ja i zagrożony samobójstwem pasażer jak pan?

Zagrożony samobójstwem?

Mats wskazał ruchem głowy na szklanekę z nikotyną w płynie.

– Mam to wypić? Żeby wyglądało na samobójstwo?

Jako ostateczny dowód mojej psychozy. I żeby mnie wykluczyć jako świadka.

– Taki był plan.

– To głupota. Co wyście sobie wyobrażali? Że zrobię to dobrowolnie?

– A czy pan już dzisiaj zrobił coś dobrowolnie, doktorze?

Nele.

Mats miał znów przed oczami jej obraz, szeroko otwarte oczy, wyraz udręki i bólu.

Natychmiast usłyszał we wspomnieniu jej krzyk.

– Gdzie jest moja córka? Coście z nią zrobili?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Kaja. Nie mrugała bezwiednie powiekami, nie odwracała się i nie zdradziła żadnym sygnałem, że kłamie.

– A kto wie? – zapytał Mats. – Kto to wszystko zaplanował?

– Teraz to wszystko jedno. Wkrótce nie będzie to nikogo interesowało.

Mats na próżno próbował rozgryźć zawołowaną aluzję Kai.

– Myślicie, że dacie radę? Nigdy w życiu. Każdy będzie się dziwił, że akurat w dniu, kiedy ja straciłem rozum na pokładzie samolotu, znika moja córka.

Kaja zaciągnęła się kolejny raz wypalonym w jednej trzeciej papierosem i dmuchnęła dymem prosto w twarz Matsa.

– Być może. Ale potem policja znajdzie kiedyś w pańskim mieszkaniu w Buenos Aires notebook. Z symulatorem lotu, w którym ćwiczył pan przelot wyłącznie tą trasą, panie doktorze. Poza tym policja natknie się na maile wymieniane między panem a Franzem Uhlandtem.

Kierowca Klopstocka? – przemknęło Matsowi przez głowę. Jeśli dobrze pamiętał, było to nazwisko, które Feli udało się ustalić.

– Chory na umyśle weganin, który w swoim szaleństwie chce odbierać ciężarnym kobietom dzieci, żeby w ten sposób wyrazić swój protest przeciwko przemysłowej produkcji mleka. To pan go zachęcił do tego, żeby zrealizował ten plan, wykorzystując pańską córkę. Zaopatrzył go pan w pieniądze i kamerę.

– To nieprawda.

– Według informacji na pańskim komputerze tak właśnie było. Pan jest człowiekiem zaburzonym, doktorze. Nigdy nie uwolnił się pan od poczucia winy za śmierć żony, z tego powodu zresztą pan wyemigrował. Córka pała do pana nienawiścią, a pan nie może znieść myśli, że Nele wkrótce założy rodzinę, podczas gdy pan swoją stracił.

– Bzdury!

– Tak będzie to widziała opinia publiczna. Wpadł pan w obłąd. Już od lat był pan człowiekiem depresyjnym i samotnym, a ciąża Nele wyzwoliła w panu plan samobójczy, który przewidywał również śmierć wielu osób, szczęśliwych pasażerów, którzy lecieli do swoich rodzin. I pacjentów takich jak ja, którzy właśnie zaczęli nowe życie, jakie panu nie było dane, Mats.

Po raz pierwszy i ostatni zwróciła się do niego po imieniu.

– I to wszystko, być może, dałoby się rozpoznać za pomocą prostych testów krwi i trochę bardziej skomplikowanych i czasochłonnych psychotestów. W każdym razie ja na pewno zostałabym zdemaskowana jako osoba nienadająca się do latania. Ale teraz...

Wskazała na szklanę z neurotoksyną.

– Nigdy! – powiedział Mats i znów próbował się uwolnić z więzów, ale bez powodzenia. Plastik wpijał mu się w przeguby dłoni.

Wskazał głową szklanę, która wydawała mu się ostatnim dostępnym dla niego środkiem nacisku w grze, której reguł wciąż jeszcze nie pojmował.

– Nie wypiję ani łyka, chyba że uwolnicie Nele, a ja będę mógł natychmiast z nią porozmawiać. Jak tylko Nele będzie bezpieczna...

Kaja wstała.

– Nie ma o czym mówić. To nie zależy ode mnie, czy pańska córka będzie wolna, czy nie. O tym decyduje tylko i wyłącznie tamten weganin. Nie mamy nad nim kontroli. Cieszymy się, że w ogóle dostarczył nam zdjęcie i nagranie audio, ale poza tym działa całkowicie niezależnie. To podstawa naszego planu. Nikt nie będzie mógł udowodnić żadnego związku między nim a nami. Pan jest jedynym ogniwem łączącym, doktorze Krüger.

– Żadnego związku? – Mats niemal krzyknął. – Ten człowiek jest kierowcą Klopstocka!

Kaja zmrużyła oczy.

– Gratulacje, udało się panu to odkryć? Ale jakie to będzie miało znaczenie? Żadne. Ponieważ Klopstock absolutnie nie jest wprowadzony w nasz plan.

– Bzdura.

– Ależ nie, to prawda. André o niczym nie wie – powiedziała, a Mats chciał znów zaprotestować, ale wówczas przyszło mu na myśl, że przecież oprócz Kai jest na pokładzie co najmniej jeszcze jedna osoba pomagająca, i z pewnością nie jest to jego kontrowersyjny kolega, którego Feli spotkała dziś w jego gabinecie.

– Z kim rozmawiałem przez cały czas przez telefon? – zapytał Kaje.

Kim jest Głos?

Tu, na pokładzie.

– Wystarczy tych pytań.

Kaja drżącymi palcami zgmiotła papierosa na blacie stołu i znów uśmiechnęła się tak samo przyjaźnie, jak na początku tej najtragiczniejszej ze wszystkich rozmów,

jakie Mats przeprowadzał kiedykolwiek w życiu.

Wzięła do ręki szklanę z roztworem nikotyny, obróciła ją w palcach, jakby to było jakieś drogie czerwone wino.

– Nie wypiję tego – zaprotestował Mats.

– Już pan to mówił. – Kaja uśmiechnęła się, przytknęła szklanę do ust i opróżniła ją jednym haustem.

Mats zbladł jak kreda.

Następnie Kaja otworzyła klapkę komórki i kilkakrotnie wcisnęła jakiś klawisz, aż rozległ się długi pisk.

– No. Nasze rozmowy zostały skasowane. I to w zasadzie na tyle – powiedziała na pożegnanie i jej uśmiech zniknął. Pozostał tylko smutek w zmęczonych oczach. Jednoznaczny wyraz pewności, że jej życie wkrótce się skończy.

– Ale dlaczego? – zapytał Mats.

Szeptem. Jak ogłuszony. I znów nie otrzymał odpowiedzi.

– Teraz idę doprowadzić to wszystko do końca.

Mats próbował wstać, ale więzy wcisnęły go z powrotem w fotel.

– Co pani ma na myśli?! Co pani ma na myśli, mówiąc „doprowadzić do końca”?!
– zawołał za nią. – Przecież podobno nigdy nie chodziło o to, żeby samolot uległ katastrofie, prawda?

– Owszem, tak powiedziałam – odrzekła Kaja, stojąc już w drzwiach. – Chociaż powinnam była sama się domyślić. Pan był po prostu za dobry, doktorze. Otworzył mi pan oczy. A tym samym plan, niestety, zmienił się.

61

Jeszcze 48 minut do planowego lądowania w Berlinie

Znowu pojawił się wąż. Długi czas siedział w ukryciu gdzieś w dobrze zamaskowanym ciemnym zakamarku jego świadomości, grzejąc się jego rozpaczą i żywiąc jego koszmarami. Ale teraz obudził się ze swojego nikczemnego snu i znów się objawił z nową siłą.

Co ona zamierza? Czyżby chciała doprowadzić do katastrofy samolotu? Czy w ogóle ma taką możliwość?

Mats czuł, jak z każdym pytaniem pyton strachu coraz silniej ściska mu pierś. Mocniej niż więzy na nadgarstkach i kostkach.

Co ja zrobiłem? Co ja uruchomiłem?

Jeśli rozbicie samolotu nie było prawdziwym celem szantażysty, to jak najbardziej można przyjąć, że sprawca znajduje się na pokładzie. I jeśli los Nele rzeczywiście nie miał żadnego związku z losem tych wielu, wielu ludzi tu na pokładzie, to gdyby jednak doszło do katastrofy, byłaby to wyłącznie jego wina.

„Powinnam była sama się domyślić”, przypomniał sobie ostatnie słowa Kai, które mogły znaczyć tylko jedno. Była wtajemniczona, wiedziała, że będzie próbował złamać ją psychicznie. Współsprawczyni, której się wydawało, że potrafi pomagać w ułożeniu tej szarady jako aktorka i oprzeć się jego próbom psychologicznej manipulacji.

„Ale był pan po prostu za dobry, doktorze”.

Udała mu się rzecz nie do przewidzenia i wbrew wszelkim oczekiwaniom uruchomił w niej zamierzony mechanizm. Prawdopodobnie dzięki nagraniu wideo, na którym zobaczył coś, co do tej pory umykało wszystkim zainteresowanym. I teraz Kaja naprawdę była żywym granatem ręcznym, z którego on wyjął zawleczkę i który

w tej chwili znajdował się gdzieś na pokładzie, szukając odpowiednio wrażliwego miejsca. Gotowy, żeby tam eksplodować.

– Psiakrew!

Mats ledwo mógł oddychać. Panika ścisnęła mu gardło i spowodowała wzrost ciśnienia w głowie, jakby był nurkiem, który coraz głębiej i głębiej zanurza się w oceanie swojego strachu. Bolały go uszy, oczy łzawiły i na koniec przypomniał sobie, na czym przed chwilą zatrzymał wzrok.

Papieros!

Na stole.

Kaja zgasiła go niestaranie i zostawiła wypalony ślad na jasnym szlachetnym drewnie.

Pospiesznie i drżącymi rękami, bez większej dbałości. Dlatego z końca zgniecionego niedopałka wciąż unosiły do sufitu kabiny prawie niewidoczne nitki dymu.

Jeszcze się pali!

W zasadzie papieros nie tyle się palił, ile raczej słabo tlił, żalosne wspomnienie dawnego żaru, nic więcej ponad jego zamierające echo.

A mimo to...

Była to jego jedyna szansa. Prawdopodobnie ostatnia szansa w tym życiu.

Mats pochylił się nad stołem, na ile pozwalały mu więzy, ale było to bezcelowe. Nie dosięgnął.

Papieros leżał tylko dwa centymetry od jego brody, ale równie dobrze mogły to być dwa metry, rezultat byłby ten sam: Mats nie mógł go chwycić.

Wysunął język w stronę dogasającego niedopałka, jednak to też było daremne. Poza tym, próbując tego, ryzykował, że ostatecznie zgasi papierosa.

Rozejrzał się dookoła.

Szklanka, pilot do telewizora, butelka z wodą – wszystko poza zasięgiem.

Czuł się jak człowiek konający z pragnienia przed automatem z colą. Sfrustrowany uderzył głową o blat i zaraz wrzasnął z bólu. W rozpacz zapomniał o złamanym nosie. Miał wrażenie, jakby celowo przebił sobie śrubokrętem rozgniecioną przegrodę nosową.

Z trudem próbował zachować jasność umysłu i kiedy z rozżarzonej krawędzi rozświetlonego bólem mroku stoczył się z powrotem na stronę świadomości, zastanawiał się, czy nie lepiej było jednak wybrać omdlenie.

Czy Nele czuje się teraz podobnie?

Nie, na pewno ma gorzej. Mógł się tylko modlić, żeby przy porodzie nie wystąpiły komplikacje. Żeby ktoś zatroszczył się o nią i dziecko. Ale w zasadzie nie miał na to nadziei, kiedy pomyślał o zdjęciu i jej krzyku.

Mats pokreślił głową, jakby mógł tym wymazać okropne obrazy z głowy. Potem zamrugał i otworzył oczy. Potrzebował chwili, żeby dostrzec zmianę.

Papieros.

Na stole.

Poruszył się. Tylko kilka milimetrów, ale w dobrą stronę. Wstrząs blatu wywołany uderzeniem jego głowy dał odpowiedni impuls.

– Okej, okej, dobrze – powiedział Mats, ogarnięty łagodzącą ból euforią.

Potem zrobił to drugi raz. Ponownie uderzył głową w blat, ale tym razem zadbał o to, żeby zrobić to tylko czołem. Nawet to wystarczyło, żeby ból przeszył go od zębów aż po oczodoły. Zrobiło mu się niedobrze. Jednocześnie był szczęśliwy, ponieważ papieros znów podskoczył w zbawczym kierunku. I wciąż się żarzył, dlatego Mats zrobił to jeszcze raz. I jeszcze raz. I znowu.

Tak długo, aż poczuł, że ma na czole guza wielkości śliwki, który wyrósł jak napuchnięte trzecie oko.

Ze zręcznością, której jako niepalący w ogóle się po sobie nie spodziewał, odwrócił językiem niedopałek o około pięćdziesięciu stopni, aż udało mu się go podnieść, chwytając wargami za filtr, i się zaciągnąć.

Zachłannie, jak nałogowy palacz. Oczy wciąż mu łzawiły, tym razem z bólu, i dlatego nie widział, czy żar znów się rozniecił, ale go poczuł. Oprócz żelaza i flegmy miał nagle w ustach coś smakującego jak drewno, co drapało go w gardło. W tym samym momencie poczuł zapach dymu. A teraz zobaczył, że z delikatnej nitki zrobiła się spora smuga, ale nie miał czasu się z tego cieszyć.

Teraz miało się okazać, czy jego pomysł, na który wpadł pod wpływem śmiertelnego strachu, jest wykonalny.

Wiele przemawiało przeciwko temu.

Po pierwsze, w dalszym ciągu miał do dyspozycji tylko usta, żeby ustawić papierosa w pożądanej pozycji.

A po drugie, było bardzo prawdopodobne, że przypali nie tylko plastik swoich więzów, lecz również skórę pod nimi i obok nich.

Ale nie miał wyboru, musiał wykorzystać czas, o ile mu jeszcze jakiś został.

Właśnie teraz, kiedy wąż strachu znów trochę rozluźnił uścisk i na razie czaił się w postawie na baczność.

Więc dobrze...

Mats podsunął nadgarstki nieco w górę, skulił się i przycisnął papieros do plastiku tuż nad lewą tętnicą. Wciągnął powietrze i z powodu nieprzywykłych do gęstego dymu płuc zaniósł się kaszlem. Wtedy papieros ześlizgnął się i dotknął skóry, co w pierwszej chwili nawet nie zabolalo, ale potem pieczenie stało się tak silne, że Matsowi omal nie wypadł z ust papieros.

Nie krzycz, nie wolno ci poruszać wargami! – skarcił się i starał się wyrazić całe swoje cierpienie tylko westchnięciami i jęczeniem. Jakiś dźwięk bowiem musiał z siebie wydać. Oparzenia powodowały najgorsze męki na świecie. Nikt nie potrafił znieść ich w milczeniu.

Tak jak żadna kobieta nie urodzi po cichu.

Mats znów pomyślał o Nele i tym przeciągłym, przepelnionym cierpieniem „Kuurr!” i tym razem przerażające wspomnienie zmotywowało go, żeby od razu podjąć kolejną próbę.

Przysunąć usta do dłoni, zaciągnąć się, przycisnąć żar do plastiku. Jęczał, aby stłumić ból, nie słyszeć skwierczenia i jeszcze dłużej i dłużej przyciskać niedopałek do więzów, chociaż już od dawna czuł, że żar wypala dziurę nie tylko w plastiku, lecz że przeżera skórę nadgarstka aż do kości.

– Taaaaak!

Z krzykiem poderwał głowę do góry, jednocześnie szarpnął rękoma i krzyk rozprysnął mu się z przerażenia w ustach, kiedy zorientował się, że jego dłonie nadal są związane, ale za to utracił niedopałek, który wypadł mu z ust i po kancie stołu spadł na podłogę. Pół metra od jego stóp i tym samym nieskończenie daleko od niego.

– Nieeee!

Mats szarpał więzami jak szalony, rozsuwał dłonie, uderzał nimi w kant stołu, z całej siły starał się rozewrzeć ramiona, aż w końcu walnął się pięścią w brodę i wtedy nagle plastik się poddał, pękając w najsłabszym, uszkodzonym przez żar miejscu.

– Tak, tak, tak!

Mats wciąż krzyczał, ale teraz z radości i ulgi.

Ręce były wolne. Przyszła pora na szklanke, którą mógł rozbić i przeciąć szkłem resztę więzów.

Niesiony falą zapachu, Mats był po raz pierwszy pełen wiary, że potrafi wpłynąć na

sytuację przez swoje działanie.

Dopóki tej nadziei nie zburzył nagle komunikat Kai Claussen.

– Uwaga: do wszystkich pasażerów, pilotów i załogi. Proszę zachować spokój. Nie robić żadnych głupstw. Jeśli ktoś wstanie, spróbuje mnie obezwładnić albo zmieni się wysokość lotu, prędkość lub cokolwiek innego, natychmiast wszyscy zginiemy!

Dlaczego?

To było słowo, które Kaja wykrzykiwała swojej ofierze w twarz. Pytanie, które raz za razem zagłuszało paniczne krzyki, lamenty, płacze i nerwowe dyskusje, jakie po komunikacie wybuchły w całym samolocie.

– DLACZEGO?

Krzyki Kai wskazały Matsowi kierunek, kiedy już się uwolnił i opuścił Sky Suite. Schody prowadziły w dół do lobby, w którym przebywało czworo ludzi.

Kaja stała przed drzwiami przedziału pierwszej klasy, z pistoletem w ręku wycelowanym w osobę, która siedziała w kucki przed nią na podłodze, tuż pod wpuszczonym w drzwi oknem. Tak mocno była skulona i jednocześnie zasłonięta sylwetką Kai, że Mats ze swojej pozycji w połowie schodów nie mógł rozpoznać, komu grozi szefowa stewardes.

Na prawo od Kai stał Valentino z poważną miną i zaciśniętymi ustami. Trzymał zaciągniętą zasłonę, prawdopodobnie żeby pasażerowie z tylnych przedziałów nie mogli przepchnąć się do przodu, gnani ciekawością lub chęcią zgrywania bohaterów.

Mats zauważył, że Valentino stara się ukryć strach, który musiał odczuwać jak wszyscy na pokładzie, ale nieszczególnie mu się to udawało.

– Dlaczego to zrobiłaś? – krzyczała Kaja do osoby na podłodze. Nie zauważyła jeszcze pojawienia się Matsa, ale co raz upewniała się, czy żaden z mężczyzn nie próbuje jej zaatakować od tyłu. Chociaż w tej sytuacji nikt by tego na poważnie nie próbował, nawet wyszkolony do tego sky marshall, któremu Kaja najwraźniej musiała odebrać broń.

Agent siedział na sofie pośrodku lobby, a jego twarz wyglądała, jakby była...

Roztopiona?

Była w wysokim stopniu poparzona. Tam, gdzie skóry nie pokrywały brzydkie białe pęcherze, była czerwona jak ogień, zupełnie jakby potraktowano ją grubym

papierem ściernym.

Albo wrzącą kawą.

Mats zszedł jeszcze kilka stopni w dół i zobaczył na podłodze szklany dzbanek, z którego nalewano napoje w klasie biznes. Jeśli Kaja chlusnęła Trautmannowi w twarz świeżo zaparzoną wrzątkiem, wyjaśniało to, jak udało jej się obezwładnić cięższego od niej o co najmniej pięćdziesiąt kilo mężczyznę i odebrać mu broń. Raczej nie mogło to ujść uwagi pasażerów, dlatego Kaja ogłosiła komunikat.

– Wody – wyszeptał Trautmann i przycisnął dłonie do poparzonej twarzy. Widocznie skutek ataku ucierpiały również jego oczy. Sprawiał wrażenie, jakby nic nie widział.

Wzrok Matsa znów powędrował do Kai, która wydzierała się na klęczącą u jej stóp ofiarę.

– Znamy się, odkąd pamiętam. Znasz moje tajemnice, wiesz o mnie wszystko. Myślałam, że mogę ci ufać, tymczasem okazuje się, że to wszystko było tylko kłamstwem!

Kaja kopnęła skuloną u jej stóp osobę. Nikotyna w jej krwi nie wykazywała jeszcze działania, co było zupełnie normalne. Mogło potrwać i pół godziny, zanim wystąpią skurcze.

Mats odważył się zejść jeszcze kilka stopni.

– Manipulowałaś mną. Manipulowałaś nami wszystkimi.

– Nie. – Mats usłyszał znany mu kobiecy głos, należący do osoby, która leżała zwinięta w kłębek na podłodze. Jakby chciała coś zasłonić rękami i tułowiem i w ten sposób ochronić.

– Wypieprzać stąd. Wszyscy! – krzyknęła Kaja i szybko obróciła się dookoła z pistoletem w dłoni. Wtedy zobaczyła Matsa i, jak mu się wydawało, krótko skinęła w jego stronę głową, jakby się spodziewała, że znajdzie sposób, aby się uwolnić.

Stojący dookoła ludzie natychmiast się ruszyli. Valentino, na wpół oślepiiony agent, a także Mats chcieli zniknąć za zasłoną, ale Kaja powstrzymała Matsa.

– Pan nie. Pan tu zostanie i będzie się przyglądał.

W tym momencie niemowlę, które próbowała chronić kobieta na podłodze, zaczęło kwilić.

63

Salina! – wyrwało się Matsowi.

Kaja pokręciła głową.

– Pana jej nie zna. Nie wie pan nawet, jak ma naprawdę na imię. Nie nazywa się Salina, lecz Amelia.

Mats zamrugął powiekami.

Trzecia w paczce dziewczyn od lakieru do paznokci.

– A jej nazwisko... – Kaja zrobiła przerwę, jakby wszystko tu było kwizem, a ona prowadzącą, której zadaniem jest zadbać o zbudowanie niezbędnego napięcia przed udzieleniem odpowiedzi. Kopnęła rudowłosą kobietę na podłodze w bok. Nie bardzo mocno, ale tak, że ta się skuliła.

– Powiedz mu, jak masz na nazwisko – rozkazała swojej ofierze.

Kobieta pierwszy raz spojrzała do góry, popatrzyła wystraszonym wzrokiem Matsowi prosto w oczy.

– Klopstock – uprzedził jej odpowiedź.

Kaja przytaknęła.

– Właśnie. Szacowna pani doktorowa Amelie Klopstock! – Ponownie wymierzyła jej kopniaka czubkiem buta. – Żona profesora.

– Proszę – błagała ofiara Kai. – Moje dziecko.

Mats usłyszał, że kwilenie staje się głośniejsze. Zobaczył drobniutką rączkę, która próbowała uwolnić się spod tułowia matki.

– I dlatego mam ci współczuć? – zapytała Kaja, celując z pistoletu w głowę Amelie Klopstock. – Z powodu twojego dziecka? – Splunęła ze wstrętem na wykładzinę. – Zniszczyłaś mi życie! To ty nagrałaś to wideo. Upubliczniłaś je. Od tamtej pory już nigdy nie uprawiałam seksu. Nigdy nie będę miała dzieci, rozumiesz?! – Teraz krzyczała. – Więc przestań mówić o swoim dziecku!

Kaja wrzeszczała dalej, ale Mats już jej nie słuchał.

Wideo! – pomyślał tylko.

Amelie była przyjaciółką Kai. Nagrała wideo z nią i Peerem i wszędzie je rozpowszechniła.

Peer Unsell. Unsell Sepleniak. Szaleniiec, który zgwałcił Kaję.

– To była pani? – zapytał Mats ze zdziwieniem.

Kaja kolejnymi odpowiedziami naprowadzała go na prawdę.

– Tak. Zniszczyła mi życie. I pańskie, doktorze Krüger. Amelie uwielbia manipulować ludźmi. Kusi przyjaciół seksem. W ten sposób nakłoniła też Johannesę Fabera, żeby rozesłał filmik do swoich przyjaciół, tak było?

Przycisnęła lufę pistoletu do potylicy Amelie.

– Proszę, nie rób tego – błagała tamta i Mats zastanawiał się gorączkowo, jakie ma możliwości, aby załagodzić tę sytuację. Najbardziej życzył sobie, żeby już poczuł, jak pilot rozpoczyna zniżanie, ale prawdopodobnie byli jeszcze zbyt daleko od lotniska. Musiał więc grać na czas i robić wszystko, żeby kobiety jak najdłużej ze sobą rozmawiały.

– Dlaczego pani to zrobiła? – zapytał Mats, przyklękając przed nią.

Znow odpowiadziała Kaja, podczas gdy Amelie coraz mocniej drżała ze strachu i napięcia.

– Po prostu ma taką naturę. Amelie kocha władzę, którą ma nad innymi. I nienawidzi, kiedy nie znajduje się w centrum uwagi. Dlatego upubliczniła wtedy to wideo. Ponieważ nie mogła znieść, że zostałam potraktowana w szkole jak bohaterka. Tak było?

– Tak, tak – przyznała Amelie i rozplakała się teraz dużo głośniejsze niż jej dziecko.

– Tylko nie rozumiem, dlaczego je skróciłaś! – krzyknęła teraz Kaja i jeszcze raz ją kopnęła. – DLACZEGO?

– Byliśmy młodzi. Nie zastanawialiśmy się – próbowała wykręcić się Amelie. Ale jej słowa były ledwo zrozumiałe.

– Bzdura. Chciałaś mnie zniszczyć, kawałek po kawałku?

Mats spojrzał na zasłonę, która się nie poruszała. Nikogo w zasięgu ręki, kto mógłby mu pomóc. Był zdany na siebie.

– Nie. Nie wiem – wyszlochała Amelia, która nie odważyła się spojrzeć w górę na Kaję. Mats nawet jej wierzył. Prawdopodobnie postąpiła tak bez namysłu, kierując się chorym instynktem narcystycznym, i chciała mieć kontrolę nad przyjaciółką. Na pewno nie przewidywała wtedy, że może użyć później tego dodatkowego środka

nacisku, aby sterować chwiejną psychicznie Kają.

– Ależ ze mnie głupia krowa – powiedziała Kaja z nagłym spokojem w głosie, który tylko wzmógł przerażenie Matsa. – Naprawdę myślałam, że to nasz wspólny plan. Ale byłam tylko twoją marionetką.

Tak jak ja, pomyślał Mats. Przecież całkowicie dobrowolnie zaoferował swoje miejsce Amelie *alias* Salinie, kierując się odruchem wywołanym najstarszym bodźcem świata: widokiem zrozpaczonej matki z bezbronnym dzieckiem na ręku. To ona włożyła rzekomą broń pod swoje siedzenie. I chociaż z całą pewnością nie przewidziała, że Mats poprosi ją o aparat, żeby łatwiej przeanalizować film wideo, przez co odkryje jej tajemnicę, to przecież cały czas pociągała za sznurki.

Następne olśnienie trafiło go jak cios pięścią, chociaż w mniej groźnych dla życia okolicznościach prawdopodobnie wpadłby na to dużo wcześniej. *To Amelie jest Głosem!*

To z nią cały czas rozmawiał, podczas gdy ona prawdopodobnie zamykała się w łazience, kiedy dziecko spało albo było przypięte pasami w fotelu czy na krótko oddane pod opiekę stewardesy. Być może nawet Kai, jeśli pasowało to czasowo.

– Wstań! – nakazała Kaja Amelie.

– Proszę, nie!

– O co ci chodzi? – zapytała cynicznie Kaja. – Przecież zależało ci, żeby to wyglądało prawdziwie. Dlatego pokazałaś całe wideo Krügerowi. Miałam naprawdę mieć nawrót choroby.

Kaja popatrzyła krótko na Matsa. Jej oczy były lodowate.

– No cóż, udało ci się, Amelie. Tylko miałaś pecha, bo nie spodziewałaś się, że rzeczywiście zdobędę broń.

Ofiara Kai uniosła głowę.

– Proszę, niech mi pan pomoże! – Wyciągnęła rękę do Matsa. Uniosła tułów. W schronieniu, które dawała swojemu dziecku, powstała nagle luka.

Mats zareagował instynktownie. Chwycił dziecko za cienkie rączki. Pociągnął do siebie. W swoje ramiona.

– Dziwka – usłyszał jeszcze głos Kai, potem było już po wszystkim. Odrzut omal nie wytrącił Kai broni z ręki, ale tylko omal.

– Niiieee! – zawołał Mats, który przyciskał dziecko do piersi, kiedy cofał się od jego matki, mając jeszcze w uszach odgłos wystrzału.

– Wielki Boże – sapnął i spojrział na podłogę.

Krew sączyła się jak czarny olej z rany wlotowej pomiędzy oczami Amelie.

64

Ani centymetra dalej, dupku! – wrzasnęła zaraz potem Kaja i Mats potrzebował chwili, aby zrozumieć, że nie ma na myśli jego, lecz Valentina, który po strzale znów pojawił się w przejściu do biznesklasy.

– Spadaj stąd albo wszyscy zginiemy.

Kaja skierowała pistolet prosto w szybę w drzwiach wyjściowych.

– Spokojnie, tylko spokojnie – powiedział Mats, który nie wiedział, co się stanie, jeśli Kaja naciśnie spust. Jeżeli wierzyć filmom, wszystkie osoby znajdujące się w pobliżu zostaną wysysane przez okno z powodu różnicy ciśnienia. Nie miał pojęcia, czy w rzeczywistości też tak się dzieje, ale pod żadnym pozorem nie chciał się tego dowiedzieć.

Przeniósł wzrok na Valentina, który jak sparaliżowany gapił się na leżącą na podłodze lobby zastrzeloną kobietę.

– A pan dokąd?

– Bardzo panią proszę, chcę tylko dać mu dziecko.

Mats podał stewardowi niemowlę, które od momentu strzału darło się na całe gardło.

– Proszę zabrać je w bezpieczne miejsce – powiedział do Valentina, nie wiedząc, gdzie na pokładzie miałyby być jeszcze bezpieczne miejsce. Potem zaciągnął z powrotem zasłonę i wrócił do Kai.

Pociła się, jej źrenice wydawały się zwężone. Oznaki psychologicznej sytuacji wyjątkowej, a być może również zatrucia. Tak czy inaczej, sytuacja definitywnie się zmieniła. Kaja dokonała zabójstwa. Obudził się w niej instynkt zabijania, więc robi to znowu, i to już wkrótce. Chyba że ktoś ją powstrzyma. A jedyną osobą na pokładzie, która była w stanie to zrobić, był on. Jej psychiatra, który jak nikt inny na świecie znał duszę Kai i jej rany.

Uklęknął. Zupełnie bez sensu szukał pulsu Saliny, ale musiał coś zrobić, żeby

zrozumieć grozę sytuacji. Zaświtała mu przerażająca myśl: *Jeśli Salina była Głosem, to jedyna osoba, która wie o losie Nele, już nie żyje!*

– Gdzie jest moja córka? – zapytał, ponieważ musiał zadać to pytanie, chociaż był pewny, że Kaja go wcześniej nie okłamała.

– Naprawdę nie wiem – powiedziała i znów jej uwierzył.

Mats zamknął na krótko oczy i zebrał się w sobie. Wstał.

– Już po wszystkim – powiedział przytłumionym głosem, zarówno do siebie, jak i do morderczyni Saliny. Wskazał leżące na podłodze zwłoki. – Ta osoba nie ma już nad panią władzy. Może pani odłożyć broń.

– Nie.

– Nie?

Chciał spojrzeć jej w oczy, ale unikała jego wzroku.

Kaja silnie się pocila, czerwone plamy szpeciły jej bladą twarz, z ust ciekła ślina. Zatrucie zaczynało pustoszyć jej organizm i Mats w każdej chwili spodziewał się usłyszeć drugi wystrzał.

– Wciąż pan nie rozumie, prawda? – zapytała go. Gra się skończyła, nie było już ratunku. Ani dla niego, ani dla Nele, a co dopiero dla Kai, która sama wydała na siebie wyrok.

Jedynie, co mógł teraz zrobić, to zapobiec jeszcze większej katastrofie.

I był to jedyny powód, dla którego w ogóle rozmawiał z Kają, a nie załamał się, wyjąc z rozpacz.

– Wciąż nie rozumiem wszystkiego, ale wystarczająco dużo, aby mniej więcej domyślić się, jaki jest stan faktyczny – powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił. Świat dookoła skurczył się. Samolot i wszyscy pasażerowie przestali istnieć. Była już tylko Kaja, on i jego słowa, które jakby samoistnie wydobywały się z jego ust: – Amelie jest żoną Klopstocka i chce rozkręcić interes z psychologicznymi testami na przydatność pilotów, o czym mówiło się już po katastrofie German Wings. Przypuszczam, że może tu chodzić o laboratorium Klopstocka i horrendalnie drogie testy psychologiczne, ale również badania krwi, dzięki którym można się dowiedzieć, czy pasażerowie albo załoga przyjmują leki psychotropowe. Potrzebne jest do tego prawo, a żeby weszło ono w życie, konieczny jest incydent na pokładzie samolotu, który pani tu dzisiaj razem z nią sprowokowała. Amelie Klopstock obiecała pani ogromną sumę, jeśli weźmie pani w tym udział, a że i tak czuła się pani oszukana przez cały świat, chciała pani przynajmniej zabezpieczyć sobie odszkodowanie w

formie pieniędzy. Ale teraz zobaczyła pani, kto tak naprawdę nagrał wideo, i zorientowała się, że Amelie nigdy nie uważała pani za równorzędną partnerkę, lecz od początku sterowała panią jak marionetką.

– Brawo! – Kaja zrobiła ruch, jakby klaskała w dłonie. – Zrozumiał pan. A mimo to wciąż się zastanawiam, jak można być jednocześnie tak mądrym i tak głupim? Amelie była skłonna do manipulacji. Ale ja, i tego pan nigdy nie zrozumiał, doktorze Krüger, jestem tysiąc razy gorsza. Ja tego chciałam.

– Czego?

– Ataku szaleństwa.

Mats kiwnął głową.

– Tak, rozmawialiśmy o tym. Chciała się pani zemścić za wideo i zabić wszystkich, którzy panią obmawiali.

– Nie. Nie mówię o drugiej próbie. Mówię o pierwszej.

– Słucham?

– Zaplanowałam to razem z Peerem.

Mats wstrzymał oddech.

Co Kaja właśnie ujawniła?

– Byłam jego dziewczyną. Dlatego nie obchodzili mnie inni chłopcy, niezależnie od tego, co mówiły dziewczyny z mojej paczki. Był dla mnie wszystkim. Chciałam mu pomóc, pokazać tym dupkom, którzy stosowali wobec niego mobbing.

No przecież!

Najchętniej stuknęłyby się z całej siły w głowę.

Jak mogłem to przeoczyć we wszystkich naszych rozmowach?

Byli parą, zespołem. Współsprawcami.

Więc dlatego Peer wziął wtedy Kaję na zakładniczkę.

Nie przypadkowo. Lecz całkiem świadomie.

– Ale nie dałam rady. Zabrakło mi odwagi. Nie chciałam też, żeby zabił tamte dziewczyny pod prysznicem. Chciałam, żeby przestał. Wtedy w przebieralni ostatni raz uprawialiśmy seks. Potem chcieliśmy razem się zastrzelić, aby byłam na to zbyt tchórzliwa. Więc kazał mi wyjść.

– Ale potem pani wróciła.

Po ostatni, intymny pożegnalny pocałunek.

Kaja przytaknęła.

– A potem upubliczniono wideo z mojego rzekomego zgwałcenia, chociaż w

rzeczywistości seks był dobrowolny. A komentarze uczniów nie rozdrapywały ran, lecz przypominały mi o mojej tchórzliwej zdradzie. Że się przestraszyłam i zostawiłam Peera samego sobie.

– A więc wróciła pani, aby za drugim podejściem dokończyć jego dzieło.

– Żeby naprawić swój błąd. Wyrównać winę. Peer był moim chłopakiem, ale nigdy się do niego nie przyznawałam. A inni go przedrzeźniali, naśmiewali się z niego, przebijali opony w rowerze. Zawsze spotykałam się z nim po kryjomu, w tajemnicy przed moją paczką. On był taki sam jak ja. Byliśmy pokrewnymi duszami. Kiedy spotykaliśmy się niepostrzeżenie, żeby słuchać tej samej muzyki, palić trawę i rozmawiać o śmierci, wtedy zauważyłam, jak bardzo jesteśmy ze sobą związani.

Mats bezwiednie złapał się za nos, jak to często robił, kiedy próbował się skoncentrować, i został ukarany kłującym bólem.

W gruncie rzeczy diagnoza jest prosta.

Dwoje nieśmiałych nastolatków, z zaburzoną komunikacją, którzy czują, że nikt ich nie rozumie. On poddawany mobbingowi, ona wewnętrznie rozdarta, nie znajdowali, jak wielu ich rówieśników, ujścia dla swoich emocji i zaplanowali, że dokonają razem czegoś wielkiego, głośnego. Że będzie to wybuch wulkanu, którego nie da się nie zauważyć.

Mats pojął, że wtedy, podczas wcześniejszej terapii Kai, rzeczywiście nic nie zrozumiał. Cały czas sądził, że niesprawiedliwa nagonka, zjadliwe drwiny i podłe szkalowanie przez szkolnych kolegów z powodu rzekomego wideo z nagraniem gwałtem wywołały w niej posttraumatyczne rozgoryczenie. Tymczasem to pokrewny i ukrywany związek z Peerem Unsellem zniszczył jej psychikę. Wstyd, że mimo wzajemnych zapewnień ostatecznie nie była z nim do końca. Wina, która potrafi zżerać człowieka psychicznie jak kwas. Mats znał to z własnego doświadczenia, też go to dręczyło, odkąd przed laty tchórzliwie odszedł od łóżka swojej śmiertelnie chorej żony.

Mats z trudem przełknął ślinę, próbował stłumić paraliżującą go rozpacz, która szła w parze z bezsilną pewnością, że nie ma już pojęcia, jak mógłby jeszcze pomóc swojej córce. Ale wiedział, że Nele nie chciałaby, aby z jej powodu zginęli kolejni ludzie. Dlatego dalej próbował dotrzeć do Kai.

– Dlatego rok później przyszła pani do szkoły z naładowaną bronią, aby dokończyć dzieło Peera.

Kaja westchnęła smutno.

– Chciałam się zebrać w sobie. Taka cisza przed burzą. Poszłam do ubikacji. I zobaczyłam tam tę naklejkę. Pomoc psychologiczna. Od tamtej sprawy te głupie nalepki wisiały w całej szkole i, psiakrew, znów dostałam pietra.

– Bo nie jest pani urodzoną morderczynią – podkreślił Mats, a Kaja zaśmiała się cynicznie, patrząc na leżące na ziemi zwłoki.

– Czyżby?

– Nie zabija pani niewinnych osób.

– Nie ma ludzi niewinnych. Nawet pan, doktorze Krüger, wszystko schrzanił.

– Moją terapią?

– Tym, że pan mi to wyperswadował. Swoimi mądrymi, pełnymi zrozumienia słowami odebrał mi pan moje najskrytsze marzenie. Żeby zejść z tego świata z wielkim hukiem. Marzę o tym, odkąd sięgam pamięcią.

– Nie, nie robi pani tego. Inaczej nie pozwoliłaby mi się pani od tego odwieść.

– Tylko przejściowo. Nawet pan nie potrafi zrobić z wilka owcy. Nie potrafi pan mnie przebiegunować ani reedukować. No dobrze, chodźmy.

– Dokąd?

– Jak to dokąd? Do kokpitu. Bo jak inaczej mogłabym doprowadzić do katastrofy samolotu?

– Przecież pani tam nie wejdzie – powiedział Mats i przypomniał sobie kolejny szczegół informacyjny swojego seminarium na temat strachu przed lataniem. – Piloci są zamknięci. Drzwi są kuloodporne. Nie otworzy ich pani za pomocą broni.

Kaja zapytała Matsa z szyderczym uśmiechem:

– Wie pan, co zmieniło się w pierwszej kolejności po katastrofie German Wings? Istnieje kod bezpieczeństwa, którym można od zewnątrz otworzyć blokadę. Żeby już nigdy, nigdy więcej pilot nie mógł się sam zamknąć od środka. I wolno panu zgadywać do trzech, kto zna ten kod...

65

Kaja, proszę...

– Niech pan da spokój. Powstrzymał mnie pan, kiedy szlochając, siedziałam w szkolnej toalecie. Drugi raz się panu nie uda.

Popychała go bronią w kierunku kokpitu.

– Ma pani rację. To moja wina – powiedział Mats. – A wie pani dlaczego? Bo tak naprawdę głównie mnie pani obchodziła.

Kaja zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami kokpitu, trzymając pistolet w pogotowiu, wycelowany prosto w jego pierś. Obok wizjera w drzwiach widać było klawiaturę, dzięki której Kaja, jak twierdziła, będzie mogła otworzyć drzwi.

– Chodziło mi tylko o własną reputację – kłamał dalej. – O reklamę. „Gwiazda psychiatrii ratuje dzieci w szkole!” Właśnie takich chciałem nagłówków w gazetach.

Kaja skinęła głową i zacisnęła powieki. Być może cierpiało już na zburzenia widzenia, typowe skutki zatrucia nikotynowego. W dalszej konsekwencji mogło nastąpić spowolnienie pulsu, a nawet paraliż oddechu.

– Dokładnie to samo powiedziała Amelie.

Oczywiście, że powiedziała. Tymi właśnie kłamstwami cię przekabaciła.

– I miała rację. – Mats świadomie przeszedł teraz na mniej elegancki sposób zwracania się do Kai. – Faszerowałem cię pigułkami, ale tak naprawdę było mi obojętne, co się dzieje w twojej głowie. A teraz chcesz skończyć ze sobą. I musi to być coś spektakularnego, ponieważ chcesz wielu ludziom otworzyć oczy na to, że życie nie jest wiele warte, zgadza się?

– Bardzo dobrze.

Przeoczyłem to.

Typowe ponure wizje nastolatki, które ją dręczyły. Na ogół kończy się niewinnie, ponieważ jest przejściowe. Mroczna faza, która najczęściej przychodzi z wiekiem dojrzewania, a następnie znów znika. Ale u niektórych takie chwiejne fantazje

umacniają się, zazwyczaj po jakimś traumatycznym wydarzeniu, jak na przykład śmierć kogoś bliskiego. Albo po samobójstwie przyjaciela. W przypadku Kai tak właśnie było, a Mats to przeoczył.

– Kiedy ci wyperswadowywałem twoje pragnienie śmierci, działałem nie lepiej niż kapłan, który próbuje przestawić homo na hetero.

– Po co pan mi to mówi? – Kaja trzymała mocniej broń, jej dłoń drżała. – Tylko jeszcze bardziej pan mnie rozwściecza.

Tym lepiej.

– Jest tylko jedna osoba na pokładzie, która zasługuje na śmierć. I to jestem ja.

Zniżył głos. Wręcz ją hipnotyzował.

– Wykorzystałem cię, Kaju. Nie słuchałem cię, kiedy chciałaś mi opowiedzieć, jak zły jest świat. Aplikowałem ci leki, które tłumili twoje prawdziwe ja.

Wbił wzrok w Kaję, gotowy ostatecznie przewyciężyć swój strach.

– Daj sobie z tym spokój – zaklinał ją.

Podszedł bliżej, tak że spokojnie mógłby włożyć palec w lufę pistoletu, który ona uniosła wyżej, celując mu prosto w głowę.

Pięćdziesiąt centymetrów. Z tej odległości nie mogła w niego nie trafić.

Tak jest dobrze.

Zdążyła jeszcze powiedzieć:

– Zejdź mi z drogi.

– Wtedy Mats rzucił się na nią i nie poczuł bólu, tylko silne pieczenie, jak gdyby Kaja oblała go wrzątkiem. W uszach skrzeczał uszkodzony głośnik, pogłos strzału brzmiał jak zniekształcone uderzenie kościelnego dzwonu, którego serce w jego głowie uderzyło o sklepienie czaszki.

Miedź, pomyślał Mats i stwierdził, że wszyscy ci, co wiedzą lepiej, mogą go pocałować gdzieś. Nawet jeśli krew zawiera tylko żelazo, to smakuje, do cholery, dokładnie tak samo, jakby się polizało pięciocentówkę, wobec czego to porównanie jest jak najbardziej na miejscu.

Tylko to z nieskończoną czernią się nie zgadzało.

Była to raczej szarość, z małutkimi jasnymi plamkami wielkości główki od szpilki, przez które z tyłu przesączała się płynna mgła.

A wraz z mgłą przyszedł chłód.

A z chłodem nicość.

18 godzin później

Kiedy był mały, starszy brat przeraził go raz pewnym eksperymentem myślowym, który nie opuszczał potem Matsa przez całe życie.

– Wyobraź sobie nic – powiedział Nils, gdy leżeli na łące nad Teufelssee, na którą tego lata przychodzili.

– Jak to zrobić?

– Zaczynaj od tego, że wyobrazisz sobie, że to jezioro, łąka i ta mała plaża nie istnieją.

– Okej.

– Następnie wyobraź sobie, że nie ma również nas, zniknęliśmy.

W następnej kolejności Mats z mapy swoich wyobrażeń miał wymazać Berlin, potem Niemcy, Europę, wreszcie całą Ziemię. Na koniec z jego świata wyobraźni zniknął Układ Słoneczny, planety, wszechświat i wreszcie wszystkie galaktyki.

– I co teraz widzisz? – zapytał go brat obłudnie.

– Głębokie czarne nic.

– Doskonale. A teraz pomyśl, że nie ma i tego.

– Jak mam to zrobić?

– Spraw, żeby to nic się skurczyło do jednego malutkiego punktu. I każ mu zniknąć.

Mats leżał na łące z zamkniętymi oczami i na próżno starał się wprowadzić w czyn te niby jasno brzmiące wskazówki starszego brata.

– Nie potrafię – powiedział. Kiedy tylko punkt zniknął, pozostawała ta czarna, nieskończona pustka, której na próżno kazał zniknąć.

Ponieważ niczym nie potrafił zastąpić niczego.

– Widzisz – usłyszał, jak brat mówi z triumfem. – Nie możemy sobie wyobrazić

niczego. Ponieważ nic to nie jest nieskończona pustka, tylko nieistnienie tego właśnie niczego. Nic – zakończył – to jest dziura, która zniknęła.

Wówczas nad Teufelssee Mats nie wszystko rozumiał z tego, co chciał mu wytłumaczyć jego starszy, mądrzejszy brat. Teraz jednak był pewien, że znajduje się dokładnie w tym miejscu, o którym brat twierdził, że jest niewyobrażalne.

Był dokładnie w jego centrum, w owej dziurze, która zniknęła. Otoczony jedynie przez nieistnienie wszelkiego życia.

Mats nic nie widział. Choć bardzo się starał otworzyć oczy, stracił kontakt ze swoimi powiekami, tak samo jak kontakt ze wszystkimi mięśniami, kończynami, z całym ciałem. Mowa, przełykanie, mdłości, nic już nie funkcjonowało.

Również jego zmysł dotyku był jakby wyłączony. Na ogół człowiek czuje ubranie na swojej skórze tylko wówczas, kiedy chce, ale jednak potrafi je poczuć, kiedy się na tym skoncentruje. Mats natomiast nic nie czuł. Ani swędzenia, ani drapania, ani dotyku, nigdzie. Było tak, jakby unosił się nagi w próżni, niezdolny dotknąć samego siebie. Wraz z utratą wzroku i zmysłu dotyku stał się jednocześnie niemy i głuchy. Wszystkim, co słyszał, były jego myśli, nie było nawet charakterystycznych dla ciała szmerów, szumu przepływającej krwi, perystaltyki jelit, oddechu, niczego. W jego wnętrzu panowała bolesna cisza.

Jeśli zdrowemu człowiekowi odbierze się jeden z jego zmysłów, to – jak mówi teoria – inne zmysły przejmują jego funkcję z nawiązką. Niewidomi lepiej słyszą, głusi potrafią odczytywać wzrokiem najmniejsze zmiany uczuć na twarzach innych.

W przypadku Matsa, który miał do dyspozycji już tylko własne myśli, wydawało się, że dominującą, napędzającą siłą jego świadomości stało się poczucie strachu. Nie słyszał, jak łąpczywie oddycha, nie czuł, jak nakręca go adrenalina, ale czuł, jak panika rozkłada jego rozum na czynniki pierwsze.

Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje?

Myśli krzyczały w jego głowie, niesłyszalnie głośno, ogłuszająco niemo.

Nagle wszystko się zmieniło.

Mats wciąż jeszcze nic nie widział, nic nie mówił, nic nie czuł, ale już coś słyszał.

Najpierw szum, podobny do szumu ultradźwiękowej szczoteczki do zębów. Elektryczne trzaski, które stawały się coraz głośniejsze i przypominały syntetycznego świerszcza, i był to najpiękniejszy dźwięk, jaki mógł sobie wyobrazić, ponieważ był to naprawdę dźwięk.

Dowód, że nie spada już przez nieistniejącą dziurę, tylko pozostaje w kontakcie. W

kontakcie z przyjemnym poważnym głosem, który narodził się z szumu.

– Pan doktor Krüger? Czy pan mnie słyszy? – powiedział głos i Mats próbował odpowiedzieć. Próbował krzyczeć, otworzyć oczy, machać rękami, ale już zapomniał, jak to się robi.

– Przykro mi, ale doznał pan ciężkiego uszkodzenia pnia mózgu – usłyszał Mats głos. Najstraszliwsza ze wszystkich prawd.

Zespół zamknięcia. Jako lekarz oczywiście znał diagnozę, chociaż głos nie powiedział tego otwarcie. Po pierwsze dlatego, że te straszne słowa żadnemu lekarzowi nie przechodzą łatwo przez usta. A także dlatego, że diagnoza na ogół jest rezultatem wielodniowych, jeśli nie wielotygodniowych badań. Ale Mats był specjalistą. Potrafił sam siebie analizować i rozumiał, że jego mózg utracił niemal wszystkie połączenia z resztą jego istoty. Wtyczka została wyciągnięta. Został pogrzebany żywcem we własnym, bezużytecznym ciele.

– Nazywam się doktor Roth, jestem kierownikiem Park-Klinik. Spotkaliśmy się raz na sympozjum, doktorze Krüger. Opiekuję się panem wraz z zespołem neuroradiologów i chirurgów. Jest pan podłączony do respiratora, a jako element wspomagający zastosowaliśmy interface mózg-komputer z wykorzystaniem elektrod EEG.

Mats skinął głową, nie skinąwszy. W duchu widział niewielkie płytki na wygolonych miejscach własnej czaszki, kable, które prowadziły z głowy do komputerów. Zbyt często w swojej praktyce klinicznej miał do czynienia z pacjentami z takimi najcięższymi uszkodzeniami, na przykład po zawale pnia mózgu. Uszkodzony był most, nazywany też *pons*, ów obszar pomiędzy śródmózgowiem a rdzeniem przedłużonym, które tworzą pień centralnego układu nerwowego. U niektórych pacjentów można było utrzymać komunikację podstawową wyłącznie za pomocą pomiarów prądów mózgowych. Atypowe było to, że on najwidoczniej mógł słyszeć wszystko wokół siebie. Większość pacjentów z zespołem zamknięcia mogła wprawdzie widzieć, ale nie mogła słyszeć. U niego było widocznie odwrotnie. I to była druga hiobowa wieść. Oznaczało to, że oprócz pnia mózgu uszkodzeniu uległ również płat potyliczny.

– Ma pan słuchawki, przez które słyszy pan mój głos. Filtrują one wszelkie zewnętrzne zakłócenia – usłyszał Mats głos doktora Rotha. – Być może nie jest pan tego świadomy, ale może pan jeszcze napinać powieki, a więc imitować mruganie. Niech pan spróbuje, proszę.

Mats posłuchał wskazówek doktora Rotha, który najwidoczniej się ucieszył.

– Bardzo dobrze. Zawrzyjmy prostą umowę. Będę panu zadawał wyłącznie pytania, na które pan będzie odpowiadał „tak” albo „nie”. Jedno mrugnięcie oznacza „tak”, dwa mrugnięcia oznaczają „nie”. Zrozumiał pan?

Mats zamrugał trzy razy i usłyszał śmiech Rotha.

– Nie stracił pan poczucia humoru, to wspaniale.

Mats usłyszał w tle męski głos, który mgliście kojarzył, ale nie potrafił dokładnie rozpoznać.

– Mamy gościa, którego panu zaraz przedstawię – oznajmił doktor Roth, który przypuszczalnie komunikował się z nim przez mikrofon. – Przedtem jednak z całą pewnością chciałby pan wiedzieć, co się panu stało.

Mats zamrugał.

– Strzelano do pana. W samolocie. Kula trafiła pana prosto w głowę, zerwała połączenie pańskiego pnia mózgu z rdzeniem kręgowym.

Normalnie Mats na taką diagnozę zamknąłby oczy, próbując powstrzymać łzy, być może zacząłby krzyczeć, a przynajmniej przełknąłby głośno ślinę, ale nawet to ostatnie nie było możliwe, ponieważ nie czuł języka.

– Początkowo policja uważała pana za szaleńca, ale już się to wyjaśniło. – Doktor Roth chrząknął. – Jest pan bohaterem. Rzucił się pan na zamachownicę i zapobiegł czemuś znacznie gorszemu. Tylko dlatego, że przygniótł pan stewardesę swoim ciałem, piloci mogli otworzyć drzwi do kokpitu i rozbroić kobietę. Samolot bezpiecznie wylądował w Berlinie. Wszyscy ludzie na pokładzie przeżyli.

Świerszcz znów cykał, przypuszczalnie zakłócenia przy przekazywaniu dźwięków z mikrofonu do słuchawek, ale zanim się pogłośniło, lekarz naczelny kliniki mówił dalej:

– Wszyscy pasażerowie z wyjątkiem kobiety, którą zastrzeliła morderczyni.

Amelie Klopstock, pomyślał Mats. Wspomnienia zdarzeń podczas lotu były jasne i obecne, jak gdyby jeszcze minutę temu siedział w samolocie. W rzeczywistości pewnie już od wielu godzin, jeśli nie dni przebywał na oddziale intensywnej terapii.

– Już od dwóch godzin jest pan wybudzony – usłyszał głos doktora Rotha, jak gdyby ten czytał w jego myślach. I być może właśnie tak było. Nowoczesna medycyna wiedziała jeszcze zbyt mało o zespole zamknięcia, ale osiągnęła już znaczne postępy. W każdym razie teraz możliwe było komunikowanie się z pacjentami, którzy nawet nie mogli już mrugać. Potrzebne były oczywiście do tego

tygodnie i miesiące intensywne ćwiczeń, zanim udało się prawidłowo zinterpretować odczyty, które powstawały, kiedy takim osobom odczytywano tasiemcowe listy pytań, podczas kiedy one leżały w tubie tomografu.

– Kilka godzin po przywiezieniu pana do kliniki zauważyliśmy, że możemy się z panem porozumiewać za pomocą ruchu powiek. Jednak pan nic nie pamiętał. Rana spowodowała całkowitą amnezję. Dlatego też zdecydowaliśmy się na nowatorską, nigdy wcześniej niestosowaną metodę diagnozy. Poprosiłem o pomoc profesora Haberlanda. Jak pan być może wie, specjalizuje się on w stosowaniu hipnozy. Ponieważ pański umysł jest całkowicie sprawny i w sensie klinicznym jest pan przytomny, zahipnotyzowaliśmy pana. Być może nie pamięta pan już wstępnych zabiegów przed zastosowaniem tej metody, ale mamy nadzieję, że końcowy skutek okazał się pozytywny. Aby mógł pan jeszcze raz przeżyć lot we wspomnieniu, skonfrontowaliśmy pana za pomocą interfejsu z różnymi wrażeniami zmysłowymi. Nadawaliśmy przez słuchawki typowe odgłosy silników samolotu podczas startu i podczas lotu. Pańskie łóżko jest hydrauliczne i porusza się, lekko wibrując, co symuluje ruch samolotu. Aby stymulować pański zmysł powonienia, wprowadziliśmy panu do nosa wacik nasycony odświeżaczem powietrza w spreju.

Mats przypomniał sobie zapach klimatyzacji, zapach krwi – *i perfum*.

Perfum Kathariny!

– Decydujące pytanie, doktorze brzmi teraz: Czy to zadziałało? Czy udało nam się za pomocą hipnozy przenieść pana z powrotem do ostatnich godzin na pokładzie samolotu? Czy teraz pan sobie coś przypomina?

Mats zamrugał jeden raz.

– Dobrze, bardzo dobrze. To fantastycznie. Zapewne chciałby pan wiedzieć, dlaczego wybraliśmy tę skomplikowaną metodę.

Nieistniejąca dziura rozjaśniła się na moment, jak gdyby ktoś strzelił zdjęcie w jego mózgu. Reakcja elektrochemiczna jako skutek sprzężenia zwrotnego w mikrofonie, kiedy doktor Roth powiedział:

– Profesor Klopstock wszystko panu wytłumaczy.

67

Czy on mnie słyszy? – zapytał André Klopstock. Następnie głośniej: – Halo, Mats? Drogi kolego.

Mats mrugnął.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Och, jak mi przykro. Tak mi przykro.

Ku zaskoczeniu Matsa głos Klopstocka nie brzmiał wcale fałszywie, tylko był raczej szczerze poruszony. W jego słowach nie było nawet cienia owej wyniosłości, do której był u niego przyzwyczajony i której w pewnym sensie oczekiwało się od psychiatry, który chętnie widział siebie w kronikach towarzyskich różnych magazynów ilustrowanych.

– Jestem niepokieszony i nie ma nic takiego, co by mogło to wszystko naprawić. Dlatego też rozmawiam z... yyy... z panem. Ale teraz nie chodzi jedynie o to, aby udowodniać moją niewinność. Jestem jak najbardziej gotów do współpracy z doktorem Rothem i władzami, aby... co takiego? Ach, tak. Przepraszam.

Mats wytłumaczył sobie te ostatnie przerywane zdania interwencją doktora Rotha, który przypuszczalnie dał Klopstockowi znak, żeby się streszczał.

– Musi pan jednak coś wiedzieć, zanim będzie można zacząć przesłuchanie.

Przesłuchanie?

– Opracowałem wiele testów mających na celu wczesne rozpoznanie psychopatologicznych wzorców postępowania. Jestem święcie przekonany o konieczności ich stosowania. Co nam po badaniu płynów w bagażu ręcznym, skoro nie znamy stanu umysłu pasażerów i pilotów. Ale zostawmy to. Chodzi o Amelię, moją byłą żonę. Była ona opętana idée fixe, aby przyspieszyć tempo przyjęcia tego rozwiązania. Musi pan wiedzieć, że Amelie była kierowniczką mojej lecznicy. Miała dostęp do wszystkich wyników moich badań, do planów inwestycyjnych i oczywiście do kart pacjentów. Właściwie była fotografką i nie miała wykształcenia potrzebnego do bycia asystentką medyczną. Ale zatrudniłem ją z powodu wrodzonego talentu

organizacyjnego. Dopiero znacznie później, już w małżeństwie, stało się dla mnie jasne, że jest chorobliwie uczulona na punkcie szczegółów. I tyleż genialna, ile niebezpieczna w swoim sposobie manipulowania innymi. Ja, na przykład, nie chciałem mieć dzieci, ale ona nagle zaszła w ciążę, mimo pigułki.

Klopstock chrząknął zakłopotany.

– Amelie zawsze wiedziała, co ma zrobić, albo, jak w tym przypadku, czego nie zrobić, aby coś poszło po jej myśli. Długo wypierałem fakt, że jej przymus kontrolowania był chorobliwy już od młodych lat. Oczy otworzyły mi się dopiero wówczas, kiedy pewnego dnia przedłożyła mi „biznesplan”.

Mats wyczuł cudzysłów w sposobie, w jaki Klopstock zaakcentował to słowo.

– Dowiedziała się o moim pacjencie pro bono, Franzu Uhlandcie, początkowo niegroźnym weganinie, ale o poważnych zaburzeniach zachowania, którego chorą fantazją było pokazanie ludzkości, jak bardzo dręcząca dla zwierząt jest przemysłowa produkcja mleka. Amelie wiedziała też, że mam pod opieką pańską ciężarną córkę Nele.

Nele, przemknęło przez myśl Matsowi. Tak dużo wrażeń musiał przetrwać, odkąd obudził się w tej nieistniejącej dziurze. Tak dużo informacji, że do tej chwili nawet nie pomyślał o Nele.

Gdzie ona jest? – zawołał jego wewnętrzny głos. *Czy ma się dobrze?*

– Myślałem, że to żart, kiedy zapytała mnie, czy nie powinniśmy jakoś przyspieszyć kwestii wprowadzenia do obiegu mojego nowego patentu. „Wszystko, czego nam potrzeba, to jakiś incydent”, powiedziała, ale nie potraktowałem tego poważnie. Myślałem, że to sprawa hormonów, w końcu była w ciąży i najpóźniej wraz z urodzeniem dziecka z powrotem nabierze rozsądku, prawda? Ale jej szalone fantazje nie ustąpiły również po urodzeniu Suzy i wreszcie doszło do tego, że rozstałem się z Amelie. Prawdopodobnie był to największy błąd, ponieważ teraz w realizacji swojego planu widziała możliwość odzyskania mnie.

Klopstock znów chrząknął, ale mimo to jego głos nadal był nadal zachrypnięty.

– Aby mieć nad wszystkim kontrolę, chciała być osobiście na pokładzie. O Boże, zabrała nawet Suzę. Oczywiście zrobiła to tylko dlatego, aby jej samej nikt nie podejrzewał. I żeby mogła manipulować otoczeniem. Kto by cokolwiek podejrzewał, widząc karmiącą matkę? No i przypłaciła swój obłądny plan życiem. Na szczęście tylko ona sama, Suza ma się dobrze.

– Panie kolego... – usłyszał Mats ponagląjący głos naczelnego w tle.

– Tak, tak, doktorze Roth. Już kończę. Ale to ważne, aby doktor Krüger znał tło. Bo jak inaczej odróżni informacje istotne od nieważnych?

Klopstock mówił teraz głośniej.

– Dla lepszego zrozumienia, a to jest dla pana konieczne, abyśmy mogli zapobiec czemuś jeszcze gorszemu...

JESZCZE gorszemu?

– Moja żona chodziła z Kają do szkoły, a potem przez całe lata utrzymywała z nią luźny kontakt. Dzięki manipulacjom udało się jej wmówić Kai, że pan ją źle leczył, Mats. I że teraz ma przynajmniej prawo do odszkodowania. Pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy. Uświadomiła Kai, że jej życie zostało zmarnowane, a ludzie tacy jak my na cierpieniu pacjentów zarabiają kokosy. Za pomocą tego argumentu udało jej się pozyskać Kaję. Z Uhlandtem poszło jej łatwo, ponieważ on już od dawna marzył, aby zademonstrować ludziom na żywym obiekcie, jak to jest, kiedy kobiecie po porodzie odbiera się dziecko. Jemu dostarczyła z kolei pieniądze i kamerę.

Matsa ogarnęło nagle straszne uczucie, że koniecznie musi się podrapać. Słowa Klopstocka podziały na niego jak proszek wywołujący swędzenie w jego umyśle.

– To nie są wszystko fakty, wiele z tego to tylko moje przypuszczenia, które biorą się z informacji, jakie posiadam. Niestety, pani Claussen nie można już przesłuchać w tej sprawie. Zmarła krótko po wylądowaniu wskutek zatrucia nikotyną. I jest jeszcze coś, co leży mi na sercu i o czym pan musi wiedzieć, zanim...

Zanim co???

– Z punktu widzenia prawa jestem niewinny, ale moralnie nie. Wszystko to nigdy by się nie zdarzyło, gdyby nie mój udział. Ponieważ to ja przekonałem Nele, aby znów nawiązała z panem kontakt, Mats. Aby odnowić więzi rodzinne.

Moja żona musiała przeczytać o tym w moich notatkach. Zapisalem nawet termin lotu, o którym poinformowała mnie pańska córka. Amelie chyba przekazała tę wiadomość Kai Claussen.

Swędzenie stawało się coraz dokuczliwsze. Mats najchętniej krzyknąłby do Klopstocka, żeby wreszcie przeszedł do sedna.

– Chociaż to pewnie nie najlepiej wygląda, nie mogę nie okazać pewnego podziwu dla sprawności mojej zmarłej żony w jej obłądnie. Nie musiała używać siły fizycznej. Chodziło tylko o to, aby pokonać problemy ze zgraniem terminów i manipulować ludźmi. To jej specjalność. Nie ma co, opracowała genialny pod względem psychologicznym, a tym samym z gruntu kobiecy plan. Sterowała panem i Kają

wyłącznie za pomocą słów, Mats. A w przypadku Franza Uhlandta doprowadziła do tego, że ubrudził sobie ręce zupełnie obcy człowiek, który miał zgoła inne motywy niż ona sama. Dlatego związek pomiędzy tymi czynami byłby prawie nie do udowodnienia, a w dodatku pan, Mats, na koniec miał to przypłacić życiem.

Zanim Mats zdołał się upewnić, czy rzeczywiście słyszy płacz Klopstocka, znów usłyszał głos doktora Rotha, który bardziej rzeczowo, ale również bardziej niecierpliwie powiedział:

– W porządku, teraz, kiedy pan już poznał tło, przejdźmy do pytania zasadniczego, doktorze Krüger: Gdzie jest pańska córka?

Nie!

Mats wiedział, że to pytanie padnie, a mimo to modlił się, żeby go nie usłyszeć. Teraz zostało ono zadane, a ciemność wokół Matsa rozwarła swą wstrętną paszczę, która groziła, że jeszcze raz go połknie.

O Boże, a więc jej nie znaleźli?

Rozum Matsa zaczął krążyć wokół własnej osi, nieistniejąca dziura w nim samym stała się wirem. Potem pomyślał: *O Boże, dziecko!* Po tak długim czasie musiało się już dawno urodzić.

Albo... nie żyje!

Te ostatnie słowa tak głośno dudniły w myślach Matsa, że ledwie przebiło się do niego pytanie doktora Rotha.

– Czy na pokładzie tego samolotu dowiedział się pan, usłyszał, zobaczył albo odkrył coś, co mogłoby nam zdradzić aktualne miejsce pobytu Nele?

Dr ROTH

Czy to było mrugnięcie?

Doktor Roth przytaknął skinieniem głowy. Oczywiście, trudno było tego nie zauważyć. Elektrody na powiekach Krügera to zmierzyły. Wskazywało na to odchylenie wykresu na monitorze nad łóżkiem.

Roth stał obok łóżka na intensywnej terapii, w rękę trzymał srebrnoszary mikrofon i obserwował, jak gałki oczne pod zamkniętymi powiekami pacjenta poruszają się jak zdeorientowane chrząszcze.

Twarz Krügera była całkowicie obandażowana, pomijając oczy i okolice ust. Z czarnymi słuchawkami na uszach, rurą intubacyjną w ustach i z połączonymi kablami płytkami na czaszce wyglądał jak zmumifikowana istota pozaziemska.

Dreny zainstalowane w miejscach, gdzie pocisk wszedł i wyszedł, służyły do niezbędnego wyrównania ciśnienia, lecz zwiększania się obrzęku nie da się zbyt długo powstrzymać i w pewnym momencie pacjent ostatecznie straci świadomość. Na szczęście nie będzie odczuwał bólu.

Miejmy nadzieję.

Badania nad pacjentami cierpiącymi na zespół zamknięcia były jeszcze w powijakach, za mało wiedziano o tak ciężkich uszkodzeniach mózgu. W każdym razie zauważono, że osoby dotknięte tą przypadłością znajdują się w pełni świadomości i dlatego za pomocą sygnałów akustycznych można je wprowadzić w trans. Według wiedzy doktora Rotha doktor Krüger był pierwszym pacjentem z tym zespołem, u którego zastosowano regresję hipnotyczną w celu przywrócenia wspomnień.

Czy z powodzeniem, to się zaraz okaże.

Doktor Roth sięgnął po komórkę, nacisnął klawisz szybkiego wybierania,

zadzwoił do swojego sekretariatu, aby się dowiedzieć, gdzie jest policja. Już dwadzieścia minut temu poinformował komisarza Hirscha, że Krüger został „wybudzony” z transu.

Komisarz wczoraj ośmieszył się, kiedy przywieziono Krügera, bo uparł się, że musi natychmiast przesłuchać „sprawcę”.

– Pan komisarz jest na drugim końcu miasta – poinformowała go sekretarka. – To może potrwać.

Roth podziękował, rozłączył się i postanowił nie czekać, tylko samemu przeprowadzić „przesłuchanie” swojego pacjenta.

– Wyobrażam sobie, co pan teraz myśli, doktorze Krüger. Upłynęło dużo czasu, a szanse, że odnajdzie się ofiarę żywą, w przypadku uprowadzenia spadają z każdą godziną.

Roth świadomie mówił bez ogródek. Ważne było, aby pacjent nie zajmował się własnym okrutnym losem, tylko wyłącznie córką.

– W pańskiej komórce znaleźliśmy zdjęcie z tortur, którym porywacze poddali pańską córkę. Oficjalne poszukiwania Nele nie przyniosły jak dotąd rezultatów. Do niedawna nie znaleźliśmy także związku między tym, co działo się na pokładzie samolotu, a prawdopodobnym porwaniem pańskiej córki. Uświadomiły nam to dopiero wypowiedzi profesora Klopstocka, który po zidentyfikowaniu zwłok swojej żony sam się do nas zgłosił. Powiedział nam wszystko, co wiedział. Teraz jest pan naszym jedynym świadkiem, na którego przesłuchanie nie będziemy szczydzili wysiłku ani nakładów, ponieważ chcemy ratować pańską córkę. Czy pan to zrozumiał?

Roth z zadowoleniem zarejestrował mrugnięcie.

– Dobrze. Spróbuję teraz wy badać metodą tak/nie, co pan przeżył i co nam może pomóc w dalszym poszukiwaniu pańskiej córki. Okej?

Mats kolejnym mrugnięciem zasygnalizował zgodę i Roth uściskał dłoń pacjenta, choć ten nie mógł tego poczuć. Ta emocjonalna forma kontaktu stała się już u niego nieświadomym nawykiem. Uważał się za człowieka nie tylko od słów i pigułek, ale także od okazywania ludzkiej sympatii.

– Czy wie pan, gdzie jest pańska córka? – Roth zadał najpierw najprostsze i najważniejsze pytanie.

Mats mrugnął. Ku zdumieniu Rotha uczynił to jednak nie raz czy dwa razy, ale od razu sześciokrotnie raz po raz.

– Co on robi? – zapytał Klopstock.

Roth nie miał pojęcia; czekał, czy Krüger po długiej przerwie podejmie mruganie.

Kiedy nic takiego nie nastąpiło, zapytał swojego pacjenta tak głośno i wyraźnie, jak to tylko możliwe:

– Czy pan świadomie zamrugał sześć razy?

Mats zamrugał jeden raz.

A więc tak.

Następnie zamrugał pięć razy i znów zrobił przerwę, aż jego powieki zadrgały dwanaście razy.

– Chwileczkę, niech pan da nam trochę czasu – poprosił Roth i sięgnął po podkładkę leżącą na końcu łóżka.

– Czy to możliwe że on nadaje alfabetem Morse’a?

– Nie, do tego jego mruganie nie jest dostatecznie rytmiczne.

Roth zrobił kilka notatek, sprawdził swoje podejrzenie, używając do tego celu palców, i wreszcie uznał, że chyba rozwiązał zagadkę.

– Czy to litery?

Skupił się na oczach Krügera.

– Alfabet. Czy pan pokazuje alfabet?

Słabe, ale widocznie drgnięcie.

– Tak! – powiedział Klopstock stojący za nim, cały poruszony.

Roth, nie mniej przejęty od niego, poprosił Matsa, aby zaczął jeszcze raz od początku.

Mats znów zamrugał sześć razy.

F

Następnie o jeden raz mniej.

E

– Dwanaście – policzył na głos Klopstock, a Roth zanotował.

L

Wreszcie mruganie Krügera zakończyło się dziewięciokrotnym powtórzeniem.

I

– Kto to jest Feli? – zapytał doktor Roth Klopstocka.

– To Felicitas Heilmann. Koleżanka lekarka.

Roth wyłączył mikrofon.

– Czy to przyjaciółka doktora Krügera?

Klopstock skinął głową.

– Przyszła do mnie wczoraj do gabinetu i opowiedziała, że Nele ma kłopoty. I że Mats siedzi w samolocie z Buenos Aires do Berlina. Była to chwila, kiedy po raz pierwszy mnie oświeciło. Wiedziałem, że w tym samolocie jest Amelie z Suzą, rzekomo w drodze powrotnej z urlopu. Kiedy następnie Feli przyszła do mnie do lecznicy na Ku'dammie, miałem jak najgorsze przeczucie, że Amelie mogła swój plan wprowadzić w czyn.

Roth z zakłopotaną twarzą opuścił podkładkę do pisania.

– I nic pan nie powiedział? – oburzył się. – Dlaczego nie poszedł pan z tymi informacjami od razu na policję, tylko zgłosił się dopiero wtedy, kiedy na pokładzie doszło do tragedii?

Po tym werbalnym ataku Klopstock znów się trochę ożywił i również zaatakował:

– A co miałbym powiedzieć policji? *„Posłuchajcie, być może właśnie została uprowadzona jedna z moich pacjentek? Być może jej ojciec ma spowodować katastrofę? Być może moja żona pociąga na pokładzie za sznurki?”*

Pokręcił głową.

– Nic nie miałem poza przypuszczeniami. A fakt, że doktor Krüger też wolał szukać na własną rękę, był dla mnie sygnałem, że tym bardziej nie wolno mi niczego przedsięwziąć na podstawie samych podejrzeń, bo mogę tylko Nele zaszkodzić.

Roth wykonał ręką pogardliwy gest, niezdolny ukryć złość.

– Nie wierzę w ani jedno pana słowo. Pan chciał tego incydentu, doktorze Klopstock – powiedział bez ogródek.

– Nieprawda.

– Albo przynajmniej chciał pan ratować własną skórę. I w miarę możliwości nie wplątywać się w sprawę. Gdyby pańska żona nie zginęła, przypuszczalnie nigdy by się pan do nas nie zgłosił i nie zaoferował swojej pomocy. Robi pan to teraz tylko dlatego, aby mieć czyste ręce.

Teraz Klopstock rozwścieczył się nie na żarty.

– To nieprawda! – zaprotestował oburzony. – Udzieliłem nawet Felicitas Heilmann wskazówki, kiedy przyszła do mnie. Poleciałem mojej asystentce, aby jej zorganizowała kontakt z Uhlandtem, którego, jak pan wie, dotychczas nie znaleziono.

– W takim razie zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie powiedział mi pan o doktor Heilmann.

– A miałem powiedzieć? Oczywiście, szukała Nele, ale to akurat robimy wszyscy,

jeśli się nie mylę.

Jego ostatnich wykrętów Roth już nie słuchał i z komórką przy uchu podszedł do okna oddziału intensywnej terapii, które wychodziło na park.

Był słoneczny jesienny dzień, odwiedzający i pacjenci spacerowali alejką obsadzoną krzewami albo rozmawiali, siedząc na którejś z parkowych ławek. Nikt na zewnątrz nie miał nawet bladego pojęcia o cierpieniu i beznadziei, jakie gnieździły się za murami kliniki.

– Tu Hirsch. – Roth usłyszał głos policjanta, do którego właśnie zadzwonił. W tle słychać było odgłosy ulicy.

– Tu doktor Roth, Park-Klinik.

– Zaraz u pana będę.

– Dobrze. Ale przedtem pytanie: Czy podczas śledztwa zetknął się pan z nazwiskiem Felicitas Heilmann?

– Nie, a powinienem?

– Pacjent podał nam właśnie tę wskazówkę.

– Okej. Proszę poczekać.

Roth słyszał, jak połączenie zostało zawieszona, następnie, po jakimś czasie, policjant znów się zgłosił. Albo z kimś się porozumiał, albo sam przez komórkę uzyskał dostęp do dokumentów z przesłuchań.

– Felicitas Heilmann, lat czterdzieści dwa, lekarz psychiatra z Prenzlauer Berg prowadząca własną praktykę? – zapytał.

– To musi być ona.

– Dziwne.

Roth przyłożył komórkę do drugiego ucha.

– Dlaczego?

– Dotychczas nie widzieliśmy żadnego związku. Ale jej życiowy partner zgłosił ją jako zaginioną.

– Co takiego?

Roth wymienił spojrzenie z Klopstockiem, który nie ukrywał, że próbuje usłyszeć każde słowo rozmowy.

– Mieli się wczoraj pobrać, ale go zostawiła na lodzie.

– To nie może być przypadek.

Wyglądało na to, że Hirsch coś ugryzł i mówił teraz z pełnymi ustami.

– Też tak to widzę. Uważam, że ucieczka sprzed ołtarza nie stanowi dla nas

priorytetu w rozpracowywaniu sprawy. Ale ta druga sprawa...

– Co takiego?

– Narzeczony tej Heilmann przekazał nam ostatnie lokalizacje jej komórki. Nie uwierzy pan.

Szum samochodu stawał się głośniejszy, Hirsch chyba właśnie przyśpieszał.

– Gdzie?– zapytał Roth i poczuł chłód, jak gdyby zamarzał wewnątrz, kiedy Hirsch podał mu ostatnią lokalizację komórki Feli:

– VEB – Kombinat Mięsny. W pobliżu starych mleczarni.

69

HIRSCH

Niedługo zacznę pobierać opłaty za wstęp – burknął sapiący astmatycznie ochroniarz, który ledwo się mieścił w swoim niebieskoszarym mundurze. Nie mówiąc już o pojeździe firmy M&V Security, z którego przedtem z udreńczonym obliczem się wygruził.

Z absurdalnie wielkiego pliku kluczy wybrał pasujący do kłódki i otworzył ją dla nadkomisarza Hirscha i dwojga umundurowanych funkcjonariuszy, którzy stanowili jego wsparcie przy poszukiwaniu Felicitas Heilmann. Chłopak o twarzy kościelnego chórzysty i jeszcze młodziej wyglądająca kobieta, oboje świeżo po szkole policyjnej. Takie właśnie dostaje się wsparcie, kiedy nagle od zera rozpoczyna się w Berlinie poszukiwania zaginionej osoby. W filmach widzi się od razu uzbrojony po zęby zespół antyterrorystów, który taranem wywala drzwi. W realu człowiek snuje się po zatęchłych oborach w towarzystwie jakiegoś marnego dublera Obeliksa i dwójki żółtodziobów.

– To już trzeci raz w ciągu dwudziestu czterech godzin, ktoś interesuje się tym syfem tutaj – pomstował ochroniarz, który przedstawił się jako Helmuth Müller. Obecnie miał wielki problem, aby dotrzymać kroku nadkomisarzowi.

O rety, to już pode mną trzeszczy waga, ale ten to powinien nosić zamiast paska koło do hula-hoop, pomyślał Hirsch, odwracając się do strażnika.

– To kto tu jeszcze był?

Müller szedł za nim, kołysząc się jak pingwin.

– Nie dalej jak wczoraj studenci, którzy chcieli tu kręcić film porno. Następnie narzeczony, który szukał swojej zbiegłej kobiety, a teraz pan.

Hirsch dał znak obojgu funkcjonariuszom, żeby się rozdzielili. Dziewczyna miała

szukać z przodu, chłopak w tylnej części hali, podczas gdy on sam sprawdzał kraty w ostatniej jednej trzeciej długości hali, gdzie prowadził go teraz strażnik.

– Porno? – zapytał Hirsch, rzucając spojrzenie na statyw do kamery i pomazaną ekskrementami leżankę.

– Tak w każdym razie twierdzili. Oczywiście z miejsca ich przegoniłem.

Tak, na pewno.

– I zostawił pan tu to wszystko tak po prostu? – Hirsch wskazał na statyw i leżankę. Ochroniarz podrapał się w podwójny podbródek i wydyszał:

– A co? Znaczący, wie pan, i tak leży tu już tyle śmieci, a kombinat i tak jest do wyburzenia. W ogóle się zastanawiam, po kiego każą mi tego pilnować.

Hirsch obejrzał zabrudzone obicie leżanki i zdziwił go ślad na betonowej podłodze tuż obok. Wyglądało, jakby jeszcze niedawno stała tu skrzynia.

– A jak to było z Jankiem Straussem? – zapytał Hirsch.

– Z kim?

– Z tym narzeczonym, który szukał swojej pani.

– Ach, ten! – Strażnik znów się podrapał. – Nie wiedziałem, że tak się nazywa. Rany, ten to narobił wczoraj wieczorem rabanu. Ale go nie wpuściłem. No bo to zabronione. Nie miał rozkazu przeszukania ani niczego takiego.

– Nakazu – poprawił go Hirsch.

– Że jak?

– To się nazywa nakaz przeszukania. A jako cywil z całą pewnością tego nie miał. Jest pan pewien, że nie udało mu się pana przekonać jakimś innym dokumentem z państwowej drukarni? – Hirsch potarł kciuk o palec wskazujący w jednoznaczny geście.

– No, co pan. Jestem uczciwym obywatelem.

– Hm – mruknął Hirsch sam do siebie. – A Trump feministą.

– Co to miało znaczyć?

Hirsch machnął ręką, jednocześnie usłyszał, jak młody policjant woła z daleka przez halę:

– Panie komisarzu, chyba powinien pan to zobaczyć.

Hirsch wyszedł z pomieszczenia obory na korytarz, przez który dawniej pędzono zwierzęta i prowadzono wózki z paszą, i ruszył w stronę kolegi.

Stał on na samym końcu baraku, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od wejścia, i wskazywał na schody, które prowadziły w dół.

– Znalazłeś coś?

– Obawiam się, że tak. Ale nie będzie się to panu podobało.

Hirsch pożyczył od strażnika latarkę i zszedł za chłopakiem po metalowych schodach w kierunku zapachu stęchlizny.

– Po drugiej stronie, przy wejściu, tam, gdzie ta lala... yyy, znaczy tam, gdzie szuka pana koleżanka, tam jest jeszcze inne wejście do piwnicy – usłyszał Hirsch za sobą głos strażnika, ale na razie się tym nie zainteresował.

– Tu – powiedział młody policjant zupełnie bez potrzeby.

Hirsch od razu zauważył to, co przykuło jego uwagę.

– Nie jestem ślepy – mruknął i poświecił latarką na drewniane przykrycie, które z całą pewnością miało zamykać otchłań w podłodze, która teraz ziała przed nimi.

Hirsch podszedł do krawędzi i poświecił w coś w rodzaju szybu.

Wielki Boże...

Zasłonił usta dłonią. Również młody policjant zakasłał, choć w gruncie rzeczy nie było tu zbyt wiele widać. Można się było tylko domyślać.

Stożki światła obydwu latarek przesunęły się najpierw po przesiąkniętym czymś czerwonym kawałku jakiejś tkaniny, następnie po fragmencie wystającego spod niej nieruchomego ciała.

Cholera, niech to szlag, pomyślał Hirsch, następnie powiedział to głośno, a na koniec oznajmił prawdę, co do której nie mogło już być wątpliwości:

– Przyszliśmy za późno.

70

MATS

Potrafili to zwyczajnie włączać i wyłączać.

Tę nieistniejącą dziurę. Stawała się większa i ciemniejsza, i zimniejsza, kiedy pozbawiali Matsa jego ostatniego zmysłu. Jak tylko mikrofon był wyłączany i słuchawki już nic nie przekazywały, to czuł się tak, jakby znajdował się w nigdy niekończącym się stanie spadania, w koszmarnym śnie, który wciąż przechodził sam siebie.

Kiedy był dzieckiem, nie potrafił pozbyć się ze swojej pięcioletniej głowy pewnej sceny z jakiejś strasznej bajki, w której pewien książę został żywcem zamurowany. Mats wyobrażał sobie ciemne, duże klinkierowe kamienie tworzące nieprzejrystą ścianę, za którą książę był skazany na wieczne ciemności. Nigdy by nie pomyślał, że niewidoczne i nieuchwytnie ściany jego własnego ciała utworzą kiedyś jeszcze bardziej straszliwy loch.

– Halo, doktorze Krüger?

Głos lekarza naczelnego był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki mógł sobie wyobrazić. Każda głoska, która przerywała ciemność i hamowała spadanie, była jak prezent.

– Słyszysz mnie pan?

Mrugnął i Roth mu podziękował. Jego głos brzmiał trochę inaczej niż wcześniej. Był bardziej spięty. Jak u kogoś, kto mówi co innego, niż tak naprawdę leży mu na sercu.

– *Co z Nele?!* – zawołał Mats niesłyszalnie głośno w nieskończoność swojego więzienia. Oczywiście nie otrzymał odpowiedzi.

– Nie mamy jeszcze żadnej wiadomości od policji – powiedział doktor Roth, ale

zabrzmiało to jak kłamstwo.

Czy chodziło o to, żeby go oszczędzić?

– Jesteśmy skazani na czekanie... – Mats usłyszał, jak Roth ciężko oddycha, następnie dodał: – Ale, być może, wykorzystamy czas i może pan sobie przypomni coś, co mogłoby pomóc w poszukiwaniach.

O jakich poszukiwaniach on mówi? Nele czy jej morderców?

Mats chciał walić pięściami wokół siebie, gryźć, kopać i tyle innych rzeczy, których już nigdy nie będzie mu dane robić. Wiedział, że Roth coś przed nim ukrywa. Do tego nie musiał widzieć jego wykrzywionej poczuciem winy twarzy, z jaką z całą pewnością stał przy jego łóżku.

– Proszę, doktorze, wiem, jak straszna jest dla pana ta cała sytuacja. Ale my chwytamy się tu każdego źdźbła, a policja prosi mnie, abym pana jeszcze raz przepytał.

Mats zatoczył się, obrócił na bok i spadał jak wirująca kometa we własny wszechświat. Był pewien, że Roth coś przed nim ukrywa, aby do końca nie pogrążył się na zawsze w sobie. Ale ponieważ wciąż jeszcze żywił nadzieję, że Nele żyje – dopóki Roth nie powie mu otwarcie całej prawdy – postanowił dalej uczestniczyć w grze i odpowiedzieć na ostatnie pytanie, które naczelny właśnie mu zadał:

– Doktorze Krüger, proszę się dobrze zastanowić. Czy w samolocie nie rzuciło się panu w oczy coś podejrzanego, co mogłoby nam pomóc w poszukiwaniu pańskiej córki?

Mats się zastanowił. Następnie zamrugął.

Jeden raz.

71

LIVIO

Nie wiedział, co go podkusiło, ale nie mógł tak po prostu siedzieć w domu i zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Jednak Livio nie był nawet pewien, czy rzeczywiście coś widział. Wczoraj. Kiedy znów pojechał do kombinatu mięsnego, aby rozejrzeć się za Feli. No zgoda, taksówka koloru kości słoniowej, która z odkręconym szyldem wyjeżdża z opuszczonego terenu dawnych zakładów, to jest jednak coś dziwnego.

Ale być może kierowca chciał tylko dostarczyć przesyłkę albo kupić dragi, albo wyrzucić śmieci, istniały setki możliwości. Feli mówiła jednak, że typ, którego szukali, robi za kierowcę Klopstocka i dlatego mieli szukać taksówki na terenie dawnej fabryki. Również fakt, że tamten bez pasażera telepał się ponad czterdzieści kilometrów na północ do brandenburskiej dziczy, aby tu, na końcu świata zatrzymać się przy innych zrujnowanych zakładach, sprawiał, że wszystko to wyglądało nie mniej tajemniczo.

Już na miejscu Livio nie mógł jednak dostrzec niczego szczególnie podejrzanego, kiedy dotarł tu za nim, trzymając się w bezpiecznej odległości. Taksówkarz nie otworzył bagażnika i nie wyjął z niego zwłok ani niczego takiego, nie było słyhać krzyków i nie odbyła się żadna walka. Wprost przeciwnie – tamten nawet nie wysiadł.

Po prostu siedział całą godzinę, wpatrując się tępo gdzieś przed siebie, tak że w którymś momencie Livio uznał, że już dosyć tego dobrego.

Wszystko będzie dobrze, pomyślał, zawrócił i udał się w drogę powrotną do domu.

To było wczoraj.

A dzisiaj zachowuję się jeszcze bardziej idiotycznie.

Myśl o Feli i, być może, chorym umysłowo, nieobliczalnym taksówkarzu nie

opuszczała go ani na chwilę. W dodatku lekarka nadal nie odbierała komórki.

Miała wyłączony telefon.

W dniu ślubu i zaraz potem?

Nie, nie, żeby nie wiadomo jak mocno próbował sobie wmówić, że ona chce mieć po prostu spokój w czasie miodowego miesiąca, to jednak złe przeczucia nie zamierzały ustąpić.

A co, jeśli ten kierowca wczoraj go zauważył? Nie był wyszkolony w śledzeniu samochodów, być może odległość była zbyt mała i za bardzo rzucał się w oczy.

Przez chwilę rzeczywiście zastanawiał się, czy nie zadzwonić na policję, ale nie był to najszcześniejszy pomysł dla kogoś, kogo gliniarze z powodu obecności w rejestrze skazanych mają na oku. Nawet Feli wielokrotnie mu tego zakazywała. *Kto wie, może ja widzę tylko duchy i wszystko jest w jak najlepszym porządku?*

Chyba jednak nie. Nie miał takiego poczucia.

Kiedy jego wewnętrzny głos ze swoim „coś tu jest nie tak” nadal nie dawał mu spokoju, tego dnia po południu wybrał się jeszcze raz w długą drogę do Oberhavelland, i nawet się specjalnie nie zdziwił, kiedy zobaczył, że taksówka wciąż jeszcze stoi przed oborą.

W gruncie rzeczy był nawet pewien, że tak będzie. Przeczucie jeszcze go nigdy nie zawiodło.

Teraz już wiedział na pewno, że coś tutaj jest bardzo nie tak.

Kierowca taksówki, która od wczoraj nie ruszyła się ani o milimetr, nie siedział już oczywiście za kierownicą.

Szedł gdzieś. Powoli, ale wyraźnie wiedział dokąd.

Ze swojej kryjówki za starym zbiornikiem na wodę Livio obserwował, jak długowłose, dryblasowaty student wyszedł z barakowozu i poczłapał przez grząski dziedziniec zakładów, aż wreszcie zniknął w budynku z szarego zwietrzałego klinkieru. Z żółtą plastikową walizeczką w jednej ręce i kamerą w drugiej.

Czego on tu, u licha, szuka?

Choć Livio bardzo się wysiłał, ze swojego miejsca nie mógł zajrzeć do wnętrza budynku, kiedy taksówkarz otworzył drzwi.

Nie dojrzał ani Felicitas, ani Nele.

Ale jeśli się nie mylił, właśnie usłyszał, jak jedna z nich woła o ratunek.

72

MATS

Mats mrugnął.

– Tak? Coś pan zauważył?

Ponownie mrugnął.

– Okej, okej. – Mikrofon zaszeleścił, ale Roth się nie odezwał. Widocznie szukał najlepszego sposobu, aby za pomocą pytań tak/nie dotrzeć do właściwych odpowiedzi. Mats próbował mu to trochę ułatwić i zaczął nieprzerwanie mrugać.

Najpierw Roth zapytał, co się dzieje, bo nie rozumie, co Mats chce mu powiedzieć, aż wreszcie spytał konkretnie:

– Chce pan, żebym liczył?

Mats potwierdził.

– Okej, rozumiem. W takim razie proszę jeszcze raz od początku,

Mats zamrugał czterdzieści siedem razy z rzędu.

Znów minęła chwila, aż Roth znalazł odpowiednie pytanie, którym zbliżył się do prawdy:

– Czterdzieści siedem nie może być literą, a więc liczba.

Mats mrugnął raz.

– Numer w dokumencie, który miał pan przy sobie?

Mats odpowiedział na to pytanie podwójnym mrugnięciem, podobnie jak na to, czy chodziło o numer domu albo część numeru telefonu.

– Ma pan na myśli miejsce? Rząd czterdziesty siódmy?

Prawie usłyszał śmiech Rotha, kiedy potwierdził prawidłowość tego przypuszczenia.

– Okej, w rzędzie czterdziestym siódmym było coś podejrzanego. Pasażer?

Mats mrugnął raz.

– Które miejsce, dokładnie. Proszę mrugnąć raz na A, dwa razy na B i tak dalej.

Mats zamrugał sześć razy.

– 47F? Miejsce przy oknie. Niech pan chwilę poczeka.

Zatrzeszczało i Mats znów wpadł w pozbawioną odczuć nicość swojego świata. Fakt, że w tej nieistniejącej dziurze można było go po prostu włączyć lub wyłączyć, dodatkowo potęgował zgrozę.

Po, jak mu się wydawało, godzinie, która równie dobrze mogła trwać rok albo tylko dziesięć sekund, ponownie usłyszał cykanie świerszcza, a potem Roth powiedział lekko zbity z tropu:

– Właśnie rozmawiałem z jednym ze śledczych. Powiedział, że zarezerwował pan na ten lot cztery miejsca. Jednym z nich było 47F.

Z powodu braku pytania, na które mógłby odpowiedzieć „tak” lub „nie”, Mats był skazany na bezruch.

– Okej, co to ja chciałem? Aha: siedział pan na miejscu 47F?

Mats mrugnął dwa razy.

– Ktoś inny zajął to miejsce?

Mats mrugnął raz.

– Mężczyzna?

Mats odpowiedział twierdząco i na to pytanie, i na następne:

– Potrafiłby go pan opisać, gdyby miał pan taką możliwość? Czy miał jakiś znak szczególny?

Następnie Roth zadał mu wyłącznie takie pytania, na które Mats musiał odpowiadać przecząco.

Nie, nie znał nazwiska, nie rozpoznałby twarzy, żadnych znaków szczególnych jak tatuaże, piercing, blizny, znamiona. Nie mógłby zidentyfikować również po głosie, sylwetce, kolorze włosów ani ubraniu.

W końcu Roth zadał decydujące pytanie:

– A może chodzi o jego zapach?

Mats mrugnął raz.

– Czy mężczyzna jakoś szczególnie pachniał?

Ponownie potwierdził.

Nastąpiła przerwa, znów na krótko wyłączył się mikrofon i Mats wpadł do bezdennej szyby nieistniejącej dziury, aż usłyszał głos Rotha:

– Zaaplikowaliśmy panu tylko kilka bodźców węchowych, doktorze Krüger. Jak już mówiłem, była to klimatyzacja, odświeżacz powietrza i trochę damskich perfum.

Mats mrugnął raz.

– Perfumy? Czy mężczyzna, na którego chce pan zwrócić naszą uwagę, pachniał perfumami pańskiej córki?

Mats mrugnął dwa razy.

– A więc nie?

O, psiakrew. Mats poczuł się jak podczas perwersyjnej zabawy w ciuciubabkę, kiedy to nie szukający, lecz szukany musi mieć opaskę na oczach. I to do końca jego teraz już bardzo krótkiego życia.

– Zapytam jeszcze raz. Czy mężczyzna pachniał perfumami?

Mats znów odpowiedział twierdząco i Roth najwyraźniej zaczął się głośno zastanawiać.

– Ale daliśmy panu tylko ten zapach. Żaden inny. A skoro pan mówi, że poczuł inne damskie perfumy, to znaczy...

...że się pan pomylił i niechcący podetknął mi pan pod nos nie te, co trzeba, tak jest, Sherlocku.

Mats poczuł się naraz niesamowicie zmęczony, ale było to inne zmęczenie niż to, które znał wcześniej. Było ono absolutne, głębokie, związane z niewymownym smutkiem. Uświadomienie sobie, że istniało całkowicie logiczne wytłumaczenie tego, że podczas transu nawiedzały go tak realne, niemal halucynacyjne wizje jego żony, odebrało mu resztkę chęci do życia.

Po prostu dali mu do powąchania niewłaściwy zapach. Nie miał nowych informacji, które mogłyby pomóc Nele, której śmierć najprawdopodobniej Roth przed nim zataił.

Więc dlaczego Roth nie przestał torturować go bezsensownymi pytaniami?

– Czy były to perfumy osoby, którą pan zna?

No przecież.

– Osoby, która odgrywa ważną rolę w pana życiu?

Mats znów mrugnął raz.

– Kai Claussen?

Nie.

– Felicitas Heilmann?

– Pańskiej żony?

Mats rozumiał, że policja chce znaleźć sprawcę, ale nie miało to już dla niego znaczenia. Odebrano mu wszystko, co miał w życiu: żonę, córkę, jego życie. I już nigdy nic z tego nie odzyska.

– Czy to były perfumy pańskiej żony?

Wyświadczył ostatnią przysługę Rothowi, który omal nie wyskoczył ze skóry z przejęcia, kiedy Mats mrugnął raz.

Tak. Ulubiony zapach Kathariny.

Mats usłyszał, jak Roth zadał pytanie jeszcze komuś w pokoju, prawdopodobnie jakiemuś lekarzowi albo pielęgniarce.

– Od kogo dostaliśmy te perfumy? Kto je nam dał?

Potem nie było już nic oprócz niego; zatopionego w krzyczącej ciszy własnych myśli.

73

FRANZ

Popłakał się, kiedy tylko spojrział na satelitarne zdjęcia terenu w Google Maps. Teraz, już na miejscu, przeżył kolejne, zupełnie nowe, strasznie smutne doświadczenie. Kiedy tylko pomyślał o tym, ile cierpienia i podłości widział i doświadczył ten teren, zrobiło mu się niedobrze.

Był przekonany, że każda ciężka niesprawiedliwość zostawia grawitacyjny ślad w okolicy, gdzie się to dzieje. Wyglądało na to, że w tej nieczynnej tuczarni dla cieląt w Liebenwalde Franz rozsypie się pod ciężarem tego śladu.

Fabryka z horroru, zbudowana, aby tuczyć małe cielęta aż do czasu, kiedy nadają się do rzeźni, podczas gdy ich matkom dzień po dniu elektrycznymi dojarkami kradziono z podrażnionych wymion mleko.

To cierpienie, chociaż tutaj już dawno przeminęło, paraliżowało go, bo przecież wiedział, że w całych Niemczech wciąż po tysiackroć je wytwarzano.

Franz poczłapał przez pusty dziedziniec do obory dla krów. Tu w Liebenwalde wszystko działało się powoli i opieszale.

Krótko po wczorajszym przyjeździe poczuł się nagle tak wykończony, że przez godzinę tylko siedział w samochodzie i nic nie robił. Był tak wyczerpany i nawet usnął na kilka minut, aż obudził go odgłos odjeżdżającego samochodu.

Na szczęście odkręcił szyld taksówki. Tu na obrzeżu terenu zabudowanego bardzo rzadko zdarzało się, żeby ktoś się zabłąkał, a taksówka tuż przed oborą prawdopodobnie zwróciłaby uwagę kierowcy, który niczego nie podejrzewając, wczoraj tędy przejeżdżał.

Psiakrew, natychmiast by stąd odjechał, gdyby przeczuł, ile kłopotów można mieć w Berlinie przez ciekawskich. Najpierw ochroniarz, potem lekarka. Ale nieważne, w

końcu miał w zanadrzu plan B, który, jak się wydawało, ostatecznie zadziałał.

Franz otworzył dodatkowo wmontowane prowizoryczne aluminiowe drzwi w dawnej chłodni i usłyszał dochodzący z daleka krzyk.

– Pomocy! Na pomoc...

Dobrze, że jak okiem sięgnąć nie było tu żywej duszy. Krzyki umilkły, kiedy wszedł do chłodni, ogromnej stalowej lodówki, których było w tym budynku dwie. Większej od podwójnego garażu i oczywiście już niedziałającej, poza wewnętrznym oświetleniem, które zostawił włączone, ponieważ bał się, że stare neonówki już więcej się nie zapalą, jeśli je raz wyłączy. Przezornie zostawił masywne drzwi uchylone, zabezpieczone cegłą, z obawy, że nawet po tak długim czasie wciąż mogłyby się hermetycznie zamknąć.

Franz postawił żółtą plastikową walizkę i włączył kamerę. Nele od razu spróbowała uwolnić się z więzów.

– Gdzie ono jest? Dokąd je zabrałeś?

Wychodziła z siebie z wściekłości i była pełna energii. Zupełnie inaczej niż wczoraj, kiedy na wpół przytomną wyciągnął ją z szybu za pomocą budowlanej windy i przeniósł tutaj.

Franz wyłożył chłodnię słomą i przywlokł tu metalowe łóżko z materacem, na którym leżał teraz przykuty kajdankami obiekt demonstracji. Tylko za lewą rękę, pozostałymi kończynami mogła swobodnie poruszać.

Nie widział potrzeby stosowania innych ograniczeń, jak długo trzymał się od niej na wystarczający dystans.

– Moje dziecko! Gdzie ono jest?

Nele próbowała wstać i pociągnąć za sobą łóżko, ale nie poruszyło się nawet o centymetr, a ona upadła na kolana. W białej nocnej koszuli, którą jej włożył, bosa i z brudnymi, skołtunionymi włosami wyglądała jak rozhisteryzowana wariatka.

– To dobrze. To bardzo dobrze. – Franz z płaczem trzymał kamerę skierowaną na walczącą matkę. – Właśnie dokładnie o to tu chodzi. Czy teraz pani czuje, jak to jest, Nele?

– Gdzie ono jest?! Gdzie jest moje dziecko?! – wrzasnęła do niego.

– Dokładnie takie pytanie zadaje każdy ssak, któremu po porodzie odbiera się dziecko. Każda krowa, która zostaje rozdzielona ze swoim cielęciem tylko dlatego, żebyśmy mogli napychać sobie żołądki serem, czekoladą, jogurtem i wszystkim innym, co nas tuczy i powoduje choroby.

– To ty jesteś tu jedyną osobą, która jest chora! – wrzasnęła tak gwałtownie, że obryzgała go śliną.

Pokiwał głową.

– Tak jest, oto ból, którego potrzebuję. Każdy, kto to zobaczy, już nigdy nie będzie mógł udawać, że nie wie. Proszę.

Franz podsunął jej nogą żółtą plastikową walizkę.

– Co w niej jest?

– Laktator. – Franz pokazał na jej piersi. – Niestety nie jest elektryczny, ale spełnia swoje zadanie – powiedział i wytarł nowe łyżę rękawem koszuli. O tak, rozumiał jej strach, jej cierpienie i troskę, ale czasem człowiek musi zrobić coś złego, żeby osiągnąć właściwy skutek. Jaka rewolucja odniosła sukces bez walki? Jaka wojna zakończyła się bez użycia siły?

– Wiesz, co się z tobą stanie, kiedy cię znajdą – powiedziała Nele, teraz też zapłakana.

– Znajdą mnie dopiero, kiedy sam będę tego chciał – oznajmił Franz i ponownie włączył kamerę.

Wtedy poczuł lekki powiew powietrza na spoconym karku. Odwrócił się i usłyszał już tylko głos, który powiedział:

– Nie byłbym tego taki pewny.

Potem ze świstem spadła na niego cegła, uderzyła go krawędzią w czoło i rozłupała czaszkę.

74

NELE

Nele zobaczyła, jak Franz najpierw upuszcza kamerę, a potem pada obok niej zalany krwią. Nie wydał żadnego dźwięku, nawet jednego zduszonego jęku, kiedy bez najmniejszego obronnego gestu frontalnie uderzył twarzą w stalową podłogę.

Trzask łamiącego się nosa i pękającego sklepienia czaszki przypomniały jej najbardziej przerażającą chwilę tam, w szybie. Kiedy była już pewna ratunku i ciemność nad jej głową trochę się rozjaśniła, ponieważ ktoś odsunął drewnianą pokrywę.

Ktoś, kto zniweczył jej wszelkie nadzieje jednym jedynym słowem „Zdychaj” i ponownie zamknął szyb.

Ten sam ktoś, kto teraz wrócił, żeby zdradzić ją jeszcze raz.

– David. – Nele chciała wykrzyknąć imię swojego byłego przyjaciela, ale z jej ust nie wydobyło się nic poza słabym szeptem, tak bardzo strach ścisnął jej gardło.

– Livio – skorygował mężczyzna z uśmiechem. – Teraz znów posługuję się moim prawdziwym imieniem. Nie mam już ochoty na tanie czarodziejskie sztuczki. David Kupfer już zakończył działalność.

Cisnął cegłę obok leżącego na podłodze Franza, wytarł o dzinsy pył z rękawiczek i rozejrzał się po chłodni.

– Dlaczego?! – krzyknęła do niego.

– I ty jeszcze pytasz? Zaraziłaś mnie, dziwko. – Trząsł się z wściekłości, na skroniach pulsowały mu żyły. – Nie dość, że chciałaś mnie zrobić w bachora, to jeszcze teraz do końca życia będę musiał chodzić do kliniki Wedding, tak jak ty. Jestem HIV pozytywny. To twoja wina.

W następnym porywie gniewu chwycił Franza za kołnierz, poderwał jego ciało do

góry i pociągnął w kierunku Nele.

– Więc to wszystko tutaj to był twój plan? – zapytała ze zdziwieniem.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że w tak krótkim czasie z gotowego do użycia przemocy stalkera zmienił się w czynnego mordercę.

– To wszystko dlatego, że cię zaraziłam? I dlatego, że nie chcesz płacić na swoje dziecko?

– Zwariowałaś? – Pociągnął Franza pół metra bliżej. – Nie mam nic wspólnego z tym pomyłeńcem. Ale jest on prezentem od Boga. Twoją sprawiedliwą karą.

Gdy mówił, w kącikach jego ust gromadziła się ślina.

– Kiedy mnie wyrzuciłaś, chciałem ci tylko dokuczyć i zostawiłem w twoim mieszkaniu „prezenty”.

Nele przypomniała sobie żyletkę między poduszkami kanapy.

– Ale potem dostałem wyniki swoich badań i chciałem zobaczyć cię załatwioną na amen, jak opony, które przebiłem.

I martwą jak szczur, którego zostawiłeś mi pod drzwiami w koszyku.

– Ale nie miałem planu. W przeciwieństwie do tego pomyłeńca tutaj. Kobieto, widocznie masz jakąś szczególną umiejętność wkurzania nas, facetów. Nie mam pojęcia, dlaczego ten koleś tak się na ciebie wściekł, ale podoba mi się to, co tutaj z tobą wyprawiał.

– Dlaczego wróciłeś?

– Ponieważ martwiłem się, że ten psychol nie doprowadzi sprawy do końca. I co widzę? Jest tak, jak się obawiałem: ty naprawdę wciąż żyjesz. À propos, gdzie jest Feli?

– Kto?

Puścił zwłoki, mniej więcej pół metra od łóżka, do którego była przywiązana Nele.

– Felicitas Heilmann. Lekarka, która cię szukała.

– Zostaw ją w spokoju!

– Bo kto tak mówi? Może ty? – Livio machnął tylko ręką. – Nie martw się. Co prawda odegrałem swój standardowy numer, żeby poszła na mój lep. Bo ten numer pod tytułem „szarmancki cwaniak budzi instynkt opiekuńczy” wciąż działa na kobiety. – Zaśmiał się oblesnie. – Ale nie miałem zamiaru się do niej dobierać. Chciałem tylko, żeby doprowadziła mnie do ciebie. A teraz chcę, żeby trzymała gębę na kłódkę. Więc gdzie ona jest?

Nele ścisnęło w żołądku. Nagle poczuła w sobie gwałtowny smutek. Jeszcze nigdy

tak wyraźnie nie objawił się jej fakt, że jest tak rozpaczliwie sama, zostawiona na pastwę losu i bezradna.

– Zrób ze mną, co chcesz, Livio. Zbij mnie, jak biłeś mnie wcześniej, tu popieprzony gnoju. Nie zdradzę jedynej osoby, która mi pomogła.

– Jak to pomogła?

Livio podniósł z podłogi cegłę, którą wykończył Franza, i Nele zaczęła mówić szybciej, w przerażającym oczekiwaniu, że za kilka sekund podzieli los swojego porywacza.

– Franz poważnie zranił ją żelaznym prętem, ale była jeszcze w stanie, pomóc mi przyjąć poród. Wystąpiły problemy z pępowiną. Zginęłabym bez niej. Feli wszystko przy mnie zrobiła.

Livio stał oddalony od niej o dwie długości ręki. Cegła wędrowała z jednej rękawiczki do drugiej.

– Mówiłaś jej coś o mnie? Wie, kim jestem?

Nie, do cholery. Myślisz, że miałyśmy czas na dłuższe pogaduszki? – pomyślała Nele wściekła, ale oczywiście wiedziała, czego Livio próbował się dowiedzieć tym pytaniem. Chciał wiedzieć, czy Feli mogłaby poświadczyć, że znalazł Nele w szybie i ją tam zostawił.

Że jest mordercą, który wykorzystał czyny innego człowieka do swoich celów.

– Tak – skłamała Nele właśnie dlatego. – Opowiedziałam Feli wszystko o tobie. Ona wie, kim jesteś. Jeśli mnie teraz zabijesz, policja dowie się, kto to zrobił, i do końca życia będziesz siedział za kratami.

Livio znieruchomiał na moment, potem zaśmiał się głośno.

– Kłamiesz. Za dobrze cię znam.

Cały czas chichocząc, ponownie uniósł Franza. Tym razem złapał go za długie włosy, potem chwycił pod rękę i rzucił na Nele, grzebiąc ją pod ciężarem martwego porywacza.

Z obrzydzeniem wydostała się spod niego i zepchnęła bezwładne ciało z leżanki.

– Chcesz, żeby wyglądało, jakby to był Franz?! – krzyknęła, kiedy się uwolniła, poplamiona krwią porywacza. Jak opętana wycierała twarz wolną ręką, ale tylko jeszcze bardziej się przez to ubrudziła. – Serio myślisz, że się z tego wygrzebiesz? W pierwszej kolejności będą podejrzewać ojca dziecka.

Livio pokręcił głową i pokazał kamerę na podłodze.

– Jest nagranie, jak ten typ znęca się nad tobą. I nie istnieje żaden związek między

mną a tym pomyłeńcem. – Znów zaśmiał się cynicznie. – Myślę, że się z tego wykaraskam.

Livio rzucił cegłę obok leżących na podłodze zwłok Franza. Na tyle daleko od Nele, że nie mogła jej dosięgnąć. Ale wystarczająco blisko, by zasugerować śledczym, że zabiła swojego porywacza w obronie własnej, kiedy nieostroźnie się do niej zbliżył.

Pytanie tylko, co Livio zamierza ze mną zrobić? – pomyślała Nele w panice. *Czy mnie też chce wykończyć? Czy po prostu jeszcze raz mnie tu zostawić?*

Spojrzała na drzwi i mimowolnie się uśmiechnęła.

– Poza tym wykazałem szczerą chęć współpracy – powiedział Livio, ale ona już go nie słuchała. – Jeszcze przed naszym rozstaniem podałaś u swojego ginekologa, że jestem ojcem dziecka. Dzisiaj zadzwoniła do mnie pielęgniarka z Park-Killinik. Twój ojciec leży tam w śpiączce.

– Co? – Cała jej uwaga znowu była zwrócona w jego stronę. – Co przed chwilą powiedziałaś?

– Chcą nawiązać z nim jakiś kontakt czy coś i zapytali mnie o twoje perfumy.

Mój ojciec leży w śpiączce?

– Co się stało?

Livio nic jej na to nie odpowiedział albo źle zrozumiał pytanie, bo rzucił tylko:

– Chyba jest w stanie agonalnym. Pomyślałem, że twój stary na pewno nie chciałby wykorkować, wspominając swoją chorą na AIDS córkę, która jest zwykłą dziwką. No więc powiedziałem im, że używasz Shangirl, tego obrzydliwego zapachu, który trzymasz w łazience jako pamiątkę po swojej matce. Pamiętasz, jak kiedyś zmusiłaś mnie, żebym je powąchał? Jakby interesowało mnie, czym śmierdziała twoja matka, kiedy jeszcze żyła. No, ale przynajmniej na coś się to w końcu przydało. Nie produkują już Shangirl, ale byłem na tyle uprzejmy i podałem im adres sklepu z końcówkami towarów w Friedrichshain.

Nele zamknęła oczy. Po tych wszystkich bólach, jakie musiała znosić przez ostatnie godziny, zarówno fizycznych, jak również psychicznych, po tym wszystkim, co i tak już bezlitośnie wymęczyło jej psychikę, wyobrażenie, że jej ojciec leży teraz w agonii, zepchnęło ją na granicę odporności na cierpienia.

– Popełniłeś duży błąd. – Tyło wszystko, co potrafiła jeszcze powiedzieć. Cicho, spokojnie, jak podczas dotyczącej poważnych problemów, ale absolutnie cywilizowanej rozmowy.

– Chodzi ci o te perfumy? – zapytał Livio.

– Nie, o cegłę.

– Noszę rękawiczki, nie ma na niej odcisków palców.

– Nie to mam na myśli. Franz używał jej jako blokady, żeby nie zamknęły się drzwi. – Zauważyła, jak Livio spojrział na wyjście. Zobaczyła, jak rozszerzyły mu się oczy, jak prawie wyszły z orbit, kiedy zrozumiał to, na co ona zwróciła uwagę chwilę wcześniej: drzwi chłodni się zatrzasnęły. I automatycznie zaryglowały.

Livio pośpiesznie się odwrócił, dwoma szybkimi krokami podszedł do wyjścia i obmacywał aluminiową powierzchnię.

– Możesz się nie trudzić – wyszeptała Nele i ostatkiem sił pochyliła się, wyciągając wolną rękę w stronę zwłok.

Tymczasem Livio na próżno szukał uchwytu albo innego mechanizmu służącego do otwierania drzwi. Ale był w nich wyłącznie otwór na klucz.

– Jesteśmy uwięzieni. I to w hermetycznie zamkniętym więzieniu – powiedziała Nele, chociaż nie była tego pewna. Ale po strachu, jaki przeżyła, nie mogła się oprzeć, żeby zaatakować Livia jego bronią i wzbudzić w nim panikę.

– Nie! Neeee! Nie, to niemożliwe! – wrzeszczał Livio, waląc i kopiąc w drzwi jak opętany.

Tymczasem Nele znalazła to, czego szukała, i wyjęła rękę z kieszeni nieprzemakalnej kurtki Franza.

W tym momencie Livio odwrócił się do niej, a ona zamarła w bezruchu.

– Co tam masz? – zapytał.

Kurczowo zacisnęła palce skrępowanej dłoni.

– Pewnie masz tam klucz? – domyślił się jej były, a Nele mało przekonująco pokręciła głową, że nie.

– No przecież. Ten psychol musiał mieć przy sobie klucz.

Livio podszedł do niej, śmiejąc się jak szaleniec, a Nele starała się odsunąć na łóżku najdalej, jak tylko się dało.

– Daj mi go.

Livio uderzył ją w żołądek i pochylił się nad nią. Jęknęła, ale się nie poddała. Zaczął odginać jej zaciśnięte palce i wiedziała, że nie będzie w stanie długo mu się opierać.

– Co to jest? – zapytał zdziwiony, kiedy w końcu pokazała mu zawartość swojej dłoni.

– Guma do żucia – odparła zgodnie z prawdą.

Franz miał ją w kieszeni kurtki. Nele wyjęła ją prawą wolną ręką i przełożyła do lewej dłoni.

– Nie klucz? – zapytał Livio, poblądły z rozczarowania.

– Nie – powiedziała Nele, wyczerpana, ale gotowa na wszystko. – Nie ma klucza.

Umrzemy tu razem.

A potem rozharatała mu gałkę oczną, policzek i tętnicę szyjną tapicerskim nożem, który też znalazła w kieszeni swojego porywacza.

75

ROTH

Trzy godziny później

To był jego pierwszy raz i bardzo się martwił, żeby nie skończyło się to katastrofą.

Chociaż Roth uczestniczył już w rozwiązaniu wielu spraw kryminalnych, jeszcze nigdy nie był na miejscu przestępstwa. Kiedyś poleciał nawet z pewnym funkcjonariuszem na Côte d'Azur, aby pomóc w rozwiązaniu jakiejś sprawy, ale nie dokonał tam przeglądu miejsca zbrodni, lecz doprowadził policję do zaginionej osoby. A nie do zwłok, czego się dziś obawiał.

– Oba samochody zidentyfikowane – powiedział stojący obok niego komisarz Hirsch. – Taksówka przed oborą jest zarejestrowana na Franza Uhlandta, naszego podejrzanego. Renault za zbiornikiem na wodę należy do Livia Kressa.

Stali obok już zabezpieczonego i sprawdzonego barakowozu na błotnistym dziedzińcu dawnej tuczarni dla cieląt w Liebenwalde i czekali na kolejne wyniki przeszukań, które oddział specjalny podawał im przez radio.

Trzej ubrani na czarno i ciężkozbrojni funkcjonariusze właśnie zniknęli w zniszczonym klinkierowym budynku.

– Sojuz? – zapytał Hirsch przez radio dowódcę grupy.

– Dom zabezpieczony – odpowiedział tamten natychmiast. – Teraz otwieramy chłodnie.

– Czapki z głów. Nigdy bym nie pomyślał – przyznał otwarcie Hirsch. – Wygląda na to, że wasze czary-mary jednak się na coś przydały.

Dał Rothowi znak, żeby poszedł za nim, i ruszyli w stronę klinkierowego budynku.

– Hipnoterapia to nie żadne czary-mary – zaprotestował Roth po drodze. – Gdyby nie regresja hipnotyczna, pacjent niczego by nie pamiętał z tego, co mu się przytrafiło

w czasie lotu.

– Tak, tak. No przecież wiem i jestem pod wielkim wrażeniem pańskich osiągnięć, doktorze. Mówiąc między nami, trochę to dla mnie było dziwne, kiedy w czasie pokazu hipnozy zobaczyłem, jak ludzie zaczynają nagle szczebrać albo zapominają, jak się liczy. Ale żeby coś takiego udało się z pacjentem, który leży w śpiączce?

Roth przewrócił oczami i westchnął. Zatrzymali się właśnie przy wejściu do budynku, w którym mieściły się chłodnie.

– Hipnoza medyczna nie ma nic wspólnego z tymi cyrkowymi sztuczkami. A doktor Krüger nie leży w śpiączce, tylko cierpi na zespół zamknięcia, czyli jest całkowicie przytomny i bez trudu można go wprowadzić w trans za pomocą specjalnie dobranych dźwięków i głosów.

Hirsch zaśmiał się.

– I tak po prostu przyszło mu do głowy, że akurat na tym zadupiu mamy szukać jego córki, tak?

Roth wszedł za nim do wyłożonego kafelkami pomieszczenia. Z pewnej odległości dobiegał do nich dźwięk palnika do cięcia metalu.

– Dał nam do zrozumienia, że w procesie warunkowania użyliśmy perfum, co do których błędnie poinformowano nas, że należą do jego córki. A zrobił to były chłopak Nele, domniemany ojciec jej dziecka...

– ...co do którego nie wiemy, dlaczego to zrobił, i którego komórka doprowadziła nas tutaj, aż do jego samochodu, bo przez cały czas się nie zgłaszał. Tak, tak, wszystko jasne.

Hirsch złapał go mocno, ale jednak przyjacielskim gestem, pod ramię i zmusił do zatrzymania się.

– Przecież wiem, wszystko to wiem. Niech pan się nie daje sprowokować. Jestem po prostu zdenerwowany, tak samo jak pan, doktorze. Nienawidzę akcji, przy których właściwie nie ma szans, żeby szukana osoba...

Zatrzeszczała krótkofalówka Hirscha, a palnik do cięcia metalu zamilkł.

– Komisarzu?

Byli tak blisko, że słyszeli dowódcę grupy jednocześnie przez krótkofalówkę, jak i bez niej.

– Co?! – zawołał Hirsch i przeszedł z holu za róg. Roth podążył za nim i zobaczył, jak trzech funkcjonariusze z opuszczoną bronią stoją przed otworzonymi za pomocą palnika masywnymi drzwiami chłodni.

– Dobry Boże – powiedział Hirsch, który pierwszy przekroczył próg pomieszczenia.

– Na jak długo wystarcza w środku powietrza? – zapytał jeden z trzech antyterrorystów, ale jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Niczego nie dotykać – usłyszał Roth, kiedy próbował zajrzeć do środka.

Ujrzał jedynie czerwień i krew. I czerwień. I jeszcze więcej krwi.

Najpotworniejsza była jej twarz, tak lśniąca na czerwono, jakby Nele zanurzyła głowę w napełnionej krwią wannie i z zamkniętymi oczami położyła się na ostatni spoczynek. Razem z obydwoma pozostałymi ciałami, jednym z rozbitą czaszką, drugim z poderzniętym gardłem, cała trójka tworzyła martwą naturę horroru.

Roth poczuł mdłości, stracił kontrolę nad żołądkiem i byłby zwymiotował, gdyby nie ten błysk. Biały błysk, który tak bardzo odwrócił jego uwagę, że zapomniał nawet o swoich nudnościach.

Biały błysk... w oczach Nele.

– Ona żyje – usłyszał czyjś głos i dopiero dużo, dużo później, kiedy był już w chłodni, kiedy już od dawna klęczał obok Nele i badał jej nikły puls, a kilku mężczyzn krzyczało na niego, że zaciera ślady na miejscu przestępstwa, uświadomił sobie, że to on sam wciąż powtarza te dwa słowa.

– Ona żyje.

Raz za razem, tak długo, aż również Nele otworzyła usta, niezdolna do krzyku, bezsilna i na pół uduszona po wielu godzinach, podczas których prawie zużyła tlen w chłodni. Ale Roth nie musiał wcale słyszeć, co ona mówi. Mógł to odczytać z jej warg, a nawet gdyby i one się nie poruszały, potrafiłby odczytać to w jej myślach. Bo matka mogła mieć w takiej sytuacji tylko jedną myśl.

– Gdzie jest moje dziecko? – pytała go, a gdzieś daleko, daleko stąd, w innym świecie, jakiś funkcjonariusz zawołał Hirscha i powiedział:

– O Boże. Niech pan przyjdzie tu na tył. Musi pan to zobaczyć!

76

NELE

Dwa dni później

Nadeszła zima. Nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Tu na najwyższym piętrze, w dawnej palarni w głównym budynku Park-Klinik, która służyła teraz za świetlicę dla pacjentów, widać było jej zwiastuny. Sięgające podłogi panoramiczne okna umożliwiały daleki widok z piątego piętra na park wokół sanatorium, które jeszcze dziesięć lat temu było w całości zakładem dla nerwowo chorych, ale pod zarządem stosującego niekonwencjonalne metody lekarza naczelnego przekształciło się w cieszący się najwyższą renomą prywatny szpital.

Prawie bezlistne gałęzie dębów i lip wyginały się na wietrze; trawa na łące do leżakowania, z której jeszcze w ubiegłym tygodniu pacjenci i ich krewni korzystali, zażywając ostatniej kąpieli słonecznej w promieniach jesiennego słońca, była teraz szara i sztywna. Można było wyobrazić sobie na niej śnieg, który już niedługo zacznie padać z brudnej szarej pokrywy chmur w miejsce nieustającej mżawki.

Nele dostała dreszczy na myśl o tym, co by się stało, gdyby porwano ją w taką chlapę. A potem zatrzęsała się na myśl o wszystkim, co zostało jej oszczędzone. Dzięki kobiecie, która siedziała naprzeciw niej na wózku inwalidzkim i ogrzewała dłonie kawą. Z dwiema łyżeczkami cukru, ale bez mleka.

Obie jeszcze długo nie będą w stanie napić się mleka.

– Naprawdę w porządku? – zapytała Nele, a Feli przytaknęła. Wciąż miała zabandażowaną głowę, nic dziwnego, biorąc pod uwagę obrażenia, jakie spowodował Franz. Według lekarzy uderzenie żelaznym prętem nie było szczególnie mocne, prawdopodobnie nie chciał pozbawić jej życia, ale mimo to spowodowało wstrząśnienie mózgu i pęknięcie czaszki.

Kiedy policjanci znaleźli lekarkę w szybie zamkniętego kombinatu mięsnego, na początku myśleli, że nie żyje.

I Feli pewnie rzeczywiście umarłaby tam, gdzie zostawił ją Franz, gdyby w porę nie znalazł jej Hirsch ze swoimi ludźmi.

– Wszyscy mówią, że jesteś nadzwyczajna. – Nele uśmiechnęła się i wzięła Feli za rękę. – Żadna normalna położna nie dokonałaby tego cudu, mając takie obrażenia.

Feli uśmiechnęła się, a jej wzrok powędrował za wzrokiem Nele do dziecięcego nosidełka, w którym spokojnie ciamkało sobie niemowlę. Z dużymi oczami, otwartymi na waziutką szparkę i błogim anielskim uśmiechem na śpiącej twarzyczce.

– Gdyby nie ty, umarłabym tam na dole.

– Gdyby nie twój ojciec – poprawiła ją łagodnie Feli.

W rzeczywistości obojgu należało oddać honor. Franz przeszukał Feli i znalazł w jej torebce legitymację lekarską. Kiedy odpowiedziała twierdząco na jego pytanie, czy potrafiłaby pomóc Nele przy porodzie, mimo poważnych obrażeń głowy opuścił ją budowlaną windą na dno szybu. Tam, w brudzie, smrodzie i ciasnocie lekarka dokonała nadludzkiego wyczynu.

– Próbowалам tylko przypomnieć sobie praktykę z opieki nad chorymi na ginekologii – próbowała pomniejszyć swoją rolę Feli.

Gdyby odważnym działaniem nie rozwiązała problemu z pępowiną, prawdopodobnie matka i dziecko umarliby w męczarniach. A gdyby jej ojciec nie rozwiązał zagadki z Liviem, nigdy nie ustaliliby miejsca ich pobytu, lokalizując jego komórkę. I nigdy nie znaleźliby tuczarni cieląt w Liebenwalde.

– Wybrałaś już imię? – zapytała Feli i oderwała wzrok od niemowlęcia.

– Viktoria – odpowiedziała Nele i obie się uśmiechnęły.

– Zwycięzcy. Pasuje do niej – powiedziała Feli.

– Wiem.

Viktorię znaleziono dwa pomieszczenia dla krów dalej w boksie dla cieląt. Trochę wychłodzoną i spragnioną, ale żwawą i bez żadnych obrażeń. Franz, postępując zgodnie z logiką swojego obłędu, nie chciał zabić dziecka, lecz tylko rozdzielić je z matką. Czy Viktoria doznała przez to długotrwałych szkód, a zwłaszcza podczas dramatycznego i krwawego porodu zaraziła się od Nele, nie można było teraz powiedzieć, wyjaśni się to najwcześniej za sześć tygodni. Ale wobec faktu, że bez wątplenia zdała najtrudniejszy egzamin w swoim życiu, była to sprawa drugorzędna. HIV nie był już wyrokiem śmierci. Dla Nele liczyło się tylko to, że Viktoria żyje.

– Jesteś dla mnie bohaterką – podziękowała jeszcze raz Feli.

– Jestem idiotką – odpowiedziała lekarka, ale się uśmiechnęła. – Jako psychiatra powinnam przecież zauważyć, że z Liviem jest coś nie w porządku.

Nele pokręciła nosem.

– Wierz mi, będę pierwszą, która potwierdzi, jak łatwo dać się zwieść jego urokowi. Przecież ja się wręcz zakochałam w jego zawadiackim, chaotycznym sposobie życia.

– Ale ty nie jesteś wyćwiczona w rozpoznawaniu narcyza ukrywającego się pod maską. Nie daje mi spokoju, że zachowałam się tak nieprofesjonalnie.

Feli wyjęła komórkę ze szlafroka, obowiązkowego ubioru w klinice, i położyła ją na stole.

– Wczoraj, kiedy po raz pierwszy wróciła mi jasność myślenia, zadzwoniłam do apteki w twoim domu. Na moją prośbę jeszcze raz przeanalizowali wszystkie nagrania z monitoringu.

– I co?

– W dniu porwania, kiedy twój ojciec wysłał mnie do twojego domu, on był w mieszkaniu.

– Livio? – zdumiała się Nele.

– Tak. Wszedł do środka, bo kiedy odeszły ci wody, w pośpiechu zostawiłaś otwarte drzwi. Pewnie czegoś szukał, a ja go zaskoczyłam.

Feli pokazała lewą dłoń. W pierwszej chwili Nele nie wiedziała, co lekarka ma na myśli, ale Feli zaraz jej to wyjaśniła:

– Usłyszał, jak rozmawiam z Matsem przez telefon o twoim porwaniu. Kiedy byłam w łazience, wyłączył światło i drzwiami przytrzasnął mi palce, żeby mógł uciec. Na taśmie widać mężczyznę, który wybiega z domu krótko przede mną.

– Ale czego on u mnie szukał?

Feli nachyliła się do przodu i położyła drugą rękę na stole. Teraz trzymały się za obie dłonie.

– Narcyz nie potrafi zaakceptować odrzucenia. Po waszym rozstaniu posunął się do stalkingu. Później prawdopodobnie chciał się zemścić za zarażenie i za dziecko, w które, jak uważał, chcesz go zrobić. Policja podejrzewa, że to również on odpowiada za pocięte opony na waszej ulicy. Gdzie indziej tylko je przebijał, żeby nie wyglądało to tak podejrzanie.

Słyszając te słowa, Nele pomyślała o żyletce między poduszkami jej kanapy. „Twoja

krew zabija!” Prawdopodobnie Livio podłożył ją tam, jeszcze zanim kazała zmienić zamki, kiedy przestraszył ją koszem, w którym był szczur.

O wiele za późno!

Szczur, opony, żyletka, zemsta.

Wszystko to brzmiało logicznie, Nele nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia tylko jednej rzeczy.

– Jak do tego doszło, że szukałaś mnie razem z nim?

Feli westchnęła.

– Zręcznie mną manipulował, dlatego tak bardzo jestem na siebie zła. Powinnam była to zauważyć.

Odchyliła się trochę do tyłu, nie puszczając dłoni Nele.

– Najpierw Livio słyszy w twoim mieszkaniu, że zostałam porwana. Chce dowiedzieć się czegoś więcej. Idzie za mną do Klopstocka i udaje mu się złapać mnie na jedną z tych jego kuglarskich sztuczek.

– Zwędził ci komórkę?

– Właśnie. I dał się złapać, kiedy chciał ją sprzedać.

Nele delikatnie cofnęła palce i wstała.

– O Boże, wyobrażam sobie, jak to zrobił. Ja też na początku latałam za nim jak zakochana do szaleństwa nastolatka. A on tymi sztuczkami zarabiał pieniądze.

Wzrok Feli wciąż był smutny.

– Powinnam zacząć coś podejrzewać najpóźniej, kiedy znaleźliśmy się przy ruinie i się rozdzieliliśmy. Ja sprawdzałam frontową piwnicę, a on tylną. Kiedy żegnaliśmy się na górze, spojrzał na mnie tak dziwnie, a przecież gdy przeszukiwałam budynek, tylko się poślizgnęłam i się ubrudziłam. Nie umiałam wytłumaczyć sobie nieufności w jego spojrzeniu. Teraz już wiem, że bał się, że widziałam, jak cię znalazł. A potem strasznie się śpieszył, żeby zostawić mnie samą. Psiakrew, nie powinnam była dzwonić do Matsa, tylko od razu na policję.

– Nie, dobrze zrobiłaś.

Nele ponownie usiadła i znów wzięła Feli za rękę. Wtedy dotknęła pierścionka zaręczynowego lekarki. Filigranowego, wykonanego ze srebra z półkaratowym brylantowym oczkiem.

– Ustaliliście już nowy termin? – zapytała Nele ostrożnie.

Feli zamrugała i wyjrzała przez okno. Była dopiero szesnasta, ale zrobiło się już ciemno i latarnie w parku zaczęły się zapalać jedna po drugiej.

– Janek jest przeciwieństwem tego, czego szukam – powiedziała cicho. – Nie jest dziki, chaotyczny, nieobliczalny.

Ponownie odwróciła głowę do Nele.

– Ale to, czego szukałam przez całe życie, zawsze próbowało mnie zniszczyć.

Nele przełknęła ślinę i palcem wskazującym wytarła z kącika oka łzę, której jeszcze nie było.

– Komu ty to mówisz. – Uśmiechnęła się smutno. Ona też przez całe życie stawała się ofiarą własnego schematu dobierania sobie zdobywcy. Livio nie był pierwszym, który ją bił i chciał nad nią dominować. Chociaż był pierwszym, który życzył jej śmierci i w tym celu chciał nawet wykorzystać poczynania fanatycznego obrońcy zwierząt.

Przez jakiś czas obie kobiety siedziały bez słowa, trzymając się tylko za ręce i słuchając trzaskania lodówki dla pacjentów i bulgotania automatu do kawy obok drzwi.

W końcu Nele zebrała się na odwagę.

– Wiesz, ojciec zawsze mi mówił, że człowiek zakochuje się automatycznie. Wobec tego nagłego, wypełniającego wszystko uczucia, które trafia jak piorun, jest bezsilny. „Zakochanie jest czystym przypadkiem”, mówił zawsze. Ale miłość... – Nele zrobiła krótką przerwę, podczas której zapaliły się ostatnie latarnie w parku, otulając drzewa i trawę żółtawym blaskiem. – Miłość jest decyzją.

Feli przytaknęła, jednak Nele nie była pewna, czy została zrozumiana.

– Nie ma takiego partnera, który pasowałby do kogoś w stu procentach. Może tylko w siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu. I zawsze będą ludzie, którzy wypełnią te brakujące dwadzieścia do trzydziestu procent. Jest tylko pytanie: czy trwamy przy swojej decyzji, czy zrywamy przy każdym nowym wyzwaniu i szukamy dalej?

– Masz mądrego ojca – powiedziała Feli, a Nele zdawało się, że przez jej twarz przemknął cień; prawdopodobnie przypomniała sobie tamten dzień, kiedy Mats ją zostawił.

– I co? – zapytała Nele i znów pogłaskała zaręczynowy pierścionek. – Co będzie z Jankiem? Zdecydowałaś już?

Feli westchnęła ciężko.

– On zdecydował. Mimo wszystko Janek wciąż chce się ze mną ożenić. Ale ja... – Cofnęła rękę. – Zastanawiam się. Jeszcze nie jestem pewna.

Feli znów sięgnęła po kawę, która z pewnością już wystygła, i zrobiła ruch ręką,

jakby chciała odpędzić muchę.

– Ale na razie twoja kolej.

Nele poczuła, jak coś ściska ją za gardło, i wstała. Jeszcze trochę niepewnie trzymała się na nogach. Za długo leżała i zwiotczały jej mięśnie.

– Masz rację. Muszę się pośpieszyć.

Sięgnęła po nosidełko ze śpiącą Viktorią, jeszcze raz podziękowała Feli za wszystko, a potem opuściła świetlicę i wyruszyła w najtrudniejszą drogę w swoim życiu.

Epilog

MATS

Podczas gdy Mats przez nieistniejącą dziurę wpadał w wieczną nicość, gdzie czerń była najjaśniejszą ze wszystkich barw, istniała tylko jedna myśl, której się kurczowo trzymał. Zastanawianie się, które wprawdzie w żaden sposób nie zahamuje spadania, ale mogłoby zatrzymać jego rotację wywołującą zawrót głowy. I ta myśl to była myśl o monecie, która stale i bez końca spada na ziemię zawsze jedną i tą samą stroną. Zawsze na orła, na którego Mats postawił. I tak dziesięć kwintylionów razy z rzędu. Dziesięć tysięcy kwadryliardów.

Jedynka i trzydzieści jeden zer.

Tak blado wyglądały szanse, że Boga nie ma.

Bóg. Ostatnia nadzieja umierających ateistów.

Ale byli matematycy i przyrodznawcy – a także niewierzący teologowie – którzy sporządzili następującą kalkulację: fakt, że wszechświat w ogóle istnieje, jest z matematycznego punktu widzenia równie prawdopodobny, jak wspomniany przykład, że człowiek będzie dziesięć kwintylionów razy rzucał niespreparowaną, całkiem zwykłą monetą i ona za każdym razem upadnie na ziemię tą samą stroną. Wystarczyłoby jedno małe odchylenie, trwające stutysięczną część sekundy, po Wielkim Wybuchu i świat w ogóle by nie zaistniał. Nie byłoby nawet tego nic, przez które Mats właśnie spadał.

Wobec czego wyobrażenie, że istnieje Bóg, który za tym wszystkim stoi, z naukowego punktu widzenia jest znacznie bardziej prawdopodobne niż stawianie na występujący raz na ileś kwintylionów przypadek.

Gdy Mats na próżno próbował zwizualizować sobie liczbę z trzydziestoma jednym zerami, usłyszał z daleka, z bardzo daleka, cichy, dobrze znany głos. Nie mógł

zrozumieć, co ten głos mówi. Ale widział słowa. Tworzyły one długi, fioletowo połyskujący łańcuch; zorzę polarną, ku której mógł podążać jego duch. Całą siłą własnych myśli przytrzymał się mocno łańcucha i zahamował spadanie. Jednocześnie głos stał się mocniejszy i teraz Mats pomyślał, że wreszcie osiągnął zbawienie. Uznał, że właśnie umarł. Inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć tego, że słyszy Nele. Jej łagodny, piękny głos, bez śladu nienawiści i wyrzutów. Taki łagodny i czuły.

– Tato, czy mnie słyszysz? – zapytała.

A on mrugnął, tak jak nauczył go doktor Roth.

– Coś ci przyniosłam – powiedziała Nele, a następnie dała mu prezent, który rozświetlił ciemności jego wnętrza jak światło potężnego reflektora. Był to zapach, który przepędził to wszystko, co w ciągu ostatnich dni i godzin określało jego byt: strach, ból duszy, ciemność. Wciąż jeszcze znajdował się w swojej nieistniejącej dziurze, ale ten zapach rozjaśnił ją uczuciami, o których myślał, że już je zapomniał: nadzieją, bezpieczeństwem, miłością.

– To Viktoria – powiedziała Nele, a on chłonał pożądliwie dziecięcy zapach małego zawiniątka życia, które zapewne położyła mu na piersi.

– Kocham cię, tato – usłyszał jej słowa. – Dziękuję, że mnie uratowałaś.

Płakała, tak jak on płakał w środku siebie, i mrugał, nie wiedząc, jak mógłby dać jej do zrozumienia, że był głupi; że wszystko robił źle i że nigdy nie powinien był jej zostawić, ale teraz wszystko dobrze się skończyło, ponieważ ona i dziecko żyją.

I to jest wszystko, co się liczy!

– Mam dla ciebie coś jeszcze – usłyszał głos Nele, wciąż pobrzmiwający płaczem. I o oktawę smutniejszy.

A potem naprawdę zrobiło się jasno.

Jak gdyby ktoś odsunął jakąś mentalną zasłonę i włączył światło.

Mats czuł, jak łzy napływają mu do oczu, oślepionych światłem, które nie tylko widział, ale i czuł.

Mrugał, ale nie tak, jak to robił dotychczas, kiedy próbował kierować swoimi powiekami za pomocą myśli, co pozostawało bez żadnego wpływu na jego zdolność widzenia. Teraz mrugał naprawdę! *I widział!*

Nieistniejącej dziury już nie było. Za to on odzyskał własne ciało.

Mats, który powoli przyzwyczajał się do światła, rozejrzał się. Dźwięczne, usypiające szmery już mu to zdradziły, ale teraz mógł się przekonać na własne oczy: znów był na pokładzie samolotu. Z powrotem w Sky Suite.

Patrzył na kremowe skórzane obicia foteli, podniesione zasłony w oknach, dzienny lot przy olśniewająco pięknej słonecznej pogodzie, wysoko ponad warstwą cumulusów.

Zdjął słomkowy kapelusz, który miał na głowie, i obracał go w dłoniach. Na myśl, że to on sam był tym śpiącym mężczyzną, którego w transie widział na miejscu 47F, uśmiechnął się.

Duch wędruje dziwnymi drogami.

Szedł powoli po grubym dywanie, czuł zapach szlachetnego drewna, którym były wyłożone ściany kabiny.

Szedł obok łazienki do sypialni, której drzwi były lekko uchylone. Ciepłe, łagodne światło sączyło się przez szparę na korytarz.

Zapach, który go z powrotem katapultował tu, na pokład samolotu, stawał się bardziej intensywny.

Otworzył drzwi.

– No jesteś wreszcie – powiedziała najpiękniejsza kobieta na świecie, która leżała na łóżku i uśmiechała się do niego, jakby największa miłość jej życia zbyt długo była gdzieś daleko.

– Katharina? – zapytał Mats, bojąc się, że ona znów zniknie.

Skinęła głową, poklepała dłonią kołdrę obok siebie.

– Chodź tu.

Wciągnął powietrze przez nos. Poczł perfumy swojej żony, które z pewnością przyniosła mu Nele, i położył się obok niej.

– Tak mi przykro – powiedział i rozpłakał się.

Katharina wzięła go za rękę, położyła swoją głowę przy jego głowie i uśmiechnęła się.

– Wiem – odparła.

Potem spojrzła ku niemu, a on zbliżył twarz tak ostrożnie jak wtedy, podczas pierwszego pocałunku, kiedy siedzieli w tamtej podejrzanej knajpie w Steglitz i wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Światło stawało się coraz jaśniejsze, a samolot, ściany kabiny, łóżko i wszystko wokół nich zaczęło się rozmywać, aż było już tylko powietrze i pokrywa chmur pod nimi, wreszcie i ona zniknęła, i pozostało jedynie to, co się naprawdę liczyło.

Na zawsze.

Od Autora

Uwagi i podziękowania

Pozwólcie mi od razu wyjaśnić jedno, zanim zacznę dostawać nieprzyjemne maile: nie mam nic przeciwko weganom. Wprost przeciwnie. Podziwiam ludzi, którzy potrafią to, co ja, jak dotąd, wytrzymuję zaledwie jeden dzień w tygodniu. Ja również chętnie zrezygnowałbym całkowicie z produktów zwierzęcych, ale brakuje mi silnej woli. Tak naprawdę potrafię nawet zrozumieć motywy Franza, którego opisy przebiegu nowoczesnej produkcji mleka niestety nie są wysane palca. Tylko nie mam oczywiście zrozumienia dla metod, jakimi on chce zmieniać ten stan.

I aby uprzedzić dalsze pytanie, które jest mi często zadawane podczas wywiadów: nie, nie czuję strachu przed lataniem. Bardziej odpowiednim pojęciem byłoby zatroskanie lataniem. Nie oblewam się potem podczas startu, ale potrafię sobie wyobrazić coś znacznie bardziej rozsądnego, niż sunąć przez mroźne masy powietrza tysiące metrów nad ziemią z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę w metalowej rurze. Podobnie jak Mats Krüger myślę, że człowiek po prostu nie jest do tego stworzony. I często po wylądowaniu najchętniej jak Indianin usiadłbym na pasie startowym i czekał na swoją duszę, która – inaczej niż moje ciało – nie potrafiła tak szybko nadążyć.

Wiem oczywiście, że więcej ludzi umiera rocznie z powodu zadławienia się elementem długopisu, niż w ciągu dziesięciu lat ginie w katastrofach lotniczych. Jednak trzeźwe statystyki jakoś nigdy tak do końca mnie nie uspokajają; w dodatku zadaję sobie pytanie, ile nieszczęśliwych ofiar długopisów to osoby gryzące ten przyrząd do pisania podczas turbulencji w samolocie, ale mniejsza z tym.

A więc nawet jeśli sam nie walczyłem z atakami paniki, współczuję ludziom, którzy już na pasie startowym dostają palpacji serca. Tak jak ta młoda kobieta, która na krótko przed startem samolotu na trasie Monachium–Berlin chwyciła za rękę sąsiada i powiedziała do niego, całkowicie obcej przecież osoby:

– Nie znam pana, ale czy mógłby mnie pan potrzymać za rękę? Bo inaczej zacznę krzyczeć.

Usłyszałem tę rozmowę, ponieważ siedziałem w fotelu z drugiej strony mężczyzny, którego kobieta wybrała sobie jako podporę emocjonalną. Człowiek ten poczuł się z tym trochę nieswojo i próbował rozładować całą sytuację, opowiadając dowcip, który zaczynał się słowami: „W samolocie siedzi Bawarczyk, Szwab i berlińczyk” (Przysięgam, że naprawdę tak było!).

Nigdy się nie dowiedziałem, co było dalej, ponieważ kobieta zaczęła płakać i w tej sekundzie pasażer trzymany za rękę chyba zrozumiał, że to nie jest zbyt dobry pomysł, aby komuś, kto cierpi na awiofobię, opowiadać akurat dowcip o samolocie.

Nie, to nie była godzina narodzin *Lotu 7A*. Inaczej niż w przypadku innych moich książek nie potrafię podać konkretnego powodu, dla którego zająłem się tym tematem. Na wieczorach autorskich jestem regularnie pytany, gdzie znajduję pomysły. Od czasu do czasu próbuję to wyjaśnić, ale jedyna niepodważalna prawda brzmi: to pomysły znajdują mnie, i to najczęściej dopiero podczas pisania. W realnym życiu odkrywam może czasem inspirację do tematu. Ale moje postaci ożywają dopiero wtedy, kiedy siedzę przed komputerem. I wówczas w mniejszym stopniu czuję się kreatorem ich przeżyć, w większym natomiast obserwatorem, który często sam jest zaskoczony tym, jak rozwija się akcja. Dlatego też nie ja wybieram, jaką historię chcę opowiedzieć.

Czasem dostaję maila z zapytaniem: „Fitzek, czy nie chciałbyś kiedyś napisać czegoś innego niż thriller?”

Niestety nie, nie ja dokonuję wyboru.

Kiedy mój pierwszy maszynopis został odrzucony przez wszystkie wydawnictwa z uzasadnieniem, że psychothriller z Niemiec nie ma żadnych szans na rynku, pomyślałem: „Popatrz, popatrz. A więc napisałeś psychothriller”.

Rzeczywiście uznałem to za coś dziwnego, ponieważ thrillery psychologiczne nie należały wówczas do moich głównych lektur. Nigdy nie zastanawiałem się nad gatunkiem, zawsze tylko pisałem historię, którą sam chętnie bym przeczytał. W nadziei, że nie będę jedyny.

Ostatnio często pytają mnie, ile czasu potrzebuję, aby napisać książkę, i jak to robię, że piszę „tak dużo”.

21 czerwca 2017 roku zamieściłem coś na ten temat na Facebooku:

„Każda z moich książek jest inna. Nie piszę serii ani cykli, w których powracają wciąż te same główne postaci, tylko z reguły oddzielne, zamknięte historie. Zwiększa to szansę, że nie będę się powtarzał i popadnę na przykład w schemat „F”. Skrywa jednak niebezpieczeństwo, że rozczaruję tych, którzy życzyliby sobie „kontynuacji w stylu XY”.

Sam również jestem czytelnikiem i kiedy dawniej nie podobała mi się jakaś książka ulubionego autora, zawsze myślałem, że to dlatego, że ten człowiek za dużo pisze. Że nie daje sobie czasu. Dopóki sam nie zostałem autorem i musiałem się czegoś nauczyć o sobie: otóż miałem całkowicie błędne wyobrażenie o zawodzie pisarza i jego codziennej pracy.

Myślałem, że thriller wymaga wielu lat pracy myślowej, podczas których najlepiej udać się na samotną wyspę i dużo, dużo myśleć, aż wreszcie wszystkie pomysły zostaną zebrane i można będzie powołać do życia postacie i akcję. To może być dobra recepta dla innych koleżanek i kolegów. U mnie jednak historia nie powstaje wyłącznie w czasie rozmyślania. Pomysły, zwroty akcji i momenty, w których sytuacja się wyjaśnia, przychodzą mi do głowy prawie wyłącznie podczas pisania. A więc muszę pisać, aby być kreatywny.

Zawsze tak było, tylko na początku mojego pisarstwa mało kto zauważył, że *Die Therapie*, *Das Amokspiel*, *Ostatnie dziecko* i *Seelenbrecher*, a więc cztery thrillery, opublikowałem w ciągu zaledwie dwóch lat.

Dziś słyszę niekiedy, że powinienem powrócić do moich początków i „dać sobie więcej czasu”. W rzeczywistości wtedy musiałem pisać jeszcze znacznie znacznie intensywniej, ponieważ w owym czasie miałem stałą pracę w radiu; mogłem więc pracować nad moimi pomysłami tylko w weekendy, na urlopie i wieczorami.

Dzisiaj, dzięki Państwu, Czytelniczki i Czytelnicy, mam znacznie więcej czasu i całymi miesiącami mogę się koncentrować wyłącznie na pisaniu. Inaczej niż spora liczba moich koleżanek i kolegów, którzy niekiedy również publikują coś raz na rok, choć zawodowo pracują jako tłumacze, nauczyciele albo w banku. Ich dyscyplinę i siłę twórczą, często trwającą przez wiele lat, bardzo podziwiam.

Musiałem się też nauczyć, że bycie autorem to nie jest konwencjonalne zajęcie, pozwalające mi samemu ustalać czas pracy. Tak jak nie mogę sobie założyć: „Fitzek, dziś napiszesz komedię”. To pomysł znajduje autora, a nie odwrotnie.

Brzmi ezoterycznie, ale już wielu kolegów mi to potwierdziło. My, autorzy, często nie mamy pojęcia, skąd się biorą nasze pomysły. Wiemy tylko, że to tkwi w nas, jakaś

wewnętrzna potrzeba, która zagania nas do biurka.

Pisanie książek to nie jest praca na zlecenie, tylko samorealizacja. Tak jak muzyk musi grać, a sportowiec codziennie trenować, ja mam to wielkie szczęście, że mogę codziennie siedzieć przy biurku. Owszem, przyznaję, w tym względzie jestem trochę maniakiem. Jeśli wpadnę w „trans”, piszę codziennie, nawet we własne urodziny i w Boże Narodzenie.

Zasada „więcej czasu – lepsza książka” z pewnością nie jest błędna, jeśli chodzi o niezbędną staranność, z jaką należy prowadzić research i tworzyć konspekt. Ale pomijając nawet fakt, że w porównaniu z godnym podziwu urobkiem i objętościami dzieł innych autorów ja cierpię raczej na zahamowania w pisaniu (Markus Heitz, Martin Walser, Stephen King), bywa też odwrotnie. Ostatnio musiałem czekać ponad pięć lat na nową książkę mojego ulubionego autora thrillerów, który dotychczas publikował jedną książkę na rok – i byłem nieco rozczarowany.

Poza tym to nie wydawnictwo, tylko ja sam muszę sobie wyznaczać granicę czasową, bo inaczej nigdy bym nie oddał książki. Z żadnej z moich książek nie jestem w stu procentach zadowolony i jeszcze dziś siedziałbym nad moją debiutancką książką pt. *Der Therapie* i starannie ją dopracowywał, gdybym nie miał terminu oddania w roku 2006.

Roland Emmerich powiedział kiedyś, że historia nigdy nie jest gotowa. Można ją tylko wypuścić z rąk. W tym sensie mam nadzieję wysłać do Was jeszcze wiele książek, nawet jeśli dwie książki rocznie pozostaną chyba w przyszłości absolutnym wyjątkiem.

Nie mogę przy tym obiecać, że te thrillery trafią w Wasz gust ani że będą porównywalne do dotychczasowych, ulubionych przez Was historii. Jeśli tak, będzie to raczej przypadek, ponieważ tak naprawdę staram się nie powtarzać. (Co właśnie jest powtórzeniem, patrz wyżej;)).

Jedyne, co mogę Wam przysiąc na wszystkie świętości, to to, że każda z moich historii pochodzi z serca, zawsze z wielką nadzieją, że trafi również do Waszych serc.

Tak więc piszę dalej, tak długo, aż kiedyś ktoś zdemontuje scenografię, kłaśnie w ręce i powie: „Drogi panie Fitzek, eksperyment skończony. Przez ostatnie jedenaście lat pozwoliliśmy panu wierzyć, że jest pan pisarzem. Jak się pan czuje teraz, kiedy uświadomił pan sobie, że w rzeczywistości jest pan tylko pacjentem Park-Klinik?”

Ale do tego czasu będę się cieszył z każdej wiadomości, jaka znajdzie się w skrzynce mailowej pod adresem: fitzek@sebastianfitzek.de

A więc teraz, kiedy podziękowałem Państwu, a tym samym najważniejszym osobom w życiu autora, odbębnię jeszcze całą tę resztę, zanim zaczną marudzić. Są to: z wydawnictwa Droemer Knauer najpierw szef von Janze, Hans-Peter Übleis i jego wspomniały zespół – Josef Röckl, Bernhard Fetsch, Steffen Haselbach, Katharina Ilgen, Monika Neudeck, Bettina Halstrick, Beate Riedel, Hanna Pfaffenwimmer, Sibylle Dietzel, Ellen Heidenreich, Daniela Meyer, Greta Frank i Helmut Henkensiefken. O Beate, Ellen, Danieli i Helmucie muszę tu wspomnieć szczególnie dobitnie, ponieważ dział marketingu, produkcja i projekt okładki (moim zdaniem) znowu przeszły same siebie.

Mojej lektorce Regine Weisbrod należy się za pracę nad tym maszynopisem jakiś specjalny dodatek stresowy, ponieważ ona rzeczywiście cierpi na lęk przed lataniem. Co jednak nie powstrzymało jej przed tym, żeby każde zdanie rozebrać na czynniki pierwsze, niczym airbusa w czasie przeglądu konserwacyjnego. Tak samo jak Carolin Graehl, drugiej nieocenionej osobie. Obie potrafiacie zawsze trzymać mnie na właściwym kursie, zachęcić do wysokich lotów i uchronić przed przymusowym lądowaniem.

Marc Haberland (mój dobry przyjaciel, którego nazwiska wolno mi było użyć po raz pierwszy w *Seelenbrecher*) z powodu lęku przed lataniem brał udział w jednym z seminariów poświęconych awiofobii, o którym jest mowa w tej książce. Dostarczył mi tylu ciekawych i pożytecznych informacji, że nie byłem w stanie wszystkich wykorzystać. Na przykład faktu, że dla wielu klaustrofobiczny horror zaczyna się już podczas wsiadania do samolotu, kiedy muszą przechodzić przez wąskie rękawy prowadzące od bramki do samolotu. (W których na ogół zawsze robią się korki i człowiek zadaje sobie pytanie, ile osób może stać w takiej gumowej kiszce, zanim ona wyląduje na betonie). To jest zresztą powód, dlaczego niektóre z tych rękawów mają okna albo są wykonane z pleksiglasu.

Marc udzielił mi również rady, żeby przed startem napiąć wszystkie mięśnie. Wywołany świadomie i w sposób kontrolowany skurcz mięśni podobno oszukuje mózg, który nie może się jednocześnie skoncentrować na zbyt wielu sytuacjach nadzwyczajnych. Nieco bardziej wyrafinowana wersja tej rady, czyli tak zwana „progresywna relaksacja mięśni według Jacobsona”, jest zresztą zalecana generalnie przy wszelkich zaburzeniach lękowych. W razie potrzeby mogą ją Państwo wpróbować, w każdym razie działa lepiej niż dowcipy o katastrofach opowiadane

przez osobę z sąsiedniego fotela.

Seminarium Marca zakończyło się zresztą incydem, który znów jest najlepszym dowodem na to, że życie pisze nieprawdopodobne i niezwykle historie. Podczas lotu na zakończenie samolot wpadł w tak wielką turbulencję, że nie tylko uczestnicy seminarium, ale również najtwardsi pasażerowie zaczęli krzyczeć na wyścigi. Pilot przyznał potem, że w zasadzie nie spotkał się jeszcze w swojej karierze z tak gwałtownym zjawiskiem. Marc stwierdził, że świadomość, że „gorzej już być nie może”, powstrzymała go przed domaganiem się zwrotu pieniędzy. Ale jeśli o to chodzi, to chyba był wyjątkiem wśród uczestników seminarium.

Jak zawsze nie chciałem napisać książki popularno-naukowej, ale fakty, które zdarzyły się w powieści, są prawdziwe. Co do tego, które miejsce w samolocie jest najbezpieczniejsze albo najniebezpieczniejsze, nie ma zgody i prowadzi się wiele badań, ale przeważająca opinia głosi, że miejsca na końcu dają największe szanse przeżycia. I, rzeczywiście przeprowadzono test zderzeniowy, w czasie którego siedem pierwszych rzędów zostało całkowicie zniszczonych, a miejsce 7A zostało wyrwane z samolotu. Nawet nieprawdopodobna historia Juliane Koepcke wydarzyła się naprawdę. Osoby podchodzące do Smartfonów jak pies do jeża nie są specjalnie zachwycone wiadomością, że na niektórych liniach lotniczych można surfować i rozmawiać przez komórkę. Ostatnią oazę spokoju diabli wzięli. I oczywiście szeroko zakrojone testy psychologiczne dla załogi i pilotów dawno już wyszły poza teoretyczne rozważania.

Ale tego, jak bohaterowie tej książki mieli doprowadzić do katastrofy samolotu, oczywiście nie przedstawiłem w stu procentach poprawnie, podobnie jak na temat metod popełniania samobójstwa świadomie wypowiadam się bardzo oględnie. Chcę bawić, a nie pisać instrukcje obsługi.

À propos researchu: inaczej niż przy powieści *Pasazer 23*, kiedy to miesiącami musiałem szukać kapitana, który by się nie bał posądzenia o kalandrię w świecie wycieczkowców, przy książce *Lot 7A* nie miałem najmniejszych problemów ze znalezieniem fachowego doradcy. Mój dawny kolega szkolny Marc Peus pozwolił mi w znacznym stopniu czerpać ze swoich doświadczeń pilota i przeczytać pod kątem poprawności wszystkie fragmenty dotyczące latania. Kiedy więc Państwo wsiądą w Europie do samolotu i powita Państwa kapitan Peus, mogą Państwo ze spokojem rozkoszować się lotem, ponieważ ten facet jest najlepszy! (Albo pójść do przodu i

zrugać go za tę książkę, jeśli Wam się nie podobała. Wówczas zostaniecie aresztowani, a ja będę miał o jednego krytyka mniej!).

Dziękuję również kapitanowi Frankowi Hellbergowi, szefowi i zarazem właścicielowi Air Service Berlin, który mi już doradzał przy *Amokspiel*, *Odciętych* i innych książkach, i którego w ramach podziękowania zapomniałem zaprosić na premierę mojej powieści *Noah*. Niestety, przeprosiłem go za to i wtedy dopiero się o tym dowiedział. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Znaczący przeprosiny.

Podziękowanie dla mojej menedżerki Manueli Raschke łączę z gorącą prośbą: Idź wreszcie na urlop! Wszyscy mówią, że za dużo pracujesz, Manu. A ja naprawdę mogę zrezygnować na jakiś czas z twojego znakomitego, niezmordowanego i superprofesjonalnego wsparcia. Jeden, dwa, trzy dni. Na Boże Narodzenie i sylwestra. A wtedy pałeczkę może przejąć twoja mama Barbara, o której nie wolno mi tutaj zapomnieć, podobnie jak o twoim mężu Kallem. Tobie dziękuję nie tylko za pomoc, ale także za zrozumienie, że współpraca z autorem psychothrillera niesie ze sobą pewne osobliwości, o których moja cudowna agentka PR, Sabrina Rabow, niestety zabroniła mówić. A tak poważnie: Sabrina, Tobie winien jestem najgłębsze podziękowanie za rady, wsparcie i wieloletnią wierność.

Lista osób niezastąpionych ciągnie się dalej, są na niej moja kochana teściowa Petra, która tak samo jak Jörn „Stolli” Stollmann, Marcus Meier i Thomas Zorbach troszczy się o moje beznadziejnie przestarzałe media, jak Internet, podczas gdy ja jako staroświecki awangardzista obsługuję faks.

Dziękuję mojemu ukochanemu Bawarczykowi Franzowi Xaverowi Riebelowi, który znów zatrudnił się jako literacki wstępny degustator. I moim przyjaciółom Arno Müllerowi, Thomasowi Koschwitzowi, Jochenowi Trusowi, Stephanowi Schmitterowi, Michaelowi Treutlerowi, Simonowi Jägerowi i Enderowi Thielemu.

Kiedy wymieniam jego imię, utrudniam mu życie, ponieważ patrząc statystycznie, co drugi Niemiec ma pomysł na powieść. A Roman Hocke jest najlepszym człowiekiem, aby znaleźć dla niej wydawcę. (No, wiecie, skoro ktoś potrafił znaleźć wydawcę nawet dla mnie). Jest on wspierany w swojej agencji literackiej AVA-International przez Claudię von Hornstein, Gudrun Strutzenberger, Cornelię Peterson-Laux, Lisę Blenninger i Markusa Michaleka.

Od czasu do czasu na wieczorach autorskich jestem proszony o pozwolenie na zrobienie ze sobą zdjęcia. Najczęściej gdzieś w tle stoi mężczyzna i wygląda tak, jakby ktoś właśnie sprzątnął mu z talerza sznycel: to mój wierny przyjaciel i tourmenedżer Christian Meyer z C&M Sicherheit, z którym już od tak dawna podróżuję, że wiele osób uważa nas za stare małżeństwo. My siebie resztą też.

Droga Sabino, mam nadzieję, że udało mi się uwzględnić wszystkie twoje uwagi medyczne. Moja szwagierka zalicza się, obok mojego brata Clemensa, do grona najlepszych doradców medycznych. Chciałem obojgu podziękować, fundując nam wspólny rejs wycieczkowcem. W samą porę, zanim nabrali apetytu, napisałem *Pasażera 23*.

Oczywiście, jak zawsze dziękuję wszystkim księgarzom i pracownikom bibliotek.

Sukcesu wysyłkowych księgarni internetowych nie da się odwrócić. I byłoby z mojej strony w najwyższym stopniu cyniczne, aby ich dezawuować, przecież tak jak wielu innych autorów korzystam z ich usług. Tak naprawdę moja kariera bez Internetu byłaby prawie niemożliwa, ponieważ w roku 2006 moja pierwsza książka była początkowo prawie nieosiągalna w zwykłych sieciach księgarskich. A mimo to proszę Was bardzo, abyście wspierali lokalne księgarenki. Są po temu niezliczone powody, takie jak na przykład, że nikt nie lubi wyludnionych centrów miast. Pozwólcie mi wymienić jeszcze jeden.

Jeśli tak bardzo lubicie jakąś autorkę lub autora, że chcielibyście kiedyś spotkać go osobiście, na przykład na wieczorze autorskim, to gdzie coś takiego może się odbyć? W Internecie czy w księgarni?

Proszę, nie zrozumcie mnie źle. Nie jestem za demonizowaniem internetowych gigantów. Nie musicie też od razu radykalnie zmieniać swoich przyzwyczajeń zakupowych. I tak robicie wiele, jeśli od czasu do czasu znajdziecie miejsce, gdzie książki najlepiej się czują: na uporządkowanym regale obok innych towarzyszy tego samego gatunku w zaufanej księgarni, która zawsze służy radą. Tylko się nie przerażcie, ja również mogę się tam przypadkowo znaleźć.

Dziękuję Wam jak zawsze za poświęcony czas!

Wszystkiego najlepszego i do zobaczenia

Wasz Sebastian Fitzek

Berlin

pogodowo jak w kwietniu,

ale tak naprawdę już 6 lipca 2017

PS Najlepsze i najmiłsze na końcu:

Pewna czytelniczka chciała się ostatnio dowiedzieć, czy moja żona może spokojnie spać obok „kogoś takiego jak ja”. A przecież to ona dla relaksu ogląda Hostel albo Piłę, a swoim strojem na sobotni wieczór w klubie K17 spokojnie mogłaby zająć pierwsze miejsce w konkursie na najlepszy kostium halloweenowy. Dzięki ci, Sandro, że jesteś zarazem tak niekonwencjonalna i pełna miłości, że wytrzymujesz ze mną, nie sięgając po broń. A przynajmniej nie zawsze.